

ANNE RICE

OPOWIEŚĆ O ZŁODZIEJU CIAŁ

PRZEKŁAD ANNA MARTYNOW

SCAN-DAL

*Moim rodzicom
Howardowi i Katherine O'Brienom.
Wasze marzenia i wasza odwaga
będą ze mną do końca życia.*

ODJAZD DO BIZANCJUM

W.B. YEATS

I

To nie jest kraj dla starych ludzi. Między drzewa Młodzi idą w uścisku, ptak leci w zieleni, Generacje śmiertelne, a każda z nich śpiewa, Skoki łososi, w morzach ławice makreli. Całe lato wystawiać będą chóry ziemi Wszystko, co jest poczęte, rodzi się, umiera. Nikt nie dba, tą zmysłową muzyką objęty, O intelekt i trwałe jego monumenty.

II

Nędzną rzeczą jest człowiek na starość, nie więcej Niż łachmanem wiszącym na kiju, i chyba Że dusza pieśni składać umie, kłaśnie w ręce, A od cielesnych zniszczeń pieśni jej przybywa. Tej wiedzy w żadnej szkole śpiewu nie nabędzie, W pomnikach własnej chwaty tylko ją odkrywa. Dlatego ja morzami żeglując przybyłem Do świętego miasta Bizancjum.

III

O mędrcy, gorejący w świętym boskim ogniu Jak na mozaice ścian pełnych złota, Wyjdźcie z płomienia, co żarem was oblókł, Nauczcie, jak mam śpiewać, podyktujcie słowa. Przepalcie moje serce. Chore jest, pożąda, I kiedy zwierzę w nim spętane kona, Serce nic nie pojmuje. Zabierzcie mnie z wami W wieczność, którą kunsztownie zmyśliliście sami.

IV

A kiedy za natury krainą już będę, Nigdy formy z natury wziętej nie przybiore, Jak u greckich złotników tak formę wyprzedę Wplatających w emalię liść i złotą korę, Ażeby senny Cesarz budził się ze dworem, Albo tę, jaką w złotej wykuli gęstwinie, Żeby śpiewała panom i damom Bizancjum O tym, co już minęło czy mija, czy minie.

1927

CZESŁAW MIŁOSZ

Mówi Wampir Lestat. Chciałbym wam przedstawić pewną historię. Coś, co mi się przydarzyło naprawdę. Wszystko zaczęło się w Miami, w roku 1990, zatem od tego momentu rozpocznę. Ważne jest jednak, bym opowiedział o moich snach, które miałem wcześniej, bowiem stanowią one również bardzo ważną część historii. Mówię o majakach sennych, w których ukazywało mi się wampirze dziecko z kobiecym umysłem i anielską twarzą, a także o moim śmiertelnym przyjacielu Davidzie Talbocie.

Są jeszcze sny z czasów, kiedy byłem zwykłym chłopcem żyjącym we Francji — o zimowym śniegu, o należącym do mojego ojca ponurym i zniszczonym zamku w Auvergne i o tym jak wyruszyłem zapolować na stado wilków, które wyły w okolicach naszej biednej wioski.

Marzenia senne mogą być równie rzeczywiste jak prawdziwe wydarzenia. Albo tak mi się potem zdawało.

Byłem w złym stanie psychicznym, kiedy zacząłem miewać te sny, bezdomny wampir włóczący się po ziemi, czasami tak brudny, że nikt nie zwracał na mnie uwagi. Co za korzyść z posiadania pięknych, bujnych blond włosów, bystrych błękitnych oczu, eleganckich ubrań, uśmiechu, któremu trudno się oprzeć, i dobrze zbudowanego, wysokiego na metr dziewięćdziesiąt ciała, pomimo swoich dwustu lat mogącego uchodzić za dwudziestoletnie. Pozostałem człowiekiem rozsądnym, dzieckiem osiemnastego wieku, w którym naprawdę żyłem, zanim Narodziłem się dla Ciemności.

Jednak u schyłku lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku z dziarskiego wampira żółtodzioba, tak przywiązanego do klasycznej, czarnej peleryny i brukselskiej koronki, dżentelmena z laseczką i białymi rękawiczkami, tańczącego pod gazowymi lampami, zmieniłem się nie do poznania.

Przeszedłem transformację w jakiegoś ciemnego boga. Przyczyniły się do tego liczne ciepienia i tryumfy, a także właściwości krwi naszych wampirzych przodków. Posiadłem moc, która czasem powodowała moje zmieszanie, a czasem mnie przerażała. Nie zawsze rozumiałem, dlaczego tak się działo. Mogłem na przykład siłą woli wznieść się w górę, przeprowiać z nocnymi wiatrami na duże odległości łatwo niczym duch. Umysłem potrafiłem wpływać na materię, doprowadzając ją do zniszczenia. Byłem w stanie rozpaść ogień, myśląc zaledwie, by to uczynić. Umiałem również porozumiewać się nadprzyrodzonym głosem z innymi nieśmiertelnymi w odległych krajach, a nawet kontynentach. Mogłem z łatwością czytać w myślach wampirów i ludzi.

Nieźle, pomyślicie. Jednak ja nienawidziłem tego. Bez wątplenia tęskniłem za dawnym sobą, za śmiertelnym chłopcem, nowo narodzonym widmem zdeteterminowanym postępować

dobrze, będąc złym, jeśli takie zapisano mi przeznaczenie.

Nie jestem pragmatykiem, zrozumcie. Mam wrażliwe i bezlitosne dla mnie sumienie. Mogłem być miłym facetem. Może czasami nim jestem. Jednak zawsze zaliczałem się do ludzi czynu. Żal to strata czasu, podobnie jak strach. A tutaj otrzymacie akcję, gdy tylko uporam się ze wstępem.

Pamiętajcie, początki są zawsze trudne i najczęściej sztuczne. Były to czasy najlepsze, a zarazem najgorsze — doprawdy? A wszystkie szczęśliwe rodziny nie są do siebie podobne; nawet Tolstoj musiał sobie z tego zdawać sprawę. Nie mogę obejść się bez zwrotów „Na początku” albo „Zrzućli mnie z wozu z sianem o północy”, a chętnie bym to zrobił. Staram się dążyć do perfekcji, uwierzcie. I jak powiedział Nabokov ustami Humberta: „Zawsze możesz liczyć na ekstrawagancki styl prozy mordercy”. Czy ekstrawagancki znaczy eksperymentalny? Wiem już oczywiście, że jestem zmysłowy, kwiecisty, bujny i wilgotny — wystarczająco wielu krytyków mi to mówiło.

Niestety muszę robić wszystko po swojemu. I dotrzemy do początku, jeśli to nie jest sprzeczność sama w sobie — obiecuję wam.

Teraz muszę wyjaśnić, że zanim ta historia się zaczęła, tęskniłem do innych znanych i kochanych przeze mnie nieśmiertelnych, którzy już dawno temu rozpięchli się z naszego ostatniego w dwudziestym wieku miejsca spotkań. Szaleństwem byłoby myśleć, że chcieliśmy ponownie stworzyć sabat. Zniknę li jeden po drugim w czasie i przestrzeni, to było nieuniknione.

Wampiry nie lubią sobie podobnych, chociaż ich potrzeba posiadania nieśmiertelnych kompanów jest przemożna.

Dlatego właśnie stworzyłem uczniów — Louisa de Pointe du Lać, który został moim cierpliwym i kochającym dziewiętnasty wiek towarzyszem, a z jego nieświadomą pomocą, także piękne {przekłete wampirze dziecko, Claudię. Podczas samotnych nocnych włóczęg w końcu dwudziestego wieku Louis był jedynym nieśmiertelnym, jakiego widywałem. Najbardziej ludzki z nas wszystkich, najbardziej Bogu niepodobny.

Nigdy nie przebywałem długo z dala od jego chatki, na odludnych peryferiach Nowego Orleanu. Przekonacie się o tym poznając tę historię, której postać Louisa jest ważną częścią.

Chodzi o to, że znajdziecie tu niewiele o innych. Prawie nic.

Z wyjątkiem Claudii. Śniłem o niej coraz częściej. Pozwólcie mi wyjaśnić. Claudia została unicestwiona ponad wiek temu, a ja nadal, przez cały czas odczuwałem jej obecność, tak jakby przebywała tuż obok mnie.

Stworzyłem to wampirze dziecko w roku 1794 z umierającej sieroty i minęło

sześćdziesiąt lat, zanim powstała przeciwko mnie. „Wsadzę cię do twojej trumny na zawsze, Ojciec”.

Rzeczywiście sypiałem wtedy w trumnie. Czyn Claudii był stylową, tragiczną próbą morderstwa. Jako przynęty użyła ludzkich ofiar nasączonych trucizną. Zatruta krew miała zmącić mi umysł, co pozwoliłoby Claudii rozedrzeć nożem moje białe ciało i ostatecznie porzucić pozornie pozbawione życia zwłoki w cuchnących wodach bagna za mrocznymi świątłami Nowego Orleanu.

Cóż, nie udało się. Jest niewiele pewnych sposobów na zabicie wampira. Sionce, ogień... A przede wszystkim należy postawić sobie za cel całkowite unicestwienie. A poza tym mówimy tu o Wampirze Lestacie.

Claudia zapłaciła za swą zbrodnię. Została zgładzona przez diabelskich krwiopijców, którzy bawili w samym środku Paryża w cieszącym się złą sławą Teatrze Wampirów. Złamałem zasady, czyniąc wampirem tak małe dziecko. Dlatego paryskie potwory mogły ją zniszczyć. Jednak ona także nie dostosowała się do obowiązujących reguł, próbując unicestwić swojego stwórcę. To był logiczny powód wystawienia Claudii na światło dzienne, gdzie spaliła się na proch.

Myślę, że wybrali cholernie trudny sposób egzekucji, ponieważ ci, którzy zostawiają skazanego na zewnątrz, muszą szybko wrócić do swoich trumien, a stamtąd nie mogą kontrolować, czy słońce wykonuje wyrok. Tak właśnie postąpili z tą wspaniałą i delikatną istotą, jaką stworzyłem wlewając wampirzą krew w obdarte, porzucone dziecko z obskurnej, hiszpańskiej kolonii Nowego Świata. Chciałem, aby zostało moim przyjacielem i uczuciem, moją miłością oraz muzą, a także towarzyszem polowań. Tak, również córką.

Jeśli przeczytacie Wywiad z wampirem, dowiedziecie się wszystkiego na ten temat. To wersja Louisa o czasie, który spędziliśmy razem. Opowiada o miłości do naszego dziecka i zemście nad tymi, którzy je uśmiercili.

Jeśli przejrzycie moje powieści autobiograficzne, Wampir Lestat i Królowa przeklętych, dowiedziecie się wszystkiego o mnie, zapoznacie się z historią wampirów — tyle wartą co inne — mówiącą o tym jak powstaliśmy tysiące lat temu, jak rozmnażamy się, ostrożnie dając Ciemną Krew śmiertelnikom, kiedy chcemy wziąć ich ze sobą na Drogę Zła.

Nie musicie jednak czytać tych książek, by zrozumieć tę oto opowieść. Nie znajdziecie tutaj setek osób, które występowały w Królowej przeklętych. Zachodnia cywilizacja nie zadrży w posiadach. Nie będzie też żadnych rewelacji z zamierzczłtych czasów ani starców wyznających półprawdy, posługujących się zagadkowym językiem i składających nęcące obietnice, których realizacja nigdy nie może być rzeczywista.

Nie, to już zrobiłem.

Oto opowieść współczesna. Księga z Kronik wampirów, nie pomylcie się więc w ocenie. Jest to pierwsza naprawdę nowoczesna powieść, ponieważ już na samym początku akceptuje absurdalność istnienia i zabiera w podróż po umyśle i duszy bohatera — zgadnijcie kogo? — nowoczesna także ze względu na poczynione w niej odkrycia.

Przeczytajcie te wyznania, a w miarę jak będziecie przewracali strony, przekażę wam wszystko, co należy o nas wiedzieć. Przy okazji, mnóstwo rzeczy zdarza się naprawdę. Jak już powiedziałem, jestem człowiekiem czynu; Jamesem Bondem wampirów, jeśli chcecie; Księciem Nocy, Najbardziej Przeklętym z Przeklętych, „tym potworem” wśród licznych i rozmaitych nieśmiertelnych.

Oni oczywiście są nadal w pobliżu — Maharet i Mekare, najstarsza z nas, Khayman z Pierwszej Krwi, Eryk, Santino, Pandora oraz inni, których nazywamy Dziećmi Tysiącleci. Armand również gdzieś tu jest, piękny, liczący sobie pięćset lat starzec z twarzą chłopca; kiedyś rządził Teatrem Wampirów, a jeszcze wcześniej sabatem czczących diabła krwio pijców mieszkających pod paryskim cmentarzem „Les Innocents”. Armand, mam nadzieję, zawsze będzie w pobliżu.

A jeśli spotka mnie szczęście, także Gabrielle, moja śmiertelna matka i nieśmiertelne dziecko, pojawi się pewnej nocy przed końcem kolejnego tysiąclecia.

Co do Mariusa, mojego poczciwego nauczyciela i mentora, który przechowuje wszystkie historyczne tajemnice naszego rodu, jest nadal z nami i zawsze będzie. Zanim ta opowieść powstała, przychodził do mnie od czasu do czasu, by ganić i prosić: „Czy nie mógłbyś zaprzestać nieostrożnych zabójstw, niezmiennie opisywanych na pierwszych stronach gazet?! Czy nie przestaniesz sprowadzać na złą drogę swego przyjaciela — śmiertelnika, Davida Talbota i kusić go Mrocznym Darem naszej krwi? Lepiej, żebyś tak nie postępował”. Czy nie wiedziałem o tym?

Zasady, zasady, zasady. Oni zawsze kończą, rozprawiając o zasadach. A ja kocham łamać wszelkie reguły, tak jak ludzie lubią rozbijać o ściany kominka szklanki, którymi wzniesli toast.

Dość już o innych. To będzie moja książka — od początku do końca.

Pozwólcie mi teraz pomówić o snach, które dręczyły mnie podczas wędrówek.

Wizja Claudii wciąż mnie prześladowała. Za każdym razem, kiedy zamykałem oczy o poranku, widziałem ją obok siebie, słyszałem niski, nagłocy głos. Czasami cofałem się o całe wieki, w jej pamięci pojawiał się obraz rzędów maleńkich łóżek w kolonialnym szpitalu, gdzie umierało osierocone dziecko.*

Spójrzcie na przepelnionego smutkiem starego doktora, podnoszącego ciało dziecka. I ten płacz. Kto szlocha? Nie Claudia. Spała, kiedy lekarz mi ją powierzył, przekonany, że oddaje ją w ręce śmiertelnego ojca. Jest taka piękna w tych snach. Czy wówczas była równie zachwycająca? Tak, oczywiście.

„Porwaliście mnie ze śmiertelnych rąk jak dwa potwory w koszmarnej bajce, wy gnuśni, ślepi rodzice”.

Sen o Davidzie Talbocie raz tylko miałem.

W tej wizji przyjaciel jest młody. Spaceruje po mangrowym lesie. Nie ukazuje się jako mężczyzna siedemdziesięcioletni, który został mym powiernikiem, cierpliwym uczniem, regularnie odrzucającym propozycję przyjęcia Ciemnej Krwi i niezachwianie kładącym ciepłą, kruchą dłoń na moim zimnym ciele, by zademonstrować nasze wzajemne przywiązanie oraz zaufanie.

Nie. To jest młody David Talbot, całe lata wcześniej. Jego serce nie bije jeszcze tak szybko, lecz jednak on sam już znajduje się w niebezpieczeństwie.

„Płonące oczy tygrysa...”

Czy to jego głos szepcze te słowa czy mój?

Zwierzę wychodzi z cętkowanej jasności, pomarańczowo-czarne pasy są jak światło i cień, tak że ledwo można go zauważyć. Widzę olbrzymią głowę, miękki pysk, biały i najeżony z długimi, delikatnymi wąsami. Spójrz w żółte, zwężone oczy, pełne straszego, bezmyślnego okrucieństwa. Davidzie, jego kły! Czy ich nie widzisz!

Jest ciekaw jak dziecko, ogląda wielki różowy język, który dotyka gardła i cienkiego złotego łańcucha wokół szyi. Zjada łańcuch? Dobry Boże, Davidzie! Kły.

Dlaczego nie mogę dobrać głosu? Czy w ogóle jestem w lesie mangrowym? Moje ciało wibruje, kiedy walczę, by się ruszyć, stłumione jęki wrywają się zza zapieczętowanych ust, nadwerężają każdy mięsień ciała. Davidzie, strzeż się!

I wtedy widzę, że on klęczy na jednym kolanie, z długą, świeżącą strzelbą opartą na ramieniu. A olbrzymi kot jest nadal daleko, dopiero zbliża się do niego. Pędzi i pędzi, dopóki huk strzelby nie powstrzyma go w biegu. Potem jeszcze jeden wystrzał, żółte oczy wypełnia furia, skrzyżowane łapy prężą się na miękkiej ziemi, pobudzone ostatnim oddechem.

Budzę się.

Co ten sen oznacza? Czy mój śmiertelny przyjaciel jest w niebezpieczeństwie? Czy też po prostu jego zegar biologiczny odmierza ostatnie sekundy? Do człowieka mającego siedemdziesiąt cztery lata śmierć może przybyć w każdym momencie.

Czy kiedykolwiek myślę o Talbocie, nie dumając o końcu życia?

Davidzie, gdzie jesteś?

„Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy. Czuję tutaj zapach krwi”.

— Chcę, abyś poprosił o Mroczny Dar — powiedziałem, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. — Mogę ci go nie dać, ale chcę, byś poprosił.

Nigdy tego nie zrobił. Nigdy nie robi. I pokochałem go. Widziałem się z nim, zaraz po owym śnie. Musiałem. Nie mogę zapomnieć tego koszmaru. Niewykluczone, że nawiedzał mnie częściej, gdy pogrążałem się w głębokim śnie dziennych godzin, kiedy jestem zimny jak kamień i bezradny pod całkiem rzeczywistą pokrywą ciemności.

Dobrze, macie już sny.

Wyobraźcie sobie raz jeszcze, jeśli możecie, okrywający ściany zamku śnieg i małego chłopca śpiącego na łożu z siana, z myśliwskimi psami u boku. To stało się symbolem utraconego ludzkiego życia w większym stopniu niż wspomnienie teatru na paryskim bulwarze, gdzie przed Rewolucją byłem tak szczęśliwy jako młody aktor.

Teraz jesteśmy naprawdę gotowi rozpocząć. Przewróćmy zatem stronę, dobrze?

ROZDZIAŁ 1

Miami, miasto wampirów. South Beach po zachodzie słońca, w zmysłowym cieple zimy, nie będącej zimą, czysta, kwitnąca, skąpiana w elektrycznym świetle, delikatna bryza od strony spokojnego morza owiewa pas kremowego piachu i chłodzi gładkie, szerokie chodniki pełne szczęśliwych, śmiertelnych dzieci.

Rozkoszna parada modnych młodzieńców demonstrujących z wzruszającą wulgarnością wykształcone muskuły, młodych kobiet dumnych z opływowych i pozornie pozbawionych seksu nóg, pośród przyciszzonego szmeru ulicznego ruchu i ludzkich głosów.

Stare, pokryte stiukiem kamienice, kiedyś niezłe schronienie dla starszych ludzi, teraz odrodzone w eleganckich pastelowych kolorach, chlubiące się szykownymi neonami. Duże, lśniące amerykańskie samochody powoli torujące sobie drogę wzdłuż alei, podczas gdy kierowcy oraz pasażerowie oglądają oszałamiającą ludzką paradę, a leniwi piesi tu i tam tamują ruch.

Na dalekim horyzoncie olbrzymie białe chmury tkwią niczym góry pod bezkresnym, wypełnionym gwiazdami sklepieniem. Ten obraz zawsze zapierał mi dech w piersiach — niebo południowej półkuli wypełnione granatowym światłem i sennym, nigdy nie ustającym ruchem.

Na północy wznoszą się w całym splendorze wieżowce nowego Miami Beach. Na południu i zachodzie oślepiające, stalowe śródmiejskie drapacze chmur, poprzegradzane ryczącymi ulicami i zatłoczonymi dokami. Małe jachty przepływały wzdłuż iskrzących się wód miriady miejskich kanałów.

W nieskalanej ciszy ogrodów Coral Gables niezliczone lampy oświetlają luksusowe, obszerne wille z czerwoną dachówką i basenami migoczącymi turkusowym blaskiem. Duchy spacerują po okazałych, zaciemnionych pokojach Baltimore. Masywne drzewa mangrowe wyrzucają prymitywne konary, by osłaniać szerokie i pieczołowicie pielęgnowane ulice.

W Coconut Grove zagraniczni klienci tłoczą się w luksusowych hotelach i eleganckich centrach handlowych. Zakochane pary obejmują się na balkonach zawieszonych wysoko na szklanych ścianach bloków, pojedyncze sylwetki podziwiają spokojne wody zatoki. Samochody pędzą zatłoczonymi ulicami, mijając wiecznie roztańczone palmy i delikatne drzewa deszczowe ukryte za wymyślnymi żelaznymi bramami, zwaliste betonowe rezydencje spowite czerwonym i fioletowym bluszczem.

Takie jest Miami, miasto wody, prędkości, tropikalnych kwiatów, miasto

nieskończonego nieba. To dla Miami, częściej niż dla jakiegokolwiek innego miejsca, zostawiam czasami dom w Nowym Orleanie. Mężczyźni oraz kobiety wielu narodowości i ras żyją na gęsto zamieszkanym obrzeżu miasta. Można tu usłyszeć jidisz, hebrajski, języki Hiszpanii, Haiti, różne dialekty i akcenty Ameryki Łacińskiej, z dalekiego południa i północy. Pod lśniąca powierzchnią Miami czai się zagrożenie, desperacja, pulsująca chciwość i *żądza*; jest tam też wyraźny, miarowy rytm życia metropolii — rozdzierająca energia, nieskończone ryzyko.

W Miami nigdy nie jest naprawdę ciemno. Nigdy tak do końca cicho.

To wymarzone miasto dla wampira; nigdy nie odmawia mi wydania mordercy — jakiegoś psychicznie zwichniętego, złowieszczonego typu, którego umysł opowie o tuzinie dokonanych zabójstw, podczas gdy będę wypijał z krwią pokłady jego pamięci.

Jednak dzisiaj to była wielka Gra w Polowanie, posezonowa Wielkanoc po długim okresie Wielkiego Postu i przymierania głodem — pościg za jednym z tych wspaniałych ludzkich trofeów, których makabryczny *modus operandi* zapisany jest na tysiącach komputerowych stron w agencjach zajmujących się przestrzeganiem prawa; za istotą, jaka z anonimowości przeistoczyła się dzięki wyznającej kult sensacji prasie w „Dusiciela z Zaułków”.

Pożądaj tego typu morderców!

Co za szczęście, że tak sławna osobistość wypłynęła na powierzchnię w moim ulubionym mieście. Co za szczęście, że zaatakował już sześć razy na ulicach Miami — rzeźnik starych i niedołączonych, którzy w takiej liczbie zjawili się tu, by przeżyć ostatnie chwile w ciepłym klimacie. Przemierzyłbym kontynent, aby go dopaść, a on jest tutaj, czeka na mnie. Do jego potwornej historii, szczegółowo opisanej przez co najmniej dwudziestu kryminologów, a łatwo przechwyconej przeze mnie na komputerze, w mojej kryjówce w Nowym Orleanie, skrycie dodałem dwa podstawowe fakty — nazwisko i miejsce zamieszkania. Prosta sztuczka boga ciemności, który umie czytać w ludzkich myślach. Znalazłem go dzięki przesiąkniętym krwią snom. I dzisiaj będę miał przyjemność zakończyć jego głośną karierę okrutnym, mrocznym uściskiem, bez iskiejki śmiertelnej iluminacji.

Ach, Miami. Wymarzone miejsce dla małej Gry Namiętności.

Zawsze wracam do Miami, podobnie jak do Nowego Orleanu. I jestem jedynym nieśmiertelnym, który teraz poluje w sławnym zakątku Savage Garden, bo jak wiecie, inni dawno opuścili tutejszą siedzibę niezdolni dłużej znosić nawzajem swojego towarzystwa.

Tym lepiej. Miałem Miami tylko dla siebie.

Stałem przed frontowymi oknami apartamentu, który wynajmowałem w

ekskluzywnym Park Central Hotel na Ocean Drive, od czasu do czasu pozwalając sobie skorzystać z nadprzyrodzonych zdolności, przesłuchiwałem sąsiadujące pomieszczenia, gdzie bogaci turyści cieszyli się samotnością pierwszej jakości — całkowitą prywatnością kilka kroków od hałaśliwej ulicy. Moje tymczasowe Pola Elizejskie, moja Via Veneto.

Dusiciel był prawie gotów wyruszyć z królestwa spazmatycznych, przerywanych wizji do krainy prawdziwej śmierci. Ach, czas się ubrać dla człowieka moich snów.

Wygrzebując stroje ze zwykłego bałaganu dopiero co otwartych tekturowych pudełek i walizek, wybrałem stary, ulubiony garnitur z szarego aksamitu z delikatnym połyskiem. Muszę przyznać, że gruby materiał nie był zbyt odpowiedni na ciepłe noce, ale wtedy nie odczuwałem zimna ani upału jak ludzie. Płaszcz miałem cienki, kusy niczym żakiet, pasowany w talii, z wąskimi klapami i zwężonymi w nadgarstkach rękawami wyglądał jak surdut z zamierzchłych czasów. My, nieśmiertelni, lubimy staroświeckie stroje, przypominające nam o epoce, w której Narodziliśmy się dla Ciemności. Czasem można odgadnąć prawdziwy wiek wampira, po prostu patrząc na krój jego ubrań.

Jeśli chodzi o mnie, to należało jeszcze wziąć pod uwagę materiał odzienia. Wiek osiemnasty był taki błyszczący! Nie mogę się obejść bez odrobiny połysku. A ten płaszcz pasował doskonale do jasnych, obcisłych, aksamitnych spodni. Jedwabną koszulę cechowała taka delikatność tkaniny, że można ją było zmieścić w jednej dłoni. Dlaczego miałbym nosić coś innego na mojej niezniszczalnej i wyjątkowo wrażliwej skórze? Potem buty. Wyglądały jak wszystkie moje ostatnie pary. Podeszwy były nieskazitelnie czyste, gdyż rzadko dotykały matki ziemi.

Rozpuściłem włosy, nadając im naturalny kształt grubej grzywy żółtych, długich do ramion fal. Jak wyglądałem w oczach śmiertelników? Naprawdę nie wiem. Jak zawsze zakryłem ciemnymi okularami błękitne oczy, żeby ich jasność przypadkowo nikogo nie zahipnotyzowała; prawdziwe utrapienie; a na moje delikatne ręce, z gotowymi mnie zdradzić szklistymi paznokciami, włożyłem parę cienkich skórzanych rękawiczek.

Ach, jeszcze trochę brązowego olejku dla kamuflażu skóry. Rozprowadziłem płyn po twarzy, trochę po szyi i nagiej piersi.

Sprawdziłem w lustrze ostateczny efekt. Nadal miałem porywający wygląd. Nic dziwnego, że odniosłem taki sukces w krótkiej karierze gwiazdy rocka. I zawsze cieszyłem się dużym powodzeniem jako wampir. Dzięki Bogu, nie stałem się niewidzialny podczas beztroskich wędrówek, włóczęga unoszący się ponad chmurami, lekki jak piasek na wietrze. Zebrało mi się na płacz, gdy o tym pomyślałem.

Wielka Gra w Polowanie zawsze przywoływała mnie do rzeczywistości. *Znaleźć go,*

wyśledzić, dopaść w momencie, gdy będzie chciał uśmiercić następną osobę. Pić krew powoli, zadając ból, świętując jego niegodziwość, spoglądać przez brudne soczewki podłej duszy na wcześniejsze ofiary.

Proszę, zrozumcie, nie ma w tym żadnej szlachetności. Nie wierzę, że ratując z rąk oprawcy jedną biedną istotę, mogę w jakikolwiek sposób ocalić swoją duszę. Zabierałem życie zbyt często... chyba że siła dobrego uczynku ma nieskończoną moc. Nie wiem, czy wierzę w to, czy nie. Wyznaję zasadę: Zło jednego morderstwa jest bezgraniczne, a moja wina jest jak moja uroda — wieczna. Nie mogę uzyskać przebaczenia, bo nie ma nikogo, kto mógłby mi darować wszystko, co zrobiłem.

Mimo to lubię ratować niewinnych ludzi wyrывая ich ze szponów przeznaczenia. Uwielbiam zabierać morderców, ponieważ są moimi braćmi, należymy do siebie. Dlaczego nie mieliby umrzeć w ramionach wampira zamiast jakiegoś biednego śmiertelnika, który nigdy nikogo celowo nie skrzywdził? Takie są zasady mojej gry. Przestrzegam ich, bo sam je ustanowiłem. Przysiągłem sobie, że tym razem nie porzucę gdzieś ciała; będę się starał zrobić to, co inni zawsze mi nakazywali. Chociaż z drugiej strony... Lubię zostawić władzom padlinę. Po powrocie do Nowego Orleanu będę miał ochotę uruchomić komputer i przeczytać raport przeznaczony do kronik kryminalnych.

Nagle moją uwagę rozproszył odgłos wozu policyjnego przejeżdżającego powoli pod oknami. Człowiek w środku mówił o moim mordercy, o tym, że niedługo znów uderzy, bowiem jego gwiazdy znajdują się w odpowiednim położeniu, księżyc na właściwej wysokości. Morderstwo wydarzy się na pewno w bocznych uliczkach South Beach, tak jak to wcześniej miało miejsce. Ale kim jest zabójcą? Kto może go powstrzymać?

Siódma — powiedziały mi małe zielone cyferki zegarka, chociaż oczywiście już wcześniej o tym wiedziałem. Zamknąłem oczy, pozwalając głowie opaść na jedną stronę, by zebrać w sobie całą moc, której tak nienawidziłem. Najpierw przyszła zwielokrotniona zdolność słyszenia, tak jakbym włączył nowoczesne urządzenie nasłuchowe. Ciche pomruki świata stały się chórem piekieł — pełnym ostrych śmiechów i lamentów, kłamstw i goryczy, czasem próśb. Zatkąłem uszy, choć nie mogło to niczego zmienić, a potem w końcu wyłączyłem słyszenie.

Stopniowo widziałem rozmazane, zachodzące na siebie obrazy ludzkich myśli, podnoszące się jak miliony trzepoczących na firmamencie ptaków. *Daj mi mojego mordercę, daj mi jego wizję!*

Był tam, w małym, obskurnym pokoiku, zupełnie innym niż ten, chociaż tylko dwie przecznice dalej. Właśnie wstawał z łóżka. Tanie ubranie było pomięte, pot pokrywał

ordynarne oblicze. Gruba, drżąca nerwowo ręka sięgała po papierosa do kieszeni koszuli, potem zapominała o tym. Mężczyzna był zwalistym typem o bezkształtnej twarzy i spojrzeniu pełnym niesprecyzowanej obawy albo bardzo głęboko ukrytego żalu.

Nie pomyślał o tym, by wystroić się na wieczór, przygotowywać do Świąta, na które tak długo czekał. Teraz jego wąty umysł przytłaczał ciężar okropnych, pulsujących snów. Otrząsnął się, rozczochrane tłuste włosy opadły na czoło i oczy jak kawałki czarnego szkła.

Stojąc wciąż w cieniu mojego pokoju, tropiłem go dalej; przemierzałem klatkę schodową, wychodziłem na zewnątrz na jaskrawe światło Collins Avenue, mijałem zakurzone okna sklepu, przekrzywione reklamy, szedłem naprzód ku jego jeszcze nie wybranemu obiektowi pożądania.

Kim jest ta szczęśliwa kobieta, nieubłaganie brnąca ku swej makabrycznej zagładzie, która nastąpi pośród smętnych przechodniów wczesnego wieczoru w tej samej części miasta? Czy niesie karton mleka i główkę sałaty w brązowej papierowej torebce? Czy zacznie uciekać na widok bandyty stojącego na rogu ulicy? Czy tęskni za starym wybrzeżem, gdzie mieszkała, może zadowolona z życia, zanim architekci i dekoratorzy nie przegnali jej do rozpadających się, obłazących z tynku bloków gdzieś dalej?

Co pomyśli ten plugawy anioł śmierci, kiedy ją w końcu zobaczy? Czy właśnie ona przypomni mu mityczną jędzę z dzieciństwa, która biła go bezmyślnie tylko dlatego, żeby zostać podniesioną do rangi jednego z koszmarów na panteonie jego podświadomości?

Są tacy mordercy, którzy nie łączą w żaden sposób symboli z rzeczywistością, niczego nie pamiętają dłużej niż przez kilka dni. Na pewno jednak ich ofiary nie zasługują na to. Oni sami zaś zasługują na spotkanie ze mną.

Ach, tak, wyrwę mu przepełnione złem serce, zanim będzie miał szansę „załatwić” ją; odda mi wszystko, co ma i wszystko, czym jest.

Szedłem wolno po schodach w dół przez elegancki, błyszczący charakterystycznym dla kolorowych magazynów splendorem *art deco* hol. Jak dobrze było ruszać się jak śmiertelnik, otwierać drzwi, wychodzić na świeże powietrze. Skierowałem się na północ wzdłuż chodnika, po którym przechadzali się wieczorni spacerowicze.

Moje oczy naturalnie dryfowały po świeżo odnowionych fasadach hoteli i kawiarni.

Tłum zgęstniał, kiedy doszedłem do rogu. Przed śmieszoną restauracją na otwartym powietrzu olbrzymie kamery telewizyjne skierowały obiektywy na jasno oświetlony przez białe światła kawałek chodnika. Ciężarówki blokowały ruch; samochody powoli się zatrzymywały. Zebrał się luźny tłum średnio zafascynowanych ludzi w różnym wieku. Kamery telewizyjne czy filmowe nie były niczym nowym w okolicach South Beach.

Obszedłem bokiem światła, bojąc się efektu, jaki mogły wywołać na mojej odbijającej wszystko twarzy. Nie wyróżniałem się niczym szczególnym pośród opalonych na brązowo, pachnących drogim kremem, półnagich, odzianych w kuse szmatki przechodniów. Utorowałem sobie drogę do rogu. Znów poszukałem zdobyczy. Biegł, jego umysł wypełniały halucynacje, ledwie panował nad niezdarnymi, powłóczącymi nogami.

Nie było czasu do stracenia.

Z nagłym przyspieszeniem wzniosłem się na wysokość niższych dachów. Powiew wiatru był silniejszy, słodszy. Złagodziłem szmer podnieconych głosów, dźwięki monotonnych piosenek w radiu, świst bryzy.

W ciszy odnalazłem obraz mordercy w obojętnych oczach tych, którzy go mijali. Raz jeszcze zobaczyłem jego marzenia o zmiażdżonych dłoniach i stopach, rozoranych policzkach i nagiej klatce piersiowej. Pękała cienka membrana oddzielająca fantazję od rzeczywistości.

Spląnąłem na chodnik Collins Avenue tak lekko, że nikt tego nie zauważył. Byłem jak drzewo w nie zamieszkanym lesie.

Kilka minut później szedłem spokojnie kilka kroków za nim, młody, być może groźny mężczyzna, torujący sobie drogę przez gromadę twardzieli blokujących mu przejście, pokonujący w pośpiechu szklane drzwi gigantycznego, klimatyzowanego supermarketu. Ach, jaki ubaw dla oka — te nisko sklepione jaskinie, przeładowane wszelkiego rodzaju niewyobrażalnymi, zapakowanymi, zakonserwowanymi gatunkami żywności, artykułów papierniczych, kosmetyków do włosów, z których dziewięćdziesiąt procent nie istniało pod żadną postacią, w wieku kiedy przyszedłem na świat.

Mowa tu o chusteczkach higienicznych, leczniczych kroplach do oczu, plastikowych grzebieniach do włosów, cienkopisach, kremach i maściach do każdej dającej się nazwać części ludzkiego ciała, środków do mycia naczyń we wszystkich barwach tęczy, płynach do płukania bielizny w kolorach dopiero co wymyślonych, lecz jeszcze nie nazwanych. Wyobrażacie sobie Ludwika XVI otwierającego szeleszczący plastikowy worek z takimi cudami? Co by pomyślał o poliestrowych kubkach do kawy, ciasteczkach czekoladowych owiniętych w celofan albo piórach, w których nigdy nie kończy się atrament?

Cóż, sam jeszcze nie w pełni się oswoiłem ze wszystkimi tymi przedmiotami, pomimo że przez dwa wieki na własne oczy widziałem, jak dokonuje się postęp techniczny podczas rewolucji przemysłowej. Takie supermarkety mogą wprawiać mnie w stan oczarowania na całe godziny. Czasem staję urzeczony w samym środku Wal--Martu.

Lecz tym razem miałem zdobycz na widoku, czyż nie? Pora na *Time*, *Yogue*, kieszonkowe słowniczki komputerowe oraz zegarki, które pokazują czas nawet na dni

oceanu, przyjdzie później.

Dlaczego wybrał sobie właśnie to miejsce? Kubańskie rodziny z dziećmi w zawiniątkach nie były w jego guście. Chodzi bez celu wśród zatłoczonych stoisk. Zdaje się nie zauważać setek hiszpańskich rodzin wokół siebie, wodząc zaczerwienionymi oczami po zawalonych towarem półkach. Nikt nie zwraca na niego uwagi oprócz mnie.

Boże, jaki on plugawy — cała przyzwoitość zginęła w ogarniającej go manii, dziobatej twarzy i karku pokrytym brudem. Czy będzie mi się podobało? Do licha, ostatecznie to worek z krwią. Dlaczego kusić los? Nie powinienem już więcej zabijać małych dzieci, prawda? Ani ucztować na nadbrzeżnych ladacznicach, tłumacząc sobie, że wszystko jest w porządku, bo one zaraziły swój limit rybaków. Moje sumienie zabija mnie, czyż nie? A kiedy jest się nieśmiertelnym, to może być naprawdę długa i przykra śmierć. Taak, spójrzcie na niego, niechlujny, śmierdzący, idący ociężale morderca. Faceci w więzieniu mają lepsze żarcie niż on.

Nagle uderzyło mnie coś, kiedy prześwieciłem jego myśli raz jeszcze, tak jakbym rozciął kantalupę. On nie wie, kim jest! Nigdy nie czytał poświęconych mu prasowych nagłówków! W rzeczywistości nie umie pozbierać do kupy fragmentów swojego życia, nie mógłby przyznać się do morderstw, które popełnił, ponieważ naprawdę o nich zapomniał i jeszcze nie zdaje sobie sprawy, że dzisiaj zabije! Nie wie tego, co ja wiem!

Smutek i rozpacz, wyciągnąłem najgorszą z kart, nie ma co do tego wątpliwości. O Boże! O czym ja myślałem, kiedy zdecydowałem się zapolować na niego, podczas gdy ten wypełniony jaśniejącymi gwiazdami świat pełen jest gorszych, bardziej przebiegłych potworów? Chciało mi się płakać.

Wtedy nadeszła ta prowokująca chwila. Zobaczył starszą kobietę, nagie, pomarszczone ramiona, mały garb na plecach, trzęsące się pod pastelowymi spodniami uda. Szła powoli przez oślepiające, fluorescencyjne światło, ciesząc się brzękiem pulsującego wokół niej życia. Jej twarz była do połowy osłonięta przez plastikowy daszek, włosy miała spięte z tyłu głowy czarnymi spinkami.

W małym koszyku niosła litr soku pomarańczowego oraz parę kapci tak miękkich, że dały się zwinąć w rulonik. Teraz sięgnęła na półkę i z widoczną radością dodała do tego książkę, którą wcześniej czytała. Pieściła ją czule, marząc o tym, by zagłębić się w lekturę raz jeszcze, co byłoby niczym spotkanie ze starymi znajomymi. *Drzewo rośnie na Brooklynie*. Tak, ja też lubiłem tę powieść.

Rzucił się za nią jak w transie. Podążał tak blisko, że z pewnością poczuła jego oddech na karku. Przytępionym, głupim wzrokiem patrzył, jak starszka, wyciągając zza pazuchy

kilka pomiętych dolarów, powoli zmierza w stronę kasy.

Opuścili sklep, on posuwał się ciężko, mechanicznie niczym pies goniący za suką mającą cieczkę, ona szła powoli, omijając niezdarnie z daleka bandy hałaśliwych, bezczelnych, grasujących tu wyrostków. Czy mówiła sama do siebie? Tak mi się wydawało. Nie czytałem myśli tego małego stworzenia idącego coraz szybciej i szybciej. Penetrowałem umysł pędzącej za staruszką bestii, która nie była w stanie postrzegać się jako sumy składających się na nią części.

Blade, niewyraźne obrazy twarzy przemknęły przez jego głowę, podczas gdy włókł się za ofiarą. Pragnął spocząć na wierzchu tego wiotkiego ciała; położyć dłoń na okolonych zmarszczkami ustach.

Kiedy staruszka dotarła do strzeżonego przez niskie palmy, małego, opuszczonego, zbudowanego z rozsypującej się kredy budynku, który dokładnie pasował do reszty podniszczonej dzielnicy, dusiciel nagle zaczął zwalniać. Zakołysał się na stopach,

w milczeniu obserwując, jak kobieta przechodzi przez wyłożone cienką płytą chodnikową podwórko, wspina na górę po zakurzonych, zielonych, cementowych schodach. Zauważył numer namalowany na drzwiach, kiedy je otwierała, i przyległszy potem mocno do ściany, zaczął snuć marzenia o zamordowaniu jej w niczym się nie wyróżniającej, pustej sypialni, która była jedynie plamą kolorów i światła.

Ach, spójrzcie na niego, jak opiera się o ścianę, jakby był przebity nożem. Głowę niedbale zwiesił na jedną stronę. Niemożliwe, by ktokolwiek się nim zainteresował. Dlaczego nie miałbym zabić go teraz?

Jednak mijała chwila za chwilą, a jaskrawy zmierzch ustępował miejsca nocy. Gwiazdy rozbłysły mocniej. Powiew wiatru przyszedł i odszedł.

Czekaliśmy.

Dzięki jej oczom widziałem salon tak, jakbym naprawdę mógł przeświecić ściany i podłogi. Pokój był czysty, chociaż chaotycznie wypełniony nic dla niej nie znaczącymi, starymi, pokrytymi brzydkim fornirem meblami o zaokrąglonych kształtach. Jednak wszystko wypolerowane zostało specyfikiem, którego zapach tak lubiła. Światło neonu przechodziło przez pluszowe zasłony. Było mętne i smutne jak widok podwórka poniżej. Ponurą scenerię rozweselało dodające otuchy światło małych, ustawionych w przemyślanym miejscu lamp. To miało dla niej znaczenie.

Siedziała w bujanym klonowym fotelu z okropnym pledowym obiciem, niewielka, dostojna postać. Trzymała otwartą książkę w ręku. Co za szczęście, móc obcować raz jeszcze z Francie Nolan. Szczupłe kolana były ledwie przykryte kolorową bawełnianą podomką

wyjętą z szafy. Miała na sobie małe niebieskie kapcie, które wyglądały jak skarpetki na drobnych, zniekształconych stopach. Ze swoich szarych włosów zrobiła jeden gruby, wdzięczny warkocz.

Jakaś nie żyjąca już gwiazda filmowa niemo kłóciła się na czarno-białym ekranie małego telewizora. Joan Fontaine myśli, że Cary Grant usiłuje ją zabić. Sądząc z wyrazu jego twarzy, tak to mogło wyglądać. Zastanawiałem się, jak w ogóle ktoś mógł ufać Cary Grantowi, człowiekowi, który wydawał się w całości zrobiony z drewna?

Nie musiała patrzeć na napisy między scenami; widziała ten film dokładnie trzynastcie razy. Książkę, którą trzymała w dłoni, czytała zaledwie dwukrotnie, dlatego ze szczególną przyjemnością przejrzy ponownie znajome rozdziały, zagłębi się w treść tego, czego nie zna jeszcze na pamięć.

Z ocienionego ogrodu poniżej spostrzegłem jej klarowną, akceptującą siebie koncepcję własnej osoby, dalekiej od zbędnych dramatów i odcinającej się od urzędzonego w złym guście wnętrza. Kilka liczących się dla niej skarbów zmieściłoby się w każdym pokoiku. Książka i telewizor stanowiły najważniejsze rzeczy ze wszystkiego, co posiadała; w pełni uświadamiała sobie ich duchowość.

Mój wędrowny morderca był bliski paraliżu, jego umysł wypełniała burza bardzo osobistych przeżyć, w żaden sposób nie poddających się interpretacji.

Prześlizgnąłem się po ozdobionej stiukiem niewielkiej klatce, znajdując schody prowadzące do kuchennych drzwi. Zamek, na mój rozkaz, poddał się łatwo. Drzwi stanęły otworem, tak jakbym popchnął je z całym siłą, a jednak nawet ich nie dotknąłem.

Bezgłośnie zakradłem się do małego, wyłożonego linoleum pokoju. Zapach dochodzący od strony niewielkiego białego piecyka przyprawiał mnie o mdłości. Odór mydła w klejącej się ceramicznej mydelniczce był również nie do zniesienia. Jednak widok pokoju wrzucił mnie do głębi. Ujrzałem piękną, wypieszczoną, niebiesko--białą chińską porcelanę, starannie poukładaną, z talerzami postawionymi pionowo. Spójrzcie na książki kucharskie z oślimi uszami. Jaki nieskazitelnie czysty jest stół ze świecącą się żółtą ceratą i woskowym zielonym bluszczem rosnącym w okrągłym pucharze czystej wody, rzucającej pojedynczy drżący cień na niski sufit.

Końcami palców zamknąwszy drzwi, stałem sztywno myśląc o tym, że kobieta, właśnie czytająca powieść Betty Smith i od czasu do czasu spoglądając na migoczący ekran, w ogóle nie przeczuwa śmierci. Nie miała żadnej wewnętrznej anteny, żeby móc wykryć obecność stojącej na ulicy pod domem, ogarniętej szaleństwem zjawy albo zaczajonego w kuchni potwora.

Morderca był tak pochłonięty halucynacjami, że nie zauważał mijających go ludzi. Nie widział krążącego samochodu policyjnego ani podejrzliwych, wyjątkowo groźnych, umundurowanych śmiertelników, którzy już go rozszyfrowali. Wiedzieli, że uderzy dziś w nocy, tylko nie wiedzieli, kim jest.

Cienka strużka śliny spłynęła po jego nie ogolonym policzku. Nic nie było dla niego realne — ani życie dzień po dniu, ani strach o to, że zostanie zdemaskowany — jedynie ten elektryczny wstrząs, który wysyłała niezdarnym rękom, nogom i piersiom chora wyobraźnia. Lewa dłoń zadrżała gwałtownie. Skurcz ściągnął lewą połowę twarzy.

Nienawidziłem tego faceta. Nie chciałem pić jego krwi. Nie był mordercą z klasą. Pragnąłem krwi tej kobiety.

Tkwiła skupiona w swojej samotności i ciszy. Jaka mała, jaka zadowolona. Kiedy czytała rozdziały książki, którą tak dobrze знаła, jej koncentracja stawała się doskonałą niczym wiązka światła. Przeniosła się pamięcią w przeszłość, do dni gdy po raz pierwszy wertowała powieść, do budki z wodą sodową na Lexington Avenue w Nowym Jorku, do czasów gdy była ładnie ubraną młodą sekretarką w czerwonej wełnianej spódnicy i białej pomarszczonej, ozdobionej perłowymi guzikami przy mankietach koszuli. Pracowała w wyjątkowo imponującym, wysokim biurowcu ze zdobionymi mosiężnymi drzwiami windy, holem wyłożonym ciemnożółtymi płytami z marmuru.

Chciałem przyłożyć usta do jej wspomnień, do zapamiętanego odgłosu uderzających o marmurową posadzkę butów na wysokim obcasie, do widoku gładkich łydek pod jedwabnymi pończochami, które wkładała tak delikatnie, by nie podrzeć ich swoimi pomalowanymi paznokciami. Przez chwilę widziałem rude włosy i ekstrawagancki, potencjalnie szkaradny, a jednak czarujący kapelusz z żółtym rondem.

Ta krew była warta zachodu. Ja zaś odczuwałem głód tak silny jak rzadko kiedy w ciągu całego życia. Posezonowy post to było więcej, niż mogłem znieść. O Boże, jakże chciałem ją zabić!

Z dołu, z ulicy dobiegł mnie słaby bulgoczący odgłos, jaki wydawały wargi głupiego, niezdarnego mordercy. Chrapliwe brzmienie utorowało sobie drogę wśród głośnego potoku innych dźwięków, jakie wychwytywały moje wampirze uszy.

Bestia oderwała się wreszcie od ściany i chwiejąc się przez chwilę, tak jakby miała zaraz runąć na ziemię, ruszyła w naszym kierunku przez małe podwórko, schodami w górę.

Czy pozwolę mu ją przestraszyć? To było bez sensu. Miałem go przecież w zasięgu ręki. Jednak pozwoliłem temu odrażającemu typowi wetknąć metalowe narzędzie do okrągłej dziurki od klucza, dałem czas na wyważenie zamka. Metalowy łańcuch oderwał się od

spróchniałego drewna.

Wszedł do pokoju i wzrokiem pozbawionym wyrazu patrzył na kobietę. Była przerażona, trzęsła się w fotelu, książka wypadła jej z ręki.

Ach, ale wtedy zobaczył mnie stojącego w drzwiach kuchennych — mrocznego młodego człowieka w szarym aksamitnym garniturze, z okularami wsuniętymi na czoło. Patrzyłem na niego w ten sam, nie okazujący zdziwienia sposób. Czy widział opalizujące oczy, skórę jak wypolerowana kość słoniowa, włosy niczym bezdźwięczny wybuch światła? Czy byłem jedynie przeszkodą stojącą między nim a jego ofiarą, całe zaś piękno zginęło?

Po chwili rzucił się do ucieczki. Zbiegał już po schodach, kiedy starsza pani wrzasnęła, zrywając się, by zatrzaskać drewniane drzwi.

Byłem za nim, nie zwracałem uwagi na to, czy dotykam ziemi czy nie. Pozwalałem mu dostrzec moją unoszącą się ponad ulicznymi latarniami postać. Przemierzyliśmy kawałek drogi, zanim podpłynąłem do niego. Dla innych stanowiłem tylko niewyraźną plamę, niegodną ich uwagi. Potem zastygłem za nim, usłyszałem jęczenie, kiedy zaczął biec.

Graliśmy tak przez chwilę. Biegł, zatrzymywał się, dostrzegał mnie za sobą. Pot spływał po jego ciele i wkrótce przesączył cienkie, syntetyczne włókna materiału. Koszula przylegała do gładkiej, nieowłosionej piersi.

Wreszcie dopadł do swojego zniszczonego, taniego hotelu, ciężko powlókł się po schodach na górę do wynajmowanego pokoju, do którego dotarłem przed swą ofiarą. Zanim zdążył krzyknąć, miałem go w ramionach. Poczułem zmieszany z kwaśnym odorem sztucznych włókien koszuli smród brudnych włosów. Nie miało to teraz znaczenia. Leżał w moich ramionach jak silny, ciepły, soczysty kapłon. Zapach krwi zalewał mój mózg. Słyszałem, jak bije jego komora sercowa, pulsują tętnice, boleśnie skurczone naczynia krwionośne. Spijałem krew z delikatnego, zaróżowionego ciała pod oczami.

Serce pracowało ciężko, nieomal pękało... ostrożnie, ostrożnie, żeby go nie zniszczyć. Wbiłem zęby w mokrą skórę karku. Hmmm. Mój brat, mój biedny zamroczony brat. Jednak to było smaczne, bardzo dobre.

Fontanna trysnęła pełnym strumieniem; jego życie było jak kanał ściekowy. Wszystkie te staruszki, mężczyźni w podeszłym wieku. Trupy płynęły potokiem, uderzając jedno o drugie, podczas gdy on stawał się coraz bardziej miękki w moich ramionach. Żadnego sportu. Ani odrobiny wysiłku. Żadnego sprytu. Żadnej złej woli. Okrutny jak jaszczurka połykająca muchę za muchą. Dobry Boże, wiedzieć takie rzeczy, to jak znać czasy, w których olbrzymie gady panowały na ziemi, przez miliony lat tylko one, swoimi żółtymi oczami oglądały padający deszcz, wschodzące słońce.

Mniejsza z tym. Pozwoliłem mu cicho wypaść z mojego uścisku. Płynąłem z jego krwią ssaka. Niezła. Zamknąłem oczy, pozwalając ciepłu rozejść się po moich jelitach, czy czymkolwiek, co miałem wewnątrz białego, silnego ciała. W tym oszołomieniu zobaczyłem, jak morderca, potykając się, brnie przez podłogę. Żałośnie niezdarny. Tak łatwo było podnieść go z kupy rozrzuconych, pozwijanych gazet, przewróconego o kubek z kawą wylewającą się teraz na dywan w kolorze kurzu.

Podniosłem ledwo żywego mężczyznę za kołnierz. Puste oczy wywróciły się pokazując białka. Potem kopnął lekko na oślep, ten brutal, zabójca słabych i starych, butem drapiąc mnie w łydkę. Podniosłem drgające ciało do moich zgłodniałych ust raz jeszcze, przesuując palcami po włosach. Ofiara stawiała się coraz bardziej sztywna, jakby moje kły były zatrute.

Krew znowu napłynęła mi do mózgu. Poczułem, jak elektryzuje żyłki twarzy, jak pulsując, dochodzi do paznokci, a gorące, kłujące ciepło spływa wzdłuż kręgosłupa. Wypełniałem się z każdym łykiem. Ciężkie, soczyste stworzenie. Potem znowu go wypuściłem, a kiedy tym razem oddalał się, wlokąc powoli, poszedłem za nim. Ciągnąc mężczyznę po podłodze, odwróciłem jego twarz ku mnie, pozwalając mu przewrócić się na bok, by mógł jeszcze trochę powalczyć.

Mówił czymś, co jeszcze nie tak dawno było językiem. Pchnął mnie, lecz prawie nic już nie widział. Po raz pierwszy ujrzałem na jego beznamiętnej twarzy jakieś natchnienie, pewien wyraz oburzenia. Upiększałem to, wracając myślą do starych opowieści, wspomnień o gipsowych postaciach i bezimiennych świętych. Złapał paznokciami podbicie mojej stopy. Podniosłem go, a kiedy tym razem rozdarłem gardło, rana była nieporównywalnie większa od wcześniejszych. Nastąpił koniec.

Śmierć przyszła niby uderzenie pięścią w brzuch. Przez moment miałem mdłości, a potem czułem tylko ciepło, pełnię, normalne pulsowanie krwi, z tym ostatnim tchnieniem świadomości przenikającej do moich członków.

Opadłem na jego poplamione łóżko. Nie wiem, jak długo tam leżałem.

Patrzyłem przez jakiś czas na niski sufit. Potem doszedł mnie smród brudnego ciała mężczyzny oraz kwaśne, zbutwiałe zapachy pokoju. Podniosłem się i wytoczyłem na zewnątrz. W całej swej niezgrabności pozwolił mi zachować ludzkie ruchy, w gniewie i nienawiści, w ciszy, ponieważ nie chciałem być lekkim jak piórko, uskrzydłonym nocnym podróżnym. Pragnąłem pozostać ludzki, czuć jak człowiek. Choć krew mordercy przepelniała mnie całkowicie, to nie wystarczało. Po prostu nie wystarczało!

Gdzie podziały się wszystkie obietnice? Sztywne, targane wiatrem liście palm

uderzały o ściany.

— Ach, wróciłeś — powiedziała.

Miała taki niski, mocny głos, nie było w nim śladu drżenia. Stała przed bujanym fotelem z wytartymi klonowymi oparciami i patrzyła na mnie przez okulary w srebrnej oprawce. Książka zamknęła się w jej dłoniach. Małe i bezkształtne usta, ukazujące częściowo żółte zęby, tworzyły straszny kontrast z ponurym tonem głosu, który nie zna niezdecydowania.

Co, na Boga, myślała, kiedy się do mnie uśmiechała? Dlaczego nie zmawiała pacierzy?

— Wiedziałam, że przyjdiesz — powiedziała. Potem zdjęła okulary i zobaczyłem szkliste oczy.

Co widziała? Czy sprawiałem, że coś widzi? Ja, który mogłem wszystko bez trudu kontrolować, tak się zmieszałem, że byłem bliski płaczu.

— Tak, wiedziałam — powtórzyła.

— Och, a skąd? — wyszeptalem, podchodząc do niej, rozkoszując się obejmującą nas bliskością małego pokoju.

Wyciągnąłem wampirze paznokcie, zbyt białe by mogły uchodzić za ludzkie, tak silne, że mogły oderwać człowiekowi głowę. Dotknąłem jej gardła. Zapach Chantilly — albo innych perfum z drogerii.

— Tak — powiedziała lekko, ale zdecydowanie. — Zawsze wiedziałam.

— Pocałuj mnie więc. Kochaj mnie.

Jakie gorąco biło od jej ciała, jak niewielkie były ramiona tej kobiety. Przypominała wspaniały w tym ostatnim tchnieniu, żółty kwiat, jeszcze pełen zapachu — niebieskie, blade żyły pod cieniutką skórą, powieki dokładnie przylegające do oczu, kiedy je zamykała, skóra otulająca kości czaszki.

— Zabierz mnie do nieba — powiedziała głosem dochodzącym prosto z serca.

— Nie mogę, żałuję, ale nie mogę — szeptałem prosto do ucha. Zamknąłem ją w moich ramionach. Powąchałem miękkie szare włosy. Poczułem na twarzy dotyk kruchych jak wyschnięte liście palców. Przeszedł mnie lekki dreszcz. Ona także drżała. Ach, delikatna, zniszczona istota, stworzenie zredukowane do myśli i woli, w nic nie znaczącej cielesnej powłoce. Tylko „kropelka”, Lestacie, nie więcej.

Było za późno, wiedziałem o tym, kiedy pierwszy strumień krwi uderzył w mój język. Wysuszałem to ciało. Zaalarmowały ją na pewno moje jęki, lecz potem do uszu kobiety nie docierał już żaden odgłos... Ofiary nigdy nie słyszą prawdziwych dźwięków, kiedy to się już

zacznie.

Wybacz mi.

Och, kochanie!

Spłynęliśmy razem na dywan, kochankowie na ścieżce pokrytej przekwitniętymi kwiatami. Widziałem, jak spada książka, rysunek z narzuty, ale to wydawało się nienaturalne. Ostrożnie trzymałem ją w objęciach, żeby się nie potłukła. Lecz w owym momencie byłem tylko przedziurawioną skorupą. Jej śmierć przychodziła łagodnie, tak jakby ona sama szła ku mnie szerokim korytarzem w jakimś szczególnym, wyjątkowo ważnym miejscu. Ach, ta żółta marmurowa posadzka. Nowy Jork. Nawet tutaj można usłyszeć ruch uliczny, te ciche uderzenia zamykanych na korytarzu drzwi.

— Dobranoc, kochanie — wyszeptała.

Czy mi się wydaje? Jak ona jeszcze może mówić? *Kocham cię.*

— Tak mój najdroższy, ja też cię kocham.

Stała w holu. Jej rude, opadające na ramiona, gęste włosy kręciły się pięknie; uśmiechała się, a obcasy wydawały ostry, kuszący stukot na marmurowej posadzce, gdy ruszyła się z miejsca.

Teraz otaczała ją cisza, choć fałdy wełnianej sukienki poruszały się jeszcze; patrzyła dziwnym, przebiegłym wzrokiem; podniosła czarny, płaski pistolet i wycelowała we mnie.

Co ty, do diabła, robisz?

Nie żyje. Wystrzał był taki głośny, że przez chwilę niczego nie słyszałem. Tylko dźwięczenie w uszach. Leżałem na podłodze, wpatrując się ślepo w sufit nade mną, czując zapach prochu na korytarzu w Nowym Jorku.

A przecież znajdowałem się w Miami. Zegarek tykał na stoliku. Z przegrzanego serca telewizora dochodził namiętny, cichy głos Cary Granta mówiącego Joan Fontaine, że ją kocha. I Joan Fontaine była taka szczęśliwa. Wiedziała na pewno, że Cary Grant chciał ją zabić.

Ja też to wiedziałem.

South Beach. Raz jeszcze Neon Strip. Porzuciłem zatłoczone chodniki, zszedłem na piasek i skierowałem się w stronę morza.

Maszerowałem przed siebie, dopóki nie znalazłem się zupełnie sam — w pobliżu nie było ani spacerowiczów, ani kąpiących się plażowiczów. Tylko piasek, z którego wiatr zmiótł już pozostawione po całym dniu ślady stóp, i wielka szarość nocnego oceanu uderzającego nie kończącą się falą o cierpliwy brzeg. Jak wysokie były niebiosa, pełne szybko sunących chmur i odległych, dyskretnych gwiazd.

Cóż ja zrobiłem? Zabiłem ją, jego ofiarę, zdmuchnąłem świeczkę tej jednej, którą miałem ocalić. Wróciłem do niej, położyłem się z nią, wziąłem ją, a ona wystrzeliła niewidzialny strzał zbyt późno.

I pragnienie było we mnie znowu.

Ułożyłem potem bezwładne ciało na małym, schludnym łóżku, pokrytym pikowaną kołdrą, skrzyżowałem ramiona i zamknąłem powieki.

Pomóż mi, dobry Boże. Gdzie są moi bezimienni święci? Gdzie anioły z upierzonymi skrzydłami, by zanieść mnie do piekła? Czy gdy się pojawiają, są ostatnią piękną rzeczą, jaką widzi potępieniec? Czy gdy spada w bezmiar ognia, nadal może śledzić, jak unoszą się ku niebu? Czy istnieje wtedy nadzieja na ujrzanie ostatniego błysku złotych trąb i na rozświetlenie twarzy promieniami padającymi z oblicza Boga?

Co wiem o niebie?

Przez długą chwilę tkwiłem w bezruchu, wpatrując się w odległe nocne masy chmur, a potem znów na mrugające światła nowych hoteli i ulicznych lamp.

Samotny śmiertelnik stał na odległym chodniku i spoglądał w moim kierunku, ale pewnie wcale nie zauważył mojej obecności — byłem tylko maleńką figurką na skraju wielkiego morza. Prawdopodobnie patrzył tylko na ocean tak jak ja. Brzeg mienił się cudownie, a woda mogła obmyć do czysta nasze dusze.

Niegdyś świat był wyłącznie morzem; deszczem, który padał milion lat! Jednak teraz kosmos wypełniają potwory.

Nadal tam stał, samotny, wypatrujący oczy śmiertelnik. I stopniowo uświadamiałem sobie, że jego wzrok przemierzył pustą płaszczyznę plaży i jej gęstej ciemności, aby spocząć na mnie. Tak, patrzył w moją stronę.

Zdławiłem myśl o tym, spoglądając na niego tylko dlatego, że nie zwracałem sobie głowy odwracaniem się. Potem ogarnęło mnie dziwne uczucie —jakiego nie doświadczyłem nigdy wcześniej.

Na początku byłem lekko oszołomiony, potem nastąpiła delikatna drżąca vibracja przechodząca przez tułów, a następnie przez ramiona i nogi. Wydawało mi się, że kończyny stają się coraz bardziej naprężone, wąskie i wsysają do wnętrza każdą otaczającą je substancję. Doprawdy wrażenie to było tak silne, że myślałem, iż wychodzę z siebie. Podziwiałem ten stan. Było w nim coś rozkosznego, szczególnie dla istoty tak twardej, chłodnej i zamkniętej na jakiegokolwiek fizyczne doznania jak ja. Odczucie stało się wszechogarniające podobnie jak pragnienie picia krwi, choć tego w ogóle nie odbierałem tak trzeźwo. Ledwie to sobie uświadomiłem, wszystko minęło.

Wzdrynąłem się lekko. Czyżby to wszystko stanowiło jedynie wytwór mojej wyobraźni? Nadal patrzyłem na odległego śmiertelnika — biedną duszę, która odwzajemniała mi spojrzenie nie mając pojęcia, kim lub czym jestem.

Na młodym obliczu widniał uśmiech, kruchy i pełen szalonej ciekawości. Stopniowo uświadamiałem sobie, że widziałem tę twarz wcześniej. Jeszcze bardziej zdumiał mnie jego wzrok wyrażający definitywne rozpoznanie i dziwne oczekiwanie. Nagle uniósł prawą rękę i pomachał.

Zaskakujące.

A jednak znałem tego śmiertelnika. Nie, bardziej precyzyjne byłoby powiedzenie, że widziałem go więcej niż raz, a potem jedyne pewne wspomnienie wróciło do mnie z pełną siłą.

W Wenecji, wisząc na krawędzi Piazza San Marco i miesiące później w Hongkongu, w pobliżu Nigth Market — w obu przypadkach zwróciłem na niego szczególną uwagę, ponieważ on zwrócił szczególną uwagę na mnie. Tak, stała tam ta sama, potężnie zbudowana postać z tymi samymi, gęstymi, falującymi brązowymi włosami.

Niemożliwe. A jednak prawdopodobne, ponieważ tam stał!

Ponownie wykonał gest powitania, a potem pospiesznie, naprawdę bardzo niezgrabnie ruszył w moim kierunku, przemierzając przestrzeń niezdarnymi krokami, podczas gdy ja obserwowałem go z narastającym zdumieniem.

Zajrzałem w umysł młodzieńca. Nic. Szczelnie zamknięty. Tylko roześmiana twarz stawała się coraz wyraźniejsza, gdy zbliżał się ku jasnej, luminescencyjnej światłości morza. Zapach jego strachu wypełnił moje nozdrza wraz z wonią krwi. Tak, był przerażony, a jednak niesamowicie podekscytowany. Nagle wyraz twarzy mężczyzny zdał mi się niezwykle zapraszający — kolejna ofiara rzucała się w moje ramiona.

Jak mocno lśniły wielkie brązowe oczy. Miał też błyszczące zęby.

Z walącym sercem zatrzymał się jakiś metr ode mnie i wyciągnął grubą, pogniecioną kopertę w wilgotnej drżącej dłoni.

Nie odrywałem od niezdarnej postaci wzroku, niczego nie ukazując — ani zranionej dumy, ani szacunku dla tego zadziwiającego dokonania, że znalazł mnie tutaj, że się ośmielił. Byłem wystarczająco głodny, by wyssać kolejną ofiarę i najeść się bez poświęcenia jej kolejnej myśli. Nie zastanawiałem się nad tym więcej. Widziałem tylko krew.

Zesztywniał, jakby to wiedział, jakby w pełni wyczuwał. Przez moment patrzył na mnie w milczeniu, a potem rzucił na piasek grubą kopertę i szaleńczo odbiegł. O mało nóg nie pogubił w panicznej ucieczce.

Pragnienie nieco opadło. Może nie zastanawiałem się, ale wahałem i to zajmowało część myśli. Kim był ten nerwowy, młody sukinsyn?

Ponownie próbowałem go przeświecić. Nic. Zdziwiająco. Jednak niektórzy śmiertelnicy osłaniają się w naturalny sposób,

nawet jeśli nie mają bladego pojęcia o tym, że ktoś mógłby zajrzeć w ich umysły.

Biegł i biegł, desperacko i w niezgrabny sposób, znikając w ciemności bocznej uliczki, nadal pospiesznie oddalając się ode mnie.

Chwile mijały.

Teraz już nie czułem jego zapachu, jedynym świadectwem wydarzenia była koperta leżąca u moich stóp.

Co to, do licha, mogło znaczyć? Dokładnie wiedział, kim jestem. W to nie wątpiłem. Spotkanie w Wenegii i Hongkongu to nie zbieg okoliczności. Jego nagły strach, jeśli nie coś innego, widziałem wyraźnie. Musiałem się jednak uśmiechnąć nad jego wielką odwagą. Tylko pomyślcie, śledzić taką istotę jak ja.

Czy był jakimś zwariowanym wyznawcą kultu, który przyszedł zapukać do drzwi świątyni z nadzieją, że dam mu Ciemną Krew po prostu z litości lub jako nagrodę za śmiałość? Nagle stałem się zły, zgorzkniały, a potem już po prostu straciłem zainteresowanie.

Obserwowałem czystą i nie zaklejoną kopertę. Wewnątrz znalazłem, ku swojemu zaskoczeniu, wydrukowane opowiadanie wycięte najprawdopodobniej z jakiejś książki.

Przekartkowałem mały, gruby plik, spięty w lewym górnym rogu. Żadnej osobistej notatki. Autora tekstu dobrze znałem, był nim uroczy człowiek, H.P. Lovecraft, pisarz zajmujący się sprawami ponadnaturalnymi i makabrą. W *rzeczy* samej czytałem opowiadanie i pamiętałem doskonale tytuł: *Rzecz na progu*. Roześmiałem się cicho.

Rzecz na progu. Teraz uśmiechając się przypominałem sobie szczegóły tej historii. Była interesująca, a zarazem zabawna.

Tylko dlaczego ów dziwny śmiertelnik miałby mi ją dawać? Niesamowite. Nagle znów poczułem wściekłość albo raczej taką złość, na jaką pozwalał smutek.

Mechanicznie włożyłem pakiecik do kieszeni płaszcza. Zadumałem się głęboko. Tak, ten mężczyzna definitywnie odszedł. Zdażyłem zapomnieć, jak wyglądał, a nie miałem kogo zapytać o rysopis.

Och, gdyby tylko kusił mnie innej nocy, kiedy moja dusza nie była chora i słaba, kiedy mogło mi choć trochę zależeć — wystarczająco, by przynajmniej dowiedzieć się, o co chodzi.

Wydawało mi się już, że minęły wieki, odkąd przyszedłem na plażę. Pora odejść. Noc

była pusta, wolna dla odgłosów ulicznego ruchu wielkiego miasta i ponurych uderzeń morskich fal. Nawet chmury stały się bardziej przejrzyste, a w końcu zniknęły. Niebo wydawało się bezkresne i udręczone, nieruchome.

Spojrzałem na jasne gwiazdy nad głową i pozwoliłem, by niski dźwięk przybrzeżnych fal otulił mnie w ciszy. Rzuciłem ostatnie pełne żalu spojrzenie na światła Miami, miasta, które kochałem.

Potem uniosłem się, równie prosto jak wzlatuje myśl, na tyle szybko, że żaden śmiertelnik nie mógł tego zobaczyć, wzbijając się wyżej i wyżej w wietrze, dopóki rozległe miasto nie stało się odległą galaktyką powoli znikającą z widoku.

Było tak zimno, jakby górny wiatr nie znał pór roku. Przejmujący chłód wchłonał żar pulsującej wewnątrz mnie krwi. Wkrótce twarz i dłonie pokrywała lodowata powłoka, która przenikała kruchą odzież i ogarniała całą skórę.

Nie wywoływało to jednak bólu. Lub raczej ból ten nie był zbyt przemożny.

Ogarnął mnie spokój. Czułem zatracenie, smutek, nieobecność tego, co nadaje sens egzystencji — nie istniało płonące ciepło ognia, pieszczot i pocałunków, kłótni, miłości, pragnienia i krwi.

Ach, bogowie Azteków musieli być bardzo zachłannymi wampirami, jeżeli przekonali tych biednych ludzi, że wszechświat przestanie istnieć, jeśli nie popłynie krew. Wyobraźcie sobie stare obrzędy przy ołtarzu, odcinanie palców jeden po drugim, wyciskanie niczym winnych gron ociekających krwią serc, tak by życiodajny płyn ściekał prosto do ust.

Kręciłem się i obracałem w wietrze, opadałem parę metrów, wznosiłem się, radośnie rozkładając ramiona, a potem opuszczając je po bokach. Leżałem na plecach jak pewny siebie pływak, wpatrując się znowu w ślepe i obojętne gwiazdy.

Siłą woli skierowałem się na wschód. Nad Londynem wciąż wisiała noc, choć zegary dawno wybiły północ. Londyn.

Nadszedł czas na pożegnanie z Davidem Talbotem — moim śmiertelnym przyjacielem.

Minęły miesiące od naszego ostatniego spotkania w Amsterdamie, po którym odszedłem bez słowa, zawstydzony tym, że w ogóle go kłopotalem. Od tej pory śledziłem losy Davida, ale nie nachodziłem jego domu. Wiedziałem, że teraz muszę do niego pójść, niezależnie od stanu mego umysłu. Z całą pewnością pragnął odwiedzin. Była to właściwa, uczciwa rzecz do zrobienia.

Przez chwilę myślałem o ukochanym Louisie. Bez wątpienia siedział w rozpadającym się domku w bagiennym ogrodzie w Nowym Orleanie, czytając jak przywykł przy świetle

księżycu lub drżącym płomieniu świecy, jeśli noc była pochmurna i ciemna. Zrobiło się jednak zbyt późno, by przed wyruszeniem na kontynent zajrzeć do Louisa... Jeśli jednak istniało jakiegokolwiek stworzenie, które rozumiałoby takie postępowanie, to właśnie on. Albo tak sobie tylko wmawiałem. Całkowite przeciwieństwo byłoby prawdopodobnie bliższe prawdzie.

Ruszyłem do Londynu.

ROZDZIAŁ 2

Dom-Matka należący do stowarzyszenia Talamasca znajdował się opodal Londynu, zatopiony wśród wiekowych dębów, pokryty spadzistymi, zaśnieżonymi teraz dachami i otoczony rozległymi trawnikami.

Był to imponujący, czteropiętrowy budynek z wysokimi, gotyckimi oknami i kominami wiecznie wysyłającymi kłęby dymu w otchłań nocy.

Wnętrze wypełniały wyłożone boazerią biblioteki, sypialnie ze strzelistymi sufitami i grubymi dywanami w kolorze burgunda, jadalnie na wzór klasztornych stołówek i domownicy przywodzący na myśl księży i zakonnice, ludzie, którzy potrafili czytać w umyśle, odgadywać nastroje, przewidywać przyszłość z dłoni i stwierdzić, kim mogłeś być w poprzednim wcieleniu.

Czarownice? Cóż, może parę. Jednak głównie uczeni. Osoby te poświęciły całe swe życia studiom na temat rzeczy tajemnych we wszelkiego rodzaju przejawach. Niektórzy wiedzieli więcej od innych, wierzyli gorącej. Przykładowo są w tym Domu-Matce — jak i w innych, w Amsterdamie czy Rzymie — ludzie, którzy doświadczyli fizycznego kontaktu z wampirami i wilkołakami, z postaciami potrafiącymi siłą woli wywołać pożar lub spowodować śmierć, toczącymi walki z niewidzialnymi przeciwnikami, wygrywającymi albo przegrywającymi owe starcia.

Przez ponad tysiąc lat ten porządek nie został zakłócony. W rzeczy samej nawet dłużej, ale jego korzenie okryte są tajemnicą lub też wyrażając się bardziej precyzyjnie, David nic mi nie wyjaśnił.

Skąd Talamasca bierze pieniądze? W podziemiach siedzib Zgromadzenia znajdują się złoża złota i klejnotów. Niemal już legendarne są inwestycje w znanych europejskich bankach. Organizacja posiada nieruchomości w wielu miastach, co swobodnie starczyłoby na utrzymanie, nawet bez niczego innego. Do tego dochodzą rozmaite skarby archiwalne — malowidła, statuy, gobeliny, antyczne meble i ornamenty — które wiążą się z różnymi historycznymi miejscami oraz wydarzeniami i na przełomie wieków zyskały odpowiednią wartość.

Biblioteka Talamaski warta jest królewskiej korony. Znajdują się tam manuskrypty w przeróżnych językach. Szczególnie cenne pochodzą ze słynnej, starej Biblioteki Aleksandryjskiej, spalonej wieki temu, a także ze zbiorów umęczonych Katarów, których kultura już nie istnieje. Są tam teksty z antycznego Egiptu; aby je zdobyć, archeolodzy zdolni byłiby popełnić morderstwo. Znajdziecie również zapiski ponadnaturalnych istot, w tym

również wampirów. W archiwach znajdują się także listy i dokumenty napisane przeze mnie.

Żaden z tych skarbów mnie nie interesuje. Nigdy nie przywiązywałem do nich uwagi. Och, czasami w przypływie dobrego humoru rozkoszowałem się ideą włamania do podziemia i wyniesienia kilku reliktyw należących niegdyś do nieśmiertelnych, których kochałem. Wiem, że ci uczeni zgromadzili dobra, jakie ja osobiście porzuciłem — przedmioty z paryskich salonów z końca ubiegłego stulecia, książki i meble z mojego starego domu w Dzielnicy Ogrodów, gdzie sypiałem przez dziesięciolecia. Bóg jeden wie, co jeszcze ocalili z żarłocznej paszczy czasu.

Przestałem się tym zajmować. Mogą zatrzymać, co uratowali.

Przejmowałem się Davidem, dyrektorem generalnym, który był moim przyjacielem od czasu kiedy dawno temu, pewnej nocy wtargnąłem bezczelnie przez okno na czwartym piętrze do jego prywatnej sali.

Zareagował wyjątkowo odważnie i spokojnie. Podobał mi się, gdy tak stał niewzruszenie, wysoki mężczyzna o ostrych rysach twarzy i stalowoszarych włosach. Wtedy zastanawiałem się, czy jakiegokolwiek młodego człowieka cechowała podobna piękność. Jednakże to fakt, że wiedział, czym jestem, stanowił dla mnie najwspanialszy z jego uroków.

A gdybym uczynił cię jednym z nas? Wiesz, że mógłbym to zrobić...

Nigdy nie zawahał się w swoim przekonaniu.

— Nie zgodziłbym się nawet na łożu śmierci — odpowiadał.

Był jednak zafascynowany moją obecnością, nie potrafił tego zataić, choć z powodzeniem skrywał przede mną swoje myśli.

Jego umysł stał się pancerną szkatułką, do której nie było klucza. A ja mogłem poznać jedynie promieniujący wyraz twarzy i miękki, kulturalny głos, który mógłby nawrócić samego diabła.

Kiedy teraz poprzez śniegi angielskiej zimy dotarłem późną nocą do Domu-Matki, wszedłem przez znajome okna Davida tylko po to, by przekonać się, że jego pokoje są puste i ciemne.

Pomyślałem o naszym spotkaniu. Czy mógł ponownie udać się do Amsterdamu?

Ostatni wyjazd był niespodziewany, co odkryłem, kiedy zacząłem szukać przyjaciela, zanim jego psychika wyczuła moją wścibską penetrację; postanowił zamknąć się przede mną, a potrafił to robić z wyjątkową skutecznością; szybko zgubiłem trop.

Najwyraźniej jakaś sprawa wielkiej wagi wymagała obecności Davida w Holandii.

Niderlandzki Dom-Matka był starszy od tego na obrzeżach Londynu. Znajdowały się tam piwnice, do których jedynie dyrektor generalny posiadał klucz. David musiał

zlokalizować pewien portret Rembrandta, jeden z najwspanialszych skarbów, zamówić kopię i wysłać ją do swego bliskiego przyjaciela, Aarona Lightnera, który potrzebował obrazu w związku z ważnym, dotyczącym paranormalnych wypadków dochodzeniem prowadzonym w Stanach.

Podążyłem za Davidem do Amsterdamu i szpiegowałem go. Obiecałem sobie, że nie będę mu przeszkadzać, tak jak już wcześniej robiłem to wiele razy.

Pozwólcie mi teraz opowiedzieć historię tego epizodu.

W bezpiecznej odległości podążałem za nim, gdy energicznie poruszał się przez noc. Starannie maskowałem myśli, tak jak zwykł to robić David. Jakże malowniczo wyglądał pod wiazami rosnącymi wzdłuż Singel gracht, gdy od czasu do czasu zatrzymywał się, by podziwiać stare, wąskie, trzy- i czteropiętrowe holenderskie budynki z wysokimi, spadzistymi wieżyczkami i jasnymi oknami pozbawionymi zasłon, aby przechodnie cieszyli się możliwością zobaczenia choćby fragmentu wnętrza.

Wyczułem w nim zmianę prawie natychmiast. Jak zwykle niósł laskę, choć mimo sędziwego wieku nadal jej nie potrzebował i zazwyczaj trzymał na ramieniu. Pograżony był w zadumie i całą sylwetką wyrażał wyraźne niezadowolenie. Mijała godzina za godziną, a on wciąż spacerował, jakby czas nie miał żadnego znaczenia.

Szybko zrozumiałem, że David zatonął we wspomnieniach. Od czasu do czasu mój umysł przechwytywał obrazy z lat jego młodości spędzonej w tropikach, a nawet udało mi się dostrzec skrawek zielonej dżungli, co tworzyło ostry kontrast z wizerunkiem zimowego, północnego miasta, w którym z pewnością nigdy nie panowały upały. Do tej pory nie miałem jeszcze snu o tygrysie. Nie wiedziałem, co to znaczy.

Fragmentaryczność wizji dręczyła i prowokowała. Zdolności Davida do kamuflowania myśli były, jak na moje potrzeby, zbyt doskonałe.

Szedł tak, wciąż dalej i dalej, czasem jakby prowadzony przez niewidzialnego przewodnika, a ja podążałem jego śladem, czując dziwne zadowolenie na sam jego widok parę przecznic w przodzie.

Gdyby nie mijający go z zawrotną szybkością rowerzyści, sprawiałby wrażenie młodego człowieka. Niestety bał się rowerów. Miał w sobie strach człowieka w podeszłym wieku, który obawia się, by nie zostać uderzonym i zranionym. Spojrzał oburzony za młodymi kolarzami, a potem pograżył się ponownie w rozmyślaniach.

Świtało już, kiedy wracał do Domu. Z pewnością musiał przesypiać większą część każdego dnia.

Pewnego wieczoru znów podążałem za nim i znów krążył po mieście bez konkretnego

celu. Godzinami błąkał się po brukowanych uliczkach. Najwidoczniej lubił Amsterdam tak bardzo jak Wenecję. Nie bez powodu. Obydwa miasta cechowała szarawa, mroczna kolorystyka i mimo rysujących się formalnych różnic miały podobny urok; jedno — katolickie, pedantyczne i pełne uroczego rozpadu architektonicznego, drugie — protestanckie, bardzo schludne i wysoko rozwinięte.

Następnej nocy ponownie wyruszył w trasę, pogwizdując pod nosem, podczas gdy żwawo przemierzał kolejne kilometry. Wkrótce zrozumiałem, że starał się omijać jak najdalej siedzibę Talamaski.

W rzeczywistości unikał wszystkiego i kiedy jeden z jego starych przyjaciół, kolejny Anglik oraz członek stowarzyszenia, przypadkowo natknął się na niego niedaleko księgarni w Leidsestraat, z rozmowy jasno wynikało, że David od pewnego czasu nie był sobą.

Brytyjczycy są niezwykle grzeczni w prowadzeniu podobnych dyskusji i diagnozowaniu takich kwestii. Jednak podsłuchana przeze mnie rozmowa nie nosiła znamion cudownej dyplomacji. David zaniedbywał obowiązki dyrektora generalnego. Spędzał cały swój czas z dala od Domu. Natomiast w Anglii coraz częściej odwiedzał posiadłość przodków w Cotswolds. Co to mogło oznaczać?

David prawie nie usiłował obalać tych wszystkich sugestii i nie przejawiał najmniejszego zainteresowania konwersacją. Uczynił kilka niejasnych uwag odnośnie do tego, że Talamasca mogłaby radzić sobie przez całe wieki bez dyrektora generalnego, gdyż była doskonale zorganizowana, związana tradycją i miała wielu oddanych członków.

Po zakończeniu dialogu David wstąpił do księgarni, gdzie zakupił angielskie wydanie *Fausta* Goethego. Później samotnie wstąpił na kolację do indonezyjskiej restauracji. Podczas jedzenia pilnie śledził wzrokiem poszczególne strony dramatu.

Kiedy był zajęty swoim daniem i lekturą, wróciłem do księgarni i zakupiłem egzemplarz tej samej książki. Co za niesamowite dzieło!

Nie mogę powiedzieć, że je rozumiem. Nie wiem też, dlaczego David czytał właśnie to. Obawiałem się, że przyczyna może być oczywista i wolałem o tym nie myśleć.

Tak czy inaczej, strasznie spodobała mi się ta książka, a szczególnie zakończenie, kiedy Faust poszedł do nieba. Stare legendy przedstawiały zupełnie inny finał. Faust zawsze ginął w piekle. Taką końcówkę dramatu przypisałem romantycznemu optymizmowi Goethego oraz jego starości w momencie, kiedy kończył pisać ten utwór. Wszelkie prace wiekowych twórców są zawsze pełne impetu, intrygujące i warte uwagi. Tym bardziej że muzy zazwyczaj opuszczają kreatora, zanim osiągnie sędziwy wiek.

Na kilka godzin David zniknął w Domu. Sam buszowałem po mieście. Chciałem je

poznać, bo on je znał, ponieważ Amsterdam był częścią życia Davida.

Krałęm po ogromnym Rijksmuseum, podziwiając obrazy Rembrandta, którego płótna zawsze uwielbiałem. Przemykałem jak łodziej po domu mistrza w Jodenbreestraat, obecnie przekształconym w małe sanktuarium dla zwiedzających. Później spacerowałem wąskimi ulicami miasta otulony promiennym blaskiem dawnych czasów. Amsterdam jest ekscytującym miejscem, pełnym młodych ludzi z całej zjednoczonej Europy; miastem, które nigdy nie zasypia.

Prawdopodobnie nie przyjechałbym tutaj, gdyby nie David. Stolica Holandii nigdy nie przykuwała mojej uwagi. Teraz uznałem ją za przyjemne miasto wampirów z tłumami ludzi do późna wypełniającymi ulice. Oczywiście przede wszystkim chciałem się spotkać z Davidem. Nie mogłem wyjechać, nie zamieniwszy z nim chociażby paru słów.

Wreszcie, tydzień po moim przyjeździe, natknąłem się na Davida w pustym Rijksmuseum, tuż po zachodzie słońca. Siedział na ławce przed wielkim zbiorowym portretem Rembrandta pod tytułem *Członkowie Cechu Tkaczy*.

Czy w jakiś sposób David wiedział, że odwiedziłem wcześniej muzeum? Niemożliwe. A jednak przyszedł.

Z jego rozmowy ze strażnikiem, który właśnie odchodził, najwyraźniej wynikało, że czcigodne stowarzyszenie zawziętych i wścibskich konserwatystów wspierało sztukę w różnych miastach, gdzie znajdowały się ich siedziby. Dlatego też członkowie bez trudu uzyskiwali dostęp do muzealnych zbiorów, by zobaczyć swoje skarby w ciszy i skupieniu, po zamknięciu budynków dla zwiedzających.

I pomyśleć, że musiałem zakradać się do tych miejsc jak lichy złodziejaszek!

W marmurowej sali z wysokim sufitem panowała kompletna cisza. Zbliżyłem się do Davida. Siedział na długiej drewnianej ławie. Wydanie *Fausta*, teraz sfatygowane i pełne notatek, zwisało luźno w prawej dłoni.

Spoglądał na malowidło, na którym figurowali Holendrzy, zgromadzeni przy stole i bez wątpienia dyskutujący o interesach. Spokojnie patrzyli na oglądających obraz spod szerokoskrzydłych czarnych kapeluszy. Chyba nie na tym miał polegać ogólny efekt dzieła — twarze pełne mądrości, delikatności i prawie nieziemskiej cierpliwości. W *rzeczy samej* ci mężczyźni bardziej przypominają anioły niż zwykłych ludzi.

Wyglądali na posiadaczy wielkiej tajemnicy. Gdyby wszyscy ludzie poznali ów sekret, nie byłoby więcej wojen ani żadnych gwałtów na ziemi. W jaki sposób takie osoby zostały członkami amsterdamskiego Cechu Tkaczy w siedemnastym wieku? Ale, ale... odbiegłem od wątku mojej opowieści...

David poruszył się, gdy wyszedłem z cienia i ruszyłem w kierunku ławy. Po chwili usiadłem obok niego.

Byłem ubrany jak włóczęga, gdyż w Amsterdamie nie posiadałem stałej kwatery. Moje włosy potargał wiatr.

Przez moment siedziałem w milczeniu, otwierając swój umysł, pozwalając Davidowi odczytać, jak bardzo się o niego troszczę i jak dbam o jego wewnętrzny spokój.

Jego serce waliło jak oszalałe. Twarz wypełniła się natychmiast serdecznym ciepłem.

Wyciągnął prawą rękę i chwycił mnie za ramię.

— Cieszę się, że cię widzę. Bardzo się cieszę.

— Ach, ale ja cię skrzywdziłem. Wiem, że tak. — Nie chciałem mówić, że go śledziłem, podsłuchiłem rozmowę z kolegą ani o tym, co widziałem na własne oczy.

Poprzysiągłem sobie nie zadreć go starym pytaniem. I mimo że kiedy spoglądałem na przyjaciela, widziałem śmierć, dostrzegłem również szczerą, życzliwą i wigor w oczach.

Obdarzył mnie długim, badawczym spojrzeniem, a następnie cofnął rękę i ponownie przeniósł wzrok na obraz.

— Czy istnieją jakieś wampiry, które mają takie twarze? — zapytał, wskazując mężczyzn zerkających na nas z malowidła. — Mówię o wiedzy i zrozumieniu na ich obliczach, o czymś bardziej wskazującym na nieśmiertelność niż nadprzyrodzone ciało anatomiczne zależne od picia ludzkiej krwi.

— Wampiry z takimi twarzami? — odrzekłem pytająco. — Davi-dzie, to nieuczciwe zagranie. Nie ma *ludzi* z takimi twarzami. Nigdy nie było. Spójrz na jakąkolwiek postać z dzieł samego mistrza. Absurdem jest wierzyć, że tacy ludzie kiedykolwiek istnieli. To Rembrandta widzisz w tych obliczach, a on jest oczywiście nieśmiertelny.

Uśmiechnął się łagodnie.

— To nieprawda. I cóż za desperacka samotność emanuje od ciebie. Nie rozumiesz, że nie mogę przyjąć twojego daru, a gdybym nawet to zrobił, co byś o mnie pomyślał? Nadal pragnąłbyś mojego towarzystwa, a ja twojego?

Przeraziły mnie ostatnie słowa. Gapiłem się na obraz i na mężczyzn, którzy w istocie byli jak aniołowie. Przebiegł po mnie niewidzialny dreszcz gniewu. Nie miałem ochoty dłużej prosić. Zaatakowałem, ale obronił się przede mną. Nie, nie powinienem tu przychodzić.

Szpiegować — tak, ale nie nalegać i błagać. Ruszyłem cicho do wyjścia.

David wpadł w furję z powodu mojego zachowania. Słyszałem jego głos dudniący w pustej przestrzeni:

— To nie w porządku, że odchodzisz w ten sposób! Szalenie niegrzecznie! Czy nie masz honoru? A co z manierami, jeśli nie zostało już nic innego?

W końcu przerwał, gdyż nie było mnie w pobliżu. Zniknąłem, a on pozostał samotny w ogromnym, zimnym muzeum i mówił do samego siebie.

Byłem zawstydzony, ale zbyt rozgniewany, żeby do niego wrócić. Dlaczego? Nie wiem. Co ja zrobiłem tej istocie! Marius skarciłby mnie za to.

Krażyłem po Amsterdamzie godzinami. Ukradłem trochę grubego papieru listowego i kulkowe pióro, które wiecznie pluje czarnym atramentem. Później trafiłem na hałaśliwą małą kawiarenkę z wymalowanymi kobietami i naćpaną młodzieżą, gdzie mogłem popracować nad listem do Davida i nikt mi nie przeszkadzał tak długo, jak długo trzymałem przy sobie kufel piwa.

W zasadzie to nie wiedziałem, co chcę napisać. Na pewno zamierzałem przeprosić za swoje zachowanie i dodać, że coś pękło w mojej duszy, kiedy ujrzałem postacie z malowidła Rembrandta. Tak też zrobiłem:

Masz rację. Opuściłem Cię w sposób godny pogardy. Gorzej, to byio tchórzostwo. Obiecuję, że kiedy spotkamy się ponownie, pozwolę Ci powiedzieć wszystko, co chciałbyś powiedzieć.

Osobiście mam pewną teorię na temat Rembrandta. Spędziłem wiele godzin, studiując jego portrety wszędzie, gdziekolwiek na nie trafiłem — w Amsterdamie, Chicago, Nowym Jorku — / naprawdę wierzę, jak Ci mówiłem, że tak wiele wspaniałych dusz nie mogło istnieć, choć Rembrandt pragnął, byśmy uwierzyli.

To moja teoria i proszę, kiedy ją przeczytasz, weź pod uwagę, że godzi wszelkie elementy. A kompromis był miarą elegancji teorii... zanim słowo „nauka” zaczęło znaczyć to co obecnie.

Nie opuszcza mnie przekonanie, że jako młody człowiek Rembrandt sprzedał duszę Diabłu. Była to prosta transakcja. Diabeł obiecał uczynić Rembrandta najstawniejszym malarzem jego czasów. Wysyłał hordy śmiertelników, aby pozwali mistrzowi do portretów. Dał mu majątek, uroczy dom w Amsterdamie, żonę, a później kochanicę. Był pewien, że w końcu zdobędzie duszę malarza.

Jednak Rembrandt zmienił się pod wpływem paktu zawartego z Diabłem. Ujrzawszy niezaprzeczone dowody zła, uległ obsesji roztrząsania kwestii „Co jest dobrem?” Analizował twarze modeli w poszukiwaniu ich wewnętrznej boskości. Ku swemu zdumieniu odnajdywał iskierkę dobra nawet u niegodziwców.

Miał taki talent — a nie otrzymał go od Diabła, lecz się z nim urodził — że mógł nie

tylko zobaczyć dobroć, ale również ją namalować. Dysponował odpowiednią wiedzą, potrafił za pomocą pędzla i farb przedstawić głębię ludzkiej duszy.

Z każdym kolejnym portretem zaczynał coraz doskonalej rozumieć miłosierdzie i boskość człowieka. Poznał zdolność do współczucia i mądrości, wartości, które rezydują we wnętrzu każdej istoty. Im więcej tworzył, tym bardziej rozwijał swój talent. Wizerunek nieskończoności stał się bardziej subtelny, sam mistrz pedantyczny i wymagający, a każda praca pogodniejsza i wspanialsza.

W końcu oblicza, które malował Rembrandt, nie były twarzami z krwi i kości, lecz spirytualistycznymi fizjonomiami, portretami uczuć leżących pod skórą mężczyzny lub kobiety, wizjami tego, czym jest dana osoba w szczytowym momencie uduchowienia, czym może się stać.

Właśnie dlatego członkowie Cechu Tkaczy uwiecznieni na płótnie wyglądają jak najstarsi i najmądrzejsi ze wszystkich świętych.

Jednak nigdzie duchowa głębia nie jest wyraźniejsza niż w autoportretach Rembrandta. A z pewnością wiesz, że pozostawił ich sto dwadzieścia dwa.

Zastanów się, dlaczego namalował tak wiele? Stanowiły osobiste pole działania. Chciał pokazać Bogu cykl postępu mężczyzny, który poprzez bliską obserwację takich jak on sam, uległ fatalnej religijnej transformacji. „Oto moja wizja” — powiedział Rembrandt do Boga.

Pod koniec życia malarza Diabeł zaczął coś podejrzewać. Nie chciał, by jego ulubieniec tworzył tak wspaniałe dzieła, pełne ciepła i dobroci. Wierzył, że Holendrzy należą do materialistów. A tymczasem w obrazach pełnych drogich szat i cennych przedmiotów tkwi niezaprzeczalny dowód, iż ludzie całkowicie różnią się od wszystkich innych istot żyjących w kosmosie — stanowią unikatową mieszankę krwi i wiecznego ognia.

Cóż, Rembrandt cierpiał od obelg rzucanych mu przez Diabła. Stracił dom na Jodenbreestraat. Stracił kochanicę, a później syna. Jednak dalej malował, bez cienia żalu i goryczy. Wciąż wypełniał obrazy miłością.

W końcu spoczął na łożu śmierci. Rozradowany Diabeł zacierał ręce, gotów capnąć duszę artysty i ścisnąć palcami zła. Ale aniołowie i święci udali się do Boga, prosząc o interwencję.

— „Na całym tym świecie któż dokładniej zgłębił temat dobra?” — pytali, wskazując umierającego Rembrandta. — „Kto pokazał więcej niż ten malarz? Patrząc na jego portrety poznajemy boskość człowieka”.

I tak Bóg zerwał pakt między Diabłem a Rembrandtem. Zabrał duszę malarza, a

Szatan, który niedawno został podobnie oszukany z Faustem, oszalał z wściekłości.

Cóż, pogrzebał więc życie Rembrandta w ciemnościach. Dopilnował, żeby wszelkie dane dotyczące holenderskiego twórcy zostały pochłonięte przez falę czasu. Dlatego w ogóle nie znamy prawdziwych dziejów Rembrandta i nie wiemy, jakim był człowiekiem.

Diabeł nie mógł jednak kontrolować losu malowideł. Próbował, ale nie potrafił zmusić ludzi, by je spalili, wyrzucili czy odsunęli na bok dla uczynienia miejsca nowocześniejszym artystom. W rzeczywistości wydarzyła się szalenie ciekawa rzecz. Rembrandt stał się najbardziej podziwianym ze wszystkich malarzy. Uznano go za najwspanialszego twórcę wszechczasów.

To jest moja teoria o Rembrandcie i tych twarzach.

Gdybym był śmiertelnikiem, napisałbym powieść na ten temat. Niestety nie jestem. Nie mogę ocalić swej duszy poprzez sztukę lub czynienie dobra. Jestem kreaturą podobną do Diabła, z jedną tylko różnicą: Uwielbiam obrazy Rembrandta!

Serce mi pęka, kiedy na nie patrzę. Cierpiałem, gdy zobaczyłem Cię tam w muzeum. I masz zupełną rację, mówiąc, że nie ma wampirów z twarzami jak u świętych z Cechu Tkaczy.

Dlatego tak niegrzecznie zachowałem się w muzeum. To nie była diabelska furia, ale jedynie smutek.

Przyrzekam Ci, że przy najbliższym spotkaniu wystucham tego, co masz do powiedzenia.

Na dole listu nabazgrałem adres i numer mojego paryskiego agenta. Zawsze tak robiłem, choć David nigdy nie odpisywał.

Opuściwszy lokal, kontynuowałem wędrówkę, ponownie odwiedzając miejsca, gdzie wystawione były malowidła Rembrandta. Podczas analizy poszczególnych obrazów nie trafiłem na nic, co podkopałoby moją wiarę w dobroć malarza. Po raz kolejny postanowiłem nie kłopotać już więcej Davida.

Potem miałem ten sen. Tygrys, tygrys... David w niebezpieczeństwie. Obudziłem się przerażony na moim krześle w chatce Louisa, jakby dotknięty rozgrzaną dłonią.

W Anglii noc dobiegała końca. Musiałem się spieszyć. Kiedy znalazłem Davida, siedział w osobliwej małej tawernie w wiosce w Cotswolds, do której prowadziła tylko jedna, wąska i niebezpieczna droga.

Była to jego rodzinna wioska, położona niedaleko od rodzowego dworu Talbota. Szybko rzuciłem okiem na otoczenie — niewielka ulica z kilkoma szesnastowiecznymi budynkami, sklepami i knajpą, obecnie okupowaną przez turystów i finansowo zasilaną przez Davida, który wpadał tu często, żeby uciec od londyńskiego gwaru.

Niesamowite miejsce!

David popijał szkocką i szkicował na serwetkach wizerunki Diabła. Mefistofeles z lutnią? Szatan tańczący przy świetle księżyca? Depresję Davida wyczuwałem na odległość. A może raczej przechwytywałem opinie obserwatorów, zatroskanych stanem współbiedniaka.

Tak bardzo chciałem z nim porozmawiać. Nie ośmieliłem się jednak. Spowodowałbym zbyt wiele zamieszania w tej małej knajpie, gdzie stary gospodarz oraz jego dwaj masywni kuzyni pozostawali czujni i palili wonne fajki tylko po to, aby aromat sprawił przyjemność miejscowemu lordowi, który upijał się prawdziwie po pańsku.

Przez godzinę stałem w pobliżu, zerkając do wnętrza przez małe okno, a potem odszedłem.

Teraz... wiele, wiele miesięcy później... kiedy śnieg pokrył Londyn i rozległe pola wokół fasady Domu-Matki, szukałem go, rozmyślając, że nikogo na świecie nie pragnę bardziej zobaczyć niż właśnie Davida. Przejrzałem umysły członków Talamaski, zarówno śpiących, jak i przebudzonych. Zaniepokoiłem ich, słyszałem, jak natężają uwagę. Zachowywali się tak, jakby wprost z łóżka zeszedli na rozżarzone węgle.

Na szczęście dowiedziałem się wszystkiego, czego chciałem, zanim zerwali kontakt.

David pojechał do dworku w Cotswolds, bez wątplenia gdzieś w sąsiedztwie owej ciekawej, małej wioski ze spokojną tawerną.

Cóż, mogłem tam trafić, nieprawdaż? Ruszyłem na poszukiwanie.

Śnieg padał coraz intensywniej, gdy przemierzałem przestrzeń tuż ponad ziemią, zmarznięty i głodny, rozpamiętując smak każdej kropli krwi, jaką kiedykolwiek spijałem.

Wróciły do mnie sny, jak zwykle podczas ostrej zimy. Mrzonk?0 chropowatym i szorstkim śniegu z mojego śmiertelnego dzieciństwa, o kamiennych salach w zamku ojca, o małym ognisku i wielkich dogach wiernie strzegących swego małego pana.

Psy zostały rozszarpane podczas ostatniego polowania na wilki.

Nienawidziłem tych wspomnień! Jednak zawsze słodko było pomyśleć, że znów tam przebywam, czuję czystą woń palonego drewna w małym kominku i atletycznych psów za moimi plecami. I że należałem do śmiertelnych, naprawdę żyłem!... a polowanie nigdy się nie odbyło. Wówczas nigdy nie pojechałbym do Paryża i nie zwróciłbym na siebie uwagi mocarnego i obłąkanego wampira, Magnusa. Wraciałem myślą do małego, kamiennego pokoiku wypełnionego zapachem psów, przy których mogłem bezpiecznie spać.

W końcu zbliżyłem się do elżbietańskiego dworku w górach, przepięknej kamiennej struktury ze spadzistymi dachami i klekoczącymi oknami z masywnego szkła, dużo mniejszej niż Dom--Matka, ale bardzo szykownej we własnej skali.

Tylko jedno wnętrze było oświetlone. Kiedy zbliżyłem się, spostrzegłem, że to biblioteka, a David siedzi tam przy wielkim, hałaśliwie płonącym kominku.

Trzymał w ręce oprawiony w skórę notatnik i zapisywał coś bardzo chaotycznie wiecznym piórem. Nie miał pojęcia, że jest obserwowany. Od czasu do czasu sięgał do innego notatnika leżącego obok na stole. Z łatwością mogłem dostrzec, że ta chrześcijańska Biblia, z dwiema kolumnami małych literek i pozłaczanymi rogami stron.

Z niewielkim wysiłkiem zaobserwowałem, iż David czyta księgę Genesis i prawdopodobnie z niej robi notatki. Obok Biblii leżał egzemplarz *Fausta*. Co, u diabła, interesowało go w tym wszystkim?

Pokój wypełniały książki. Pojedyncza lampka jarzyła się nad ramieniem Davida. Biblioteka była typowa dla północnych krajów — przytulna i zachęcająca, z niskim lśniącem sufitem i wielkimi, wygodnymi, starymi skórzanymi krzesłami.

Jednak miejsce nabierało cech wyjątkowości dzięki zgromadzonym reliktom dawnego życia, które przywoływały Davidowi umiłowane wspomnienia. Znajdowały się tu pamiątki z minionych, niezapomnianych lat.

Nad kominkiem wisiała wielka wypchana głowa lamparta. Na przeciwległej ścianie umieszczono natomiast łeb bizona. Na półkach i stolikach stały niewielkie hinduskie statuetki z brązu. Indiańskie makaty leżały przed drzwiami i pod oknami na brązowym dywanie.

Na samym środku sali rozciągała się długa skóra tygrysa bengalskiego z idealnie zakonserwowanym łbem, szklanymi oczami i kłami, dokładnie takimi, jakie widziałem w tym straszliwym śnie.

Nagle David zwrócił całą uwagę na to trofeum, po czym ponownie zajął się pisaniem. Próbowałem przejrzeć jego myśli. Nic. Dlaczego się martwiłem? Nawet przez ułamek sekundy nie pomyślałem o mangrowych lasach, gdzie taka bestia mogła zostać zabita. Ale jeszcze raz spojrział na tygrysa i potem zapominawszy o notatkach, pogrążył się w rozmyślaniach.

Oczywiście pokrzepiała mnie możliwość obserwowania fotografii Davida, z czasów kiedy był młody. Większość została zrobiona w Indiach przed pięknym bungalowem. Przyglądałem się także portretom jego matki i ojca, zdjęciom Davida ze zwierzętami, "które zabił. Czy one wyjaśniały mój sen?

Zignorowałem padający gęsty śnieg pokrywający mi włosy, ramiona i dłonie. Wreszcie ruszyłem z miejsca. Pozostała tylko godzina do świtu.

Obszedłem dom, znalazłem tylne wejście i wszedłem do ciepłego holu z niskim sufitem. Doszedł mnie zapach starego drewna i lakieru lub jakiejś oliwy. Położyłem dłoń na

klamce, minąłem próg i otoczyła mnie ciemność. Poczułem aromat ognia.

Zdałem sobie sprawę, że David stoi w drugim końcu holu i czeka, aż się zbliżę. Coś w mojej sylwetce zaniepokoiło go. Ach, cóż, dostrzegł śnieg i cienką warstwę lodu na ubraniu i odsłoniętych częściach ciała.

Razem weszliśmy do biblioteki i zająłem miejsce na krześle naprzeciwko. Na moment zostawił mnie samego. W tym czasie gapiłem się na kominek i czułem, jak topnieje pokrywający mnie zimowy osad. Zastanawiałem się, dlaczego tu przyszedłem i jak wewnętrzny imperatyw ubiorę w słowa. Moje dłonie były białe niczym śnieg.

Kiedy David wrócił, przyniósł ze sobą duży, gruby ręcznik. Wytarłem włosy i twarz, a potem ręce. Poczułem się doskonale.

— Dziękuję — powiedziałem.

— Wyglądasz jak pomnik — stwierdził.

— Tak, istotnie. Jednak już niedługo wyruszam.

— Co masz na myśli? Wyjaśnij mi.

— Jadę na pustynię. Znalazłem sposób, by zakończyć swoją udrękę. Choć to wcale nie taka prosta sprawa.

— Dlaczego zamierzasz to zrobić?

— Nie chcę dłużej żyć. Ta część jest wystarczająco prosta. Nie oczekuję śmierci w taki sposób jak ty. To nie tak. Dziś wieczorem... — przerwałem. Ujrzałem starą kobietę w schludnym łóżku, ubraną w kwiecistą sukienkę. Potem zobaczyłem dziwnego bruneta, który podszedł do mnie na plaży i dał opowiadanie. Nadal tkwiło ono zgniecione w wewnętrznej kieszeni płaszcza.

Bez znaczenia. Przychodzisz za późno, kimkolwiek jesteś.

Po co starać się to wyjaśniać?

Nagle ukazała mi się Claudia. Patrzyła na mnie z jakiegoś innego wymiaru czekając, aż ją zauważę. Sprytne — nasze umysły potrafią wytwarzać nieomal realne obrazy. Mogła równie dobrze stać w ciemności za biurkiem Davida. Claudia, która przeszła moją pierś długim nożem. „Złożę cię do twojej trumny na zawsze, Ojczy”. Od tego czasu stale widywałem ją we wszystkich kolejnych snach...

— Nie rób tego — poprosił mój przyjaciel.

— Już czas — szepnąłem, rozmyślając, jaki rozczarowany byłby Marius.

Czy David usłyszał? Może mój głos brzmiał zbyt cicho. Z kominka doszedł odgłos trzaskającego polana. Ponownie ujrzałem zimną izbę sypialną w starym zamku i już ramieniem obejmowałem doga. Potworne jest widzieć, jak wilk rozszarpuje psa!

Powinienem być umrzeć tamtego dnia. Nawet najlepsi myśliwi nie daliby rady zabić stada wilków. A może był to kosmiczny błąd. Spoczęło na mnie oko diabła. „Zabójca wilka”. Jakże uroczo powiedział to wampir Magnus, kiedy niósł mnie do swej nory.

David ponownie usiadł na krześle, wyciągnął nogę na poręcz i wbił wzrok w ogień. Był zdenerwowany, ale starannie kamuflował to uczucie.

— Nie będzie bolało? — zapytał, spoglądając na mnie. Przez chwilę nie wiedziałem, co ma na myśli. Potem skojarzyłem i zaśmiałem się nieznacznie.

— Przyszedłem oznajmić ci „do widzenia” i zapytać, czy jesteś pewien swojej decyzji. Wydawało mi się, że właściwą rzeczą będzie powiedzieć ci, iż odchodzę. To twoja ostatnia szansa. Uczciwie stawiam sprawę. Rozumiesz? A może myślisz, że to po prostu kolejna sztuczka? Zresztą bez znaczenia.

— Jak Magnus w twoim opowiadaniu — powiedział — wyznaczasz spadkobiercę, a później idziesz w ogień.

— To nie tylko zwykłe opowiadanie — oznajmiłem, nie chcąc się spierać. Zastanawiałem się jednocześnie, dlaczego to właśnie tak zabrzmiało. — Zresztą może tak, naprawdę nie wiem.

— Dlaczego chcesz się unicestwić? — zapytał David zdesperowanym głosem.

Jakże skrzywdziłem tego człowieka.

Popatrzyłem na rozciągniętą skórę tygrysa z fantastycznymi czarnymi pasami na ciemnopomarańczowym futrze.

— To był ludojad, prawda? — zaciekałem się.

Zawahał się, jakby niezupełnie zrozumiał pytanie, a potem kiwnął głową.

— Tak. — Spojrzał na zwierzę, a później na mnie. — Nie chcę, żebyś to uczynił. Zrezygnuj. Nie rób tego. Dlaczego właśnie dzisiaj?

Rozśmieszał mnie wbrew mojej woli.

— Dziś jest dobra noc na takie rzeczy — oznajmiłem. — Już postanowione. — Nagle odezwała się we mnie wewnętrzna radość, ponieważ zdałem sobie sprawę, że naprawdę mówię, co myślę! To nie żadne kłamstwo. Nigdy bym mu tego nie powiedział, gdybym fantazjował. — Znalazłem metodę. Polecę tak wysoko, jak tylko dam radę, zanim słońce wzejdzie ponad horyzont. Nie będzie sposobu, by znaleźć schronienie. Pustynia jest bardzo twarda.

I umrę w ogniu. Nie z zimna, jak w górach, kiedy otoczyły mnie wilki. W żarze. Tak umarła Claudia.

— Nie, nie rób tego — prosił szalenie przekonująco, ale to nie działało.

— Chcesz krwi? — zapytałem. — To nie potrwa długo. Nie zaboli. Jestem pewien, że inni cię nie skrzywdzą. Uczynię cię silnym. Nigdy nie dadzą ci rady.

Znowu było tak jak z Magnusem, który zostawił mnie, sierotę, jedynie z ostrzeżeniem, że Armand i jego antyczni towarzysze zaczną mnie ścigać, by położyć kres nowo narodzonemu życiu. I Magnus wiedział, że przetrwam.

— Lestacie, nie chcę krwi. Pragnę, żebyś tu został. Słuchaj, daj mi kilka nocy. Tylko tyle. W imię przyjaźni, Lestacie, zostań ze mną. Możesz podarować mi te parę godzin? A jeśli potem nadal będziesz pragnął przez to przejść, nie będę się sprzeczać.

— Dlaczego?

Wyglądał na sparaliżowanego. Potem rzekł:

— Pozwól mi ze sobą porozmawiać, pozwól, bym cię przekonał.

— Zabiłeś tygrysa, kiedy byłeś bardzo młody, prawda? W Indiach? — Rozejrzałem się po innych trofeach. — Widziałem tygrysa we śnie.

Nie odpowiedział. Wyglądał na zdenerwowanego i zmieszanego.

— Skrzywdziłem cię — oznajmiłem. — Zaprowadziłem głęboko we wspomnienia z młodości. Sprawilem, że jesteś świadom czasu. Wcześniej nie byłeś.

Pod wpływem tych słów radykalnie zmienił się jego spokojny wyraz twarzy. Zraniłem go. Potrząsnął głową.

— Davidzie, weź ode mnie krew, zanim odejdę! — wyszeptałem zdesperowany. — Nie został ci nawet rok. Słyszę to, kiedy jestem blisko! Słyszę w twoim sercu.

— Nie prorokuj, mój przyjacielu — powiedział cierpliwie. — Zostań tu ze mną. Powiem ci wszystko o tygrysie, o chwilach spędzonych w Indiach, polowaniach w Afryce i nad Amazonką. Nie masz pojęcia, jakich doświadczyłem przygód. Nie byłem wtedy takim stęchłym uczonecym jak teraz...

— Wiem. — Posłałem mu uśmiech. Nigdy wcześniej nie mówił do mnie w ten sposób, nigdy nie oferował tak wiele. — Za późno, Davidzie — powiedziałem.

Znów miałem przed oczami sen. Zobaczyłem cienki złoty łańcuszek wiszący na szyi Davida. Czy tygrys atakował tę ozdobę? To nie miało sensu. Pozostała tylko wymowa niebezpieczeństwa.

Gapilem się na skórę bestii. Jak przejrzyste zabójczo wyglądał ogromny pysk.

— Czy to dobra zabawa zabicie tygrysa? Zawahał się. Potem wydusił odpowiedź:

— Polował na ludzi. Dzieci. Tak, wydaje mi się, że tak. Zaśmiałem się miękko.

— Ech, cóż, więc mamy coś wspólnego ze sobą, ja i tygrys. I Claudia czeka na mnie.

— Nie wierzysz, prawda?

— Nie. Wydaje mi się, że gdybym wierzył, to bałbym się umierać. — Zobaczyłem Claudię zupełnie wyraźnie... drobny portret na porcelanie, złociste włosy, niebieskie oczy. Coś dzikiego oraz prawdziwego występowało w tej ekspresji mimo cukierkowych barw i owalnej ramki. Czy ja kiedykolwiek posiadałem taki medalion? Medalion. Przeszedł mnie dreszcz. Pamiętałem ułożenie jej włosów. Znowu poczułem, jakby była bardzo blisko. Gdybym zwrócił głowę w tył, może zobaczyłbym ją w cieniu za mną, z ręką na oparciu krzesła. Nie odwróciłem się. Nic. Stracę panowanie nad sobą, jeśli się stąd nie wydostanę.

— Lestacie! — powiedział David poważnie. Obserwował mnie, desperacko starając się przedłużyć rozmowę. Wskazał na mój płaszcz. — Co masz w tej kieszeni? List, który napisałeś? Chcesz mi go zostawić? Daj mi przeczytać teraz.

— Och, to taka mała, dziwna historyjka — odparłem. — Proszę, weź. Powinna znaleźć się w bibliotece, może na jednej z tych półek.

Wyjąłem mały, pogięty pakunek i przyjrzałem mu się raz jeszcze.

— Tak, czytałem to. Zdziwiałem. Rzuciłem kartki na kolana Davida.

— Jakiś głupi śmiertelnik dał mi to, jakaś zamroczona dusza, która wiedziała, kim jestem i miała dosyć odwagi, by podejść z tym do mnie.

— Wyjaśnij mi — polecił David — dlaczego nosisz to ze sobą? Dobry Boże... Lovecraft. — Pokręcił nieznacznie głową.

— Właśnie to wyjaśniłem — odrzekłem. — Nie ma sensu,

Davidzie. Nie można mnie sprowadzać na dół z wysokiej krawędzi. Idę. Poza tym, ta historia nic nie znaczy. Biedny głupiec...

Miał takie dziwne, błyszczące oczy. Co było złego w sposobie, w jakim biegł przez piasek w moim kierunku, a potem panicznie się wycofał? Zachowywał się tak, jakby wykonywał niezmiernie ważną, lecz równie niebezpieczną misję! Ech, bzdury. Miałem to gdzieś. Wiedziałem, że nic mnie nie obchodzi i wiedziałem, co zamierzam zrobić.

— Lestacie, zostań tutaj! — zażądał David. — Obiecałeś, że kiedy się spotkamy, wysłuchasz wszystkiego, co mam do powiedzenia. Tak pisałeś, pamiętasz? Dotrzymaj słowa.

— Cóż, nie mogę, Davidzie. A ty musisz mi wybaczyć, ponieważ odchodzę. Może nie ma piekła ani nieba i spotkamy się po drugiej stronie.

— A jeśli jest jedno i drugie? Co wtedy?

— Za wiele czytasz Biblii. Przerzuć się na Lovecrafta. — Znowu się zaśmiałem. Wskazałem strony, które trzymał. — Poprawi twój stan umysłu. I na Boga, trzymaj się z dala od *Fausta*. Naprawdę myślisz, że w końcu przyjdą aniołowie i nas zabiorą? Cóż, może nie mnie, ale ciebie?

— Nie idź — powiedział głosem tak miękkim i błagalnym, że odebrało mi dech w piersiach.

Niestety już wychodziłem.

Ledwie słyszałem, jak nawoływał za mną.

— Lestacie, potrzebuję cię. Jesteś jedynym przyjacielem, jakiego mam.

Cóż za dramatyczne słowa! Chciałem powiedzieć, że mi przykro, przeprosić za wszystko. Jednak było już na to za późno. Poza tym myślę, że wiedział.

Wystrzeliłem w górę przez lodowatą ciemność i padający śnieg. Całe życie wydawało mi się niemożliwe do zniesienia. Niewielki domek tam w dole wyglądał na ciepły, ze światłem wylewającym się na biały grunt i kominem wypływającym kłęby niebieskiego dymu.

Ponownie pomyślałem o Davidzie spacerującym samotnie przez Amsterdam, ale potem przypomniałem sobie twarz mistrza. I zobaczyłem oblicze Talbota w ogniu bibliotecznego kominka. Wyglądał jak postać namalowana przez Rembrandta. Zawsze od kiedy tylko pamiętam.

A jak my wyglądaliśmy... na zawsze zamrożeni w formie z okresu, kiedy Ciemna Krew wkroczyła w nasze żyły? Claudia przez dekady była dzieckiem namalowanym na porcelanie. A ja przypominałem jedną ze statuetek Michała Anioła, biały jak marmur i podobnież zimny.

Wiedziałem, że dotrzymam słowa.

Tylko wiecie, w tym wszystkim tkwi potworne kłamstwo. Nie do końca wierzyłem, że mógłbym zostać zabity przez słońce. Cóż, zamierzałem się przekonać.

ROZDZIAŁ 3

Pustynia Gobi.

Dawno temu, w erze gadów, jak nazywali ją ludzie, wielkie jaszczury umierały tysiącami w tej dziwnej części świata. Nikt nie wie, dlaczego tu przyszły i czemu wyginęły. Czy była to kiedyś strefa tropikalnych drzew i dymiących bagien? Nie wiemy. Wszystko, co teraz istnieje w tym miejscu, to jedynie miliony skamieniałości, odzwierciedlających fragmentaryczne historie o gigantycznych gadach, które bez wątpienia wprawiały ziemię w drgawki przy każdym stawianym kroku.

Pustynia Gobi jest więc bezgranicznym cmentarzem i doskonałym miejscem dla mnie, żeby spojrzeć słońcu w twarz. Długo przed wschodem leżałem na piasku, by pozbierać ostatnie myśli.

Sztuka polegała na tym, by wznieść się możliwie najwyżej w atmosferę w kierunku czerwonożłotej kuli. Wtedy, kiedy stracę przytomność, będę spadać w straszliwym żarze i moje ciało zostanie rozerwane na strzępy, które sfruną na grunt pustyni. Wtedy nie zdołam zagrzebać się pod powierzchnią własną, nikczemną siłą woli. Cały pozostanę na miękkiej ziemi.

Poza tym, jeśli podmuch promieni będzie wystarczająco silny, by spalić nagie ciało na tak ogromnej wysokości, może umrę, zanim moje szczątki dotkną piaszczystego, twardego łoża.

Wydawało się to właściwym posunięciem. Nic nie było w stanie mnie powstrzymać. Zastanawiałem się, czy inni nieśmiertelni wiedzą,

co zamierzam zrobić i czy w ogóle ich to obchodzi. Nie wysłałem im żadnych pożegnalnych liścików.

W końcu wielkie ciepło nadchodzącego świtu wpełzło na pustynię. Wstałem z ziemi, ściągnąłem odzienie i zacząłem wspinać się na wzniesienie terenu. Oczy paliły mnie już od bladych promieni światła.

Unosiłem się coraz wyżej, wybijałem ponad strefę, powyżej której moje ciało odmawiało posłuszeństwa. Wreszcie powietrze stało się rozrzedzone, nie mogłem już oddychać i z trudem brnąłem przez atmosferę.

Potem nadeszło światło. Tak wszechobecne, tak gorące, tak oślepiające, że wydawało się wielkim ryczącym hałasem. Ujrzałem żółte i pomarańczowe promienie podrywające wszystko do góry. Gapiłem się w nie i czułem, jakby wrząca woda wlewała mi się do oczu. Chyba otworzyłem usta. Czy chciałem połknąć ten rozwścieczony ogień? Nagle słońce było

moje. Widziałem je, dosięgałem. Potem światło pokryło mnie niczym ciekły ołów, paraliżując i torturując ciało ponad wszelką wytrzymałość. Wyłem z bólu. Jednak nadal nie odwracałem wzroku i nadal nie spadałem!

Dlatego lekceważę cię, niebo! Nagle wypełniła mnie pustka. Poczułem brak słów i myśli. Wirowałem, płynąłem. I kiedy ogarnęły mnie ciemność i chłód, nie było już nic poza utratą przytomności... Zdałem sobie sprawę, że zacząłem spadać.

Słyszałem świst powietrza pędzącego za mną i nawoływania innych, jak mi się zdawało. Poprzez nieznośny, zlewający się ryk dobiegł mnie wyraźnie głos dziecka.

Potem nic...

Czy śniłem?

Byliśmy w zamkniętej salce, w szpitalu pachnącym chorobą i śmiercią, a ja wskazywałem ręką łóżko. Na poduszce leżała dziewczynka, blada, mała i na wpół martwa.

Usłyszałem ostry śmiech. Poczułem woń lampy naftowej, której knot kończył się wypalać.

— Lestacie — powiedziała. Jaki miała piękny, wysoki głosik.

Próbowałem mówić o zamku ojca, o padającym śniegu i psach czekających na mnie. Właśnie tam chciałem iść. Nagle je usłyszałem, głębokie ujadanie dogów, przenoszone echem po zaśnieżonych zboczach. I prawie mogłem dostrzec wieże zamku.

Potem powiedziała:

— Jeszcze nie.

Kiedy się obudziłem, znowu była noc. Leżałem na pustyni. Wokół moich kończyn rozlewała się piaskowa mgła. Czułem ból w całym ciele. Nawet w cebulkach włosów. Cierpiałem do tego stopnia, że nawet nie próbowałem się poruszyć.

Leżałem tak godzinami. Od czasu do czasu cicho mamrotałem. W niczym nie umniejszało to bólu. Kiedy leciutko uniosłem dłoń, czułem, jakby piach składający się z drobnych kawałeczków szkła wcinął się w każdą część mojego ciała.

Myślałem o tych wszystkich, do których mogłem wołać o pomoc. Milczałem. Stopniowo zdawałem sobie sprawę z faktu, że jeśli nie ucieknę stąd, słońce wzejdzie ponownie i spali mnie raz jeszcze. I znowu może nie umrę.

Musiałem pozostać, prawda? Tylko tchórz szukałby teraz schronienia.

Wystarczyło mi spojrzeć przy świetle gwiazd na moje ręce, żeby stwierdzić, iż nie umrę. Byłem spalony, istotnie, moja zbrązowiała skóra wrzeszczała z bólu. Ale nie czułem bliskości śmierci.

Przetoczyłem się na bok i próbowałem odpocząć z twarzą zwróconą do piasku, ale

wcale nie przynosiło to ulgi, podobnie jak wcześniejsze gapienie się w gwiazdy.

Słońce znów nadchodziło. Płakałem, kiedy wielka pomarańczowa jasność oblewała świat wokół mnie. Ból najpierw złapał plecy, a później myślałem, że płonie mi głowa, że zaraz eksploduje, a ogień wyżre oczy. Oszalałem, zanim nadeszła ciemność zapomnienia, absolutnie oszalałem.

Kiedy ocknąłem się następnego wieczoru, czułem piasek w ustach; pokrywał całe moje ciało drżące w agonii. W tym szaleństwie najwyraźniej pogrzebałbym się żywcem.

Przez godziny pozostawałem bez ruchu, myśląc tylko, że żadna istota nie mogłaby wytrzymać takiego cierpienia.

W końcu, kwicząc jak zwierzę, uniosłem się z ziemi. Każdy ruch powodował intensywniejszy ból. Potem wzbiłem się w powietrze i zacząłem powolną podróż na zachód, w noc.

Nie doznałem żadnego uszczerbku mocy. Tylko powierzchnia ciała została dotkliwie uszkodzona.

Wiatr był nieporównywalnie delikatniejszy od piasku. Niemniej również torturował mnie kłując spalone powieki, drapiąc kolana i jakby sztywnymi palcami uderzając w poranioną skórę.

Podróżowałem ostrożnie, kierując się do domu Davida. Czułem cudowną ulgę, kiedy nurkowałem w zimnym mokrym śniegu.

W Anglii właśnie nadchodził świt.

Ponownie wszedłem tylnymi drzwiami, stawiając każdy krok z ogromnym wysiłkiem. Prawie na ślepo znalazłem bibliotekę, przyklęknąłem, ignorując przeszywający ból i ległem na podłodze obok rozciągniętej skóry tygrysa.

Złożyłem głowę obok łba bestii, a policzek naprzeciwko rozwartych szczęk. Taka piękna skóra! Objąłem ją ramionami i poczułem idealną gładkość. Ból chwycił mnie falami. Futro było jedwabiste. Pokój tonął w ciemnościach. W delikatnym odblasku cichych wizji zobaczyłem mangrowe lasy Indii, ujrzałem ciemne twarze i usłyszałem odległe głosy. Raz bardzo wyraźnie widziałem Davida jako młodego człowieka z mojego snu.

Ach, cóż za cudowna zdobycz, ten tryskający życiem młody mężczyzna, pełen krwi oraz zdrowych tkanek, z parą błyszczących oczu, bijącym sercem i pięcioma palcami u każdej dłoni.

Zobaczyłem siebie w starych czasach, spacerującego po Paryżu. Wtedy jeszcze byłem żywy. Nosilem czerwony aksamitny płaszcz i owijałem się skórą z wilków zabitych przeze mnie w rodzinnym Auvergne. Nigdy nie myślałem o istotach czających się w cieniu,

monstrach, które mogą zobaczyć cię i zakochać się w tobie tylko dlatego, że jesteś młody; nie zastanawiałem się nawet nad istnieniem potworów odbierających komuś życie tylko dlatego, iż podziwiają go, bo poszatkował całe stado wilków...

David — łowca! Przepasany postrzępionym materiałem w kolorze khaki, ze wspaniałą spluwą.

Powoli odzyskiwałem świadomość i normalne czucie w członkach. Dobry, stary Lestat, ze swą paranaturalną prędkością. Mimo wszystko ból nadal był niczym żar wypełniający ciało. Wydawało mi się, że dostarczam ciepłego oświetlenia całemu pomieszczeniu.

Poczułem obecność śmiertelników. Jakiś służący wszedł do pokoju i szybko wyszedł. Biedny, stary facet. Rozbawiłem się, kiedy pomyślałem, co zobaczył — ciemnoskórego, nagiego mężczyznę z wypalonymi włosami, leżącego obok skóry tygrysa w ciemnym pokoju.

Nagle podchwyciłem zapach Davida i znów usłyszałem niski, znajomy grzmot krwi krążącej w ludzkim ciele. Krew. Byłem strasznie spragniony. Moje rozpalone oczy i zwęglona skóra błagalnie domagały się pożywienia.

Owinięto mnie miękkim, flanelowym kocem, bardzo lekkim i przyjemnym w dotyku. Potem nastąpiła seria cichych odgłosów. David zaciągał ciężkie draperie na oknach, czego nigdy w zimie nie robił. Pozapychał szpary szmatami tak, by do wewnątrz nie wpadało światło.

— Lestacie — wyszeptał. — Zabiorę cię na dół do piwnicy, tam na pewno będziesz bezpieczny.

— Nie trzeba, Davidzie. Mogę zostać w tym pokoju?

— Tak, oczywiście.

— Dziękuję. — Zacząłem drzemać, a śnieg wpadał przez okna mojego pokoju w zamku, ale teraz było zupełnie inaczej. Jeszcze raz zobaczyłem małe szpitalne łóżko i leżące w nim dziecko. Dzięki Bogu, pielęgniarka odeszła uspokoić małego płaczącego pacjenta. Och, taki straszny, straszny dźwięk. Nienawidziłem go. Chciałem być... gdzie? Oczywiście w domu, w zimowej Francji.

Tym razem lampa naftowa oświetlała dokładnie salon.

— Mówiłam ci, że jeszcze nie... — Sukienka Claudii była idealnie biała, do tego te drobne perłowe guziczki! I cóż za piękny wianek z róż okalał głowę dziewczyny.

— Dlaczego? — chciałem wiedzieć.

— Co mówiłeś? — zapytał David.

— Rozmawiam z Claudią — wyjaśniłem.

Siedziała w fotelu z nogami wyciągniętymi przed siebie i palcami u nóg skierowanymi w stronę sufitu. A gdzie satynowe pantofle? Chwyciłem jej kostkę i pocałowałem. Kiedy uniosłem wzrok, zobaczyłem podbródek oraz rzęsy. Patrzyłem, jak odrzuca głowę w tył i wybucha pochodzącym z głębi duszy śmiechem.

— Są tam inni — powiedział David.

Otworzyłem oczy, choć kosztowało mnie to wiele wysiłku. Ujrzałem mroczne kontury pokoju. Słońce nadchodziło powoli. Pod palcami poczułem kły tygrysa. Ach, jakież cenny łup, ta bestia. David stał przy oknie. Wyglądał przez wąską szczelinę między zasłonami.

— Tam — kontynuował. — Przyszli zobaczyć, czy wszystko z tobą w porządku.

Wyobraźcie sobie!

— Kim są? — Nie słyszałem ich, nie chciałem, by cokolwiek mówili. Czy to Marius? Na pewno nie ci antyczni. Dlaczego przejmowałiby się taką sprawą?

— Nie mam pojęcia — odparł David. — Ale przyszli.

— Znasz starą historię — szepnąłem. — Zignoruj ich, a znikną. Tak czy inaczej już prawie świta. Będą musieli odejść. Z pewnością cię nie skrzywdzą, Davidzie.

— Wiem.

— Nie czytaj w moich myślach, jeśli nie pozwalasz mi czytać w swoich — powiedziałem.

— Nie złość się. Nikt nie wejdzie do tego pokoju i nie będzie ci przeszkadzał.

— Uważaj, mogę być niebezpieczeństwem nawet w czasie odpoczynku... — chciałem powiedzieć więcej, by go ostrzec, ale zdałem sobie sprawę, że jest tym śmiertelnikiem, który nie potrzebuje żadnych ostrzeżeń. Talamasca. Uczeni nauk paranormalnych. On wiedział.

— Teraz śpij — polecił.

Musiałem się roześmiać. Co innego mogę robić, kiedy wschodzi słońce? Nawet jeśli świeci prosto w moją twarz. A głos Davida brzmiał tak poważnie i uspokajająco.

Pomyśleć, że w dawnych czasach zawsze miałem trumnę i czasami polerowałem ją, aż drewno lśniło niczym lustro. Potem czyściłem krucyfiks ozdabiający wierzch i śmiałem się z siebie, ze sposobu, w jaki troskliwie pieściłem figurkę Chrystusa, Syna Bożego. Uwielbiałem satynowe wyłożenie wnętrza, symboliczny moment powstawania z grobu... Ale już nigdy...

Promienie słoneczne stawały się coraz bardziej przenikliwe, choć chłodne, zimowe, typowo angielskie. Czuję to na pewno. Nagle zacząłem się bać. Czuję jasność oblewającą grunt na zewnątrz i uderzającą w szyby. Jednakże po tej stronie aksamitnych zasłon panowała ciemność.

Zobaczyłem, jak ogień zapłonął w małej naftowej lampce. Przestraszyłem się,

ponieważ cierpiałem straszne męki, a to, choć osłonięte szklanym kloszem, były płomienie. Jej małe, zaokrąglone paluszki na złotym kluczu i ten pierścionek z drobnym diamentem, który jej dałem. A co z medalionem? Czy powinienem zapytać ją o medalion? *Claudio, czy kiedykolwiek był tam złoty medalion...?*

Płomień wznosił się coraz wyżej. Znów ten aromat. Jej pomarszczona ręka. W całym mieszkaniu na Rue Royale czuło się zapach nafty. Ach, te stare kruche ściany, piękne ręcznie rzeźbione meble i Louis piszący przy biurku, ostra woń czarnego tuszu, monotonne skrobanie kulkowego pióra...

Jej mała dłoń dotykała mojego policzka, tak cudownie chłodna, i ten subtelny dreszcz, który przebiega ciało, kiedy dotyka mnie któryś z naszych, *nasza skóra*.

— Dlaczego ktokolwiek miałby chcieć, żebym żył? — zapytałem. A przynajmniej zacząłem wypowiadać słowa... a potem po prostu odszedłem.

ROZDZIAŁ 4

Zmierzch. Ból był nadal olbrzymi. Bałem się uczynić choćby najmniejszy gest. Skóra na klatce piersiowej i nogach napinała się i swędziała, co potęgowało cierpienie.

Nawet pieniące się wściekle pragnienie i zapach krwi służby domowej nie były w stanie zmusić mnie do ruchu. Wiedziałem, że David czekał, ale nie rozmawiałem z nim. Wydawało mi się, iż jeśli spróbuję tylko uchylić usta, rozplączę się z bólu.

Spałem i coś mi się śniło, ale nie pamiętałem niczego, gdy otworzyłem oczy. Ponownie zobaczyłem lampę naftową i światło wciąż mnie przerażało. Podobnie jak głos Claudii.

Raz obudziłem się i przemówiłem do niej w ciemnościach.

— Dlaczego ty ze wszystkich ludzi? Dlaczego pojawiaasz się w moich snach? Gdzie masz ten cholerny nóż?

Z wdzięcznością powitałem nadejście świtu. Celowo zagryzłem usta, by nie krzyczeć z bólu. Kiedy obudziłem się w nocy, czułem się nieco lepiej. Całe ciało pozostało jednak nadal obolałe. Mimo to agonia najwyraźniej minęła. W dalszym ciągu leżałem na miękkiej tygrysięj skórze. W pokoju panował przyjemny chłód.

W kamiennym kominku wykończonym łukiem, na tle przyczer-nionych cegieł zobaczyłem stos polan. Dostrzegłem też podpałkę i kawałek zgniecionej gazety. Wszystko przygotowane. Hmmm. Ktoś znajdował się w pobliżu, kiedy spałem. Miałem nadzieję, że nie sięgnąłem, jak czasami robimy w transie, i nie wyssałem biedaka.

Zaniknąłem oczy i słuchałem. Śnieg padał na dach, zasypywać komin. Ponownie podniosłem powieki i ujrzałem świecące wilgocią plamki na polanach.

Potem skoncentrowałem się i wyplułem z siebie ładunek energii, który niczym długi, cienki język dotknął podpałki. Zająła się natychmiast maleńkimi, roztańczonymi płomykami. Gruba, zaskorupiała powłoka polan zaczęła się rozgrzewać, a nawet pokrywać pęcherzykami. Ogień buzował.

Poczułem nagłe ukłucie przeszywającego bólu na policzkach i czole, gdy światło pojaśniało. Interesujące. Podciągnąłem się na kolana, a potem wstałem. Byłem sam w pokoju. Spojrzałem na mosiężną lampę obok krzesła Davida. Odwróciłem ją z charakterystycznym, cichym, metalicznym brzękiem.

Na krześle leżało ubranie, para nowych spodni z grubej ciemnej flaneli, biała bawełniana koszula i bezkształtna marynarka ze starej wełny. Wszystkie rzeczy były trochę za

duże na mnie. Należały do Davida. Nawet obszyte futrem buty okazały się zbyt wielkie. Chciałem się jednak ubrać. Znalazłem też grzebień do włosów i prostą, bawełnianą bieliznę, typową dla dwudziestego wieku.

Ubierałem się powoli, odczuwając jedynie pulsującą boleść, gdy przeciągałem materiałem po skórze. Czaszka pękała mi, gdy cesałem włosy. W końcu po prostu zacząłem potrząsać głową, dopóki piasek i kurz nie zostały wytrzepane na gruby dywan i zniknęły z widoku. Wkładanie butów stanowiło samą przyjemność. Teraz potrzebne mi było lustro.

Znalazłem jedno w holu; stare, ciemne zwierciadło w ciężkiej złoczonej ramie. Z otwartych drzwi biblioteki padało dość światła, by widzieć się wyraźnie.

Przez moment nie całkiem wierzyłem w to, co ujrzałem. Cała skóra była gładka, idealnie nieskazitelna jak zawsze. Jednak teraz miała barwę bursztynu, podobną do ramy lustra, lśniła lekko, nie bardziej niż u śmiertelnika, który spędził długi, luksusowy pobyt nad południowym morzem.

Brwi i rzęsy odcinały się kontrastowo, jak zawsze w przypadku jasnowłosych opalonych osób. Nieliczne zmarszczki na twarzy, pamiątki Mrocznego Daru, wryły nieco głębsze bruzdy. Mówię tu o dwóch małych przecinkach w kącikach ust, rezultacie częstego uśmiechania się, gdy jeszcze żyłem, i o paru liniach w okolicy oczu,

a także jednej czy dwóch bruzdach na czole. Miło było zobaczyć je ponownie po tak długiej przerwie.

Ręce ucierpiały najbardziej. Wyglądały ciemniej niż twarz i robiły wrażenie całkiem ludzkich, zdobiły je liczne drobne zmarszczki, co od razu przywiodło mi na myśl dłonie śmiertelników.

Paznokcie nadal lśniły w sposób, który mógł zaalarmować większość ludzi, ale wystarczyło po prostu wetrzeć w nie nieco popiołu. A oczy to odrębny problem. Nigdy jeszcze nie wydawały się tak jasne i opalizujące. Potrzebowałem w związku z tym pary ciemnych okularów. Na szczęście nie musiałem już nosić maski kryjącej błyszczącą białą skórę.

Taaak, jest idealnie, pomyślałem, patrząc na własne odbicie. Wyglądasz prawie jak człowiek! Czuję tępy ból we wszystkich spalonych tkankach, ale byłem z niego zadowolony, gdyż przypomniał mi o kształcie mojego ciała, o jego ludzkich rozmiarach.

Mógłbym krzyknąć. Zamiast tego jednak modliłem się w duszy. Wiedziałem, że jeśli efekt kiedyś ustąpi, zdecyduję się na powtórkę.

Potem nadeszła dość druzgocąca świadomość pewnego ważnego faktu — miałem się unicestwić, nie udoskonalić aparycję tak, by móc funkcjonować wśród ludzi. Przecież

chciałem umrzeć. A jeśli słońce pustyni Gobi mnie nie zabiło... jeśli cały dzień leżenia w słońcu, a potem drugi zachód...

Ach, ale ty tchórze, pomyślałem, mogłeś przecież znaleźć sposób pozostania na powierzchni przez drugi dzień! Mogłeś?

— Dzięki Bogu, że zdecydowałeś się wrócić.

Odwróciłem się i ujrzałem wchodzącego do holu Davida. Właśnie wrócił do domu, jego ciężki, ciemny płaszcz był mokry od śniegu. Nie zmienił jeszcze butów.

Zatrzymał się gwałtownie i uważnie oszacował mnie od stóp do głów, wyęzając wzrok, by przezwyciężyć grę cieni.

— Ach, ubranie pasuje — oznajmił. — Wielki Boże. Wyglądasz jak jeden z mieszkańców wysp Pacyfiku lub tych młodych ludzi, którzy spędzają całe życie w kurortach i na uprawianiu surfingu.

Posłałem mu uśmiech.

Odważnie wyciągnął rękę i ujął moją dłoń. Poprowadził mnie do biblioteki, gdzie teraz energicznie płonął ogień. Raz jeszcze dokładnie obejrzał całą postać.

— Koniec bólu? — zapytał niezobowiązująco.

— Coś odczuwam, ale niezupełnie to, co nazywamy bólem. Odchodzę na chwilę. Och, nie martw się. Wrócę. Jestem spragniony. Muszę zapolować.

Jego twarz skamieniała, ale nie na tyle, bym nie widział ledwo dostrzegalnie zaróżowionych krwią policzków czy maleńkich żyłek w oczach.

— Cóż, co myślałeś? — zapytałem. — Że z tym skończyłem?

— Nie, oczywiście nie.

— Może zatem chcesz pójść i popatrzeć?

Nie odpowiedział, ale widziałem, że go przestraszyłem.

— Musisz pamiętać, kim jestem — oznajmiłem. — Kiedy mi pomagasz, podajesz rękę diabłu — uczyniłem gest w stronę nadal leżącej na stole kopii *Fausta*. Była tam też historia *Lo-vecrafta*. Hmmm.

— Nie musisz jednak zabijać, nieprawdaż? — powiedział poważnie.

Cóż za okrutne pytanie. Wydałem szydery odgłos.

— Lubię odbierać życie — odparłem, przybierając pozę atakującego tygrysa. — Jestem myśliwym jak niegdyś ty. To zabawne.

Przyglądał mi się przez długi moment, z twarzą pełną zakłopotania, a potem kiwnął głową, jakby w wyrazie akceptacji. Jednak tak naprawdę był od niej daleki.

— Zjedz kolację, nim wrócę — zaproponowałem. — Na pewno jesteś głodny. Czuję,

że gdzieś w domu smaży się mięso. Możesz być pewien, że przed powrotem skonsumuję obfity posiłek.

— Z wielką determinacją pragniesz dobrze dać mi się poznać, czyż nie? — zapytał.
— Żeby nie popaść w sentymentalizm czy błąd.

— Dokładnie. — Cofnąłem wargi i na moment pokazałem mu kły. Były właściwie bardzo małe, nie mogły równać się z zębami lamparta czy tygrysa, z którymi tak się niegdyś lubił zadawać. Jednak ten grymas zawsze przerażał śmiertelników. A nawet więcej. Szokował ich. Wysyłał pierwotną informację nakazującą trzymanie się na baczności.

David zbladł. Stał w bezruchu, patrząc na mnie. Stopniowo ciepło i serdeczność wracały na jego oblicze.

— Bardzo dobrze — powiedział. — Będę tu, gdy przyjdiesz ponownie. A jeśli tego nie zrobisz, wścieknę się straszliwie! Nie przemówię do ciebie już nigdy, przysięgam. Zawiedziesz mnie dzisiaj, koniec z przyjaźnią. Oznaczałoby to zbrodnię przeciwko gościnności. Zrozumiałeś?

— Dobrze, dobrze! — odrzekłem, lekceważąco podnosząc w górę ramiona, choć w gruncie *rzeczy* wzruszyło mnie, iż pożałował mojej obecności. Wcześniej nie byłem tak do końca pewny i zachowywałem się niezbyt grzecznie. — Wrócę. Poza tym chcę wiedzieć.

— Co?

— Dlaczego nie obawiasz się śmierci?

— Cóż, ty także jej się nie boisz, prawda?

Nie odpowiedziałem. Znowu zobaczyłem słońce, olbrzymią kulę ognia stojącą się ziemią i niebem. Wzdrygnąłem się lekko. Potem ujrzałem lampę naftową ze snów.

— O co chodzi? — zapytał.

— Owszem, boję się śmierci — odparłem, podkreślając wypowiedź kiwnięciem głowy. — Wszystkie moje iluzje legły w gruzach.

— Miewasz złudzenia? — zapytał szczerze.

— Oczywiście. Jednym z nich było to, że nikt tak naprawdę nie mógłby odmówić Mrocznego Daru, jeśli wie...

— Lestacie, muszę ci przypomnieć, że sam odmówiłeś.

— Davidzie, byłem chłopcem. Zostałem zmuszony. Walczyłem instynktownie. Nie miało to nic wspólnego z wiedzą.

— Nie oszukuj się w ten sposób. Sądzę, że nawet w pełni rozumiejąc, postąpiłbyś podobnie.

— Mówimy tu o iluzjach a ja jestem zwyczajnie głodny — oświadczyłem. — Jestem

głodny. Zejdź mi z drogi albo cię zabiję.

— Nie wierzę ci. Lepiej wróć.

— Wróć. Tym razem dotrzymam obietnicy danej w liście. Opowiesz wszystko, co chcesz z siebie wyrzucić.

Znów polowałem na ulicach Londynu. Włóczyłem się blisko Charing Cross Station, szukając jakiegoś drobnego rzezimieszka, który krzyczałby pełną piersią. Pragnąłem jego krwi, nawet gdyby małe ambicje ofiary napełniły moją duszę goryczą. Jednak nie potoczyło się to w ten sposób.

W pobliżu szła stara, sapiąca kobieta w brudnym płaszczu, ze stopami owiniętymi brudnymi szmatami. Wyglądała na szaloną i mocno przeziębioną. Pewnie i tak by umarła przed świtem. Najwidoczniej umknęła tylnymi drzwiami z jakiegoś miejsca, gdzie próbowali ją zamknąć, bo przeklinała cały świat. Była zdeterminowana nie dać się ponownie złapać.

Zostaliśmy wspaniałymi kochankami! Potrafiła mnie nazwać i miała wiele ciepłych wspomnień, więc tańczyliśmy razem w rynsztoku, ona i ja, trzymałem ją długi czas w ramionach. Była bardzo dobrze odżywiona, jak wielu żebraków w tym stuleciu, kiedy w krajach Zachodu nie brak żywności. Piłem powoli, och, wolniutko, smakując ją i czując gorączkę w całej spalonej skórze.

Kiedy seans dobiegł końca, uświadomiłem sobie, że złapałem przeziębienie. Z wielką ostrożnością odbierałem wszelkie fluktuacje temperatury. Interesujące.

Chłostał mnie wiatr. Nienawidziałem tego. Może coś z mojego ciała rzeczywiście spłonęło. Nie widziałem. Czułem wilgotne zimno w stopach, a dłonie bolały tak, że musiałem ukryć je w kieszeniach. Ponownie wróciły wspomnienia francuskiej zimy, mojego ostatniego roku w domu, młodego śmiertelnika, wiejskiego lorda z łóżem z siana i tylko psami do towarzystwa. Nagle wydało mi się, że cała krew świata nie wystarczy, bym mógł się nasycić. Raz po raz nadchodziła pora jedzenia.

Byli wyrzutkami, wszyscy z nich, wabieni w lodową ciemność z chat na śmietniskach, z góry skazani na śmierć, jak sobie mówiłem; lamentujący i świętujący pomiędzy fetorem zjełczałego potu, uryny i flegmy. Krew jednak zawsze pozostawała krwią.

Gdy zegary biły dziesiątą, ponownie odczuwałem pragnienie, a ofiar miałem pod dostatkiem, ale byłem już zmęczony i wszystko przestało się liczyć.

Zawędrowałem przez kolejne przecznice do ekskluzywnego West Endu i wstąpiłem do ciemnego sklepiku pełnego eleganckich, doskonale skrojonych ubrań dla dżentelmenów — ech, gotowe bogactwo tych lat — gdzie przyodziałem się zgodnie z moim gustem w szare tweedowe spodnie i płaszcz z paskiem, gruby sweter z białej wełny, a nawet parę

bladozielonych ciemnych okularów przeciwsłonecznych w delikatnej złotej oprawce. Następnie wróciłem w chłodną noc pełną wirujących płatków śniegu, śpiewając sobie i stepując pod lampą uliczną, jak robiłem to z Claudią i...

Łup! Łup! Rzucił się na mnie licho odziany młody osiłek z oddechem przepojonym winem. Wyciągnął nóż; zamierzał mnie zamordować za pieniądze, których nie miałem, co przypomniało mi, jak bardzo nie lubiłem roli złodzieja, choć właśnie ukradłem zestaw eleganckich ubrań. Hmm. Ponownie jednak zatraciłem się w mocnym, gorącym uścisku, miażdżąc draniowi żebra, ssąc do sucha jak martwego szczura na strychu, a on ginął w zdumieniu i ekstazie, jedną ręką do końca szarpiąc boleśnie moje włosy.

Miał w kieszeni trochę pieniędzy. Co za szczęście. Zostawiłem je w sklepie jako zapłatę za ubranie, które wziąłem. Suma wydawała mi się adekwatna, ale nie jestem zbyt dobry z arytmetyki, choć posiadam wiele nadprzyrodzonych umiejętności. Potem napisałem karteczkę z podziękowaniem, bez podpisu ma się rozumieć. Zniknąłem drzwiami sklepu kilkoma telepatycznymi obrotami i ruszyłem dalej.

ROZDZIAŁ 5

Kiedy dotarłem do Talbot Manor, zegar właśnie wybijał północ. Obserwowałem to miejsce, jakbym nigdy wcześniej go nie widział. Teraz miałem czas, by wydeptywać w śniegu labirynt, studiować wzór ostrzyżonych zarośli i wyobrażać sobie, jak ogród wygląda wiosną. Piękna, stara posiadłość.

Potem podziwiałem ciemne, małe pokoiki zbudowane tak, aby stawiać czoło mroźnym angielskim zimom i nieduże, dzielone kamiennymi słupkami gotyckie okna, z których większość promieniowała zapraszającym światłem, przyzywała ze śnieżnej ciemności.

David najwidoczniej skończył kolację i służba — staruszek i kobieta — wciąż pracowała w kuchni pod schodami, podczas gdy ich pan zmieniał ubranie w sypialni na drugim piętrze.

Patrzyłem, jak nakładał na piżamę długi czarny szlafrok z aksamitnymi klapami i szarfą. Wyglądał w nim jak duchowny, chociaż szata była zbyt strojna jak na sutannę, szczególnie z białym szalem owiniętym wokół szyi.

Potem udał się na dół.

Wszedłem przez moje ulubione drzwi w końcu korytarza i dołączyłem do przyjaciela w bibliotece, gdy pochylał się nad kominkiem.

— Ach, wróciłeś — powiedział, próbując ukryć radość. — Wielki Boże, przychodzisz i odchodzisz tak cicho!

— Owszem, to irytujące, czyż nie? — Spojrzałem na leżącą na stole Biblię, *Fausta* i opowiadanie Lovecrafta, wciąż spięte klamrą,

ale wygładzone. Obok stała karafka ze szkocką i piękny kryształowy kielich z grubym dnem.

Wpatrywałem się w opowiadanie i wracały do mnie wspomnienia o młodym, niecierpliwym mężczyźnie. Poruszał się w niezwykle dziwny sposób. Przez moje ciało przebiegł lekki dreszcz na myśl o tym, że zauważył mnie w trzech zupełnie różnych miejscach. Prawdopodobnie nigdy go już nie zobaczę. Z drugiej strony... Miałem jeszcze czas na ponowne spotkanie z tym utrapionym śmiertelnikiem. Teraz mój umysł zajmowała osoba Davida i rozkoszna świadomość, że przed nami cała noc, którą spędzimy na rozmowie.

— Skąd wytrzasnąłeś te wspaniałe ciuchy? — zapytał Talbot. Powoli przesunął po mnie wzrokiem, nie spostrzegając chyba mojego zainteresowania książkami.

— Och, z jakiegoś małego sklepiku. Nigdy nie zdzierałem odzienia ze swoich ofiar,

jeżeli to miałeś na myśli. Poza tym jestem zbyt oddany niskim klasom, a ich przedstawiciele nie ubierają się stosownie.

Usadawiłem się naprzeciwko niego w fotelu, który można było teraz nazwać moim. Mebel sporządzono z grubej, giętkiej skóry, miał trzeszczące sprężyny, ale siedziało się w nim bardzo wygodnie opierając plecy na wysokim, hakowatym oparciu, a łokcie na szerokich, solidnych poręczach. Krzesło właściciela majątku nie dorównywało mojemu, ale było równie komfortowe, chociaż trochę pomarszczone i zniszczone.

David stał w blasku płomieni i obserwował mnie. Potem również zajął miejsce. Wyjął szklany korek z kryształowej karafki, napełnił kielich i uniósł go w milczącym toaście.

Pociągnął głęboki łyk i skrzywił się lekko, gdy ciecz rozgrzała gardło.

Nagle, niezwykle żywo przypomniałem sobie szczególne odczucie. Opanowało mnie wspomnienie przebywania na strychu stodoły w mojej posiadłości we Francji i picia koniaku jak teraz David, a nawet identycznego grymasu, oraz mojej śmiertelnej przyjaciółki i kochanki, Nicki, wrywającej mi chciwie butelkę z ręki.

— Widzę, że znów jesteś sobą — rzekł David z nagłą serdecznością, zniżając nieco głos. Usadził się wygodnie i odstawił kielich na prawą poręcz krzesła. Wyglądał bardzo dystyngowanie, choć dużo swobodniej niż kiedykolwiek. Włosy miał grube i falujące, w pięknym odcieniu szarości.

— Wyglądam na siebie? — zapytałem.

— Masz ten figlarny wyraz oczu — odparł szeptem, nadal obserwując mnie przenikliwym wzrokiem. — Na twoich ustach gości maleńki uśmiezek, który znika, gdy zaczynasz mówić. I skóra... widać zauważalną różnicę. Modłę się, byś nie cierpiał. Nie cierpisz, prawda?

Odpowiedziałem lekceważącym gestem. Słyszałem bicie jego serca. Było nieco słabsze niż ostatnio w Amsterdamie. Od czasu do czasu mięsień pracował nieregularnie.

— Jak długo twoja skóra pozostanie ciemna? — zapytał.

— Może przez lata, jak powiedział mi jeden ze starożytnych. Czy nie pisałem o tym w *Królowej przeklętych!* — Pomyślałem o Mariusie i o tym, jaki był na mnie wściekły. Nigdy nie zaaprobowałby tego, co zrobiłem.

— Mówisz o rudowłosej Maharet — rzekł David. — W twojej książce twierdziła, że wleciała ku słońcu tylko po to, by przyciemnić skórę.

— Jaka odwaga — szepnąłem. — A ty nie wierzysz w jej istnienie, prawda? Chociaż siedzę tu teraz z tobą.

— Och, mylisz się. Wierzę w nią. Tak jak we wszystko, co napisałeś. Ale znam cię!

Powiedz mi, co naprawdę wydarzyło się na pustyni? Rzeczywiście miałeś nadzieję, że umrzesz?

— Wiedziałem, że zadasz to pytanie prosto z mostu, Davidzie — westchnąłem. — Cóż, nie mogę przyznać, iż naprawdę w to wierzyłem. Prawdopodobnie robiłem swoje zwykłe sztuczki. Przysięgam na Boga, że nie łżę w rozmowach z innymi. Okłamuję jednak siebie. Nie sądzę, bym mógł teraz umrzeć, przynajmniej nie w sposób, jaki potrafiłem sam wykombinować.

Wydał głębokie westchnienie.

— Więc dlaczego ty nie boisz się śmierci, Davidzie? Nie zamierzam zadrećcać cię starą ofertą. Mówiąc szczerze, nic nie rozumiem. Naprawdę nie obawiasz się śmierci i tego właśnie nie jestem w stanie pojąć. Ponieważ możesz umrzeć.

Czy miał wątpliwości? Nie odpowiedział natychmiast. Jednak widziałem, że jest silnie ożywiony. Nieomal czułem, jak pracuje jego umysł, chociaż oczywiście nie mogłem słyszeć myśli.

— Dlaczego *Faust*, Davidzie? Czy jestem Mefistofešem? — zapytałem. — A ty Faustem?

Potrząsnął głową.

— Mogę być Faustem — odparł w końcu, dolewając sobie szkockiej — ale ty nie jesteś diabłem, to oczywiste. — Westchnął.

— A jednak zrujnowałem ci część życia, czyż nie? Wiedziałem to w Amsterdamie. Nie opuściłbyś Domu, gdybyś nie musiał. Nie doprowadzam cię do szaleństwa, ale wywieram zły wpływ, prawda?

Ponownie nie odpowiedział od razu. Wpatrywał się we mnie wielkimi, wyrazistymi czarnymi oczami i najwidoczniej oceniał pytanie pod różnymi kątami. Głębokie linie jego twarzy — bruzdy na czole, zmarszczki w kącikach oczu i dookoła ust — podkreślały dobrotliwy, jowialny i otwarty wyraz twarzy. Nie dostrzegłem zgorzknienia, ale pod powierzchnią krył się smutek i głęboka refleksja, sięgająca daleko w głąb życia.

— I tak by do tego doszło, Lestacie — rzekł w końcu. — Są powody, dla których powinienem wycofać się ze stanowiska dyrektora generalnego. Jestem pewny, że i tak doszłoby do tego — powtórzył.

— Nie rozumiem. Myślałem, że wszystkimi korzeniami głęboko tkwiłeś w pracy organizacji, że tym właśnie żyłeś.

Potrząsnął głową.

— Zawsze miałem wątpliwości co do swojej kandydatury na członka Talamaski.

Wspominałem, jak spędziłem młodość w Indiach. Mogłem tak żyć. Nie jestem uczonym w sensie kontynentalnym, nigdy nie byłem. Pomimo to przypominam Fausta ze sztuki. Doszedłem niemal sędziwego wieku i nie poznałem sekretów wszechświata. Wcale nie. Gdy byłem młody, sądziłem inaczej. Po raz pierwszy miałem... wizję. Poznałem czarownicę, usłyszałem głos duszy, wyzwalałem ją i zmusiłem do spełnienia moich rozkazów. Myślałem, że tak było! Myliłem się jednak. To sprawy przyziemne... doczesne tajemnice, których nigdy nie rozwiążę w żaden sposób.

Urwał, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, coś szczególnego. Jednak potem po prostu uniósł kielich i pił prawie automatycznie, tym razem bez krzywienia się, jak w przypadku pierwszego drinka. Spojrzał na szkło i ponownie napełnił je alkoholem z karafki.

Nienawidziłem niemożności odczytania jego myśli, tego, że nie potrafiłem wychwycić najlżejszej emanacji uczuć z podtekstu słów.

— Wiesz, dlaczego zostałem członkiem Talamaski? — zapytał. — Nie miałem nic wspólnego z nauką. Nigdy nie myślałem, że zostanę przykuty do Domu-Matki, że będę brnął przez dokumenty, wpisując dane do komputera i wysyłając faksy na cały świat. Nic podobnego. Wszystko zaczęło się od kolejnej wyprawy, nowego wyzwania, podróży do odległej Brazylii. To tam odkryłem okultyzm, w małych, krętych uliczkach starego Rio. Był ekscytujący, niebezpieczny jak wcześniejsze polowania na tygrysy. Właśnie niebezpieczeństwo mnie najbardziej pociągało. Nie wiem, jak to się stało, że tak się od niego oddaliłem.

Nie odpowiedziałem, ale stało się dla mnie jasne, że niebezpieczeństwo czai się w znajomości ze mną. Musiał je lubić. Sądziłem wcześniej, iż cechuje go naiwność uczonego, ale teraz zmieniłem zdanie.

— Tak — powiedział nagle, a oczy rozszerzyły się w miarę wypływania na twarz uśmiechu. — Dokładnie. Chociaż szczerze mówiąc, nie wierzę, że mógłbyś mnie skrzywdzić.

— Nie oszukuj się — odpowiedziałem gwałtownie. — Popelniasz stary grzech. Wierzysz w to, co widzisz. A ja nie jestem tym, co widzisz.

— Jak to?

— Ach, daj spokój. Wyglądam jak anioł, lecz w rzeczywistości tkwi we mnie jedynie zło. Odwieczne prawa natury rządzą istotami mi podobnymi. Jesteśmy piękni jak wąż diamentowy czy prądkowany tygrys, ale zabijamy bezlitośnie. Nie pozwól zwieść się oczom. Nie chcę się jednak z tobą kłócić. Opowiedz tę historię. Co wydarzyło się w Rio? Bardzo chcę wiedzieć.

Kiedy mówiłem te słowa, ogarnął mnie pewien smutek. Chciałem rzec: jeżeli nie

mogę mieć cię za kompana-wampira, pozwól przyjaźnić mi się ze sobą jako śmiertelnikiem. Współprzebywanie z Davidem podniecało mnie, miękko i namacalnie.

— W porządku — oznajmił — wyraziłeś swoją opinię i teraz ją znam. Zbliżając się do ciebie lata temu w audytorium, gdzie śpiewałeś, widząc cię po raz pierwszy, gdy przyszedłeś do mnie, czułem pociągające niebezpieczeństwo. A ty kuśiłeś swoją ofertą. To również było niebezpieczne. Obaj wiemy, że jestem jedynie człowiekiem.

Szczęśliwy odchyliłem się w tył na krzesło, podkurczyłem nogę i zagłębiłem obcas w skórzane siedzenie.

— Lubię, gdy ludzie się mnie trochę boją — skomentowałem, wzruszając ramionami. — Ale mów wreszcie, co wydarzyło się w Rio.

— Zetknąłem się twarzą w twarz z religią dusz — oznajmił David. — Candomble. Znasz to słowo?

Ponownie wzruszyłem ramionami.

— Słyszałem je raz czy dwa — odparłem. — Wybiorę się kiedyś do Ameryki Południowej, może wkrótce. — Pomyślałem o tempie życia wielkich miast, deszczowych lasach i Amazonce. Tak, miałem ochotę na podobną przygodę, a rozpacz, która zawiodła mnie na Gobi, odeszła w zapomnienie. Cieszyłem się, że wciąż żyję i w duchu nie wstydzilem się tego.

— Och, gdybym mógł ponownie zobaczyć Rio — rzekł David cicho, bardziej do siebie niż do mnie. — Oczywiście nie jest już tym, czym było. To świat drapaczy chmur i wielkich, luksusowych hoteli. A jednak strasznie chciałbym znów ujrzeć pokręconą linię brzegu, góry Sugar Loaf i statuę Chrystusa na szczycie Corcovado. Nie wierzę, że na świecie jest ciekawszy fragment łądu. Dlaczego przeżyłem tak wiele lat z dala od Rio?

— Nie możesz pojechać? — zapytałem. Nagle wyczułem w nim silną warstwę ochronną. — Z pewnością ta banda mnichów w Londynie nie może powstrzymać cię od wyjazdu. Poza tym jesteś szefem.

Roześmiał się w dżentelmeński sposób.

— Nie zatrzymaliby mnie — potwierdził. — Chodzi o to, czy mam jeszcze wystarczającą wytrzymałość zarówno umysłową, jak i fizyczną. Jednak to teraz bez znaczenia. Chciałem ci powiedzieć, co się stało. A może ma znaczenie. Nie wiem.

— Czy dysponowałbyś środkami na wyjazd do Brazylii?

— Och, tak, to nigdy nie stanowiło problemu. Ojciec miał żyłkę do zarabiania pieniędzy. W konsekwencji pozwoliło mi to nie zawracać sobie nimi głowy.

— Gdybyś nie miał funduszy, dałbym ci je.

Posłał mi jeden z najserdeczniejszych, najbardziej tolerancyjnych uśmiechów.

— Jestem stary — powiedział — samotny i głupi w sensie, w jakim musi być każdy człowiek dysponujący wiedzą. Jednak, dzięki niebiosom, nigdy nie należałem do ludzi ubogich.

— Co zatem wydarzyło się w Brazylii? Jaki był początek owej przygody?

Wyrzucił z siebie parę słów, lecz szybko umilkł.

— Naprawdę chcesz pozostać i wysłuchać, co mam do powiedzenia?

— Tak — odparłem natychmiast. — Proszę. — Uświadomiłem sobie, że niczego bardziej nie pragnę. Nie miałem w sercu ani innego planu, ani ambicji, ani myśli o czymkolwiek poza byciem z nim. Prostota sytuacji jakoś mnie oszołomiła.

Nadal jednak ociągał się z rozpoczęciem zwierzeń. Następnie zaszła w nim subtelna zmiana, rodzaj odprężenia, może ustępliwości. W końcu zaczął.

— Było to po drugiej wojnie światowej — rzekł. — Indie mojego dzieciństwa odeszły. A poza tym pragnąłem odwiedzić nowe miejsca. Wyruszyłem z przyjaciółmi na ekspedycję łowiecką do dżungli nad Amazonką. Opanowała mnie obsesja zgłębiania dzikiej Amazonii. Tropiliśmy wielkiego jaguara... — Wskazał gestem nakrapianą skórę, której nie zauważyłem wcześniej, udrapowaną na stojaku w kącie pokoju. — Strasznie chciałem dopaść tego kota.

— Wygląda na to, że ci się udało.

— Nie tak od razu — rzekł z krótkim, ironicznym śmiechem. — Zdecydowaliśmy poprzedzić naszą wyprawę luksusowymi wakacjami w Rio, parę tygodni na plaży Copacabana i w starych, kolonialnych miastach — klasztory, kościoły i tym podobne. Musisz zrozumieć, że centrum miasta wyglądało wtedy inaczej, mrowisko małych, wąskich uliczek i wspianiała, stara architektura! Jakże tego pożądałem, czystego, lecz jakże obcego piękna, które powoduje, że my Anglicy wyruszamy do tropików. Uciekamy od własności oraz tradycji i zanurzamy się w jakiejś dzikiej kulturze, nie dającej się ani oswoić, ani do końca zrozumieć.

Kiedy mówił, zmieniała się cała jego postawa; stawał się jeszcze bardziej energiczny i ożywiony, oczy jaśniały, a słowa z szorstkim brytyjskim akcentem, który uwielbiałem, płynęły coraz szybciej.

— Cóż, widok miasta przekraczał wszelkie oczekiwania. Jednak najbardziej pociągający byli ludzie. Brazylijczycy diametralnie różnią się od pozostałych mieszkańców Ziemi. Przede wszystkim są piękni, i nikt nie wie dlaczego, choć każdy zgadza się z tą opinią. Nie. Mówię poważnie — wyjaśnił pospiesznie, widząc mój uśmiech. —

Może to mieszanka krwi portugalskiej i afrykańskiej z domieszką indyjskiej. Szczerze mówię, że nie wiem. Faktem jest, iż są wyjątkowo atrakcyjni i mają ekstremalnie zmysłowe głosy. Można by się zakochać w tych tonach, można by je całować; muzykę również, ich język to *bossa nova*.

— Powinieneś był tam zostać.

— Och, nie! — zaprzeczył, pociągając kolejny, szybki łyk whisky. — Wracając jednak do tematu. W ciągu pierwszego tygodnia strasznie przywiązałem się do pewnego, powiedzmy, chłopca. Miał na imię Carlos. Całkowicie zatraciłem się w tym uczuciu. Przez całe dni i noce jedynie piliśmy i uprawiali miłość w moim apartamencie w Pałace Hotel. Prawdziwie obsceniczne.

— Twoi znajomi czekali?

— Nie, dawali dobre rady. Chodź z nami albo cię zostawimy. Akceptowali jednak możliwość dołączenia Carlosa do grupy. — Zrobił nieznaczny gest prawą dłonią. — A to wszystko byli doświadczeni dżentelmeni, oczywiście.

— Jasne.

— Jednak decyzja o zabranii Carlosa okazała się straszliwym błędem. Jego matka była kapłanką Candomble, chociaż nie miała tym bladego pojęcia. Nie chciała, by jej chłopiec wyruszał do amazońskiej dżungli. Woląta, aby chodził do szkoły. Zesłała na mnie duchy.

Zawiesił głos i spojrzał mi prosto w oczy, próbując przewidzieć i ocenić moją reakcję.

— Musiałeś mieć niezły ubaw — zauważyłem.

— Okładaly mnie pięściami w ciemności. Unosiły łóżko z podłogi i wyrzucały mnie z niego! Odkręcały kurki prysznic. Nieomal uległem oparzeniu. Wypełniały filiżanki uryną. Po pełnych siedmiu dniach myślałem, że oszaleję. Irytacja i niedowierzanie przeszły w stan czystego przerażenia. Naczynia unosiły się ze stołu na moich oczach. W uszach słyszałem dzwonki. Butelki spadały z półek. Gdziekolwiek się udałem, śledziły mnie podejrzane indywidua.

— Wiedziałaś, że sprawiła to matka twojego młodego kochanka?

— Początkowo nie. Jednak Carlos się w końcu załamał i wszystko wyznał. Jego matka nie zamierzała zdjąć kłatwy do chwili mojego wyjazdu. Cóż, jeszcze tej samej nocy opuściłem Brazylię.

Wróciłem do Londynu wyczerpany i na wpół oszalały. Jedna zmiana miejsca pobytu na nic się nie zdała. Te same rzeczy zaczęły się dziać tutaj w Talbot Manor. Drzwi trzaskały, meble się poruszały, a w kwaterach służby cały czas brzęczały dzwonki. Wszyscy wariowali.

A moja matka — zawsze była spirytystką i wynajdywała rozmaite media w Londynie — wymyśliła, abym skontaktował się z Talamasą. Opowiedziałem im całą historię, a oni zaczęli wyjaśniać mi znaczenie Candomble i spirytyzmu.

— Odprawili egzorcyzmy, by wypędzić demony?

— Nie. Jednak po tygodniu intensywnych studiów w bibliotece Domu i po przeprowadzeniu obszernych wywiadów z kilkoma członkami, którzy odwiedzili Rio, byłem w stanie sam kontrolować demony. Zaskoczyłem wszystkich. A zaszokowałem, gdy zdecydowałem się na ponowny wyjazd do Brazylii. Ostrzegali, że ta kapłanka jest wystarczająco potężna, by mnie zabić. „O to właśnie chodzi” — powiedziałem im. — „Sam chcę zdobyć taką moc. Zamierzam zostać jej uczniem. Wyszkoli mnie”. Błagali, bym tego nie robił. Obiecałem po powrocie sporządzić pisemny raport. Ty potrafisz zrozumieć, co czułem. Doświadczyłem działania tych niewidzialnych istot. Czułem, jak mnie dotykały. Widziałem przedmioty latające w powietrzu. Sądziłem, że otwierają się przede mną tajemnice niewidzialnego świata. Cóż, nic nie mogło mnie zniechęcić i odwieść od realizacji planów. Absolutnie nic.

— Tak, rozumiem — skomentowałem. — Było to równie ekscytujące jak wielkie polowanie.

— Dokładnie. — Potrząsnął głową. — Wspaniałe dni. Chyba uważałem, że skoro nie zginąłem na wojnie, nic już nie może mnie zniszczyć. — Nagle odpłynął we wspomnienia, zamykając się przede mną.

— Stawiłeś czoło tej kobiecie? Przytaknął.

— Doprowadziłem do konfrontacji, zaimponowałem jej, a nawet wdarłem się poza granice jej najdzikszych marzeń. Powiedziałem, że pragnę zostać terminatorem. Przysięgałem na kolanach, iż chcę się uczyć i nie odejdę, dopóki nie spenetruję tajemnicy oraz nie dowiem się wszystkiego. — Roześmiał się cicho. — Nie jestem pewien, czy ta kobieta kiedykolwiek natknęła się na antropologa, nawet amatora, za którego mogłem się chyba uważać. Tak czy owak zostałem w Rio. I wierz mi, był to najbardziej wyjątkowy rok mojego życia. Po pewnym czasie opuściłem miasto, ale tylko dlatego, że gdybym tego wówczas nie uczynił, nie wyjechałbym nigdy. David Talbot, Anglik, przestałby istnieć.

— Nauczyłeś się przywoływać duchy?

Kiwnął głową. Ponownie zatonął we wspomnieniach, widział obrazy, których ja zobaczyć nie mogłem. Był zakłopotany i zasmucony.

— Wszystko spisałem — oznajmił w końcu. — Raport leży w archiwalnych aktach Talamaski. Wielu ludzi przeczytało go przez te lata.

— Nigdy cię nie kusiło, by opublikować to sprawozdanie?

— Nie mogłem. To część regulaminu obowiązującego członków organizacji. Nigdy niczego nie ujawniamy, nie podajemy do publicznej wiadomości.

— Obawiasz się, że zmarnowałeś życie, czyż nie?

— Nie. Naprawdę... Chociaż to, co powiedziałem wcześniej, jest prawdą. Nie zgłębiłem sekretów wszechświata. Nigdy nie posunąłem się poza punkt, do którego dotarłem w Brazylii. Och, później zdarzały się szokujące rewelacje. Pamiętam, jak niedowierzałem, gdy po raz pierwszy przeczytałem dane o wampirach. Potem zszedłem do krypt i znalazłem dowody. W końcu było jak z Candoble. Spenetrowałem tajemnicę tylko do określonego miejsca.

— Wierz mi, Davidzie, ja to wiem. Świat na zawsze pozostanie zagadką. Jeśli istnieje wyjaśnienie, nie poznamy go. Tej prawdy jestem pewien.

— Myślę, że masz rację — rzekł ze smutkiem.

— A ja sądzę, iż bardziej obawiasz się śmierci, niż chcesz przyznać. Z uporem śmiertelnika przekomarzasz się i nie winie cię za to. Może jesteś dość stary i mądry, by naprawdę wiedzieć, iż nie chcesz się stać jednym z nas. Jednak nie mów o śmierci tak, jakby miała dać odpowiedzi na nurtujące cię pytania. Podejrzewam, że jest okropna. Po prostu koniec wszystkiego, bez szansy na to, by cokolwiek wiedzieć.

— Nie mogę się z tobą zgodzić, Lestacie — zaprotestował David. — Po prostu nie mogę. — Ponownie wlepił wzrok w tygrysa, a potem powiedział: — Ktoś musiał stworzyć przerażającą symetrię, mój drogi przyjacielu. Tygrys i jagnię... to nie mogło się zdarzyć samo z siebie.

Potrząsnąłem głową.

— Więcej inteligencji wymagało napisanie tego starego wiersza, Davidzie, niż stworzenie świata. Mówisz jak członek Kościoła Episkopalnego. Wiem, o co ci chodzi. Od czasu do czasu sam o tym myślę. Wszystko jest tak głupio proste. Musi coś w tym być. Musi! Tak wiele brakujących fragmentów. Im dłużej się nad tym zastanawiasz, tym bardziej słowa ateistów brzmią jak pienia religijnych fanatyków. Myślę, że szukanie nadrzędnej przyczyny jest iluzją. Mamy do czynienia jedynie z ciągłym procesem i niczym więcej.

— Brakujące kawałki, Lestacie. Oczywiście! Wyobraź sobie przez chwilę, że skonstruowałem robota, idealną replikę siebie. Załóżmy, że dałem mu wszystkie encyklopedyczne informacje — no wiesz, programuję jego komputerowy mózg. Tylko kwestią czasu będzie, nim przyjdzie i zapyta: „Davidzie, gdzie reszta? Powiedz, jak to się zaczęło? Dlaczego nie wyjaśniłeś, co spowodowało wielki wybuch, co dokładnie zaszło, gdy

minerały i inne obojętne składniki nagle rozwinęły się w komórki organiczne? Co z wielką rozpadliną w zapisach skamieniałości?"

Roześmiałem się wesoło.

— A ja musiałbym załamać biedaka — dodał — mówiąc, że nie ma wyjaśnienia, że nie posiadam brakujących elementów.

— Davidzie, nikt ich nie ma. I nie zdobędzie.

— Nie bądź taki pewien.

— Zatem masz nadzieję? Dlatego czytujesz Biblię? Nie zdołałeś zagłębić okultystycznych sekretów wszechświata i teraz wróciłeś do Boga?

— Bóg jest okultystycznym sekretem wszechświata — sprostował David w zadumie, z odprężeniem i młodzieńczym zapałem malującym się na twarzy.

Wpatrywał się w trzymany w dłoni kieliszek, podziwiając sposób, w jaki światło ogniskowało się w kryształ. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Musiałem czekać, aż David przemówi.

— Sądzę, że odpowiedź może zawierać księga Genesis — rzekł w końcu. — Naprawdę.

— Davidzie, zdumiewasz mnie. Mówisz o brakujących elementach. Genesis to zbiór fragmentów.

— Tak, ale one w nas pozostają, Lestacie. Bóg stworzył człowieka na własny obraz i podobieństwo. Podejrzewam, że to klucz. Nikt nie wie, co naprawdę znaczy. Izraelici nie uważali, iż Bóg był człowiekiem.

— W jaki sposób może działać ten klucz?

— Bóg jest siłą kreatywną, mój przyjacielu. Podobnie jak my. Powiedział Adamowi: „Rośnij i rozmnażaj się”. To robiły pierwsze komórki organiczne, Lestacie, rosły i rozmnażały się. Nie tylko zmieniały kształt, ale ulegały replikacji. Bóg jest siłą kreatywną. Stworzył z siebie cały świat poprzez podział komórek. To dlatego diabły są tak pełne zazdrości — mam na myśli anioły zła. Nie posiadają bowiem siły twórczej. To bezcielesne istoty, duchy. Podejrzewam, że Bóg popełnił błąd dając Adamowi równą swojej moc kreowania. Anioły prawdopodobnie czują, iż wszechświat psychiczny jest wystarczająco zły ze wszystkimi replikującymi się komórkami, a co dopiero mówić o myślących, mówiących istotach, które mogą rosnąć i mnożyć się? Były prawdopodobnie rozwścieczone całym eksperymentem. I w ten sposób zgrzeszyły.

— Zatem twierdzisz, że Bóg nie jest jedynie czystym duchem.

— Zgadza się. Bóg ma ciało. Zawsze je posiadał. Sekret życia poprzez podział

komórek leży w Bogu. A wszystkie żyjące cząsteczki mają w sobie maleńkie okruszyny boskiego ducha, Lestacie, oto brakujący element, ukazujący, co chroni je przed niebytem. To dokładnie jak w waszym wampirzym genesis. Mówiłeś, że duch Amela, jednego z istot zła, natchnął ciała wszystkich wampirów... Cóż, ludzie w ten sam sposób dzielą boskiego ducha.

— Wielki Boże, Davidzie, zaczynasz wariować. My jesteśmy wynaturzonymi jednostkami.

— Ach, tak, ale istniejecie w naszym wszechświecie i wasze mutacje są lustrzanym odbiciem naszych. Poza tym inni popierają tę samą teorię. Bóg jest ogniem, a my maleńkimi płomykami; a kiedy umieramy, one wracają do Pana. Jednak najważniejszą rzeczą jest zdać sobie sprawę z tego, że Bóg jest Ciałem i Duszą! Absolutnie.

Zachodnie cywilizacje powstały na przeciwnych założeniach. Ja zaś szczerze ufam, że w naszych codziennych działaniach pamiętamy o prawdzie i ją szanujemy. Tylko w rozmowach o religii mówimy, że Bóg jest czystym duchem, zawsze był i zawsze będzie. Powiem ci, czym był wielki wybuch, Lestacie. Wywołało go rozpoczęcie podziału komórek Boga.

— To doprawdy urocza teoria, Davidzie. Czy Bóg był zaskoczony?

— Nie, ale anioły owszem. Mówię poważnie. W naszych umysłach istnieje coś takiego jak religijna wiara w to, że Bóg jest doskonały. Otóż nie jest.

— Co za ulga — westchnąłem. — To wiele wyjaśnia.

— Teraz śmiejesz się ze mnie. Nie winie cię. Masz bowiem absolutną rację. To wszystko wyjaśnia. Bóg popełnił wiele błędów. Bardzo wiele. I z pewnością o tym wie! Podejrzewam, że anioły próbowały go ostrzec. Diabeł stał się diabłem, ponieważ próbował ostrzec Boga. Bóg jest miłością. Jednak nie ma pewności, czy dysponuje inteligentą absolutną.

Próbowałem stłumić śmiech, lecz nie byłem w stanie opanować go całkowicie.

— Davidzie, jeśli nie przestaniesz wygadywać takich rzeczy, uderzy w ciebie piorun.

— Nonsens. Bóg chce, byśmy doszli do takich wniosków.

— Nie. Tego nie mogę zaakceptować.

— Czy oznacza, to, że zgadzasz się z resztą? — zapytał David z chichotem. — Nie, już mówię poważnie. Religia jest prymitywna w swoich logicznych konkluzjach. Wyobraź sobie doskonałego Boga pozwalającego na egzystencję diabła. Nie, to po prostu nie miałoby sensu.

— Tekst Biblii przekonuje jednak, że Bóg jest doskonały. Reprezentuje to brak wyobraźni wczesnych uczonych. Jest odpowiedzialny za każde niemożliwe teologicznie

pytanie o dobro i zło, z którymi zmagamy się przez stulecia. Bóg jest jednakże dobry, zadziwiająco dobry. Tak, Bóg jest miłością. Jednak żadna siła kreatywna nie może być doskonała. To jasne.

— A Diabeł? Dysponuje inteligencją?

David przyglądał mi się przez chwilę z pewną dozą niecierpliwości.

— Jesteś cyniczną istotą — wyszeptał.

— Ależ skąd — zaprzeczyłem. — Naprawdę chcę wiedzieć, szczególnie interesuje mnie Diabeł. Rozmawiam z nim dużo częściej niż z Bogiem. Nie rozumiem, dlaczego ludzie tak go kochają, mam na myśli uwielbienie samej idei Diabła.

— Ponieważ wierzą — odparł David. — Bo idealnie zły Diabeł ma jeszcze mniej sensu niż idealnie dobry Bóg. Wyobraź sobie, że Diabeł nigdy się niczego nie nauczył w ciągu tego czasu, nigdy nie zmienił poglądów. Taki pomysł obraża nasz intelekt.

— Zatem jaka jest twoja prawda kryjąca się za kłamstwem?

— Nikt nie dostąpi całkowitego odkupienia. Każdy jest po prostu częścią boskiego planu. Diabeł to duch, któremu wolno kusić ludzi. Nie aprobeuje ich ani całego eksperymentu. Ujrzyj prawdziwą naturę Upadku Diabła. Szatan nie sądził, by pomysł Najwyższego się powiódł. Jednak kluczem, Lestacie, jest zrozumienie, że Bóg to materia! Bóg jest fizyczny, jest Panem Podziału Komórek, a Diabeł czuje odrazę do wzięcia udziału w nie kontrolowanym podziale komórek.

Ponownie zrobił jedną z doprowadzających do szału pauz, oczy rozszerzyły mu się z zadumy, a potem oznajmił:

— Mam inną teorię co do Diabła.

— Przedstaw mi ją, proszę.

— Jest ich więcej. I żaden nie przepada za swoją robotą. — Słowa te brzmiały jak niewyraźny pomruk. Był roztargniony, jakby chciał powiedzieć więcej, ale nie uczynił tego.

Roześmiałem się mu w twarz.

— A któż miałby ochotę na bycie Diabełem? Ze świadomością, że nie może wygrać. Szczególnie biorąc pod uwagę, iż na początku był aniołem i to prawdopodobnie bardzo inteligentnym.

— Dokładnie. — Wskazał we mnie palcem. — Twoja historyjka o Rembrandcie. Diabeł, jeśli miał umysł, powinien uznawać geniusz Rembrandta.

— I dobroć Fausta.

— Ach, tak, widziałeś mnie czytającego *Fausta* w Amsterdamie, czyż nie? W konsekwencji kupiłeś sobie egzemplarz.

— Skąd wiesz?

— Właściciel księgarni powiedział mi następnego popołudnia. Dziwny, jasnowłosy Francuz przyszedł parę chwil po moim wyjściu, kupił tę samą książkę i przez pół godziny stał w bezruchu na ulicy zatopiony w czytaniu. Miał najbielszą skórę, jaką ten człowiek kiedykolwiek widział. To oczywiście musiałeś być ty.

Potrząsnąłem głową i posłałem mu uśmiech.

— Czasami postępuję dość niezręcznie. Dziwne, że jakiś naukowiec nie schwytał mnie w sieć.

— To nie żart, mój przyjacielu. Równie lekkomyślnie działałeś w Miami parę nocy temu. Dwie ofiary całkowicie pozbawione krwi muszą budzić podejrzenia.

Słowa Davida wprowadziły mnie w takie zmieszanie, że początkowo nic nie powiedziałem, a potem była tylko ciekawość, jak owa wieść dotarła do niego, przebywającego po drugiej stronie oceanu.

— Wielkie nagłówki w międzynarodowych gazetach rozgłaszają tajemnicze zabójstwa — wyjaśnił. — Poza tym Talamasca otrzymuje raporty o tego typu rzeczach. Mamy ludzi, którzy zbierają dla nas dane we wszystkich miastach świata, wysyłają do naszych akt informacje o śladach paranormalności. „Wampir uderza dwa razy w Miami”. Podało to kilka źródeł.

— Przecież tak naprawdę nie wierzą, że to rzeczywiście był wampir, wiesz o tym.

— Owszem. Rób tak dalej, a zaczną wierzyć. Chciałeś już wcześniej, by do tego doszło, gdy zabawiałeś się, robiąc karierę muzyka rockowego. To jasne. Poza tym twoje hobby związane z polowaniem na wielokrotnych morderców jest dość charakterystyczne! Zostawiasz za sobą ślady.

To mnie naprawdę zaskoczyło. Moje upodobanie do pewnego typu ofiar sprawiało, że przemieszczałem się w tę i z powrotem z kontynentu na kontynent. Nigdy nie pomyślałem, że ktoś mógłby powiązać szeroko rozproszone przypadki zgonu, oczywiście z wyjątkiem Mariusa.

— Jak na to wpadłeś?

— Powiedziałem ci. Takie historie zawsze do nas docierają. Satanizm, wampiryzm, voodoo, czary, wilkołaki, setki dokumentów na te tematy przechodzą przez moje ręce. Jasne, większość trafia do kosza. Jednak rozpoznaję prawdę, kiedy ją widzę. A twoje zabójstwa łatwo zauważyć. Ścigasz wielokrotnych morderców już od jakiegoś czasu. Zostawiasz zwłoki na widoku. Tego ostatniego porzuciłeś w hotelu, gdzie zauważono go godzinę po zgonie. A z martwym ciałem starej kobiety postąpiłeś równie beztrosko! Syn znalazł ją następnego dnia.

Koroner nie odkrył u żadnej z ofiar śladów ran. Jesteś bezimienną sławą w Miami, zaćmiewasz nawet rozgłos biednego umarlaka z hotelu.

— Nic mnie to nie obchodzi — odparłem z wściekłością. Naprawdę jednak było inaczej. Przeklinałem własną niedbałość,

a jednak nie robiłem nic, by ją poprawić. Cóż, z pewnością musi to ulec zmianie. Czy dziś w nocy zachowałem się lepiej? Tchórzostwem byłoby szukać dla siebie usprawiedliwienia.

David obserwował mnie uważnie. Jeśli miałbym scharakteryzować go jedną dominantą, byłaby nią czujność.

— To nie jest nieprawdopodobne — zauważył — że możesz zostać schwytany.

Rzuciłem mu pogardliwe, lekceważące spojrzenie.

— Mogą zamknąć cię w laboratorium, studiować w klatce ze szkła.

— To niemożliwe. Lecz cóż za interesująca myśl.

— Wiedziałem! Chcesz, by do tego doszło. Wzruszyłem ramionami.

— Mogłoby być zabawnie przez chwilę. Spójrz jednak, to czysty absurd. Tej nocy, gdy pojawiłem się jako piosenkarz rockowy, wydarzyły się wszelkie rodzaje dziwacznych rzeczy. A śmiertelnicy co? Po prostu pozamiatali potem i zamknęli akta. Co do staruszki w Miami... Nastąpił okropny zbieg okoliczności. Nie powinno się było nigdy zdarzyć... — zawiesiłem głos. — A co z tymi, którzy zginęli dziś w nocy w Londynie?

— Lubisz odbierać życie — zaobserwował. — Powiedziałeś, że to zabawne.

Nagle poczułem taki ból, że zapragnąłem wyjść. Jednak wcześniej obiecałem, iż tego nie uczynię. Zatem siedziałem tam, wpatrywałem się w ogień, rozmyślałem o pustyni Gobi, kościach olbrzymich jaszczurów i sposobie, w jaki światło słoneczne wypełniało cały świat. Dumałem o Claudii. Wyczuwałem zapach płonącego knotu lampy.

— Przepraszam, nie chciałem być okrutny — rzekł David.

— Czemu nie, do diabła? Nie mogę sobie wyobrazić lepszego wyboru na wykorzystanie okrucieństwa. Poza tym też nie zawsze jestem dla ciebie uprzejmy.

— Czego naprawdę chcesz? Jaka jest twoja nadrzędna pasja? Pomyślałem o Mariusie i Louisie, którzy wiele razy zadawali mi to samo pytanie.

— Czy potrzebuję odkupienia? — spytałem. — Położyłem kres życiu mordercy. Był pożerającym ludzi tygrysem, moim bratem. Zaczaiłem się na niego. Jednak stara kobieta... ona była dzieckiem losu, niczym więcej. Czy to jednak ma jakieś znaczenie? — Pomyślałem o tych parszywych istotach, które załatwiłem wcześniej tego wieczoru. Zostawiłem zwłoki w ciemnych alejkach Londynu. — Żałuję, że nie pamiętałem. Zamierzałem ją ocalić. Jednak cóż

dobrego przyszłoby z aktu litości w świetle tego wszystkiego, co zrobiłem? Jestem potępiony, jeśli istnieje Bóg i Diabeł. Może kontynuuj wywody religijne. To pewnie dziwne, ale rozmowy o Bogu i Diabie działają na mnie uspokajająco. Opowiedz więcej o Szatanie. Potrafi się zmieniać. Jest inteligentny. Musi czuć. Dlaczego miałby pozostawać statyczny?

— Dokładnie. Wiesz, co jest zapisane w Księdze Rodzaju?

— Przypomnij mi.

— Cóż, Szatan jest w niebie z Bogiem. Bóg pyta, gdzie byłś? Szatan odpowiada, włóczyłem się po ziemi. To normalna konwersacja. Zaczynają spierać się o pracę Szatana. Bóg w swej dobroci tworzy, a Diabeł dręczy. To prawie prawdziwy obraz sytuacji, którą mamy. Bóg nie wie wszystkiego. Diabeł jest jego dobrym przyjacielem. A cała rzecz to eksperyment. Ten Szatan jest daleko od bycia Diabłem, jakiego teraz znamy na całym świecie.

— Mówisz o ideach, jakby były realnymi istotami...

— Myślę, że są prawdziwe — odparł głosem cichnym, w miarę jak zagłębiał się we własne myśli. Potem otrząsnął się z zadumy. — Chcę ci coś powiedzieć. Właściwie powinienem był wyznać to wcześniej. W pewnym sensie jestem tak przesądny i religijny jak każdy człowiek. Wszystko, co powiedziałem, opiera się na wizjach — wiesz, senne rewelacje.

— Nie, nie wiem. Mam sny, ale bez rewelacji — oznajmiłem. — Wyjaśnij, proszę.

Ponownie zamyślił się, patrząc w ogień.

— Nie zamykaj się przede mną — rzekłem cicho.

— Mhmm. Racja. Zastanawiałem się, jak to opisać. Wiesz, że nadal jestem kapłanem Condomble. Mogę wezwać niewidzialne siły: duchy, astralnych włóczęgów, jakkolwiek by je nazwać... poltergeisty, małe... Zawsze musiałem mieć utajoną zdolność do widzenia dusz.

— Tak. Chyba tak...

— Otóż raz widziałem coś nie wyjaśnionego. Zdarzyło się to, zanim jeszcze pojechałem do Brazylii.

— Tak?

— Przed podróżą do Ameryki Południowej nie doceniałem wizji. Niepokoiły mnie, były idealnie niewytłumaczalne, więc wyrzucałem je z umysłu, zanim pojechałem do Rio. Jednak teraz myślę o nich cały czas. Nie mogę przestać. Dlatego zwróciłem się ku Biblii, licząc, że znajdę tam mądrość.

— Opowiedz mi.

— Przypadek ów miał miejsce w Paryżu tuż przed wojną. Byłem tam z matką.

Siedziałem w kawiarni przy Gauche Bord, nie pamiętam już w której; wiem tylko, że był uroczy, wiosenny dzień I cudownie czułem się w stolicy Europy, jak to głośzą wszystkie pieśni. Piłem piwo, czytałem angielskie gazety i uświadomiłem sobie, że podsłuchuję konwersację. — David ponownie stał się zamyślony. — Chciałbym zrozumieć, co się naprawdę zdarzyło — wymruczał cicho.

Pochylił się w przód, ujął w prawą rękę pogrzebacz i uderzył w polana, wysyłając pióropusz ognistych iskierek na ciemne cegły.

Rozpaczliwie pragnąłem wyrwać go z tego stanu, ale czekałem. W końcu kontynuował:

— Jak mówiłem, siedziałem w kawiarni.

— Tak?

— I uświadomiłem sobie, że podsłuchuję dziwną konwersację... nie po angielsku ani po francusku... stopniowo zaczynałem pojmować, że nie prowadzono jej w żadnym języku, a tylko ja mogłem w pełni zrozumieć słowa. Odłożyłem gazetę i zacząłem się koncentrować. Rozmowa ciągnęła się dalej i dalej w formie kłótni. Nagle nie wiedziałem, czy głosy były w ogóle słyszalne dla kogokolwiek innego oprócz mnie! Podniosłem wzrok i powoli odwróciłem się w stronę wyraźnie brzmiących szeptów.

I byli tam... dwie istoty siedziały przy stoliku i przez moment wydawało się to normalne... dwaj mężczyźni pogrążeni w rozmowie. Wróciłem do gazety i nagle ogarnęło mnie uczucie pływania. Aby zakotwiczyć się, musiałem znaleźć jakiś stały, realnie istniejący punkt. Najpierw była nim gazeta, a potem blat stołu. Kołysanie ustało. Hałas kawiarni wrócił niby dźwięki orkiestry. Niespodziewanie zdałem sobie sprawę, że te istoty nie są ludźmi.

Raz jeszcze odwróciłem się i zmusiłem do zogniskowania wzroku na tajemniczych rozmówcach, by zyskać absolutną świadomość faktu ich istnienia. Nadal tam siedzieli, a ja boleśnie czułem ich iluzoryczność. Po prostu nie byli z tego samego materiału co wszystko inne. Wiesz, o czym mówię? Potrafię rozłożyć to na części. Nie iluminowało ich normalne światło słońca. Egzystowały w królestwie, gdzie jasność pochodzi z innego źródła.

— Jak u Rembrandta.

— Owszem. Ich ubrania i twarze były gładze niż istot ludzkich. Wręcz cała wizja miała odmienną strukturę, która stanowiła uniform we wszystkich detalach.

— Widzieli cię?

— Nie. To znaczy, nie patrzyli na mnie. Spoglądali na siebie i wciąż rozmawiali. Nagle pojąłem sens konwersacji. Bóg nakazywał Diabłu kontynuować pracę. A Szatan nie miał na to ochoty. Wyjaśniał, że i tak harował zbyt długo. Przydarzyło mu się to samo co

innym. Bóg oznajmił, że rozumie, ale Diabeł powinien wiedzieć, jak ważne jest jego zadanie, nie może po prostu wymigać się od obowiązków, to nie takie proste. Bóg potrzebował siły Diabła. Rozmowa wyglądała na dochodzenie do kompromisu.

— Jak wyglądali?

— To najgorsza część. Nie wiem. Wówczas widziałem dwa niewyraźne kształty, definitywnie męskie lub przyjmujące męską sylwetkę, przystojne — nic potwornego, nic niezwykłego. Nie byłem świadom szczegółów, no wiesz, koloru włosów, rysów twarzy, tego typu *rzeczy*. Dwie postacie wydawały się kompletne. Jednak gdy później próbowałem zrekonstruować wydarzenie, nie pamiętałem żadnych detali! Nie sądzę, by iluzja był kompletna. Wtedy wystarczyła mi, ale poczucie zupełności brało się z czegoś innego.

— Z czego?

— Z treści, znaczenia, oczywiście.

— Nie widzieli cię? Nie wiedzieli, że tam byłeś? — zapytałem ponownie, pełen zdziwienia.

— Mój drogi chłopcze, musieli zdawać sobie sprawę z mojej obecności. Odgrywali tę scenę na mój użytek! Jak inaczej mógłbym ich zobaczyć?

— Nie wiem, Davidzie. Może wcale nie miałeś widzieć. Niektórzy ludzie umieją dostrzegać pewne *rzeczy*, a inni nie. Może była szpara w zasłonie odgradzającej kawiarnię od jakiegoś tajemniczego świata.

— Możliwe. Obawiam się jednak, że tak nie było. Boję się, że miałem to zobaczyć i doświadczyć jakiegoś efektu. Właśnie to jest przerażające, Lestacie. Efekt nie był zbyt wielki.

— Nie zmieniłeś się po tym?

— Och, nie, wcale nie. Cóż, dwa dni później wątpiłem, czy w ogóle coś widziałem. A po werbalnych konfrontacjach z innymi, po licznych uwagach „Davidzie, zwariowałeś”, całe to zajście wydało mi się jeszcze bardziej niepewne i mgliste. Nie, nigdy nic z tym nie zrobiłem.

— A co można uczynić po takiej rewelacji? Davidzie, z pewnością opowiedziałeś o tej wizji braciom z Talamaski.

— Tak, tak, powiedziałem im. Ale dużo później, po Brazylii, kiedy przedstawiłem wspomnienia, jak każdy dobry członek. Opowiedziałem całą historię.

— A oni co na to?

— Lestacie, Talamasca nigdy nie wyraża opinii, do tego należy przywyknąć. „Patrzmy i zawsze jesteśmy obecni” — tak brzmi hasło naszego zgromadzenia. Prawdę mówiąc, tego typu wizje nigdy nie cieszyły się wielką popularnością. Opowieści o duchach w

Brazylii zawsze znajdowały posłuch. Ale chrześcijański Bóg i jego Diabeł? Nie, obawiam się, że Talamasca jest w pewnym sensie pełna przesądów, a wręcz dziwactw, jak każda inna organizacja. Zresztą czego można oczekiwać po rozmowie z dżentelmenem, który widział wilkołaki, został nawiedzony przez wampiry, zwalczał czarownice?

— Ale Bóg i Diabeł — rzekłem ze śmiechem. — Davidzie, to wielka rzecz. Może inni członkowie zazdrościli ci bardziej, niż sobie uświadamiałeś.

— Nie, nie potraktowali tego poważnie — rzekł, wtórując mi własnym śmiechem. — Szczerze mówiąc, dziwię się, że ty tak to odbierasz.

Nagle wstał podekscytowany, przeszedł przez pokój do okna i odsunął zasłony ręką. Stał tam, próbując zobaczyć coś w wypełnionej śniegiem nocy.

— Davidzie, co mogły oznaczać te zjawy?

— Nie wiem — odparł gorzkim, zniechęconym głosem. — W tym problem. Mam siedemdziesiąt cztery lata i nie wiem. Umrę w niewiedzy. A jeśli nie istnieje iluminacja, wszystko się skończy. To samo w sobie jest odpowiedzią, czy mam wystarczającą świadomość czy nie.

— Wracaj tu i usiądź, dobrze? Chcę widzieć twoją twarz, gdy mówisz.

Wykonał polecenie nieomal mechanicznie. Usadowił się, sięgnął po pusty kieliszek, wzrok utkwiał w płomieniach.

— Co tak naprawdę myślisz, Lestacie? Wewnątrz. Czy istnieje Bóg i Diabeł? W co wierzysz?

Zastanawiałem się przez chwilę nad odpowiedzią.

— Sądzę, że Bóg istnieje — oznajmiłem w końcu. — Nie podoba mi się to, ale wierzę. Prawdopodobnie egzystują też pewne formy Diabła. Przyznaję — to sprawa brakujących elementów. Możliwe, że w paryskiej kawiarni widziałeś Najwyższą Istotę i Jej Przeciwnika. To część szalonej gry, której nigdy nie poznamy do końca. Chcesz wyjaśnić ich postępowanie? Dlaczego pozwoliły się podejrzeć? Pragnęły, byś wplątał się w jakieś religijne dociekania! Grały z tobą w ten sposób. Rzucają wizje, cudy, fragmenty boskich rewelacji. A my wychodzimy z gorliwością i znajdujemy kościół. To wszystko część dialogu, ich postępującego, nie kończącego się sporu. I wiesz co? Myślę, że twoja opinia — niedoskonały Bóg i uczący się Diabeł — jest tak samo dobra jak każda inna interpretacja.

Wpatrywał się we mnie przenikliwym wzrokiem, ale nie odpowiedział.

— Nie — kontynuowałem. — Nie mamy znać odpowiedzi. Nie dowiemy się, czy nasze dusze podróżują z ciała do ciała w procesie reinkarnacji. Nie zrozumiemy, czy Bóg stworzył świat. Czy jest Allachem, Jahwe, Sziwą czy Chrystusem. Nasze wątpliwości zostały

tak samo zaplanowane jak poznanie. Wszyscy jesteście Jego głupcami.

David nadal milczał.

— Wystąp z Talamaski — poradziłem. — Jedź do Brazylii, póki jeszcze czas. Wracaj do Indii. *Zobacz* miejsca, do których tęsknisz.

— Tak, powinienem to zrobić — przyznał. — A oni prawdopodobnie przyjęliby moją rezygnację ze stanowiska. Starsi już dyskutowali na temat Davida i jego ostatnich nieobecności w Do-mu-Matce. Przeniosą mnie na emeryturę i dadzą ładną pensję.

— Wiedzą, że się ze mną widujesz?

— Och, tak. To część problemu. Rada zakazała mi kontaktów.

Doprawdy zabawne, bo sami tak bardzo chcieliby choć raz rzucić na ciebie okiem. Oczywiście wiedzą, kiedy zbliżasz się do naszej rezydencji.

— Wyczuwam to — przyznałem. — Co miałeś na myśli, mówiąc o zakazaniu kontaktów?

— Och, standardowe napomnienie — odparł, nie odrywając wzroku od płonącego polana. — Wszystko bardzo średniowieczne, oparte na starych dyrektywach: „Nie zachęcaj tej istoty, nie angażuj się ani nie przedłużaj konwersacji. Jeśli nalega na wizyty, zwódź go w jakieś zaludnione miejsce. Dobrze wiadomo, że wampiry nienawidzą atakować, gdy są otoczone przez śmiertelników. I nigdy, nigdy nie próbuj poznać ich sekretów ani wierzyć nawet przez moment, że okazywane emocje są prawdziwe, bowiem te istoty symulują z wyjątkową łatwością, z nie znanych przyczyn doprowadzają śmiertelników do szaleństwa. Nie umiemy też wyjaśnić, dlaczego wampiry wchodzą w kontakt z pewnymi ludźmi. Musisz przeprowadzić czysto naukowe dochodzenie. Bądź ostrożny. Bez chwili zwłoki zdawaj raport starszyźnie ze wszystkich spotkań, widzeń i tak dalej”.

— Naprawdę znasz to na pamięć?

— Sam napisałem ową dyrektywę — rzekł z uśmiechem. — Przez całe lata wręczałem ją członkom.

— Wiedzą, że tu teraz jestem?

— Nie, oczywiście, że nie. Przestałem składać raporty już dawno temu. — Ponownie zatopił się w myślach. — Czy szukasz Boga? — zapytał naraz.

— Z pewnością nie — odpowiedziałem. — Nie mogę sobie wyobrazić większej straty czasu, nawet jeśli ma się w perspektywie całe stulecie. Skończyłem z tym. W otaczającym mnie świecie szukam prawd osadzonych w psychice i etyce, które mogę w pełni ogarnąć. Interesuję się twoją wizją, ponieważ miałeś takową, opowiedziałeś mi, a ja cię kocham. To wszystko.

Ponownie siedział zapatrzony w cienie pokoju.

— To nie ma znaczenia, Davidzie. Kiedyś umrzesz. Ja prawdopodobnie również.

Jego uśmiech stał się znowu ciepły, jakby mógł zaakceptować moje słowa tylko jako żart.

Zapadła długa cisza, w której David nalał sobie jeszcze trochę szkockiej. Tę porcję wypił dużo wolniej niż wcześniej. Nawet nie zbliżał się do stanu odurzenia. Wiedziałem, że tak to zaplanował. Jako śmiertelnik zawsze piłem, aby znaleźć się w stanie całkowitego zamroczenia. Wtedy byłem młody i biedny, mimo iż posiadałem zamek.

— Ty szukasz Boga — oznajmił David, lekko kiwając głową.

— Cóż, do diabła, jeśli tak? Jesteś zbyt pewny siebie. Wiesz doskonale, że nie jestem młodzieńcem, którego tu widzisz.

— Ach, rzeczywiście trzeba mi o tym przypominać, masz rację. Jednak nigdy nie mógłbyś pokochać zła. Jeśli w swoich książkach napisałeś choć połowę prawdy, to staje się jasne, że od samego początku odrzucałeś zło. Oddałbyś wszystko, by odkryć, czego Bóg chce od ciebie.

— Dziecinniejesz. Pisz testament.

— Oooh, jakże to okrutne — rzekł z jasnym uśmiechem. Zamierzałem coś odpowiedzieć, ale nagle tok myśli uległ zakłóceniu. Coś niepokoiło moją podświadomość. Dźwięki. W odległej wsi, w oślepiającej zimowej bieli jakieś auta powoli sunęły przez wąską jezdnię.

Prześwietliłem obraz, ale niczego nie zobaczyłem, tylko padający śnieg i samochód wolno jadący drogą. Jakiś biedny, smutny śmiertelnik przemierzał pustkowie prowincji. Była czwarta.

— Już późno — oświadczyłem. — Muszę teraz iść. Nie chcę tu spędzić kolejnej nocy, chociaż jesteś niezwykle uprzejmy. Po prostu wolę...

— Rozumiem. Kiedy cię znowu zobaczę?

— Może wcześniej niż myślisz — odparłem. — Davidzie, powiedz mi. Tej nocy, gdy odchodziłem, zdecydowany spalić się na wiór w promieniach pustynnego słońca, dlaczego powiedziałeś, że jestem twoim jedynym przyjacielem?

— Bo to prawda.

Przez moment siedzieliśmy w milczeniu.

— Ty również jesteś moim jedynym przyjacielem, Davidzie — oznajmiłem.

— Dokąd zamierzasz się udać?

— Nie wiem. Może z powrotem do Londynu. Powiem ci, kiedy zechcę wracać przez

Atlantyk. Dobrze?

— Tak, koniecznie. Nie... nie wierz, że nie chcę cię widzieć. Błagam, nie zawieźdź mnie nigdy więcej.

— Jeśli myślałem, że byłem dla ciebie dobry, jeśli sądziłem, że twoje odejście ze stowarzyszenia i ponowne podróżowanie było dla ciebie dobre...

— Och, ale jest. Nie należą już do Talamaski. Nie mam już nawet pewności, czy nadal im ufam, czy wierzę w założone cele.

Chciałem powiedzieć więcej, wyznać, jak bardzo go kocham, jak tęsknię do schronienia pod jego dachem, że nigdy tego nie zapomnę i zrobiłbym wszystko, czego by sobie zażyczył, wszystko.

Mówienie wydawało się jednak bezcelowe. Nie wiem, czy uwierzyłby w to i jaką wartość miałyby moje wyznania. Nadal byłem przekonany, że znajomość z Lestatem-wampirami nie przynosiła mu korzyści, ale wręcz przeciwnie. I że niewiele życia mu pozostało.

— Wiem to wszystko — rzekł cicho, posyłając mi znowu serdeczny uśmiech.

— Davidzie — powiedziałem — ten raport o przygodach w Brazylii. Czy masz kopię? Mógłbym ją przeczytać?

Wstał i podszedł do oszklonej biblioteczki obok biurka. Przez długą chwilę patrzył na stosy zgromadzonych tam materiałów, a potem zdjął z półki dwie wielkie oprawione w skórę książki.

— Tu zawarte jest szczegółowe streszczenie mojego życia w Brazylii; wszystko, co zapisałem w dżungli na małej, rozklekotanej, przenośnej maszynie przy obozowym stoliku, zanim wróciłem do domu w Anglii. Oczywiście tropiłem jaguara. Musiałem to zrobić. Jednak polowanie było niczym w porównaniu z doświadczeniami w Rio, absolutnie niczym. Widzisz, osiągnąłem punkt zwrotny. Sądzę, że sporządzanie tych notatek stanowiło rozpaczliwą próbę powrotu do angielskości, zdystansowanie się wobec ludzi z Candomble, wobec życia, jakie prowadziłem. Mój raport dla Talamaski opierał się na tych materiałach.

Z wdzięcznością przyjąłem od niego jeden z opasłych tomów.

— A to — rzekł, podając drugi — krótka relacja pobytu w Indiach i Afryce.

— Je również chciałbym przeczytać.

— Znajdziesz tu głównie stare opowieści o polowaniach. Byłem młody, gdy to pisałem. Sama strzelanina i szybkie akcje! Wszystko działo się przed wojną.

Wziąłem również drugi folder. Podniosłem się w powolny, elegancki, typowy dla dżentelmena sposób.

— Przegadałem całą noc — zauważył nagle David. — Postąpiłem nieuprzejmie. Może miałeś coś do powiedzenia.

— Wcale nie. Dokładnie tego chciałem. — Podałem mu dłoń, którą uścisnął. Dotyk delikatnej dłoni Davida pieścił mą spaloną skórę. Zdumiewające odczucie.

— Lestacie — rzekł — to opowiadanie... Lovecrafta. Chcesz je z powrotem, czy mam przechować je dla ciebie?

— Ach, to interesująca historia. Mam na myśli relację, jak wszedłem w posiadanie tego pakieciku.

Wziąłem od niego książeczkę i włożyłem do kieszeni płaszcza. Może jeszcze raz przeczytam tę opowieść. Wróciła ciekawość, a z nią pełne obawy podejrzenia. Wenecja, Hongkong, Miami. Jak ten dziwny śmiertelnik mógł spotkać mnie w trzech miejscach i zdołał się zorientować, że go zauważyłem?

— Chciałbyś mi o tym opowiedzieć? — zapytał David łagodnie.

— Innym razem, kiedy będzie więcej czasu — odparłem. Szczególnie jeśli jeszcze zobaczę tego faceta, pomyślałem. Jak on to robił?

Wszedłem w cywilizowany sposób, robiąc celowo niewielki hałas przy zamykaniu bocznych drzwi.

Gdy dotarłem do Londynu, nadciągał już świt. Po raz pierwszy od dłuższego czasu cieszyłem się ze swojej olbrzymiej mocy i bezpieczeństwa, jakie mi zapewniała. Nie potrzebowałem trumien ani ciemnych kryjówek, wystarczał zwykły pokój, kompletnie odizolowany od promieni słońca. Modny hotel z ciężkimi zasłonami zapewniał zarówno spokój, jak i wygodę.

Miałem niewiele czasu, by rozgościć się przy ciepłym świetle lampy i zacząć czytać brazylijską przygodę Davida, na co czekałem z wyjątkową radością.

Przez swą lekkomyślność i szaleństwo prawie nie miałem pieniędzy, ale wykorzystałem swą moc do wytłumaczenia pracownikom czcigodnego, starego „Claridge'a”, żeby zaakceptowali numer karty kredytowej, której nie mogłem przedstawić do weryfikacji i jako Sebastian Melmoth — tak brzmi jeden z moich ulubionych pseudonimów; zostałem wprowadzony do znajdującego się na górnej kondygnacji uroczego apartamentu zatłoczonego eleganckimi meblami w stylu Królowej Anny, z wygodami, jakich oczekiwałem.

Umieściłem na zewnątrz wywieszkę z uprzejmą prośbą, by mi nie przeszkadzano, w recepcji zapowiedziałem, aby nie niepokoili mnie przed zachodem słońca, a potem zamknąłem wszystkie drzwi od wewnątrz.

Nie był to odpowiedni czas na czytanie. Poranek nadchodził zza ciężkiego, szarego

nieba, a śnieg padał nieprzerwanie wielkimi, mokrymi płatkami. Zaciągnąłem zasłony, zostawiając mały prześwit, by móc obserwować i stałem tam przed hotelem, czekając na zbliżający się spektakl światła, nadal nieco obawiając się jego działania. Ból skóry przyćmiewał jednak uczucie strachu, był gorszy od czegokolwiek.

Myślałem o Davidzie. Od chwili rozstania ani na sekundę nie odbiegałem myślami od naszej konwersacji. Wciąż słyszałem jego głos i próbowałem wyobrazić sobie fragmentaryczną wizję Boga i Diabła w kawiarni. Jednak mój stosunek do tego wszystkiego był prosty i pełen przesądów. Uznałem, że David karmi się wygodnymi iluzjami. Wkrótce odejdzie. Zabierze go śmierć. A mnie zostaną jedynie te manuskrypty z historią życia. Nie mogłem zmusić się do wierzenia, że po śmierci będzie wiedział cokolwiek więcej.

Niezależnie od tego zdumiewał mnie tok konwersacji, energia przyjaciela oraz dziwne rzeczy, jakie powiedział.

Z przyjemnością pławiłem się we wspomnieniach, obserwowałem ołowiane niebo, śnieg piętrzący się na chodnikach w dole, kiedy nagle doświadczyłem napadu zawrotów głowy — w rzeczy samej, nastąpił moment całkowitej dezorientacji, jakbym na chwilę zasnął. Było to przyjemne, subtelnie wibrujące odczucie, któremu towarzyszyła lekkość, przypominająca wznoszenie się ponad fizyczność i marzenia. Potem pojawiło się napięcie, podobne do tego, jakie odczuwałem przelotnie w Miami — moje kończyny kurczyły się, całe ciało rozpierało mnie od wewnątrz, ścisnęło i kondensowało. Niespodziewanie przestraszyłem się na myśl obrazu siebie wypchniętego przez czubek głowy!

Skąd to się brało? Wzdrygnąłem się, jak wtedy gdy doświadczyłem identycznego odczucia na samotnej ciemnej plaży na Florydzie. Naraz ów stan rozproszył się bez jakichkolwiek wcześniejszych sygnałów. Byłem znów sobą, choć mglista irytacja pozostała.

Czy działo się coś złego z moją przystojną anatomią? Niemożliwe. Nie potrzebowałem starych, by zapewnili mnie o tej prawdzie.

Nie zdecydowałem też, czy powinienem martwić się swym losem wiecznie pięknej istoty, zapomnieć o tym, czy może ponownie próbować prowokować podobne doznania, kiedy moje rozważania przerwało pukanie do drzwi.

Irytujące.

— Wiadomość dla pana. Pewien dżentelmen prosił, by oddać ją do rąk własnych.

Musiła zajść jakaś pomyłka. Niezależnie od tego otworzyłem drzwi.

Chłopak z obsługi hotelowej podał mi kopertę. Była gruba, wypchana. Przez sekundę mogłem jedynie na nią patrzeć. Nadal miałem w kieszeni banknot funtowy zrabowany złodziejczkowi, którego uśmierciłem wcześniej. Dałem go młodzieńcowi i ponownie

zamknąłem drzwi.

Taką samą kopertę otrzymałem w Miami od lunatycznego śmiertelnika, który przybiegł do mnie po piasku. I to odczucie! Doświadczyłem owej dziwnej emocji dokładnie w chwili, gdy moje oczy spoczęły na śmiałku. Och, to niemożliwe...

Rozerwałem kopertę. Nagle ręce zaczęły mi drżeć. Znalazłem kolejną opowiadkę, wyrwaną z książki jak poprzednio, spiętą w górnym lewym rogu w identyczny sposób!

Oniemiałem! Jak, do diabła, ta istota wysledziła mnie tutaj? Nikt nie znał mojego miejsca pobytu! Nawet David! Och, korzystałem z numerów kart kredytowych, ale wieki Boże, śmiertelnik potrzebowałby godzin, by tą drogą odnaleźć mnie, co było prawie niewykonalne.

I jaki związek z tym miało owo odczucie — dziwna wibracja i napięcie wewnątrz kończyn?

Nie czas na rozważania. Nadchodził poranek!

Niebezpieczeństwo sytuacji naraz stało się całkowicie widoczne. Dlaczego, do licha, nie widziałem go wcześniej? Ta istota bezsprzecznie dysponowała środkami umożliwiającymi zlokalizowanie mnie — wiedziała nawet, gdzie zdecydowałem się przeczekać dzień! Trzeba uciekać. Skandal!

Drżąc z irytacji, zmusiłem się do przejrzenia historii, która mieściła się na paru stronach. *Oczy mumii* Roberta Błocka. Inteligentna opowiadka, ale co mogła dla mnie oznaczać? Pomyślałem o wcześniej otrzymanym fragmencie tekstu, który był dłuższy całkiem inny. O co, do licha, chodziło? Jawny idiotyzm sytuacji jeszcze bardziej mnie rozwścieczał.

Było zbyt późno, by o tym dumać. Zebrałem manuskrypty Davida i opuściłem pokój przez wyjście pożarowe oraz dach. Wykorzystując nadnaturalną moc, przeniknąłem przestrzeń we wszystkich kierunkach. Nie mogłem wyczuć drania! Jego szczęście. Z pewnością zniszczyłbym go w mgnieniu oka. Kiedy w grę wchodziła obrona kryjówki niezbędnej na przeczekaanie dnia, całkowicie traciłem kontrolę i opanowanie.

Wzleciałem ponad miasto i przemierzyłem znaczną odległość z największą szybkością, na jaką mogłem się zdobyć. W końcu wylądowałem w pokrytym śniegiem lesie daleko na północ od Londynu i tam wykopałem swoich rozmiarów jamę w zamrożonej ziemi. Często robiłem to wcześniej.

Szalałem z furii. Zabiję tego sukinsyna, myślałem, kimkolwiek, do diabła, jest. Jak śmiał mnie podchodzić i rzucać mi w twarz te historie?! Tak, zabiję go, gdy tylko złapię.

Potem nadeszła ospałość, ogarnęło mnie odrętwienie i wkrótce wszystko przestało się

liczyć...

Ponownie śniłem, że tam była, zapalała lampę naftową i mówiła:

— Ach, płomień już ci nie straszny...

— Szydzisz ze mnie — odpowiedziałem z łkaniem.

— Ależ Lestacie, potrafisz wydobyć się szybko z tych napadów rozpacz. To ty tańczyłeś pod ulicznymi latarniami w Londynie. Naprawdę!

Chciałem protestować, ale płakałem, nie mogłem mówić...

W ostatnim wstrząsie świadomości zobaczyłem tego śmiertelnika w Wenecji pod łukami San Marco, gdzie go po raz pierwszy zauważyłem; ujrzałem brązowe oczy i gładkie, młode usta.

— *Czego chcesz?* — zapytałem.

— *Ciebie* — odpowiedział.

ROZDZIAŁ 6

Kiedy się obudziłem, nie czułem już złości na tego małego maniaka. Właściwie byłem potwornie zaintrygowany. Potem zaszło słońce i miałem przewagę.

Zdecydowałem się na niewielki eksperyment. Poleciałem do Paryża, pokonując dystans samotnie i bardzo szybko.

Teraz pozwólcie na małą dygresję. Chcę wyjaśnić, że w ostatnich latach unikałem Paryża i nic nie wiedziałem o nim jako dwudziestowiecznym mieście. Przyczyny są zupełnie oczywiste. Wiele tam przecierpiałem w ubiegłych stuleciach. Ponadto strzegłem się przed wizją nowoczesnych budynków wznoszonych wokół cmentarza Pere-Lachaise. Jednak w głębi duszy zawsze tęskniłem do Paryża.

A ten mały eksperyment dodał mi odwagi i stanowił idealną wymówkę. Nie mogłem koncentrować się na nieuchronnym bólu obserwacji, miałem bowiem cel. Zaraz po przybyciu zdałem sobie sprawę, że to prawdziwy Paryż; to nie mogłoby być żadne inne miasto; płonałem ze szczęścia, kiedy spacerowałem przez wspaniałe bulwary i mijałem miejsce, w którym kiedyś stał Teatr Wampirów.

W rzeczywistości niewiele teatrów z moich czasów przetrwało do dnia dzisiejszego, ale nadal były imponujące i przyciągały liczną widownię, ukryte pośród coraz ciasniej otaczających je nowocześniejszych struktur.

Kiedy wędrowałem po promieniście oświetlonych Polach Elizejskich, które roiły się od pędzących aut i tysięcy przechodniów, zorientowałem się, że to nie jest muzealne miasto, tak jak Wenecja.

Teraz było równie żywe jak zawsze w przeciągu dwóch ostatnich stuleci. Stolica. Miejsce innowacji i odważnych zmian.

Podziwiałem cudowny splendor Centrum Georges Pompidou wznoszącego się na tle falujących przypór Notre Dame. Och, byłem zadowolony, że w końcu się tu zjawiłem.

Ale miałem zadanie do wykonania, prawda?

Nie powiedziałem żadnej duszy, śmiertelnej czy nieśmiertelnej, że się tu pojawię. Nie dzwoniłem nawet do mojego paryskiego prawnika. Dlatego też musiałem sam zdobyć gotówkę w stary sposób, napadając w ciemnych uliczkach paru nieprzyjemnych rzezimieszków.

Potem skierowałem się w stronę pokrytego śniegiem placu Yendôme, na którym stały te same co niegdyś pałace, i pod Baron Van Kindergarten zakotwiczylem w apartamencie „Ritza”.

Tam, przez dwie noce, unikałem miasta i pławiłem się w stylowym luksusie godnym Wersalu z czasów Marii Antoniny. Łzy cisnęły mi się do oczu, kiedy patrzyłem na otaczające mnie typowo paryskie, ekskluzywne wnętrza — krzesła Ludwik XVI i cudowne, wykładane boazerią ściany. Ach, ten Paryż. Gdzie indziej drewno może być malowane na złoto i nadal wyglądać pięknie?!

Rozciągnąwszy się na pokrytym gobelinem łóżku, natychmiast zacząłem czytać manuskrypty Davida. Jedynie od czasu do czasu przerywałem, by przespacerować się po cichym salonie i sypialni lub by wyrzucić przez okno na hotelowy ogród, tak bardzo poważny, spokojny i dumny.

Zapiski Davida urzekły mnie. Zbliżyłem się do niego bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Oczywiste było, że mój przyjaciel w młodości należał do ludzi czynu. Wkraczał w królestwo książek tylko wtedy, gdy mówiły o akcji. Zawsze odnajdywał największą radość w polowaniach. Podjął swą pierwszą wyprawę łowiecką, kiedy miał dziesięć lat. Jego opisy przedstawiające zabijanie tygrysów bengalskich ukazywały ekscytację ryzykiem podejmowanym podczas pościgów. Zawsze podchodził bardzo blisko do bestii, zanim wystrzelił. Więcej niż raz był o krok od śmierci.

Uwielbiał Afrykę tak samo jak Indie, polując na słonie w czasach, kiedy jeszcze nikt nie pomyślał, że niedługo gatunek ten znajdzie się w niebezpieczeństwie wymarcia. Znowu, niezliczoną ilość razy był przypierany do muru przez dzikie byki, zanim powalił je na ziemię. A kiedy polował na lwy na równinie Serengeti, podejmował podobne ryzyko.

Czasem wędrował górskimi szlakami i pływał w rwących rzekach, by przyjrzeć się kryjówce krokodyla i przezwyciężyć wrodzony wstręt do węży. Uwielbiał spać pod gołym niebem, skrobać zapiski w swoim notatniku przy świetle lampy naftowej lub świeczce, jeść tylko mięso zwierząt, które zabił, i skalpować upolowaną zwierzynę bez niczyjej pomocy.

Jego talent literacki nie był zbyt wielki. Nie miał cierpliwości do słowa pisanego, szczególnie we wczesnej młodości. Mimo to czuło się gorączkę tropików w tych zapiskach, słyszało bzyczenie komarów. Wydawało się dziwne, że człowiek tego pokroju umiał dostosować się do komfortów Talbot Manor czy też luksusu Domu-Matki.

Zresztą wielu brytyjskich dżentelmenów miało za sobą takie wybory i zrobili to, co uważali za stosowne dla swej pozycji i wieku.

Jeśli chodzi o przygody w Brazylii, to równie dobrze mogły zostać spisane przez innego człowieka. Był tu ten sam styl i starannie dobrane słownictwo, nieodmierzone pożądanie niebezpieczeństwa, ale w kwestii ponadnaturalnej wypowiedała się jakby inna osoba.

Leksykalne strona tekstu uległa zmianie, pojawiło się wiele portugalskich i afrykańskich określeń dotyczących koncepcji własnego istnienia i przeżywanych uczuć.

Sedno sprawy tkwiło w tym, że telepatyczne moce umysłu Davida rozwinęły się przez serię prymitywnych i przerażających spotkań z lokalnymi kapłanami i duchami. Również ciało ustąpiło miejsca tej psychicznej nocy. W ten sposób został przygotowany grunt do naukowej działalności Davida w późniejszych latach.

W zapiskach z brazylijskich wypraw było wiele realistycznych opisów wsi, gdzie kiedyś gromadzili się wyznawcy Candomble, palili świece przed statuetkami katolickich świętych i posązkami pogańskich bogów. Opowiadały o rytualnej grze na bębnach i tańcach, o nieodzownych transach, w których różni członkowie szczepów nieprzytomni szli w gościnę do duchów wraz z atrybutami koniecznymi do długich zaklęć.

W tekstach nie było już tej wewnętrznej siły i chęci walki z dziką przyrodą. Zniknęli młodzi, żądni przygód ludzie, którzy szukali czysto fizycznej prawdy kryjącej się w zapachu bestii, widoku ścieżki w dżungli, szczęku broni, ryku dogorywającej ofiary.

Zanim David opuścił Rio de Janeiro, był już zupełnie inną istotą. Choć jego opowiadania zostały później skorygowane i poprawione, to i tak zawierają większą część pamiętnika pisanego w tamtym czasie. Nie ma wątpliwości, że w konwencjonalnym sensie mój przyjaciel był na skraju szaleństwa. Gdziekolwiek spojrzał, nie widział ani ulic, ani budynków, ani też ludzi. Dostrzegał duchy, bogów, tajemnicze siły emanujące z innych i wszelkie poziomy duchowego oporu każdej ludzkiej części, zarówno świadomej, jak i nieświadomej. Gdyby nie pojechał do amazońskiej dżungli, gdyby nie zmusił się, by ponownie zostać brytyjskim łowcą, mógłby na zawsze odizolować się od swego starego świata.

Przez miesiące był trampem, opaloną na brązowo kreaturą w koszulce z krótkim rękawkiem i szortach. Krążył po Rio w poszukiwaniu jeszcze większych duchowych doświadczeń. Wtedy ubierał się w swoje khaki, łąpał broń, łądował najlepszy brytyjski ekwipunek i zniknął, by wrócić z upolowanym jaguarem, którego obdzierał ze skóry wielkim nożem.

Ciało i dusza!

Naprawdę nie było w tym nic dziwnego, że przez te wszystkie lata nie wrócił do Rio, ponieważ gdyby to zrobił, nigdy by już stamtąd nie wyjechał.

Najwyraźniej życie Candomble nie było dla niego wystarczające. Bohaterzy szukają przygód, ale przygoda sama w sobie nie angażuje ich w całości.

Jakże zaostrzyła się moja miłość do Davida, kiedy dowiedziałem się o tych wszystkich

doświadczeniach. I jakże zasmuciłem się na myśl, że od tego czasu spędzał życie w Talamasce. Praca w organizacji wydawała się niewarta Davida albo raczej nie stanowiła najlepszego rozwiązania, które zapewniłoby mu szczęście, nieważne jak bardzo upierał się przy fakcie, że tego właśnie pragnie. Wstąpienie do Talamaski wydawało się bardzo niewłaściwym posunięciem.

I oczywiście, pogłębianie wiedzy o nim sprawiło, że coraz bardziej go żałowałem.

Ponownie wspomniałem, iż w mojej mrocznej paranaturalnej młodości miałem towarzyszy, którzy nigdy tak naprawdę nie byli przyjaciółmi — Babrielle mnie nie potrzebowała; Nicolas oszalał; Louis nie mógł wybaczyć mi uwiedzenia go w świat nieśmiertelnych, choć sam tego pragnął.

Tylko Claudia była wyjątkiem... moja mała Claudia, towarzysz podczas łowów i perfekcyjny zabójca przypadkowych ofiar... wampir *par excellence*. Właśnie ta nęcąca, ponadnaturalna siła skłoniła ją do zwrócenia się przeciwko swemu twórcy. Tak, ona była jedyną podobną do mnie istotą. I to może być przyczyną, że teraz mnie nawiedza i prześladowuje.

Pojawienie się Claudii na pewno miało jakiś związek z moją miłością do Davida! A ja nie rozumiałem tego wcześniej. Jakże go kochałem i jak głęboka powstała pustka, kiedy Claudia zwróciła się przeciwko mnie i nie była już moim towarzyszem.

Dzięki manuskryptowi pojąłem jeszcze jedną kwestię. David był człowiekiem, który musiał odmówić przyjęcia Mrocznego Daru i nie mógł zmienić decyzji aż do gorzkiego końca. Ten mężczyzna niczego się nie bał. Nie lubił śmierci, ale się jej nie lękał. Nigdy.

Nie przyjechałem jednak do Paryża głównie po to, by czytać te zapiski. Miałem jeszcze inny cel. Pozostawiłem błogosławione zacisze hotelu i zacząłem krążyć.

Na Rue Madelaine nabyłem modne ciuchy, włączając dwurzędowy, ciemnoniebieski płaszcz z kaszmirowej wełny. Potem spędziłem parę godzin na Gauche Bord, wizytując jasne i zapraszające kawiarnie, rozmyślając o historii Davida, o Bogu i Szatanie, zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodziło. Oczywiście, Paryż byłby doskonałym miejscem dla Boga i Diabła, ale...

Trochę pojeździłem podmiejskim metrem, obserwując pasażerów i usiłując odgadnąć, cóż takiego innego reprezentowali sobą mieszkańcy stolicy Francji? Czy była to ich postawa, ich energia? Sposób, w jaki unikali kontaktu wzrokowego z obcymi? Nie mogłem odgadnąć. Ale bardzo różnili się od Amerykanów — widziałem to wszędzie — i zdałem sobie sprawę, że ich rozumiem. I lubię.

Paryż to niezwykle bogate miasto, wypełnione sklepami z drogimi futrami i biżuterią

oraz butikami, które wprawiały mnie w zdumienie. Zdawał się tętnić życiem bardziej niż amerykańskie metropolie. Tak też było za moich dawnych czasów, kiedy ulicami podążały szklane powozy z eleganckimi damami i dżentelmenami. Tylko wtedy byli tu również biedni. Wszędzie, nawet umierający na ulicach. A teraz widziałem jedynie bogatych. Całe miasto z milionami samochodów, niezliczonymi kamiennymi budynkami, hotelami i pałacami wręcz wykraczało poza granice wiary.

Oczywiście zapolowałem, zaspokoilem głód.

Następnego dnia stałem o brzasku na najwyższym piętrze Pompidou, pod niebem tak czysto fioletowym, jakie nie było nigdy w moim ukochanym Nowym Orleanie, i obserwowałem światła miasta budzącego się do życia. Gapiłem się na stojącą w dali wieżę Eiffla, tak ostro wcinającą się w chmury.

Ach, Paryż. Wiedziałem, że tu wrócę, i to wkrótce. Pewnego dnia w przyszłości zrobię sobie norę na Ile Saint-Louis, które zawsze kochałem. Do diabła z wielkimi gmachami Avenue Foch. Znajdę ten budynek, w którym kiedyś razem z Gabrielle pracowałem nad czarną magią. Matka prowadząca syna, by uczynił z niej własną córkę.

Ściągnąłbym z powrotem Louisa, który tak uwielbiał to miasto, zanim stracił Claudię. Tak, musi mieć szansę ponownie je pokochać.

Zdecydowałem, że pójdę do Cafe de la Paix we wspaniałym hotelu, gdzie zatrzymali się Louis i Claudia tamtego tragicznego roku, za panowania Napoleona III. Usiądę przy lampce wina, zmuszając się, by pomyśleć spokojnie o przeszłości.

Cóż, byłem pełen sił po ciężkich przeżyciach na pustyni i gotów na wszystko...

...I wreszcie, we wczesnych godzinach rannych, kiedy popadłem w lekką melancholię i smutek, a mgły zwisały nad na wpół zamrożoną rzeką, stojąc nad brzegiem bardzo blisko Ile de la Cite, zobaczyłem mojego człowieka.

Najpierw przyszło to uczucie. Tym razem rozpoznałem je momentalnie. Analizowałem, co się ze mną dzieje — ta mała dezorientacja, na którą pozwoliłem bez utraty kontroli nad sobą; te miękkie, wyborne wibracje; i potem znane już, głębokie skurcze ściągające wszystkie członki — palce, ręce, ramiona, nogi... tak jakby moje całe ciało malało i malało coraz bardziej, a ja byłbym siłą wypychany ze skóry! W momencie kiedy ów stan wydawał się już niemożliwy do zniesienia, mój umysł uległ rozjaśnieniu i uczucie zniknęło zupełnie.

Dokładnie tego samego doświadczyłem dwa razy wcześniej. Stałem przy moście, rozmyślając i analizując szczegóły.

Potem ujrzałem niewielki samochód zatrzymujący się po drugiej stronie rzeki. Ze

środką wyszedł młody brunet i spojrzał na mnie badawczym, pełnym zachwytu, promieniującym wzrokiem.

Nie wyłączył silnika pojazdu. Czułem jego strach, podobnie jak wcześniej. Oczywiście, wiedział, że go widziałem. Nie było mowy o pomyłce. Nie ruszyłem się z miejsca od dwóch godzin, czekając aż mnie znajdzie i wydaje mi się, że również z tego zdawał sobie sprawę.

Wreszcie zebrał się na odwagę i przeszedł przez mgłę po moście. Momentalnie dojrzałem imponującą sylwetkę w długim płaszczu, z białym szalikiem wokół szyi, półładną, półbiegnącą. Zatrzymał się kilka metrów ode mnie. Stałem nieruchomo z łokciem opartym na poręczy i spoglądałem na nieznanego lodowato. Rzucił w moim kierunku następną małą kopertę. Chwyciłem jego rękę.

— Niech pan nie będzie porywczy, monsieur de Lioncourt! — szepnął desperacko. Brytyjski akcent, wyższa sfera, prawie jak David, niemal perfekcyjnie akcentował francuskie sylaby. Był sparaliżowany ze strachu.

— Kim ty, do cholery, jesteś!? — zapytałem.

— Mam dla ciebie propozycję! Byłbyś głupcem, gdybyś nie posłuchał. To coś, czego będziesz bardzo chciał. I nikt inny na świecie nie złoży ci podobnej oferty, wierz mi!

Raptownie puściłem rękę mężczyzny. Zatoczył się do tyłu, chwytając poręcz. Co było nie tak z gestami tego człowieka? Potężnie zbudowany osobnik poruszający się jak chuda, tandetna kreatura. Nie mogłem tego rozgryźć.

— Mów, co to za propozycja! — powiedziałem i słyszałem serce, ze strachu zamierające w szerokiej klatce natręta.

— Nie — odparł. — Ale porozmawiamy już wkrótce. Taki kulturalny, starannie wyważony sposób mówienia.

Zbyt wyrafinowany i ostrożny, nie pasujący do młodej, gładkiej twarzy z dużymi brązowymi oczami. Czy on był jakąś cieplarnianą istotą żyjącą w towarzystwie starszych ludzi i nigdy nie widzącą osoby w swoim wieku?

— Nie bądź porywczy! — krzyknął ponownie, po czym odbiegł, wtoczył się do samochodu i odjechał przez lodowaty śnieg. Oddalał się tak szybko, że gdy zniknął w Saint Germain pomyślałem, iż będzie miał wypadek i zginie.

Spojrzałem na kopertę. Następną, cholerna historyjka, nie ma wątpliwości. Rozerwałem papier ze złością, niepewny czy powinienem pozwolić mężczyźnie odejść. Mimo to w jakiś dziwny sposób dobrze bawiłem się, odgrywając tę grę.

Zobaczyłem, co było w kopercie — kasetą wideo. Film zatytułowany *Vice versa*. Co

do cholery...? Obejrzałem pudełko, komedia.

Wróciłem do hotelu. Czekala tam na mnie kolejna paczuszka. Jeszcze jedna kaseta wideo. Film pod tytułem *Dwoje we mnie*. Podobnie jak w poprzednim przypadku streszczenie na okładce przedstawiało treść filmu.

Poszedłem do swojego apartamentu. Nie było magnetowidu! Nigdzie w całym „Ritzu”. Zadzwoiłem do Davida, chociaż nadchodził już świt.

— Możesz przyjechać do Paryża? Przygotuję wszystko dla ciebie. Zobaczymy się na kolagi, o ósmej jutro w restauracji na dole.

Potem skontaktowałem się ze swoim agentem. Zerwałem go z łóżka, poinstruowałem, żeby zorganizował dla Davida bilet, limuzynę, apartament i cokolwiek jeszcze będzie potrzebował. Powinna czekać na niego gotówka, kwiaty i schłodzony szampan. Następnie wyszedłem z hotelu, by znaleźć bezpieczne miejsce do snu.

Jednak godzinę później, kiedy stałem w mrocznej piwnicy jakiegoś starego, opuszczonego domu, zastanawiałem się, czy ten mały drań nie widzi mnie nawet teraz. Czy nie wie, gdzie spiam podczas dnia i nie sprowadzi na mnie słońca jak jakiś tani łowca wampirów z kiepskiego filmu?

Zakopałem się głębiej w piwnicy. Żaden samotny śmiertelnik nie może mnie tu znaleźć. A nawet gdyby, to udusiłbym go mimowolnie podczas snu.

— Jak myślisz, co to wszystko znaczy? — zapytałem Davida. Restauracja była ekskluzywnie udekorowana i prawie pusta.

Siedziałem przy świetle świec, w czarnym wieczorowym żakiecie i wyprasowanej koszuli, z rękami skrzyżowanymi przed sobą. Bawił mnie fakt, że potrzebowałem okularów ultrafioletowych, żeby ukryć oczy. Jak ostro widziałem portierów i szarawy ogród za oknami!

David jadł łapczywie. Był szczerze zadowolony z przyjazdu do Paryża, podobał mu się apartament przy Place Vendôme z aksamitnymi dywanami i gustownymi meblami. Całe popołudnie spędził w Luwrze.

— Cóż, dostrzegasz główny motyw, prawda? — odpowiedział.

— Nie jestem pewien — odparłem. — Widzę wspólne elementy, ale te historyjki są zupełnie różne.

— Jak to?

— No więc u Lovecrafta Asenath, ta diaboliczna kobieta, zamienia się ciałami ze swoim mężem, lata po mieście jako mężczyzna, w czasie gdy on siedzi w domu w skórze kobiety, zrozpaczony i zmieszany. W zasadzie myślałem, że to bzdura. Tylko że cudownie sprytna, a oczywiście Asenath to nie Asenath, tylko jej ojciec, który zamienił się z nią

ciałami. I tutaj to wszystko staje się bardzo zawile z udziałem półludzkich demonów i tym podobnych.

— Ta część akurat może nie mieć nic wspólnego. A to egipskie opowiadanie?

— Zupełnie inne. Zmarły, który nadal posiada życie, wiesz...

— Tak, ale wątek...

— Cóż, duszy mumii udaje się posiąść ciało archeologa, a on, biedaczysko, trafia do zgniłej powłoki mumii...

— Tak?

— Dobry Boże! Już rozumiem, co masz na myśli. I ten film *Vice versa*. Jest o duszy chłopca i duszy mężczyzny, którzy zamieniają się ciałami! Przewracają świat do góry nogami, zanim udaje im się ponowna zamiana. A film *Dwoje we mnie* też jest o zamianie ciał. Masz absolutną rację. Wszystkie cztery historie dotyczą tej samej kwestii.

— Dokładnie.

— Chryste, Davidzie! Wszystko jasne! Nie wiem, dlaczego wcześniej niczego nie zrozumiałem. Ale...

— Ten mężczyzna stara się, byś uwierzył, że on coś wie na temat zamiany ciał. Próbuje podsunąć ci sugestię, że podobne wcielenia są możliwe.

— Dobry Boże, oczywiście! To tłumaczy sposób, w jaki się porusza, chodzi, biega...

— Co?

Siedziałem jak sparaliżowany, analizując sytuację, zanim odpowiedziałem. Przywodziłem na myśl wszelkie możliwe wizerunki drania, pod każdym obranym kątem, na ile tylko pozwalała moja pamięć. Tak, nawet w Wenecji było w nim coś jawnie anormalnego.

— Davidzie, on *może* to zrobić!

— Lestacie, nie wyciągaj pochopnie tak szalonych wniosków! Prawdopodobnie tylko myśli, że potrafiłby dokonać czegoś podobnego. Może próbuje. Może po prostu żyje w świecie iluzji...

— Nie. To jest jego propozycja, którą, jak powiedział, będę chciał usłyszeć! Potrafi zamieniać się ciałami z ludźmi!

— Lestacie, nie możesz wierzyć...

— Davidzie, właśnie to jest z nim nie w porządku! Staralem się rozszyfrować tę zagadkę od chwili, kiedy ujrzałem go na plaży w Miami. To nie jego ciało! Dlatego nie może wykorzystać swej muskulatury ani swojej... swojego wzrostu. Właśnie dlatego prawie się przewraca, kiedy biegnie. Nie potrafi kontrolować długich, potężnych nóg. Dobry Boże, ten mężczyzna wkradł się w czyjeś ciało. I głos, Davidzie, mówiłem ci o tym. To nie jest tembr

młodego mężczyzny. Och, to wszystko wyjaśnia! Wiesz, co myślę? On wybrał to szczególne ciało właśnie po to, żebym zauważył. I powiem ci coś jeszcze. Próbował już zamiany ciał ze mną i mu się nie udało.

Nie mogłem kontynuować. Wszystko było zbyt oszałamiające.

— Co masz na myśli, mówiąc „próbował”?

Opisałem te dziwne stany fizyczne — wibracje, duszenie, poczucie, jakbym był siłą wyciągany ze swej cielesnej powłoki.

David nie skomentował moich spostrzeżeń, ale widziałem, jakie wywarły na nim wrażenie. Siedział w bezruchu ze zmrużonymi oczami i prawą ręką opartą obok talerza.

— Zaatakował mnie, prawda? Chciał zamienić się miejscami! I oczywiście nie był w stanie tego dokonać. Tylko dlaczego ryzykował życie, obrażając mnie taką próbą?

— Czy śmiertelnie cię obraził? — zapytał David.

— Nie, sprawił, że stałem się bardziej zaintrygowany, potężnie ciekaw!

— A więc masz swoją odpowiedź. Myślę, że ów człowiek zna cię aż za dobrze.

— Co? — Słyszałem słowa Davida, ale nie mogłem od razu zebrać się na odpowiedź. Ponownie wciągnąłem się w studiowanie wrażeń. — To uczucie było niezwykle silne. Och, czy nie rozumiesz,

co on robi? Sugeruje, że mógłby zamienić ze mną ciała. Oferuje mi tę przystojną, młodą ramkę.

— Tak — odparł David chłodno. — Myślę, że masz rację.

— Dlaczegoż by inaczej pozostawał w tamtym ciele? — powiedziałem. — Najwyraźniej czuje się w nim niewygodnie. Chce zamiany. Mówi, że potrafi tego dokonać! Dlatego podjął ryzyko. Musi wiedzieć, iż z łatwością mógłbym go zabić, zgnieść jak małą pluskwę. Nawet go nie lubię — mówię o manierach. Ciało jest doskonałe. Nie, to właśnie to. Potrafi dokonać zamiany, Davidzie, wie jak.

— Daj spokój! Nie możesz sprawdzić...

— Co? Dlaczego nie? Uważasz, że to niewykonalne? W tych wszystkich archiwach nie macie żadnych danych...? Davidzie, wiem, że on to zrobił. Nie może tylko zmusić mnie do współpracy. Ale dokonał zmiany z innym śmiertelnikiem, jestem pewien.

— Lestacie, podobne zjawisko my nazywamy zawładnięciem. To psychiczny wypadek! Dusza martwej osoby zajmuje żywe ciało. Żyjący ludzie nie robią tego tak sobie, czy nawet przy obopólnej zgodzie. Nie, nie myślę, aby to było możliwe. Nie wydaje mi się, żebyśmy zetknęli się z tego typu przypadkami! Ja... — przerwał, najwyraźniej pełen wątpliwości.

— Wiesz, że odnotowaliście podobne zjawiska — powiedziałem. — Musieliście.

— Lestacie, to bardzo niebezpieczne, zbyt niebezpiecznie pod każdym względem.

— Słuchaj, jeśli może się tak stać przypadkowo, to równie dobrze można dokonać świadomej zamiany. Jeśli potrafi uczynić to martwa dusza, to dlaczego miałyby nie potrafić żywa? Wiem, co oznacza podróżowanie poza ciałem. Ty również. Nauczyłeś się tego w Brazylii. Opisałeś ze szczegółami. Wiele, wiele ludzkich istot wie. To było częścią starożytnych religii. Prawdopodobnie ktoś może powrócić do innego ciała i tkwić w nim, podczas gdy druga dusza walczy o odzyskanie go.

— Co za wstrętna myśl.

Ponownie opowiedziałem mu o fizycznych doznaniach, którym towarzyszyło ukazanie się tajemniczego młodzieńca.

— Davidzie, to możliwe, on ukraść ciało!

— Och, po prostu cudownie.

Znowu zacząłem wspominać tamto uczucie duszenia, jakbym był wyciągany na zewnątrz przez czubek głowy. Ależ to było silne! Jeśli mógł wprowadzić mnie w taki stan, z pewnością potrafił również wyciągnąć jakiegoś śmiertelnika z ciała, szczególnie w sytuacji gdy ten nie miał zielonego pojęcia, co się z nim dzieje.

— Uspokój się, Lestacie — powiedział David z lekkim niesmakiem. Położył ciężki widelec na prawie pustym talerzu. — Przemyśl to. Może dałoby się dokonać takiej zamiany na kilka minut. Ale wskakiwanie w nowe ciało, pozostawanie w nim i funkcjonowanie dzień za dniem? Nie. To oznaczałoby konieczność bezustannej aktywności. Mówisz o czymś bardzo niebezpiecznym. Nie możesz z tym eksperymentować. A jeśli to naprawdę działa?

— O to właśnie chodzi. Jeśli działa, wejdę w tamto ciało. — Przerwałem. Słowa więzły mi w gardle, ale w końcu powiedziałem:

— Davidzie, mogę być znów śmiertelnikiem.

Odebrało mi dech w piersiach. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w ciszy. Wyrz strachu w jego oczach nie ostudził mojego podniecenia.

— Wiedziałbym, jak używać ciała — dodałem półszeptem — jak korzystać z mięśni i długich nóg. Och, tak, wybrał tę postać, bo miał pewność, że rozważę taką możliwość, realną możliwość...

— Lestacie, nie waż się nawet o tym myśleć! On mówi o handlu, zamianie! Nie możesz pozwolić temu podejrzanemu indywidualowi, by posiadało twoje ciało! Pomysł jest potworny. Wystarczająco dobrze wyglądasz!

Pogrążyłem się w milczeniu.

— Słuchaj — zaczął David, starając się sprowadzić mnie na ziemię — przebac mi, że przemawiam jak dyrektor generalny religijnego porządku, ale to jest coś, czego po prostu nie możesz zrobić! Pierwsza sprawa, zastanów się, skąd wytrzasnął ciało? A co jeśli rzeczywiście je ukradł? Z pewnością żaden przystojny młody człowiek nie oddałby go tak od niechcenia! To złowieszcza istota i w ten właśnie sposób musi być traktowana. Nie możesz powierzyć mu ciała tak potężnego jak twoje własne.

Słyszałem każde słowo Davida, rozumiałem, ale nie mogłem zaakceptować.

— Pomyśl o tym, przyjacielu — powiedziałem, zdając sobie sprawę, że mówię jak szaleniec. — Mógłbym być śmiertelnikiem.

— Lepiej obudź się i zwracaj uwagę na to, co mówię,

proszę! W grę nie wchodzi kwestia komediowych historyjek i sztuki miłosnej w gotyckim stylu. — Otarł usta serwetką i przełknął łyk wina, potem sięgnął nad stołem i chwycił mój nadgarstek.

Powinienem był pozwolić mu unieść dłoń i potrząsnąć nią, ale nie zrobiłem tego. Zorientowałem się, że nie zdołał poruszyć mojej ręki ze stołu i równie dobrze mógłby zmagać się z przesuwaniem granitowego pomnika.

— Tak właśnie! — stwierdził. — Nie wolno ci z tym igrać, ryzykować, że zadziała, a wtedy ów fanatyk, kimkolwiek jest, posiadzie twoją siłę.

Potrząsnąłem głową.

— Wiem, o czym mówisz, Davidzie, ale zrozumiem, muszę z nim porozmawiać! Muszę go znaleźć i dowiedzieć się, czy to możliwe. On osobiście jest nieistotny. Interesuje mnie sam proces.

— Lestacie, błagam cię. Nie zapomnij o tym. Popelnisz następną, kolosalną pomyłkę!

— Co masz na myśli?

Tak ciężko było zwracać baczność na słowa Davida. Gdzie teraz znajdował się ten szaleniec? Pomyślałem o jego oczach, jakie byłyby piękne, gdyby nie patrzył przez nie ów drań. Tak, to ciało idealnie nadawało się do eksperymentu! Gdzie on je dorwał? Muszę się dowiedzieć.

— Davidzie, pozwól, że opuszczę cię na pewien czas.

— Nie, nic z tych rzeczy! Zostaniesz tu, gdzie jesteś albo, jak mi Bóg miły, wyślę za tobą legion złośliwych dusz, każdego najmniejszego demona, z jakim miałem do czynienia w Rio! A teraz posłuchaj.

Roześmiałem się.

— Nie podnoś głosu. Wyrzucą nas z „Ritza”.

— Dobrze więc, pójdziemy na kompromis. Wrócę do Londynu i usiądę przy komputerze. Wyciągnę z naszych akt każdą sprawę dotyczącą zamiany ciał. Zobaczymy, czego się dowiemy. Lestacie, może on siedzi w ciele prowadzącym go do samodestrukcji. Nie jest w stanie się z niego wydostać ani też powstrzymać procesu rozkładu. Co o tym sądzisz?

Potrząsnąłem głową.

— To niemożliwe. Pochwyliłbym zapach. Z ciałem jest wszystko w porządku.

— Może tylko poza tym, że ukradł je od prawowitego właściciela, której biedna dusza miota się teraz w jego obmierzłej powłoce. Nie mamy pojęcia jak to wygląda.

— Spokojnie, Davidzie, proszę. Jedź do Londynu i przejrzyj akta, tak jak mówiłeś. Zamierzam znaleźć tego małego drania. Chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia. Nie martw się! Nie zrobię niczego bez konsultacji z tobą. A jeśli się zdecyduję...

— Nie zdecydujesz się! A przynajmniej nie podejmij samodzielnych, pochopnych decyzji.

— W porządku.

— Przyrzekasz?

— Na mój honor spragnionego krwi mordercy, tak.

— Chcę twój numer telefonu w Nowym Orleanie. Przez moment bezmyślnie gapiłem się na Davida.

— Dobra. Nigdy wcześniej tego nie robiłem, ale proszę. — Podałem mu numer telefonu moich podniebnych pokoi mieszczących się na dachu wieżowca w Dzielnicy Francuskiej. — Nie zamierzasz go zapisać?

— Już zapamiętałem.

— A więc do widzenia!

Wstałem od stołu, siłąc się, by moje ruchy wyglądały naturalnie. Ach, poruszać się jak człowiek. Tylko pomyśleć o tym, by znaleźć się w ludzkim ciele. Widzieć słońce, naprawdę je widzieć, piękną ognistą kulę na błękitnym niebie!

— Och, Davidzie, prawie zapomniałem. Tutaj wszystko załatwione. Zadzwoń do mojego człowieka. On zorganizuje twój powrót...

— To mnie nie obchodzi, Lestacie. Słuchaj mnie. Ustalmy teraz termin spotkania, by raz jeszcze porozmawiać o tej sprawie! Jeśli znikniesz, nigdy więcej...

Stałem tam i uśmiechałem się do niego. Mógłbym powiedzieć, że go oczarowałem. Oczywiście nie ważyłby się powiedzieć, iż nigdy więcej się do mnie nie odezwie. Cóż za absurd!

— Kolosalne pomyłki — powiedziałem, nie będąc w stanie przestać się śmiać. —

Tak, popełniam je, prawda?

— Co oni z tobą zrobią... ci inni? Twój szacowny Marius, pozostali starsi, jeśli uczynisz taką rzecz?

— Zdziwisz się, Davidzie, ale prawdopodobnie wszystko, czego pragną, to być ponownie ludźmi. Może każdy z nas tego chce. Kolejna szansa.

Pomyślałem o Louisie w jego domu w Nowym Orleanie. Dobry Boże, co by sobie pomyślał, gdybym mu o tym wszystkim opowiedział?

David wymamrotał coś pod nosem, zły i zniecierpliwiony, ale z twarzą nadal pełną uczucia i zaangażowana.

Posłałem mu buziaka i zniknąłem.

Minęła ledwie godzina, a już zdałem sobie sprawę, że nie potrafię znaleźć tego chytrego osobnika. Jeśli znajdował się w Paryżu, był tak zakamuflowany, że nie wyczuwałem najmniejszego szmeru jego obecności. I w niczym umyśle nie mogłem trafić na żaden ślad.

To wcale nie oznaczało, że opuścił stolicę. Telepatia może prowadzić do przebicia albo fiaska, a Paryż jest ogromnym miastem goszczącym wielu obywateli różnych krajów świata.

W końcu wróciłem do hotelu. Dowiedziałem się, że David już się wymeldował, zostawiwszy mi swoje rozmaite numery telefonów plus kilka informacji.

„Proszę, skontaktuj się ze mną jutro wieczorem” — pisał. — „Będę miał dla ciebie trochę danych”.

Poszedłem na górę przygotować się do podróży powrotnej. Nie mogłem czekać, aż trafię znowu na tego świra. I Louis — musiałem mu wszystko wyłożyć. Oczywiście nie uwierzyłby, na samym początku by powiedział, że to absolutnie niemożliwe. Ale rozumiałby sens. Och, tak, na pewno.

Nie byłem w pokoju nawet przez minutę, zastanawiając się, co jeszcze powinienem ze sobą zabrać... aha, manuskrypty Davida... kiedy zobaczyłem jasną kopertę leżącą na stoliku obok łóżka. Była oparta o wazon z kwiatami. „Hrabia van Kindergarten” napisano na niej wyraźnym, tłustym drukiem.

W momencie gdy tylko ją zobaczyłem, wiedziałem, że to wiadomość od mojego prześladowcy. Notatka sporządzona była odręcznie.

Nie spiesz się i nie podejmuj pochopnych decyzji. I nie słuchaj swojego głupiego przyjaciela z Talamaski. Zobaczę się z Tobą w Nowym Orleanie jutro w nocy. Nie rozczaruj mnie. Na Jackson Square. Ustalimy datę spotkania, by popracować trochę nad alchemią. Myślę, że zrozumiesz, o co chodzi.

Szczerze oddany Raglan Jame?— Raglan James — wyszeptałem na głos. Raglan James. Nie podobało mi się to nazwisko. Było takie jak on sam.

Zadzwoiłem po chłopca hotelowego.

— Ten system faksu, który niedawno wynaleziono — powiedziałem po francusku — macie tutaj? Proszę mi wyjaśnić zasady działania.

Tak jak podejrzewałem, cała treść tej niewielkiej notki mogła zostać przysłana z biura hotelu do faksu Davida w Londynie, z zachowaniem charakteru pisma, który był dość istotny.

Załatwiłem, by to zorganizowano, pozbierałem manuskrypty, zatrzymałem się przy biurku z notką od Raglana Jamesa, posłałem ją faksem i wyszedłem do Norte Dame, by klęcząc pożegnać się z Paryżem.

Oszalałem. Absolutnie oszalałem. Czy jeszcze kiedykolwiek doznam tak czystego szczęścia?! Stałem w mrocznej katedrze, którą już dawno zamknięto ze względu na późną porę, i rozmyślałem o pierwszym razie, kiedy wszedłem w te progi, tak wiele, wiele dekad temu. Wtedy w okolicy nie było tak wspaniałych skwerów, prócz Placu de Greve'a, i tak cudownych bulwarów jakie są teraz, jedynie szerokie, błotniste ulice, które uważaliśmy za wręcz doskonałe.

Rozmyślałem o widoku błękitnego nieba i o tym, jak by to było wspaniale czuć prawdziwy głód, do chleba i mięsa, spić się dobrym winem. Myślałem o Nicolasie, moim przyjacielu — śmiertelniku, którego tak bardzo uwielbiałem, i jak cudowny chłód panował w naszym małym pokoiku na poddaszu. Nički sprzecający się ze mną w sposób, w jaki kłóć się z Davidem! Och, tak!

Wydawało się, jakby moja wspaniała, długa egzystencja była od tamtych dni koszmarem, nocnym majakiem pełnym gigantów, potworów i strasznych masek pokrywających twarze istot, które nachodziły mnie w wiecznej ciemności. Trząsałem się i szlochałem.

Być człowiekiem, pomyślałem. Być znowu człowiekiem! Wydaje mi się, że wypowiedziałem te słowa na głos.

Nagle moje rozważania przerwał cichy śmiech. Gdzieś w ciemności kryło się dziecko, mała dziewczynka.

Odwrociłem się. Byłem prawie pewien, że ją widzę — niewielką, szarą formę przesuającą się ze środka katedry w kierunku ołtarza. Potem zniknęła z zasięgu wzroku. Drobne kroczki stały się ledwie słyszalne. Z pewnością zaistniała jakaś pomyłka. Nie było zapachu. Żadnej rzeczywistej obecności. Tylko iluzja.

Niemniej jednak wykrzyknąłem:

— Claudia!

Mój głos odbijał się głośnym echem. Oczywiście nie było tam nikogo.

Przypomniałem sobie słowa Davida: „Zamierzasz popełnić kolejną fatalną pomyłkę!”

Tak, popełniałem fatalne pomyłki. Jak mógłbym temu zaprzeczyć? Potworne, okropne błędy. Ponownie naszła mnie atmosfera ostatnich wizji, ale nie pogłębiała się i pozostawało tylko efemeryczne uczucie bycia z Claudia. Coś, związane z lampą naftową i z nią, śmiejącą się ze mnie.

Znów pomyślałem o jej egzekucji — ceglistościenne powietrze, nadchodzące słońce... Jak mała wtedy była! Wspomnienia o bólu przeżywanym na pustyni Gobi mieszały się z tymi o Claudii i nie mogłem już dłużej wytrzymać. Zorientowałem się, że założyłem ręce na piersi i drżałem jakby pod wpływem wstrząsów elektrycznych. Ach, ale na pewno nie cierpiała. Z pewnością trwało to moment dla kogoś tak delikatnego. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz...

To była czysta męka. Nie te czasy chciałem wspominać. Nieważne jak długo siedziałem w Cafe de la Paix i jak wyobrażałem sobie, że stanę się silny. Kiedy byłem żywy i niewinny, Paryż należał do mnie.

Pozostałem w ciemnościach jeszcze przez chwilę, spoglądając na wspaniałe łuki rozstrzelone nade mną. Cóż to za wspaniałe i majestatyczny kościół, nawet teraz przy hałasie samochodów dochodzącym z zewnątrz. Budowla przywodziła na myśl las z kamienia.

Posłałem katedrze buziaka i odszedłem, by wyruszyć w długą podróż do domu.

ROZSDZIAŁ 7

Nowy Orlean.

Przybyłem stosunkowo wczesnym wieczorem, gdyż zyskałem sporo czasu ze względu na zamianę strefy czasowej. Powietrze było zimne i orzeźwiające, niebo — bezchmurne i pełne małych, bardzo wyraźnych gwiazd.

Od razu udałem się do Dzielnicy Francuskiej, do mojego małego apartamentu na poddaszu. Znajduje się on na szczycie czteropiętrowego budynku wzniesionego jeszcze przed wojną domową. Z okien mieszkanca rozciąga się intymny widok na rzekę i piękne, bliźniacze mosty. Do wnętrza przedostaje się hałas pełnej rozradowanych gości Cafe du Monde oraz zatłoczonych sklepów i ulic wokół Jackson Square.

Raglan James miał się ze mną zobaczyć dopiero następnej nocy. Ze zniecierpliwieniem czekałem na owo spotkanie. Postanowiłem do tego czasu odnaleźć Louisa.

Najpierw wziąłem gorący prysznic i wskoczyłem w świeży garnitur z czarnego aksamitu, podobny do tych, jakie nosiłem w Miami. Włożyłem parę nowych, czarnych butów. Gdybym nadal przebywał w Europie, to spałbym teraz, głęboko zakopany w ziemi — ale tutaj ruszyłem, spacerując jak śmiertelnik, przez miasto.

Z przyczyn, których nie byłem do końca pewien, skręciłem w Rue Royale, gdzie kiedyś mieszkaliśmy z Claudia i Lousem. W zasadzie odwiedzałem to miejsce dość często, ale nigdy nie pozwalałem sobie na wspomnienie. Aż do teraz, kiedy byłem w połowie drogi do celu.

Przez ponad pięćdziesiąt lat tu właśnie, w tym pięknym apartamencie na piętrze mieściła się nasza siedziba. I z pewnością ten czynnik powinien być rozważony w sytuacji, jeśli miałbym stanąć przed sądem za błędy zarówno przez siebie, jak i przez kogoś innego popełnione. To ja stworzyłem Louisa oraz Claudię i przyznaję, że uczyniłem to z powodów czysto egoistycznych. Tak czy inaczej nasza egzystenga była zadowalająca aż do momentu, gdy dziewczynka zdecydowała, że powinienem zapłacić za owe akty kreacji własnym życiem.

Pokoje mieliśmy bogato udekorowane i luksusowo wyposażone, oczywiście na tyle, na ile było to możliwe w tamtych czasach. Posiadaliśmy powóz, stadko koni w pobliskich stajniach oraz służących, którzy mieszkali w domu z tyłu posesji. Obecnie stare, ceglane budynki poszarzały i zmarniały. Mieszkanie stało puste przez całe lata, może jedynie nawiedzały je duchy, kto wie? Sklep na parterze wynajmował księgarz, który nigdy nie

kłopotał się ścieraniem kurzu z wystawy ani też z tomów na półkach. Od czasu do czasu dostarczał mi książki — traktaty o naturze zła pióra historyka, Jeffery'a Burtona Russella, genialne prace filozoficzne Mircea Eliade'a, a także egzemplarze moich ulubionych powieści.

Staruszek siedział w swojej księgarni i czytał. Kilka minut obserwowałem go przez szybę. Jakże różnili się obywatele Nowego Orleanu od całej reszty amerykańskiego świata. Dla tej starej, siwowłosej istoty zysk nie znaczył absolutnie nic.

Uniosłem wzrok i spojrzałem na żelazną balustradę balkonu znajdującego się nad sklepem. Pomyślałem o swych niepokojących wizjach — lampie naftowej i głosie Claudii. Dlaczego nawiedzała mnie z jeszcze większym zawzięciem niż kiedykolwiek wcześniej?

Zamknąwszy oczy, ujrzałem ją ponownie. Mówiła coś do mnie, lecz nie rozumiałem sensu wypowiedzi. Znow zacząłem rozmyślać o jej życiu i śmierci.

Szopa, w której widziałem ją w ramionach Louisa, dawno zniknęła bez śladu. To był zadzumiony dom. Tylko wampir mógł tam wejść. Nawet żaden złodziej nie śmiał ukraść złotego łańcuszka z szyi martwej matki dziewczynki. Jakże Louis wstydził się tego, że wybrał tę drobną istotę na swoją ofiarę. Ja to zrozumiałem. Nie pozostał również żaden ślad po szpitalu, do którego ją później zabrali. Brnąłem zabłoconą ulicą z otuloną kocem dziewczynką na rękach, a Louis pędził za mną, błagając, bym powiedział, co zamierzam uczynić.

Podmuch zimnego wiatru wstrząsnął mną gwałtownie.

Słyszałem dźwięki stłumionej, ochryplej muzyki dobiegającej z tawerny przy Rue Bourbon, usytuowanej jedynie przecnicę dalej, a także głosy spacerujących przed katedrą ludzi, śmiech stojącej w pobliżu kobiety. Gdzieś w mroku zawył klakson samochodu i odezwał się sygnał nowoczesnego telefonu.

W księgarni stary mężczyzna bawił się radiem, zmieniając stacje, aż wreszcie z odbiornika popłynął żalobny głos recytujący poezję przy akompaniamencie utworu jakiegoś angielskiego kompozytora.

Dlaczego przyszedłem do tego starego budynku, wyglądającego jak opuszczony i zapomniany grobowiec, z którego płyty dawno zostały starte nazwiska i daty?

Nie chciałem już dłużej zwlekać.

Igrałem z własnym szaleństwem i podnieceniem tak samo jak w Paryżu. Skierowałem się do miasta, żeby odnaleźć Louisa i o wszystkim mu opowiedzieć.

Ponownie zdecydowałem się iść piechotą. Chciałem czuć ziemię, mierzyć ją swoimi stopami.

W naszych czasach — pod koniec osiemnastego stulecia — centrum miasta w

zasadzie nie istniało. Była to wioska nad rzeką, z rozległymi plantacjami i wąskimi, niewygodnymi drózkami wybrukowanymi wyłowionymi z morza muszlami.

Później, w dziewiętnastym wieku, kiedy nasza mała kryjówka została zniszczona, a ja ranny i załamany wyruszyłem do Paryża w poszukiwaniu Claudii i Louisa, miasteczko rozwinęło się w ogromną metropolię, gdzie wybudowano wiele pięknych, drewnianych domów w stylu wiktoriańskim.

Niektóre z tych ozdobnych budowli są niezwykle potężne, a każdy ich fragment wspaniały na swój niepowtarzalny, nieco chaotyczny sposób. Tak właśnie wyglądają przypominające mi świątynie przedwojenne, renesansowe w wystroju domy w Dzielnicy Ogrodów, jak również imponujące rezydencje w Dzielnicy Francuskiej.

Jednak spora część miasta z małymi, oszalowanymi chatami ma według mnie nadal wiele cech typowych dla wsi. Wszędzie nad niskimi dachami rozpościerają swe korony gigantyczne dęby i mag-

nolie, a wiele nie posiadających chodników ulic obrastają dzikie, bujne pomimo zimowego chłodu kwiaty.

Nawet małe, handlowe bulwary nie przypominają już dawnej Dzielnicy Francuskiej z kamiennymi fasadami domów i sofistyką starego świata, ale raczej osobliwe „główne ulice” z wiejskich miasteczek w Ameryce.

To wspaniałe miejsce do spacerowania wieczorami; można usłyszeć śpiew ptaków, co nigdy nie zdarza się w Vieux Carre, a brzask trwa tutaj wiecznie ponad dachami magazynów usytuowanych nad krętą rzeką i błyszczy między ogromnymi gałęziami drzew. Niemal wszędzie można dostrzec okazałe pałacyki z galeriami i bogatymi dekoracjami oraz domy z wieżyczkami. Za świeżo pomalowanymi balustradami mieszczą się rozległe, drewniane werandy z białymi ogrodzeniami. Szerokie aleje zdobią schludnie utrzymane trawniki.

Małe chaty prezentują nie kończącą się różnorodność architektoniczną. Niektóre, zgodnie z obecną modą, są starannie pomalowane lśniąco barwami, inne — zaniedbane, ale równie piękne; cechuje je urocza, szara kolorystyka drzewa wyrzuconego przez fale na brzeg, typowa dla domów w klimacie tropikalnym.

Tu i tam można znaleźć ulicę tak wypełnioną roślinnością, że aż trudno uwierzyć, że nadal jest się w obrębie miasta. Dzikie błękitne bluszcze spowijają ogrodzenia posiadłości. Konary dębów zginają się tak nisko, że przechodnie muszą schylać głowy. Nawet podczas najostrejszej zimy Nowy Orlean pozostaje wiecznie zielony. Mróz nie może zabić kamelii, choć czasami nieco je osłabia. Dzikie żółty jaśmin z Karoliny i purpurowa bugenwila pokrywają płoty i ściany.

W takiej właśnie liściastej ciemności, za rzędem ogromnych drzew magnolii, Louis urządził sobie sekretny dom.

Stary, wiktoriański dwór za zardzewiałymi bramami nie był zamieszkanym. Żółta farba prawie zupełnie spelzła już ze ścian. Tylko od czasu do czasu Louis wędrował po budynku ze świeczką w ręce. Na tyłach rezydencji, ukryta za piramidą bujnej roślinności znajdowała się niewielka chata — jego właściwe mieszkanie, pełne książek i bezcennych przedmiotów, które kolekcjonował od wielu lat. Okna z widokiem na ulicę zostały skrzętnie zakamuflowane. W rzeczywistości było mało prawdopodobne, by ktoś wiedział o tej chacie. Sąsiedzi nie widzieli jej ze względu na wysokie ceglane mury,

gęste stare drzewa i oleandry dziko spowijające całość. Przez wysoką trawę nie prowadziła żadna ścieżka.

Kiedy się zbliżyłem, spostrzegłem, że wszystkie okna i drzwi były otwarte. Louis siedział przy biurku i czytał przy świetle płomyka świecy.

Przez długą chwilę podglądałem go. Uwielbiałem to robić, często podążałem za nim, kiedy polował, by obserwować, jak zaspokaja głód. Współczesny świat nic nie znaczy dla Louisa. Chodzi po ulicach niczym widmo. Bezdźwięcznie, powoli zbliża się do tych, którzy witają już śmierć lub na takich wyglądają. (Nie jestem pewien, czy ludzie kiedykolwiek naprawdę pragną śmierci). A kiedy się posila, robi to szybko, delikatnie i bezboleśnie. Podczas jedzenia musi *zabrać* życie. Nie wie, jak oszczędzić ofiarę. Nigdy nie był dość silny, aby przestać jedynie na „małym drinku”, który mnie często wystarczał na całą noc, zanim stałem się zbyt żarłoczny.

Ubrania Louisa są zawsze staromodne. Jak wielu z nas szuka odzieży, która odzwierciedla styl czasów jego śmiertelnego życia. Zadowolają go obszerne, luźne koszule, ściągnięte długim mankietami rękawy i obcisłe spodnie. Jeśli wkłada płaszcz, co zdarza się rzadko, to taki, jakiego ja zawsze wybieram — kurtka jeźdźcy, szeroka w piersiach i bardzo długa.

Niekiedy daję mu te ciuchy w prezencie, tak więc nie nosi jedynie swych paru ubrań zdartych na szmaty. Kusiło mnie, żeby zreformować jego dom — zawiesić obrazy, wypełnić miejsce pięknem, dorzucić trochę luksusu, w jakim ja zwykłem żyć w przeszłości.

Myślę, że chciał, abym wprowadził pewne zmiany, ale nigdy by tego nie przyznał. Egzystował bez elektryczności, bez nowoczesnego ogrzewania, miotając się w chaosie, lecz udawał, że to mu całkowicie odpowiada.

Niektóre okna jego domu nie miały szyb. Tylko od czasu do czasu Louis zasuwiał staromodne, zbutwiałe okiennice. Raczej nie przejmował się, kiedy deszcz padał na jego

dobytek, ponieważ w zasadzie całe wyposażenie stanowiły po prostu rupiecie poutykane tu i ówdzie.

Znowu myślę, że chciałby, abym coś z tym zrobił. To zdumiewające, jak często przyjeżdżał z wizytą do mojej ogrzanej i perfekcyjnie udekorowanej siedziby na przedmieściach. Potrafił godzinami gapić się w gigantyczny ekran telewizora. Czasami przynosił ze sobą własne kasety wideo. Na okrągło oglądał *Stowarzyszenie wilków*. Podobała mu się również *Piękna i Bestia*, francuskie dzieło Jeana Cocteau, a także *Martwy* Johna Hustona, na podstawie powieści Jamesa Joyce'a. I proszę, zrozumcie, że ten film nie ma nic wspólnego z naszą osobowością. Opowiada o zwykłej grupie śmiertelników z Irlandii, z początku tego stulecia, którzy zbierają się na towarzyską kolację w wigilijny wieczór. Jednak te wizyty nigdy nie mogły być nakazywane przeze mnie, poza tym ani razu nie trwały zbyt długo. Louis często opłakiwał „nieprzyzwoity luksus”, w którym się „tarzałem”, i odwracał się plecami do moich aksamitnych poduszek, grubych dywanów i marmurowych kafelków w łazience. Ponownie oddalał się do swej beznadziejnej, oplatanej dzikim winem meliny.

Dziś siedział w całej swojej zakurzonej krasie, pochylając się nad obszerną i nieporęcznie napisaną biografią Dickensa, pióra angielskiego powieściopisarza. Przerzucał strony powoli, jako że w czytaniu nie był szybszy od większości ludzi. Ze wszystkich nieśmiertelnych, którzy przetrwali, on najbardziej przypomina człowieka. Pozostawał takim z własnego wyboru.

Wiele razy proponowałem mu moją, doskonalszą krew. Za każdym razem odmawiał. Słońce nad pustynią Gobi spaliłoby go na popiół. Jego zmysły są wampirze, ale nie takie jak Dziecka Millennii. Nie potrafi skutecznie zaglądać w umysły innych. Zawsze popełnia błąd, kiedy wprawia śmiertelnika w trans.

Oczywiście nie mogę czytać w jego myślach, ponieważ to ja go stworzyłem, a koncepcje żółtodzioba i mistrza są zawsze zbliżone, chociaż żaden z nas nie ma pojęcia dlaczego. Podejrzewam, że wiemy bardzo dużo o naszych wzajemnych uczuciach i pragnieniach, tylko wzmocnienie jest zbyt duże, żeby pokazał się przejrzysty obraz. Teoria. Może pewnego dnia *zaczną* badać podobne nam istoty w laboratoriach. Będziemy błagać o żywe ofiary przez grube szklane ściany więzień, podczas kiedy uczeni spróbują zasypać nas pytaniami i wyciągać próbki krwi z żył. Tylko czy uda im się z Lestatem, który jedną stanowczą myślą potrafi spalić każdą istotę na popiół?

Louis nie słyszał mnie przyczajonego w wysokiej trawie otaczającej dom.

Wślizgnąłem się do ciemnego pokoju i zdążyłem usiąść na moim ulubionym czerwonym, obitym aksamitem fotelu, który dawno temu sam tu przyniosłem, zanim Louis

podniósł wzrok i zauważył mnie.

— Ach, to ty! — powiedział natychmiast i z trzaskiem zamknął książkę.

Jego twarz, raczej chudą i delikatną, natychmiast przyozdobił okazały rumieniec. Polował wcześniej, przegapiłem to. Przez sekundę czułem się zupełnie zdruzgotany.

Niemniej jednak kuszące było widzieć go ożywionego pulsowaniem dawki ludzkiej krwi. Jego czar zawsze doprowadzał mnie do szaleństwa. Myślę, że idealizuję Louisa w swym umyśle, kiedy nie jestem przy nim, ale gdy go widzę, wracam z obłoków na ziemię.

Oczywiście właśnie ów urok przyciągnął mnie do pana du Lać podczas moich pierwszych nocy tutaj, w Luizjanie, kiedy ten obszar był jeszcze całkiem dzikim terenem, a on — roztrzepanym, zapija-czonym głupcem, prowokującym bójkę w knajpach i robiącym co w jego mocy, by tylko doprowadzić do własnej śmierci. Cóż, dostał to, czego myślał, że chce, mniej więcej.

Przez moment nie mogłem zrozumieć wyrazu przerażenia na twarzy przyjaciela, kiedy na mnie spoglądał. Nie pojmowałem też, dlaczego nagle wstał, podszedł i dotknął mojego policzka. Po chwili skojarzyłem. Chodziło o przyciemnioną przez słońce skórę.

— Coś ty zrobił? — wyszeptał. Przyklęknął i spojrzał na mnie, położywszy mi dłoń na ramieniu. Ta chwila cudownej intymności sprawiła mi ogromną przyjemność, ale nie zamierzałem tego przyznać. Pozostałem w bezruchu na fotelu.

— To nic — powiedziałem. — Już skończone. Spędziłem trochę czasu na pustyni, bo chciałem zobaczyć, co się stanie...

— Chciałeś zobaczyć, co się stanie? — wstał, cofnął się o krok i popatrzył mi prosto w oczy. — Mówisz o autodestrukcji, prawda?

— Niezupełnie — odparłem. — Leżałem na słońcu przez cały dzień. Następnego ranka w jakiś sposób musiałem się zakopać w piasku.

Nie spuszczał ze mnie oczu przez dłuższy moment. Wyglądało, jakby miał zaraz eksplodować dezaprobatą. Potem podszedł do swego biurka i złożył dłonie na zamkniętej książce. Spojrzał na mnie pogardliwym i pełnym furii wzrokiem.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Louisie, mam ci coś ważniejszego do powiedzenia — rzekłem. — Zapomnij o tym wszystkim — wskazałem ręką twarz. — Muszę opowiedzieć ci pewną wyjątkową historię. — Wstałem, gdyż nie mogłem opanować podniecenia. Zacząłem chodzić w kółko, starannie uważając, by nie dotknąć się żadnej sterty obrzydliwych śmieci walających się po całym pokoju. Mroczne światło świecy trochę zbijało mnie z tropu. Nie dlatego iż nic nie widziałem, ale dlatego że było tak słabe i tylko fragmentarycznie oświetlało przestrzeń, a ja lubiłem

jasność.

Powiedziałem mu wszystko — jak spotkałem tę kreaturę, Raglana Jamesa w Wenecji, w Hongkongu, potem w Miami, jak przesłał mi wiadomość w Londynie i podążył za mną do Paryża, co podejrzewałem, że zrobi. Wyjawiłem Louisowi, że mam się spotkać jutro z tym draniem na skwerku w Nowym Orleanie. Opowiedziałem treść krótkich historyjek i ich znaczenie. Wyjaśniłem Louisowi, że młody człowiek nie był w swoim ciele, a ja uwierzyłem w możliwość dokonania takiej zamiany.

— Postradałeś zmysły — stwierdził Louis.

— Nie oceniaj tak pochopnie — odpowiedziałem.

— Co za idiotyczne słowa! Zniszcz go. Skończ z nim. Odszukaj niegodziwca jeszcze dziś, jeśli możesz i skończ z nim.

— Louisie, na miłość boską...

— Posłuchaj, ta kreatura może cię znaleźć, jeśli zechce, tak? Czyli wie, gdzie się kładziesz w czasie dnia. Teraz tutaj przyprowadziłeś tego podłego typa. Wie, gdzie ja się skrywam. Jest najgorszym z możliwych wrogów! *Mon Dieu*, dlaczego chodzisz i sam szukasz nieszczęścia? Żadna siła na ziemi nie może cię teraz zniszczyć. Nie są w stanie tego dokonać Dzieci Millennii ani nawet południowe słońce na pustyni Gobi — więc ty wyzywasz wroga, mającego władzę nad tobą. Śmiertelnika, który spaceruje przy świetle dnia. On jest w stanie całkowicie cię zdominować, kiedy ty nie będziesz tego świadom. Nie! Zniszcz go jak najprędzej. Jest zbyt niebezpieczny. Jeśli go zobaczę, zabiję.

— Louisie, ten człowiek może dać mi ludzkie ciało. Czy słyszałeś, co mówiłem?

— Ludzkie ciało! Lestacie, nie staniesz się zwykłym śmiertelnikiem, wskakując w ludzkie ciało! Nie byłeś nim nawet za życia! Urodziłeś się potworem i doskonale o tym wiesz. Jak możesz się tak łudzić?

— Przestań, bo się rozpłacę.

— Płacz. Chciałbym zobaczyć twoje łzy. Sporo przeczytałem o płaczu w książkach, które napisałeś, ale nigdy na własne oczy nie widziałem, jak szlochasz.

— Ach, to czyni cię perfekcyjnym kłamcą — powiedziałem z furją. — Opisałeś mój płacz w swoim tragicznym pamiętniku, w scenie, która, jak obaj wiemy, nigdy nie miała miejsca.

— Lestacie, zabij tę kreaturę! Będziesz szaleńcem, jeśli pozwolisz mu zbliżyć się do siebie choćby na krok.

Poczułem się zdezorientowany. Totalnie skołowany. Ponownie klapnąłem na fotel i gapiłem się w przestrzeń. Noc wydawała się oddychać miękko i rytmicznie. Zapach powoju

leciutko przenikał mgliste, chłodne powietrze. Rozgorączkowany Louis czekał na moją odpowiedź, chociaż nie miałem pojęcia po co mu ona.

— Nigdy się tego po tobie nie spodziewałem — wyznałem zbity z tropu. — Liczyłem na długą, filozoficzną diatrybę w rodzaju tych, które pisałeś w swoim pamiętniku, ale to?

Louis siedział, spoglądając na mnie spokojnie. Promyk światła padał na wielkie zielone oczy. Wyglądał, jakby moje słowa przysparzały mu bólu. Z pewnością nie chodziło o krytykę jego twórczości. Wyśmiewałem te zapiski przez cały czas. To był żart. Cóż, pewien rodzaj żartu.

Nie wiedziałem, co mam powiedzieć lub zrobić. Działał mi na nerwy. Kiedy mówił, jego głos był bardzo miękki.

— Chyba nie chcesz naprawdę zostać człowiekiem — powiedział. — Nie wierzysz w to, prawda?

— Owszem, wierzę! — odpowiedziałem, upokorzony uczuciem emanującym z mojego głosu.

Wstałem i ponownie rozpocząłem spacer po pokoju. Wyszedłem z małego domku i wkroczyłem do ogrodu, odpychając rękoma gałęzie dzikiego wina. Byłem tak zmieszany, że nie mogłem już dłużej rozmawiać z Louisem.

Myślałem o swoim śmiertelnym życiu, usiłując nie mitologizować go, ale nie potrafiłem przegonić wspomnień — ostatnie polowanie na wilki i moje psy umierające w śniegu. Paryż. Teatr na bulwarze. Nie dokończony! *Chyba nie chcesz naprawdę zostać człowiekiem.* Jak on mógł coś takiego powiedzieć?

Zdawało mi się, że włączyłem się po ogrodzie przez całe wieki, ale wreszcie wróciłem do środka. Zastałem Louisa nadal siedzącego przy biurku, spoglądającego na mnie pozbawionym nadziei, przy-gaszonym wzrokiem.

— Słuchaj — powiedziałem — są tylko dwie rzeczy, w które wierze. Pierwsza: żaden śmiertelnik nie odmówi przyjęcia Mrocznego Daru, jeśli naprawdę wie, czym on jest. I nie mów mi o Davidzie Talbocie, który odrzucił mą propozycję. On nie jest zwykłym człowiekiem. Druga: wierzę, że każdy z nas z wielką radością zostałby ponownie śmiertelnikiem, gdyby tylko mógł. Takie są moje przekonania. Inne pewniki nie istnieją.

Louis wykonał nieznaczny gest akceptacji i oparł się na krześle. Drewno zachrzęściło miękko pod jego ciężarem. Uniósł prawą rękę, w pełni nieświadom czaru tego uwodzicielskiego gestu i przeczesał palcami luźno opadające na czoło ciemne włosy.

Nagle przypomniała mi się noc, kiedy dałem mu krew. Do ostatniego momentu sprzeczał się, że nie wolno mi tego zrobić i w końcu się poddał. Wcześniej, na ile to możliwe,

wyjaśniłem mu wszystko, chcąc przestrzec przed podejmowaniem zbyt pochopnych decyzji! A on był tak przekonany, że chce pójść ze mną, tak pewny, że śmiertelne życie nic dla niego nie znaczy — tak zgorzkniały i wypalony. I jakże młody!

Co wtedy wiedział? Czy kiedykolwiek przeczytał jakiś wiersz Milтона albo poznał choć jedną sonatę Mozarta? Czy słyszał o Marku Aureliusz? Pewnie uważał go za jakiegoś czarnego niewolnika o śmiesznym przezwisku. Ach, ci dzicy i zarozumiali plantatorzy ze swoimi szablami i pistoletami. Nigdy nie znali umiaru.

Teraz Louis był daleki od charakteru roztrzępionca z tamtych lat, prawda? Autor *Wywiadu z wampirem*. Cóż za nedorzeczny tytuł! Próbowałem się uspokoić. Kochałem go za bardzo, by nie być cierpliwym, by nie poczekać, aż znów przemówi. Stworzyłem go z ludzkiej krwi i kości, żeby został moim ponadnaturalnym dręczycielem, czyż nie tak?

— To nie może się dokonać w tak prosty sposób — powiedział, odrywając mnie od wspomnień i wciągając ponownie do zakurzonego pokoju. Jego głos był rozmyślnie delikatny i prawie błagalny. — Nic z tego. Nie jesteś w stanie zamienić się ciałem ze śmiertelnikiem. Szczerze mówiąc, nie wierzę, by w ogóle podobny akt był możliwy, ale jeśli tak...

Nie odpowiedziałem. Chciałem zawołać: „A co jeśli jest to możliwe?! Jeśli znów mógłbym rozumieć, co oznacza być żywym?”

— Czy pomyślałeś o swojej obecnej powłoce? — zapytał, umiejętnie powstrzymując złość i narastającą furję. — Nie oddasz przecież wszystkich mocy do dyspozycji tej kreatury. Inni powiedzieli mi, że nie potrafią nawet oszacować limitu twoich zdolności. Ach, nie. To przerażający pomysł. Powiedz mi, skąd on wie, jak cię znaleźć? To najbardziej enigmatyczna kwestia.

— Mylisz się — odparłem. — Jeśli ten mężczyzna może zamieniać ciała, to tym bardziej potrafi opuścić swoje. Może krążyć jako duch wystarczająco długo, żeby mnie znaleźć. Muszę być dla niego bardzo widzialny, kiedy jest w takim stanie. Tu nie ma żadnego cudu, rozumiesz?

— Owszem — oznajmił. — Tak też czytałem i tak słyszałem. Chyba trafiłeś na naprawdę niebezpieczną istotę. Gorszą od nas.

— Co znaczy gorszą?

— Mamy do czynienia z kolejną desperacką próbą osiągnięcia nieśmiertelności, tym razem poprzez zamianę ciał! Czy myślisz, że ten śmiertelnik, kimkolwiek jest, zechce się zestarzeć w tym czy innym ciele i pozwoli sobie umrzeć!?

Musiąłem przyznać, że przemawiało do mnie to rozumowanie. Powiedziałem Louisowi o głosie nieznanego: o wyraźnym brytyjskim akcencie, kulturalnym tonie i o tym

jak bardzo brzmienie wypowiedzianych wyrazów nie pasowało do młodzieńczego wyglądu owego człowieka.

Wzdrygnął się lekko.

— Prawdopodobnie pochodzi z Talamaski — stwierdził. — Pewnie tam dowiedział się o tobie.

— Wszystko, co musiał zrobić, żeby się o mnie czegoś dowiedzieć, to kupić jedną powieść.

— Ach, ale żeby uwierzyć, Lestacie, potrzeba więcej dowodów.

Powiedziałem mu, iż rozmawiałem z Davidem. Talbot wiedziałby, gdyby to był członek organizacji, w co ja osobiście nie wierzę. Ci uczeni nigdy nie zrobiliby takiej rzeczy. W tym śmiertelniku kryje się coś złowieszczonego. Członkowie Talamaski są nieomal zmęczeni swą zdrowotnością. Poza tym to bez znaczenia. Sam się wszystkiego dowiem na spotkaniu.

Louis ponownie się zasmucił. Prawie czułem ból, kiedy na niego patrzyłem. Miałem ochotę chwycić go za ramiona i mocno potrząsnąć, ale to jedynie by go rozwścieczyło.

— Kocham *cię* — wyszeptał. Byłem zdumiony.

— Zawsze chcesz zwyciężać — kontynuował. — Nigdy się nie poddajesz. Jednak tu nie ma drogi do zwycięstwa. Jesteśmy teraz w czyścisku. Ty i ja. Możemy jedynie cieszyć się, że to nie piekło.

— Nie, nie wierzę — powiedziałem. — Słuchaj, nie obchodzi mnie twoje lub Davida gadanie. Zamierzam porozmawiać z Rag-lanem Jamesem. Chcę wiedzieć, co się kryje za tą propozycją! Nic mnie nie powstrzyma.

— Więc David Talbot również cię ostrzegwał.

— Nie wybieraj sprzymierzeńców spośród moich przyjaciół!

— Lestacie, jeśli ten człowiek zbliży się do mnie, jeśli wyczuję zagrożenie z jego strony, zniszczę go bez chwili zastanowienia. Pojmujesz?

— Oczywiście. Ale on nie zbliży się do ciebie. Wybrał mnie i miał powody.

— Wybrał cię, ponieważ jesteś lekkomyślny i próżny. Nie mówię tego, żeby cię zranić. Naprawdę nie. Tęsknisz za tym, żeby cię widziano, rozmawiano z tobą i rozumiano. Chcesz wprowadzić wszystko w ruch i zobaczyć, czy Bóg nie wyciągnie ręki i nie złapie cię za włosy. Tylko że Boga nie ma. Równie dobrze sam możesz zostać Bogiem.

— Ty i David... ta sama śpiewka, identyczne argumenty, z tą tylko różnicą, że on twierdzi, iż widział Boga, a ty nie wierzysz w jego istnienie.

— Talbot widział Boga? — zapytał Louis pełen nagłego respektu.

— Niezupełnie — wymamrotałem, czyniąc przy tym pogardliwy gest. — Ale obaj

zrzędzicie w ten sam sposób. Marius też ciągle mnie beszta.

— Cóż, zawsze tłumisz głosy, które cię ganią. W taki sam sposób, w jaki niszcysz tych, którzy wbijają ci nóż prosto w serce.

Miał na myśli Claudię, ale nie dał rady wymówić jej imienia. Wiedziałem, że zraniłbym go, gdybym je wypowiedział. Chciałem zawołać: „Maczałeś w tym palce! Byłeś tam, kiedy ją stworzyłem i kiedy targnęła się na mnie z nożem!”

— Nie chcę więcej tego słuchać! — oświadczyłem. — Będziesz śpiewał tren żałobny poświęcony własnej osobie przez całe długie lata życia na tej ziemi, prawda? Cóż, nie jestem Bogiem. Ani Diabłem, chociaż czasami udaję, że owszem. Daleko mi do podstępного lągo. Nie pisuję diabelskich scenariuszy. Nie tłumię ani mej ciekawości, ani mojego ducha. Tak, chcę wiedzieć, czy ten człowiek naprawdę może dokonać zamiany. Chcę wiedzieć, co się stanie. I nie wycofam się z raz podjętej decyzji.

— A potem będziesz wiecznie śpiewał pieśń zwycięstwa, chociaż w ogóle go nie odniesiesz.

— Ach, odniosę. Muszę.

— Nie. Im więcej się uczymy, tym więcej wiemy. Nie ma zwycięstw. Czyż nie wystarczy znaleźć oparcia w naturze, robić to, co musimy, żeby przetrwać i nic poza tym?

— Oto najmarniejsza definicja naszego bytu, jaką kiedykolwiek słyszałem. Przyjrzyj się życiu — nie w poezji, ale w realnym świecie. Co widzisz w naturze? Co sprawia, że pająki pełzają głęboko pod podłogowymi belkami? Co sprawia, że ćmy z barwnymi skrzydełkami wyglądają w mroku jak wielkie kwiaty zła? Dlaczego egzystuje rekin? — Podeszedłem do Louisa, oparłem się o biurko i spojrzałem mu w twarz. — Łudziłem się, że to zrozumiesz. A tak przy okazji, nie przyszedłem na świat jako potwór! Urodziłem się śmiertelnym dzieckiem, takim samym jak ty. Silniejszym niż ty! Z większą chęcią do życia niż ty! To okrutne, co powiedziałeś.

— Wiem. Nie miałem racji. Czasami przerażasz mnie do tego stopnia, że rzucam w ciebie kijami i kamieniami. To głupie. Cieszę się, gdy cię widzę, ale boję się do tego przyznać. Przechodzi mnie dreszcz na myśl, iż naprawdę mogłeś skończyć ze sobą na pustyni! Nie zniósłbym nawet myśli o egzystencji bez ciebie! Rozwścieczasz mnie! Dlaczego nie naśmiewasz się z moich słów? Robiłeś to wcześniej.

Odwróciłem się do niego plecami. Spoglądałem na trawę falującą delikatnie na wietrze oraz wąsy powojów niby welon okrywające drzwi.

— Nie chcę szydzić z ciebie — powiedziałem. — Zamierzam jednak kontynuować eksperyment i nie ma sensu okłamywać cię w tej kwestii. Dobry Boże, czy nie rozumiesz?

Jeśli znajdę się w śmiertelnym ciele tylko na pięć minut, czego się mogę nauczyć?

— W porządku — westchnął desperacko. — Mam nadzieję, że się przekonasz, iż facet zwodzi cię stekiem bzdur, a wszystko czego chce to Ciemna Krew. Wówczas wyślesz go prosto do piekła. Pozwól mi jeszcze raz cię ostrzec. Jeśli go spotkam i mnie przestraszy, zabiję drania. Nie mam twojej mocy. Jestem absolutnie anonimowym bytem. Mój mały pamiętnik, jak go zawsze nazywałeś, jest tak dalece odsunięty od realiów obecnego stulecia, że nikt nie uzna go za dowód mego istnienia.

— Nie pozwolę, by zrobił ci coś złego, Louisie — obiecałem. Odwróciłem się i posłałem przyjacielowi groźne spojrzenie. — Nikt nie wyrządzi ci krzywdy, póki ja jestem.

Po tych słowach wyszedłem.

Oczywiście to było oskarżenie. Dobrze poczuł jego kłujące ostrze. Zauważyłem to ku swojej satysfakcji, jeszcze zanim opuściłem chatę.

Tej nocy Claudia stanęła naprzeciwko mnie. Louis był tylko bezradnym świadkiem. Obserwował, ale nie zamierzał interweniować. Nawet kiedy wykrzykiwałem jego imię.

Zabrał to, co uznał za moje pozbawione życia ciało i utopił w bagnie. Ach, naiwny, mały żółtodziób, myślał, że tak łatwo się mnie pozbędzie.

Po cóż teraz to roztrząsać? Kochał mnie wtedy, nieważne czy zdawał sobie z tego sprawę, czy nie. Ja nigdy nie miałem najmniejszych wątpliwości odnośnie do mojej miłości do niego i do tego podłego, zbuntowanego dziecka.

Trzeba przyznać, że martwił się o mnie. Przecież smucenie się to jego specjalność! Ubiera się w kir, gdy inni przywdziewają welwet. Rozpacz rozjaśnia go jak płomień świecy, a łzy przyozdabiają oczy niczym klejnoty.

Cóż, żadna z tych bzdur na mnie nie działa.

Wróciłem do moich pokojów na poddaszu, tonących w świetle elektrycznych lamp. Potem przez kilka godzin rozmyślałem nad „nieprzyzwoitym luksusem”, oglądając na gigantycznym ekranie nie kończące się parady filmów wideo. Później przespałem się na miękkiej kanapie i wreszcie wyszedłem na polowanie.

Miałem dosyć spacerów i byłem spragniony.

Wokół panował wypełniający ciszę mrok, jeśli nie liczyć rozjaśnionej lampami dzielnicy Quarter oraz bezustannie oświetlonych drapaczy chmur. Nowy Orlean bardzo szybko zapada w wieczorny sen.

Przez opustoszałe handlowe obszary, z pozamykanymi fabrykami i magazynami, szedłem do cudownego miejsca niedaleko rzeki. Prawdopodobnie nie miało ono żadnego znaczenia dla nikogo poza mną.

Było to puste pole blisko nadbrzeża, tuż obok skrzyżowania dróg prowadzących do wysokich bliźniaczych mostów, które zawsze nazywałem „Wrotami Dixie”.

Muszę wyznać, że tym mostom nadano też inne, mniej czarujące miano, na co nigdy nie zwracałem większej uwagi. Dla mnie będą one zawsze „Wrotami Dixie”. Po każdym powrocie do domu natychmiast szedłem w poblizę rzeki, by je podziwiać wraz z całym tysiącami migoczących lampek.

Zrozumiecie, że nie są one ascetycznymi budowlami, tak jak most w Brooklynie, który pobudzał wyobraźnię poety Harta Crane'a. Nie posiadają też uroczystej majestatyczności cechującej „Złote Wrota” w San Francisco.

Jednak tak czy inaczej, to mosty, a mnie wszystkie wydają się piękne i prowokujące do myślenia, zwłaszcza gdy są w pełni oświetlone właśnie tak jak „Wrota Dixie”.

W tym miejscu pozwolę sobie dodać, że taki sam cud świetlny występuje nocną porą w południowej części Stanów, w krajobrazie pełnym rafinerii i elektrowni, które prezentują się w pełnej krasie na tle płaskiego, bezkresnego terenu. Do tego dodajmy przepięknie dymiące kominy i wieczne palące się płomienie gazu. Wieża Eiffla nie jest już teraz jedynie żelaznym rusztowaniem, ale *rzeźbą* z migoczącego elektrycznego światła.

Mówimy jednak o Nowym Orleanie, a ja dotarłem właśnie do zapomnianej krainy nad rzeką, przestrzeni ograniczonej z jednej strony przez szare drewniane chaty, a z drugiej przez opuszczone magazyny.

Ach, pola myśli i pola desperacji. Uwielbiałem tutaj przychodzić, stąpać po miękkiej, podmokłej ziemi wśród kęp trawy i potrzaskanych kawałków butelek, słuchać niskiego, rytmicznego plusku wody.

Dla mnie to pustkowie było esencją nowoczesnego świata — paskudne, zapomniane miejsce, wielka luka między obrazkowymi starymi budynkami, gdzie czasami po wąskich i prawdopodobnie niebezpiecznych ulicach przejeżdżał samochód.

Muszę jeszcze wspomnieć, że ten obszar nie był nigdy tak naprawdę mroczny. Głęboki, spokojny strumień światła spływał z lamp na autostradzie i przebijał się z kilku ulicznych latarni, kreując w ten sposób nastrój nowoczesnego, bezpodstawnego przygnębienia.

Macie ochotę tam popędzić, nieprawdaż? Czyż nie umieracie z chęci powłóczenia się w tamtejszym kurzu?

A tak poważnie, to nieporównywalnie smutno jest stać tam samemu — drobna postać w kosmosie, trzęsąca się na odgłos stłumionych hałasów dochodzących z miasta, z maszyn wyjących w ogromnych przemysłowych wytwórniach lub stukotu z rzadka przejeżdżających

ciężarówek.

Z tego miejsca był tylko rzut kamieniem do zagrodzonej posiadłości, gdzie w zasypanych śmieciami pokojach znalazłem parę morderców z umysłami przepojonymi narkotykami. Pożywiłem się ich krwią wolno i spokojnie, a potem zostawiłem nieprzytomnych, ale żywych.

Później wróciłem na samotne, puste pole, pogwizdując po drodze i kopiąc napotykaną puszkę. Przez dłuższy czas krążyłem po okolicy, aż wreszcie skierowałem się w stronę „Wrót Dixie”.

Moja ciemna i głęboka rzeka. Powietrze nad nią zawsze było chłodne i mimo zwisającej nad wodą mgły mogłem dostrzec maleńkie, lecz wieczne gwiazdy na niebie.

Jeszcze przez kilka godzin błąkałem się, rozmyślając nad wszystkim, co powiedzieli mi Louis i David, lecz nadal ogromnie podekscytowany oczekiwałem jutrzejszego spotkania z Raglanem Jamesem.

W końcu znudziła mnie nawet ta wspaniała rzeka. Zbadałem miasto chcąc odnaleźć zwariowanego śmiertelnika-szpiega, ale nie potrafiłem go znaleźć. Przeszukałem potem przedmieścia. Również bez skutku. Nadal nie byłem pewien swej decyzji.

Kiedy noc zbliżała się ku końcowi, wróciłem do domu Louisa. Chatka była teraz ciemna i opustoszała. Postanowiłem pospacerować małymi, wąskimi ulicami, nadal rozglądając się za prześladowcyją trzymając straż. Z pewnością Louis był bezpieczny w swoim sekretnym sanktuarium, zanurzony głęboko w trumnie, w którą wskakiwał przed każdym świtem.

Potem znowu wędrowałem po polach, podśpiewując sobie i rozmyślając o tym, że „Wrota Dixie” udekorowane światłami przypominają piękne dziewiętnastowieczne parowce, a te z kolei wyglądały jak wspaniałe weselne torty z powtykanymi świeczkami. Nieszczerólna metafora? Mam to gdzieś. Słyszę w głowie muzykę owych statków. Próbowałem wyobrazić sobie następne stulecie i w jakich formach nam się ono objawi, jak pokryje nowym gwałtem brzydotę i piękno obecnych czasów. Podziwiałem słupy autostrad, wdzięcznie wznoszące się łuki stali i betonu, gładkie niczym rzeźba, proste, a zarazem monstrualne.

I nagle nadjechał pociąg, trzeszcząc wzdłuż odległych torów biegnących tuż przed magazynami. Szereg żelaznych wagonów przemknął ze świstem przez mgłę.

Noc ustępowała miejsca dniu. Żadne samochody nie poruszały się po mostach, a ciężka mgła podróżowała cicho nad lustrem wody, przesłaniając szarzące gwiazdy.

Znowu płakałem. Myślałem o Louisie i jego ostrzeżeniach. Co jednak mogłem zrobić?

Nie znałem słowa „rezygnować”. Nigdy się nie cofałem. Jeśli nieszczęsny Raglan James nie przyjdzie jutro w nocy, przeczeszę cały świat i w końcu go dopadnę. Nie chciałem już więcej rozmawiać z Davidem, słuchać jego ostrzeżeń. Po prostu nie mogłem. Wiedziałem już, że nic mnie nie powstrzyma przed dokonaniem tego eksperymentu.

Wciąż gapiłem się na „Wrota Dixie”. Piękno migających lampek nie dawało mi spokoju. Pragnąłem zobaczyć kościół ze świecami — dużo mrugających światełek, tak jak w Notre Dame. Dymki unosiły się znad nich jak modlitwy.

Godzina do wschodu słońca. Wystarczająco dużo czasu. Powoli skierowałem się na przedmieścia.

Katedra świętego Ludwika była zamknięta przez całą noc, ale zamki nie stanowiły dla mnie przeszkody.

Stałem tak przed kościołem, spoglądając na rząd świec palących się przed figurą Dziewicy. Wierni składali swe pieniężne ofiary do mosiężnej skrzynki, a potem zapalali świece. Nazywali je „dziewiczymi”.

Często siedziałem tu na skwerku wczesnym wieczorem, słuchając odgłosu kroków przychodzących i odchodzących. Lubiłem zapach wosku, a także ten mały, cienisty kościół, który wydawał się nie zmienić ani o krztynę przez całe stulecie. Odetchnąłem głęboko, a potem sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem kilka pomiętych banknotów, które wsunąłem przez otwór w mosiężnej skrzynce.

Uniosłem długi woskowy knot, zanurzyłem go w starym płomieniu i przenieśliem ogień do nowej świecy. Obserwowałem, jak rozbłyska kolejne jasnopomarańczowe światełko.

Co za cud, pomyślałem. Jeden maleńki płomyk mógł stworzyć tak wiele innych. Ale też mógł spalić cały świat. W zasadzie to tym prostym gestem powiększyłem ogólną ilość światła w całym wszechświecie, nieprawdaż?

Taki cud, który nigdy nie zostanie wyjaśniony, tak samo jak Bóg i Szatan nigdy nie będą razem gwarzyć sobie w paryskiej kawiarni. Jednak szalone teorie Davida kołły mnie, kiedy o nich myślałem z perspektywy czasu. „Rozmnażajcie i powiększajcie” — powiedział Pan, wielki Pan, Jahwe — z dwóch ciał tłum dzieci, jak wielki ogień tylko z dwóch płomyków...

Nagle usłyszałem hałas, ostry, wyraźny, rozchodzący się po kościele jak głośnie, zdecydowane stąpnięcia. Skamieniałem, zupełnie zaskoczony, gdyż nie wiedziałem, że ktoś tam był. Wtedy przypomniałem sobie Notre Dame i odgłos dziecięcych stóp drepczących po kamiennej posadzce. Ogarnął mnie nagły strach. To ona, czyż nie? Gdybym spojrzął za róg, tym razem bym ją zobaczył. Może w czepku na głowie i z kręconymi włosami rozwiewanymi

przez wiatr, z rękoma schowanymi w wełnianą mufkę i patrzącą na mnie tymi ogromnymi oczami. Złote włosy i piękne oczy.

Znowu dobiegł mnie ten sam dźwięk. Nienawidziłem swego strachu!

Bardzo nieśmiało odwróciłem się i zobaczyłem wyłaniającą się z głębi sylwetkę Louisa. To był tylko on. Płomienie świec wolno uwolniły z cienia jego spokojną i chudą twarz.

Miał na sobie zakurzony nędzny płaszcz i koszulę rozpiętą przy kołnierzu. Wyglądał na zmarzniętego. Niespiesznie zbliżył się do mnie i położył dłoń na moim ramieniu.

— Znowu stanie się z tobą coś strasznego — powiedział. — Wiem już na pewno, że zamierzasz w tym wziąć udział.

— Zwycięzę — odparłem, siłąc się na uśmiech. Potem wzruszyłem ramionami. — Czyżbyś do tej pory nie zauważył, że ja zawsze zwyciężam?

Byłem zdumiony, że mnie tutaj znalazł. Przybył tak krótko przed świtem. A ja ciągle dygotałem od wszystkich szalonych wizji i wyobrażeń, że ona przyszła, jak pojawiała się w snach, i chciałem wiedzieć dlaczego.

Nagle zdałem sobie sprawę, że martwię się o Louisa. Wyglądał na tak delikatnego ze swą bladą twarzą i drobnymi dłońmi. Znowu czułem emanującą z niego zimną siłę myśliciela, który nie robi nic pod wpływem impulsu, rozpatruje sprawę pod każdym kątem, starannie dobiera słowa, nigdy nie igra z nadchodzącym słońcem.

Gwałtownie odsunął się ode mnie i cichutko wymknął za drzwi. Ruszyłem za nim, zapomniawszy zamknąć za sobą wrota, co stanowiło niewybaczalny błąd, gdyż spokój świątyni nigdy nie powinien być zakłócany. Obserwowałem, jak Louis szedł przez zimny, czarny poranek, wzdłuż deptaka niedaleko Pontalba Apartments.

Spieszył się w swój subtelny, pełen gracji sposób, maszerując długimi, miarowymi krokami. Nadchodziło światło, szare i zabójcze, zostawiając matowe smugi na wystawowych oknach. Mogłem wytrzymać to jeszcze przez jakieś pół godziny. Louis niestety nie.

Zanim dotarł do zakrętu niedaleko rzeki, odwrócił się na moment. Pomachał mi ręką i w tym małym geście zawarł więcej uczucia niż we wszystkim, co kiedykolwiek powiedział.

Wróciłem, żeby zamknąć kościół.

ROZDZIAŁ 8

Następnej nocy od razu poszedłem na Jackson Square. Do Nowego Orleanu w końcu dotarł okropny, północny wiatr, niosąc ze sobą przenikliwy chłód. Tego typu zjawisk można się spodziewać o każdej porze podczas zimowych miesięcy, choć w niektórych latach się nie pojawiają. W moim mieszkaniu na poddaszu włożyłem ciężki wełniany płaszcz. Cały czas odczuwałem niegasnące zadowolenie z posiadania nowej, opalonej skóry.

Niewielu turystów ośmieliło się walczyć z pogodą, by odwiedzać kawiarnie i cukiernie w pobliżu katedry. Hałas oraz pośpiech cechował wieczorny ruch uliczny. Stara Cafe du Monde była zatłoczona za zamkniętymi drzwiami.

Zobaczyłem go natychmiast. Co za szczęście!

Jak zawsze po zachodzie słońca, bramy skweru otoczono łańcuchami. Irytująca niedogodność. James był na zewnątrz, stał twarzą do katedry i rozglądał się niespokojnie.

Zanim zauważył moją obecność, miałem chwilę, by się mu przyjrzeć. Był nieco wyższy ode mnie, mierzył jakieś metr dziewięćdziesiąt i miał wyjątkowo zgrabną budowę, co spostrzegłem już wcześniej. Nie myliłem się odnośnie do jego wieku. Nie liczył sobie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Ubrany był w kosztowny strój — podbity futrem, dobrze skrojony płaszcz i gruby, szkarłatny kaszmirowy szal.

Kiedy mnie zobaczył, jego ciało przeszedł spazm czystego niepokoju i dzikiej radości. Na usta wypłynął ten okropny, szeroki uśmiech. Daremnie próbując ukryć panikę, utkwiał we mnie wzrok, gdy zbliżałem się powoli niczym człowiek.

— Ach, wygląda pan jak anioł, monsieur de Lioncourt — wyszeptał, z trudem łapiąc oddech — i jakże wspaniała jest ta ciemna skóra! Cóż za urocze podkreślenie urody. Proszę wybaczyć, że nie powiedziałem tego wcześniej.

— Oto i pan James — rzekłem, unosząc brwi. — Jaką masz propozycję? Nie lubię cię. Mów szybko.

— Proszę sobie darować opryskliwość, monsieur de Lioncourt — odparował. — Byłoby okropnym błędem obrazić mnie, mówię serio.

Tak, dokładnie ton Davida. Ta sama generacja. I bez wątpienia jakiś indyjski pogłos.

— Zgadza się — potwierdził. — Spędziłem wiele lat w Indiach. A także trochę w Australii i Afryce.

— Ach, potrafisz z łatwością czytać w myślach — skomentowałem.

— Nie tak łatwo, jak się wydaje, a prawdopodobnie wcale.

— Zabiję cię — oznajmiłem — jeśli nie powiesz mi, jak zdołałeś mnie odnajdywać w różnych miejscach i czego chcesz.

— Nie wiesz? — odparł, śmiejąc się niewesoło i niespokojnie pod nosem. Otaksował mnie wzrokiem, a potem umknął oczami w bok. — Opowiedziałbym wszystko, ale nie na tym mrozie. Jest gorzej niż w Georgetown, gdzie mieszkałem, tak przy okazji. Miałem nadzieję na ucieczkę przed taką pogodą. Dlaczego zawlokłeś mnie do Londynu i Paryża o tej porze roku? — Kolejne suche spazmy śmiechu. Najwidoczniej nie był w stanie patrzeć na mnie dłużej niż przez minutę bez odwracania wzroku, jakbym oślepił światłem. — W Londynie panował przeraźliwy chłód. Nienawidzę zimna. Ach, te sentymentalne marzenia o zimowym śniegu.

Ostatnia uwaga oszołomiła mnie. Tak bardzo, że nie zdołałem ukryć uczucia. Byłem rozwścieczony przez ułamek sekundy, lecz potem odzyskałem panowanie nad sobą.

— Do kawiarni — rozkazałem, wskazując stary French Market po drugiej stronie skweru. Pospieszyłem przodem. Mój towarzysz był zbyt zmieszany i podekscytowany, by ryzykować odezwanie się choć jednym słowem.

Knajpka okazała się wyjątkowo hałaśliwa, ale ciepła. Poprowadziłem go do stolika w najdalszym kącie od drzwi, zamówiłem sławną *cafe au lait* dla nas obu i siedziałem tam milcząc nieugięcie, lekko rozkojarzony przez lepkość małego stolika i ponuro zafascynowany nieznajomym, który drżał, niecierpliwie odwinął czerwony szalik, założył go ponownie, zsunął z rąk eleganckie skórzane rękawiczki, wepchnął je do kieszeni, ponownie wyciągnął, znów włożył.

Było w nim coś zdecydowanie obrzydliwego, w sposobie, w jaki ponętne, wspaniałe ciało koegzystowało z nieszczerym, denerwującym temperamentem i cynicznymi napadami śmiechu. A jednak nie potrafiłem oderwać od niego oczu. W jakiś diabelski sposób obserwowanie tego świra dawało mi zadowolenie. I myślę, że o tym wiedział.

Z nieskazitelnej, pięknej twarzy sączyła się prowokacyjna inteligenta. Dzięki niemu uświadomiłem sobie, jak bardzo stałem się nietolerancyjny w stosunku do osób prawdziwie młodych.

Nagle postawiono przed nami kawę. Objąłem gorącą filiżankę nagimi dłońmi. Pozwoliłem, by para owiała twarz. Obserwował mnie olbrzymimi brązowymi oczami, jakby to on sam jeden ulegał fascynacji. Teraz próbował wytrzymać moje spojrzenie, co okazało się trudne. Rozkoszne usta, piękne rzęsy, idealnie białe i równe zęby.

— Co się, do diabła, z tobą dzieje? — zapytałem.

— Wiesz. Ty to powodujesz. Złodziej ciał ma swoje małe problemy.

— Czy tym jesteś?

— Tak, pierwszej klasy złodziejem ciał. Wiedziałaś jednak o tym, godząc się na spotkanie, czyż nie? Musisz wybaczyć moje okazjonalne niezręczności. Przez większość życia byłem chudym, wyniszczonym człowiekiem. Nigdy nie cieszyłem się dobrym zdrowiem. — Westchnął, a młoda twarz posmutniała na moment. — To teraz zamknięte rozdziały — rzekł z nagłym zażenowaniem. — Proszę, pozwól, że natychmiast przejdę do rzeczy z szacunku dla twojego olbrzymiego, ponadnaturalnego intelektu oraz doświadczenia...

— Nie szydź ze mnie, draniu! — wyszeptałem. — Jeśli w coś grasz, rozerwę cię na strzępy. I zrobię to bardzo powoli. Już mówiłem, że cię nie lubię. Nie podoba mi się nawet twój tytuł.

To go usadziło. Natychmiast się uspokoił. Może stracił werwę, a może zamarł z przerażenia. Sądzę, że po prostu przestał się bać i zamiast tego poczuł zimną wściekłość.

— W porządku — rzekł cicho i ponuro, bez szaleństwa. — Chce handlować z tobą ciałami. Potrzebuję na tydzień twojego. Ty dostaniesz moje. Jest młode i w doskonałym stanie. Lubię jego wygląd. Jeśli chcesz, pokażę ci różne świadectwa zdrowia. Przeszło staranne badania, zanim wzięłem je w posiadanie. Czy raczej ukradłem. Jest silne, wyjątkowo silne... Zresztą to chyba widać.

— Jak możesz dokonać zmiany?

— Uczynimy to razem, monsieur de Lioncourt — odparł grzecznie, a ton głosu stawał się bardziej uprzejmy z każdym wymawianym zdaniem. — Nie może być mowy o kradzieży ciała, gdy robię interes z taką istotą jak ty.

— Próbowalesz jednak, czyż nie?

Obserwował mnie przez moment, najwyraźniej nie mając pewności, jakiej udzielić odpowiedzi.

— Cóż, nie możesz mnie za to winić, prawda? — rzekł pytająco. — Podobnie jak ja nie mogę winić cię za picie krwi. — Uśmiechnął się, wymawiając słowo „krew”. — Po prostu starałem się przyciągnąć twoją uwagę, co nie jest rzeczą łatwą. — Wyglądał na zamyślonego. — Poza tym współpraca zawsze wymaga pewnego poziomu, niezależnie od tego, jak nędzny jest mój własny.

— Owszem — przyznałem — ale na czym polega cały mechanizm, jeśli to nie jest zbyt okrutne słowo. W jaki sposób możemy współpracować? Sprecyzuj to. Nie wierzę, iż można coś takiego zrobić.

— Och, daj spokój, oczywiście, że można — powiedział łagodnie, niczym cierpliwy nauczyciel. Wydawał się impersonifikacją Davida, ale bez jego wigoru. — Jak inaczej

zdołałbym wejść w posiadanie tego ciała? — Zrobił ilustrujący gest i kontynuował: — Spotkamy się we właściwym miejscu. Potem uniesiemy się znad ciała, co doskonale potrafisz robić i co tak elokwentnie opisałeś, a potem weźmiemy w posiadanie drugą powłokę. Wierz mi, wystarczy sam akt woli. — Podniósł filiżankę, jego dłonie drżały gwałtownie, upił łyk gorącej kawy. — Poza tym, dla ciebie będzie to test odwagi, nic więcej.

— Co utrzyma mnie niczym kotwica w nowym ciele?

— Nie będzie niczego, monsieur de Lioncourt, co by cię wypychało, mówimy bowiem o czymś zupełnie innym niż okupowanie. Och, posiadanie to bitwa. Gdy wejdiesz do tego ciała, nie doświadczysz najłżejszego oporu. Możesz w nim pozostać, dopóki nie zechcesz go opuścić.

— To zbyt zagadkowe! — rzekłem z jawną irytacją. — Wiem, że zapisano stopy papieru wyjaśniając to zjawisko, ale coś nie...

— Pozwól, że ukazę właściwą perspektywę — rzekł ściszym i nieomal dystygowaniem modulowanym głosem. — Mamy tu do czynienia z nauką, która jeszcze nie została w pełni sko-dyfikowana przez uczonych. Posiadamy wspomnienia poetów i badaczy okultyzmu, nie będących w stanie zanalizować podobnych stanów.

— Dokładnie. Jak wskazałeś, sam to robiłem, wychodziłem z ciała. A jednak nie wiem w jaki sposób. Dlaczego ono nie umiera, gdy się je opuszcza? Nie rozumiem.

— Dusza ma więcej niż jedną część, podobnie jak umysł. Z pewnością wiesz, że dziecko może się urodzić bez mózgu, ale ciało istnieje, jeśli tylko posiada rdzeń mózgowy.

— Okropna myśl.

— Podobne przypadki zdarzają się cały czas, zapewniam cię. Osoby, które w pewnych tragicznych okolicznościach bezpowrotnie utraciły mózg, mogą oddychać, a nawet ziewać w śpiączce, gdyż kontroluje to układ autonomiczny.

— A ty potrafisz zawładnąć tymi ciałami?

— Och, nie, potrzebuję zdrowego umysłu, by w pełni wejść w posiadanie danej powłoki, absolutnie niezbędny jest dobry stan komórek. Zapamiętaj moje słowa, monsieur de Lioncourt. Mózg to nie umysł. Raz jeszcze podkreślam, że nie mówimy o posiadaniu, lecz czymś nieskończenie bardziej finezyjnym. Proszę, pozwól mi kontynuować.

— Słucham.

— Jak wspomniałem, dusza ma konstrukcję złożoną, podobnie jak mózg. Większa część — tożsamość, osobowość, świadomość, co wolisz — uwalnia się i podróżuje, ale mała, szczątkowa dusza pozostaje. Utrzymuje puste ciało przy życiu. Bez niej nastąpiłaby oczywiście śmierć.

— Rozumiem. Szczątkowa dusza ożywia rdzeń kręgowy; o to ci chodzi?

— Tak. Kiedy unosisz się z ciała, zostawiasz ten maleńki fragment duszy. A gdy wejdiesz do innego, też go tam zastaniesz. Połączy się on z każdą wyższą istotą chciwie i automatycznie; zechce ją objąć. Bez niej czuje brak całości.

— A kiedy następuje śmierć, obie dusze odchodzą?

— Dokładnie. Po gwałtownej ewakuacji obu — szczątkowej i dużej duszy, ciało staje się zwyczajną, pozbawioną życia skorupą i zaczyna się rozkładać. — Czekał, obserwując mnie z jawną, szczerą cierpliwością, a potem powiedział: — Wierz mi, siła rzeczywistej śmierci jest dużo większa, niż myślisz. W tym, co zamierzamy zrobić, nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

— Jednak skoro szczątkowa dusza jest tak cholernie podatna, dlaczego nie mogę sam dzięki mojej mocy wytrząść ze skóry śmiertelnej duszy i zająć jej miejsca?

— Ponieważ ta większa raz po raz, aż do skutku będzie próbowała odzyskać ciało, monsieur de Lioncourt, nawet jeśli nie zrozumie procesu. Dusze nie chcą istnieć bez ciała. A nawet jeśli szczątkowa przyjmuje z radością najeżdżęcę, coś w niej zawsze rozpoznaje szczególną duszę, której częścią kiedyś była. Gdyby doszło do walki, wybrałaby właśnie tę pierwotną.

Nic nie powiedziałem, ale choć nadal mu nie ufałem i pozostawałem czujny, słowa przemawiały do mnie, łączyły się w całość.

— Wejście w posiadanie to zawsze krwawa walka — powtarzał. — Spójrz, co dzieje się ze złymi duchami i tym podobnymi. Zawsze w końcu można się ich pozbyć, nawet jeśli tryumfator nie wie, że miało to miejsce. Kiedy przychodzi ksiądz z kadzidłem i wodą święconą, rozkazuje szczątkowej duszy wyrugować okupanta i z powrotem przyjąć starą duszę.

— Jednak przy wspólnej zamianie obie dusze mają swoje ciała.

— Dokładnie. Wierz mi, jeśli myślisz, że możesz wskoczyć w ciało człowieka bez mojej pomocy, cóż, spróbuj, a zobaczysz, co mam na myśli. Nigdy nie doświadczysz pięciu zmysłów śmiertelnika, dopóki będzie toczyć się wyniszczająca walka dusz.

Raglan James stawał się coraz bardziej uważny i pewny siebie.

— Proszę jeszcze raz spojrzeć na to ciało, monsieur de Lioncourt — rzekł z kuszącą miękkością. — Może być twoje, absolutnie i prawdziwie twoje. — Zawieszenie głosu wydawało się zbyt nagłe. — Zobaczyłem je rok temu w Wenecji. Przez cały ten czas było moim gospodarzem bez najmniejszych zakłóceń. Teraz może należeć do ciebie.

— Skąd je wziąłeś?

— Ukradłem, już mówiłem. Poprzedni właściciel nie żyje.

— Musisz być bardziej precyzyjny.

— Och, czyżby? Nienawidzę się obwiniać.

— Nie jestem śmiertelnym stróżem prawa, panie James. Jestem wampirem. Proszę mówić językiem, który rozumiem.

Zachichotał ironicznie.

— Ciało zostało starannie wybrane — rzekł. — Poprzedni właściciel nie miał umysłu. Och, organicznie wszystko było w idealnym porządku. Jak już wspomniałem, przetestowałem go dokładnie. Stałby się sławnym preparatem laboratoryjnym. Nie poruszał się. Nie mówił. Jego motywacja została beznadziejnie roztrzaskana, niezależnie od tego, że zdrowe komórki umysłu skakały i trzeszczały, jak to one mają zwyczaj. Przeprowadziłem zamianę stopniowo. Wyrzucenie jego duszy z ciała było proste. Przeniosłem ją do mojej starej powłoki i zostawiłem, co przyznam, wymagało pewnej zręczności.

— Gdzie znajduje się teraz twoje stare ciało?

— Monsieur de Lioncourt, nie ma sposobu, by dusza mogła się tego dowiedzieć. Gwarantuję.

— Chcę zobaczyć zdjęcie.

— Po co?

— Ponieważ powie mi o tobie prawdopodobnie więcej niż ty sam. Żądam tego. Inaczej nie posuniemy się ani o krok do przodu.

— Tak? — Posłał mi uprzejmy uśmiech. — A jeśli wstanę i wyjdę?

— Zabiję twoje wspaniałe, nowe ciało, jeśli tylko spróbujesz. Nikt w kawiarni nawet nie zauważy. Pomyślą, że się upiłeś i wpadłeś w moje objęcia. Robię takie *rzeczy* cały czas.

Zamilkł, ale widziałem, że przeprowadza gorączkowe kalkulacje. Uświadomiłem sobie, do jakiego stopnia delektuje się całą sytuację. Był niczym wielki aktor, głęboko zatopiony w największej w swej karierze roli.

Posłał mi uwodzicielski uśmiech, ostrożnie zdjął prawą rękawiczkę, wyjął z kieszeni mały przedmiot i umieścił w mojej dłoni. Była to stara fotografia wychudzonego staruszka z siwymi falistymi włosami. Osądziłem go na pięćdziesiąt lat. Nosił rodzaj białego uniformu z małą czarną muszką.

Właściwie wyglądał miło, dużo delikatniej niż David, ale cechowała go ta sama brytyjska elegancja i przyjemny uśmiech. Opierał się o poręcz czegoś, co mogło być pokładem statku. Tak, to był statek.

— Wiedziateś, że poproszę o zdjęcie, czyż nie?

— Tak, wcześniej czy później musiało to nastąpić — odparł.

— Kiedy je zrobiono?

— To bez znaczenia. Czemu, do licha, to cię interesuje? — *Zdradzał* pewną irytację, ale zaraz ją ukrył. — Dziesięć lat temu — rzekł nieco omdlewającym głosem. — Zadowolony?

— Czyli masz lat... ile? Około sześćdziesięciu?

— Owszem — rzekł z szerokim, intymnym uśmiechem.

— Jak się nauczyłeś zmieniać ciało? Dlaczego inni nie praktykują takich sztuczek?

Rzucił na mnie lodowate spojrzenie i już sądziłem, że jego spokój pryśnie. Potem ponownie ukrył się za grzecznymi manierami.

— Wielu ludzi to zrobiło — rzekł tajemniczo. — Twój przyjaciel, David, mógłby ci co nieco powiedzieć na ten temat, ale nie chciał tego zrobić. Kłamie mówiąc, że nie zna podobnych przypadków. Łże jak wszyscy guślarze z Talamaski. Są religijni. Sądzą, że mogą kontrolować ludzi; wykorzystują do tego swą wiedzę.

— Skąd o nich wiesz?

— Byłem członkiem stowarzyszenia — rzekł z figlarnym błyskiem w oku. — Wyrzucili mnie. Oskarżyli o to, że posługuję się swą mocą w celach komercyjnych. A do czegoż innego miałaby służyć, monsieur de Lioncourt, jak nie do zdobywania zysku?

Zatem Louis miał rację. Milczałem. Próbowałem go przeświecić, ale bezskutecznie. Zamiast tego otrzymywałem silną emanację fizycznej obecności, jego ciepło, żar zbiornika krwi. Soczyste, to słowo dobrze opisywało ciało, niezależnie od tego, co by można powiedzieć o duszy. Nie podobał mi się podobny odbiór wizerunku Jamesa, ponieważ sprawiał, że miałem ochotę go zabić.

— Dowiedziałem się o tobie przez Talamascę — ciągnął tym samym konfidencyjnym tonem. — Oczywiście znam pisane przez ciebie historyjki. Czytam wszelkie utwory tego typu. Dlatego użyłem ich do komunikacji. Jednak to w archiwach Talamask?|. odkryłem, że wcale nie są fikcją.

W milczeniu wściekłem się, iż Louis dobrze wyczuł drania.

— W porządku — powiedziałem. — Rozumiem sprawę podzielonego umysłu i duszy, ale jeśli po dokonaniu zamiany nie zechcesz oddać mi mojego ciała, a ja nie będę wystarczająco silny, by je odzyskać, co powstrzyma cię przed zajęciem go na zawsze?

Przez moment siedział w bezruchu, a potem wycodził powoli:

— Olbrzymia łapówka.

— Ach, więc o to chodzi!

— Dziesięć milionów dolarów czekające na mnie na koncie bankowym, kiedy odzyskam to ciało. — Sięgnął raz jeszcze do kieszeni płaszcza i wyjął małą plastikową kartę, ze zdjęciem nowej twarzy. Był tam również wyraźny odcisk palca, imię i nazwisko Raglan James oraz adres w Waszyngtonie.

— Z pewnością możesz to zaaranżować. Fortunę, do której dostęp będzie mieć jedynie człowiek z tą twarzą i tym odciskiem palca. Nie sądzisz chyba, że odrzuciłbym taki majątek? Poza tym nie chcę twojego ciała na zawsze. Nawet do nieskończoności, prawda? Bardzo elokwentnie opisałeś swoje agonie, zejście do piekieł i tym podobne. Nie. Potrzebuję twojego ciała na parę dni. Czeka na mnie wiele innych przygód.

Obejrzałem kartę.

— Dziesięć milionów to niezła cena — zauważyłem.

— Dla ciebie pestka i dobrze o tym wiesz. Masz w międzynarodowych bankach biliony pod swoimi pseudonimami. Istota z tak potężną mocą potrafi zgromadzić wszelkie bogactwa świata. Jedynie krzykliwe wampiry z drugorzędnych filmów włączają się przez wieczność, żyjąc z dnia na dzień.

Wymyślnie zakrył usta płócienną chusteczką, potem pociągnął łyk kawy.

— Byłem niesamowicie zaintrygowany twoim opisem wampira Armanda w *Królowej potępionych* — rzekł. — Tym jak wykorzystywał swe moce do gromadzenia majątku i realizacji wielkiego przedsięwzięcia, jakim była budowa Nocnej Wyspy. Cóż za urocza nazwa! Wręcz zapiera dech w piersiach. — Uśmiechnął się, a potem kontynuował, głosem uprzejmym i gładkim jak wcześniej. — Nie miałem zbyt wielu problemów z udokumentowaniem i skomentowaniem tych twierdzeń, choć jak obaj wiemy, twój tajemniczy kompan dawno opuścił Nocną Wyspę i wszelki ślad po nim zniknął z dysków komputerów, przynajmniej z tych, do których mam dostęp.

Milczałem.

— Poza tym dziesięć milionów to jałmużna. Kto inny złoży ci taką ofertę? W tym momencie nie ma nikogo takiego, kto by potrafił i miał ochotę.

— Załóżmy, że nie zechcę się odmienić pod koniec tygodnia? — zacząłem. — Że zaprzagnę pozostać człowiekiem na zawsze.

— Idealnie jeśli chodzi o mnie — rzekł łaskawie. — Mogę pozbyć się twojego ciała w każdej chwili. Jest wielu, którzy je ode mnie przyjmą. — Posłał mi uśmiech pełen szacunku i podziwu.

— Co zamierzasz zrobić z moim ciałem?

— Rozkoszować się nim. Upajać się! Mam wszystko, co oferuje ciało człowieka —

młodość, piękno, prężność. Kiedyś nawet żyłem w ciele kobiety. Tak przy okazji, nie polecam. Teraz pragnę tego, co ty możesz mi dać. — Przechylił głowę i zmrużył oczy. — Jeśli gdzieś wędrują cielesne anioły, mógłbym się do nich zbliżyć.

— Talamasca nic o nich nie wie? Zawahał się, a potem zachichotał.

— Anioły to czyste duchy, monsieur de Lioncourt — rzekł. — Mówimy o ciałach, nie? Jestem przywiązany do cielesnych przyjemności. A wampiry to cielesne stwory, prawda? Żywią się krwią. — Ponownie w jego oczach zamigotały iskierki światła, kiedy wymawiał słowo „krew”.

— W co grasz? — zapytałem. — Tak naprawdę. Jaka to pasja? Na pewno nie pieniądze. Po co ci one? Co mógłbyś kupić? Doświadczenia, których nie miałeś?

— Owszem. Doświadczenia, których nie miałem. Nazwę się lubieżnikiem, z braku lepszego słowa, ale jeśli musisz znać prawdę — a nie widzę powodu, by miały istnieć między nami kłamstwa — jestem złodziejem pod każdym względem. Nie odczuwam zadowolenia, jeśli się nie wytarguję, nie oszukam kogoś lub nie okradnę. To mój sposób na robienie czegoś z niczego, co czyni mnie podobnym Bogu!

Urwał, jakby wypowiedziana przed chwilą kwestia zrobiła na nim takie wrażenie, że aż wstrzymał oddech. Jego oczy tańczyły, potem spuścił je na opróżnioną filiżankę. Na wargi wypłynął tajemniczy, pochodzący z wewnątrz uśmiech.

— Nadażasz za moim tokiem rozumowania, prawda? — zapy-

tał. — Ukradłem te ubrania — rzekł. — Wszystko w moim domu w Georgetown jest kradzione, każdy mebel, obraz, dzieło sztuki. Nawet sam budynek został mi zapisany pod wpływem fałszywych wrażeń i nadziei. Sądzę, że nazywają to szwindlem? Zresztą co za różnica. — Ponownie uśmiechnął się z dumą i tak widoczną głębią uczuć, że byłem zdumiony. — Wszystkie pieniądze, jakie posiadam, ukradłem. Podobnie samochód, którym jeżdżę w Georgetown. Oraz bilety lotnicze potrzebne na ściganie cię po całym świecie.

Nie odpowiedziałem. Jakże jest dziwny, myślałem zaintrygowany nim, lecz jednocześnie pełen odrazy z powodu pozornej uczciwości. Była to gra, ale gra nieomal doskonała. Potem zaczarował twarz, która wydawała się z każdą rewelacją bardziej mobilna, ekspresyjna i giętka. Otrząsnąłem się. Chciałem wiedzieć więcej.

— Jak zdołałeś mnie tropić? Skąd wiedziałeś, gdzie przebywam?

— Miałem dwa sposoby, co wyznają szczerze. Jeden jest oczywisty. Mogę opuszczać ciało na krótkie okresy i w tym czasie szukać cię na olbrzymich obszarach. Nie przepadam jednak za bezcielesnymi podróżami. I oczywiście nie jest łatwo cię znaleźć. Przez długi czas ukrywasz się, a potem płoniesz z niedbałą widzialnością. Poza tym poruszasz się

bez dostrzegalnego wzoru. Często gdy cię zlokalizowałem i sprowadziłem tam ciało, już znikales. Jest jeszcze drugi sposób, prawie równie magiczny — sytem komputerowy. Używasz wielu pseudonimów. Zdołałem odkryć cztery. Często nie jestem wystarczająco szybki, by złapać cię przez komputer. Mogę jednak studiować szlaki. A gdy powracasz, wiem, gdzie szukać.

Milczałem, ponownie podziwiając, jak bardzo się rozkoszował swym podstępym i przebiegłym działaniem.

— Podoba mi się twój gest odnośnie do miast — oznajmił. — A także wybór hoteli. „Hassler” w Rzymie, „Ritz” w Paryżu, „Stanhope” w Nowym Jorku. I oczywiście „Park Central” w Miami. Uroczy mały hotelik. Och, daj spokój podejrzeniom. Nie ma nic złego w śledzeniu ludzi poprzez systemy komputerowe. Ani w przekupywaniu urzędników, by pokazali kwit z karty kredytowej, czy w mamieniu pracowników bankowych, by ujawnili rzeczy, które ujawniać zakazano. Posługując się różnymi trikami, zwykle radzę sobie idealnie. Nie trzeba być nadprzyrodzonym mordercą. Nie, wcale nie.

— Kradniesz poprzez systemy komputerowe?

— Kiedy mogę — odparł, lekko krzywiąc usta. — Kradnę na wszelkie sposoby. Nic nie jest poniżej mojej godności. Nie potrafię jednak zgarnąć dziesięciu milionów dolarów. Inaczej by mnie tu nie było, prawda? Nie mam aż tyle sprytu. Dwukrotnie zostałem złapany. Siedziałem w więzieniu. To tam udoskonaliłem sposoby podróżowania poza ciałem, bo nie było innej drogi. — Posłał mi gorzki i sarkastyczny uśmiech.

— Czemu mi to opowiadasz?

— Ponieważ i tak robi to twój przyjaciel David Talbot. I dlatego że myślę, iż powinniśmy się rozumieć. Nie lubię podejmować ryzyka, postępuję ostrożnie. To duża rzecz, twoje ciało... i dziesięć milionów dolarów, gdy je oddam.

— Co się z tobą dzieje? — zapytałem. — To wszystko brzmi tak komicznie.

— Dziesięć milionów jest komiczne?

— Tak. Zamieniłeś stare ciało na nowe. Jesteś znowu młody. A następnym krokiem, jeśli się zgodzę, będzie wejście w moje ciało, uzyskanie mojej mocy. Jednak liczą się przede wszystkim pieniądze. Tylko one i nic innego.

— Nie tylko! — rzekł kwaśno i prowokująco. — Obie rzeczy są ważne. — Odzyskał opanowanie z widocznym wysiłkiem. — Nie rozumiesz tego, ponieważ posiadasz równocześnie bogactwo i moc. Nieśmiertelność i wielką kasetę pełną złota i biżuterii. Czyż nie o tym opowiada historia? Wyszedłeś z wieży Magnusa nieśmiertelny i z królewskim okupem. Może to kłamstwo? Jesteś wystarczająco realny, to jasne. Nie wiem jednak o tych

wszystkich rzeczach, które napisałeś. Ty powinieneś zrozumieć, o czym mówię. Sam jesteś złodziejem.

Nagle zalała mnie fala gniewu. Stał się dla mnie bardziej niesmaczny niż w stanie zdenerwowania i niepokoju, gdy tylko usiedliśmy.

— Nie jestem złodziejem — oznajmiłem cicho.

— Owszem, jesteś — odpowiedział *ze* zdumiewającym współczuciem. — Zawsze okradasz ofiary. Wiesz, że to robisz.

— Nie. Chyba że... muszę.

— Niech ci będzie. I tak myślę, iż jesteś złodziejem. — Pochylił się do przodu, oczy mu znowu lśniły, a dobrze wyważone słowa padały coraz szybciej: — Kradniesz krew, którą pijesz, to musisz przyznać.

— Co tak naprawdę zaszło między tobą a Talamasą? — zaciekałem się z nagłą.

— Już mówiłem — odrzekł. — Wyrzucili mnie na podstawie oskarżenia o korzystanie z nadprzyrodzonych darów w celu zdobycia informacji do prywatnego użytku. Zarzucono mi oszukiwanie. I oczywiście kradzież. Byli głupi i krótkowzroczni, ci twoi kolesie z Talamaski. Całkowicie mnie nie docenili. Powinni byli poznać się na mojej wartości, studiować mnie. Powinni błagać, bym nauczył ich *rzeczy*, które znam. Zamiast tego dali mi kopa. Sześć miesięcy wygnania. Nędzne wynagrodzenie. I odmówili mojej ostatniej prośbie... chciałem, by zafundowali mi przejazd pierwszą klasą do Ameryki na „Królowej Elżbiecie II”. A tak łatwo mogli to życzenie spełnić. Byli mi to winni, po tych wszystkich rzeczach, jakie im odsłoniłem. Powinni to zrobić. — Westchnął i zerknął na mnie, a potem na swoją filizankę. — Takie drobiazgi mają wielkie znaczenie.

Nie odpowiedziałem. Ponownie spojrzałem na zdjęcie postaci na pokładzie statku, ale nie jestem pewien, czy to zauważył. Wpatrywał się w hałaśliwe wnętrze kawiarni, tańczył wzrokiem po ścianach i suficie, a okazjonalnie po turystach, wcale ich nie zauważając.

— Próbowaliśmy wypracować z Talamasą układ — rzekł głosem cichym i rytmicznym jak wcześniej. — Chcieli, bym zwrócił parę rzeczy lub odpowiedział na kilka pytań, sam wiesz. Jednak nie słuchali w ogóle moich propozycji, nie oni! A pieniądze nic dla nich nie znaczyły, podobnie jak dla ciebie. Byli zbyt uduchowieni, by to rozważać. Dali mi bilet w klasie turystycznej i czek z płacą za sześć miesięcy. Półroczna odprawa! Och, jestem bardzo znużony byciem raz na wozie, raz pod wozem.

— Co sprawiło, że myślisz, iż potrafisz ich przechytrzyć?

— Ty tego dokonałeś — rzekł z oczami lśniącymi uśmiechem. — Nie postępują ostrożnie ze swoim inwentarzem. Nie mają pojęcia, jak wiele z ich cennych skarbów

zdołałem sobie przywłaszczyć. Nigdy nie zgadną. Oczywiście ty byłeś prawdziwą kradzieżą — sekret, że istniejesz. Ach, odkrycie w należącym do ciebie domu sejfów pełnego relikwów można potraktować jako łut szczęścia. Zrozum, nie wziąłem niczego z twojego dawnego dobytku — zgniłych płaszczy, pergaminów z wymyślnym podpisem, nawet medalionika z miniaturą przeklętego, małego dziecka...

— Uważaj, co mówisz — wyszeptałem. Na chwilę zamilkł.

— Przepraszam. Naprawdę nie zamierzałem cię obrazić.

— O jakim medalioniku mówisz? — spytałem. Czy mógł usłyszeć przyspieszony rytm mojego serca? Próbowałem je uspokoić, utrzymać falę gorąca z dala od twarzy.

Jakże potulnie wyglądał, odpowiadając.

— Złoty medalion na łańcuszku, z owalną miniaturką w środku. Och, nie ukradłem go. Przysięgam. Zostawiłem, gdzie znalazłem. Zapytaj swojego przyjaciela, Talbota. Medalion nadal leży w sejfie.

Czekałem, nakazując sercu spokój, wyrzucając z umysłu wszelkie wspomnienia związane z klejnotem.

— Rzecz w tym — wskazałem — że Talamascą przyłapała cię i wykluczyła.

— Nie musisz mnie obrażać — rzekł pokornie. — Możemy przecież dokonać naszej małej wymiany bez złośliwości. Przykro mi, że wspomniałem o medalionie, nie chciałem...

— Przemyślę twoją propozycję — oznajmiłem.

— To może być błąd.

— Dlaczego?

— Nie marnuj szansy! Działaj szybko. Teraz. I proszę, pamiętaj, że jeśli mnie skrzywdzisz, stracisz okazję na zawsze. Jestem jedynym kluczem do tego doświadczenia; wykorzystaj mnie albo nigdy się nie dowiesz, jak to jest ponownie stać się człowiekiem. — Zbliżył się tak bardzo, że czułem na policzku jego oddech. — Nigdy nie dowiesz się, jak spaceruje się w słońcu, rozkoszuje prawdziwą żywnością, uprawia miłość z kobietą lub mężczyzną.

— Chcę, żebyś teraz odszedł. Wyjedź z miasta i nigdy tu nie wracaj. Kiedy będę gotów, znajdę cię w Georgetown. I zamiana nie potrwa tydzień. Na pewno nie za pierwszym razem. Początkowo...

— Mogę zasugerować dwa dni? Nie odpowiedziałem.

— To może jeden? — zapytał. — Jeśli ci się spodoba, ustalimy dłuższy czas.

— Jeden dzień — potwierdziłem głosem, który mnie samemu wydawał się dziwny. — Dwadzieścia cztery godziny... za pierwszym razem.

— Jeden dzień i dwie noce — rzekł cicho. — Pozwól, że jakiś termin spotkania zaproponuję najbliższą środę, tuż po zachodzie słońca. Odmienimy się w piątek przed świtem. Nie odpowiedziałem.

— Masz dzisiejszy i jutrzejszy wieczór na przygotowania — kusił. — Po zamianie zyskasz środową noc i cały czwartek. Oraz kolejną noc do momentu... powiedzmy dwie godziny przed nadejściem piątkowego świtu? To powinno wystarczyć.

Studiował mnie pilnie, a potem nieco się zaniepokoił:

— Och, i weź jeden ze swoich paszportów. Nieważne który. Chcę mieć jednak jakiś dokument, karty kredytowe oraz trochę gotówki prócz tych dziesięciu milionów. Rozumiesz?

Nadal milczałem.

— Wiesz, że to zadziała. Nawet nie drgnąłem.

— Wierz mi, wszystko, co powiedziałem, jest prawdą, zapytaj Talbota. Nie urodziłem się jako przystojne indywiduum, które widzisz przed sobą. To ciało jest do twojej dyspozycji.

Dalej nie odpowiadałem.

— Przyjdź w środę — polecił. — Będziesz bardzo zadowolony. — Zawiesił głos, a potem jeszcze złagodził sposób bycia. — Posłuchaj... czuję, że cię znam — rzekł głosem opadającym do szeptu. — Wiem o twoich pragnieniach. To okropne pożądać czegoś i nie móc tego mieć, zwłaszcza gdy znajduje się w zasięgu ręki.

Powoli zatopiłem wzrok w jego oczach. Ujrzałem piękną twarz pozbawioną wyrazu. Oczy wydawały się nadprzyrodzone w swej delikatności i idealnym kształcie. Natomiast skóra była miękka, przywodziła na myśl dotyk aksamitu. Potem znów rozległ się głos, uwodzicielski półszept, słowa przepelnione smutkiem.

— Tylko ty i ja możemy to zrobić — mówił. — W pewnym sensie ten cud tylko my dwaj potrafimy zrozumieć.

Nagle twarz stała się ohydna w swym niezmaconym pięknie; nawet głos przerażał w uroczym tembrze i elokwencji, pełen empatii, afektacji, może miłości.

Opanowało mnie przemożne pragnienie, by złapać Jamesa za gardło i trząść nim, aż utraci opanowanie i pozory głębokich uczuć, ale tak naprawdę nie chciałem tego robić. Zahipnotyzowały mnie te oczy i głos. Pozwoliłem na to, podobnie jak wcześniej dopuściłem do siebie chęć napaści. Zrozumiałem, że zezwoliłem, by tak się stało, ponieważ ta istota wydawała mi się bardzo krucha i głupia, a ja byłem pewien własnej siły.

Okazało się to kłamstwem. Pragnąłem zamiany! Pożądałem jej.

Po długiej chwili ocknął się i przesunął wzrokiem po kawiarni. Czy grał na zwłokę? Co działo się wewnątrz tej sprytniej i prawdziwie skrytej duszy? Istota zdolna kraść ciała!

Potrafiąca żyć wewnątrz kogoś innego!

Powoli wyjął z kieszeni pióro, wziął jedną z papierowych serwetek i napisał na niej nazwę oraz adres banku. Podał mi go, a ja wsunąłem do kieszeni. Nie przemówiłem.

— Zanim się zamienimy, dam ci mój paszport — rzekł, obserwując mnie bardzo uważnie. — Oczywiście ten z właściwą twarzą. Zostawię ci do dyspozycji rezydencję. Zakładam, że będziesz miał w kieszeni gotówkę. Jak zawsze. Mój dom jest przytulny. Spodoba ci się Georgetown. — Słowa uderzały o moją głowę niczym delikatne klepnięcia palcami. Irytowały, a zarazem podniecały. — To całkiem cywilizowane miejsce. Oczywiście teraz tam pada. Sam rozumiesz. Jest bardzo zimno. Jeśli nie chcesz robić tego w takim klimacie...

— Nie przeszkadza mi śnieg — rzekłem pod nosem.

— Oczywiście. Cóż, zostawię ci trochę ciepłych ubrań — dodał pojednawczym tonem.

— Te szczegóły nie mają znaczenia — oświadczyłem. Jakże był głupi, rozpatrując podobne detale. Czułem, że serce nieomal wyskakuje mi z piersi.

— Och, nie wiedziałem — mruknął. — Kiedy jesteś człowiekiem, wiele całkiem prozaicznych rzeczy jest ważnych.

Może dla ciebie, pomyślałem. Jedyne co się liczy dla mnie, to być w tym ciele i żyć. Oczami duszy widziałem śnieg ostatniej zimy w Auvergne. Patrzyłem na słońce opromieniające góry... małego księdza z wiejskiego kościoła, drżącego w holu i narzekającego, że co noc do wsi przychodzą wilki. Oczywiście polowałbym na nie. Było to moim obowiązkiem.

Nie obchodziło mnie, czy odczytał te myśli, czy nie.

— Ach, czy nie chcesz posmakować dobrego jedzenia? Napić się wina? A co z kobietą lub mężczyzną? Będziesz potrzebował pieniędzy i przyjemnego miejsca.

Nie odpowiedziałem. Widziałem słońce na śniegu. Pozwalałem oczom powoli przesuwać się po twarzy Jamesa. Myślałem, jak dziwnie wdzięcznie wyglądał w nowej tonacji pełnej perswazji, jak podobnie do Davida.

Miał zamiar kontynuować swe wywody, ale uciszyłem go gestem.

— Zgoda — oznajmiłem. — Zobaczymy się w środę. Powiedzmy godzinę po zapadnięciu zmroku. Och, i muszę cię ostrzec. Ta fortuna w wysokości dziesięciu milionów dolarów będzie dostępna dopiero dwie godziny po piątkowym świcie. Stawisz się po nią osobiście. — Delikatnie dotknąłem młodzieńczego, prężnego ramienia. — Oczywiście w tej postaci.

— Jasne. Już na to czekam.

— Żeby dopełnić transakcji, będzie ci potrzebne hasło. Podam ci je, gdy zwrócisz moje ciało.

— Nie, żadnych haseł. Transfer gotówki musi się dokonać całkowicie i nieodwołalnie przed zamknięciem banków w środę po południu. W piątek stawię się przed reprezentantem, okażę odcisk kciuka, a on wręczy mi pieniądze.

Milczałem, rozpatrując ofertę.

— Ostatecznie, mój przystojny przyjacielu — ciągnął — co jeśli nie spodoba ci się życie istoty ludzkiej? Jeśli uznasz, że doświadczenie nie było warte zapłaty?

— Będzie warte — wyszeptałem bardziej do siebie niż do niego.

— Nie — oświadczył cierpliwie, ale z uporem. — Żadnych haseł. Obserwowałem go. Posłał mi uśmiech. Wyglądał tak niewinnie i prawdziwie młodo. Wielki Boże, ten młodzieńczy wigor, czy nic dla niego nie znaczył? Jak mógł go nie oszalać choć przez chwilę? Może na początku, kiedy myślał, że zdobył wszystko, czego można pragnąć.

— Nie na długo! — rzekł nagle, jakby nie zdołał powstrzymać słów, wymykających się z ust.

Musiałem się roześmiać.

— Pozwól, że zdradzę ci mały sekret odnośnie do młodości — rzekł z nagłym chłodem. — Bernard Shaw powiedział, że jest tracona na młodych, pamiętasz tę przecenianą uwagę?

— Tak.

— Cóż, wcale nie. Młody wie, jak trudna i prawdziwie straszna może być młodość. Tracona jest na każdego innego. To czysty horror. Młody nie ma autorytetu, nie jest darzony szacunkiem.

— Oszalałeś — zauważyłem. — Nie sądzę, byś dobrze wykorzystywał dobra, które kradniesz. Jak może cię nie podniecać czysty wigor? Sława w pięknie, wzbudzającym zachwyty tych, którzy patrzą na ciebie, gdziekolwiek pójdziesz. Potrząśnął głową.

— Ty się możesz tym rozkoszować — rzekł. — Ciało jest młode w sposób, w jaki zawsze byłeś młody. Oszolomi cię wigor. Będziesz upajał się podziwem w oczach innych... — urwał. Znów zapatrzył się w filiżankę. — Żadnych haseł — powtórzył grzecznie.

— Zgoda.

— Dobrze — mruknął z ciepłym, zdumiewająco serdecznym uśmiechem. — Pamiętaj, zaoferowałem ci za tę sumę tydzień. Ty zdecydowałeś się wziąć jeden dzień. Może potem, gdy zasmakujesz w zamianie, zapagniesz więcej.

— Może — przyznałem. Znowu rozpraszał mnie jego widok, nawet ciepła dłoń, ogrzana rękawiczką.

— Kolejna zamiana będzie znowu trochę kosztować — rzekł radośnie rozpromieniony, poprawiając szal na klapach marynarki.

— Oczywiście.

— Pieniądze naprawdę nic dla ciebie nie *znaczą*, czyż nie? — zapytał w zadumie.

— Zupełnie nic. — Jakże tragiczne jest to, pomyślałem, iż dla ciebie stanowią tak wielką wartość.

— Cóż, może powinienem teraz pójść i dać ci czas na przygotowania. Zobaczymy się w środę, jak zostało ustalone.

— Nie próbuj mnie śledzić — wyszeptalem, pochylając się nieco do przodu i dotykając dłonią jego twarzy.

Ten gest najwyraźniej go zaskoczył i przestraszył; zamarł w bezruchu jak leśne zwierzę, które nagle wyczuło niebezpieczeństwo. Jednak wyraz twarzy pozostał spokojny. Przez moment trzymałem palce oparte o gładko wygoloną skórę.

Potem powoli przesunąłem je niżej, wyczuwając jędrność szczęk. W końcu złożyłem dłoń na szyi Jamesa. Tutaj również działała brzytwa, która zostawiła lekki ciemny cień. Skóra była sprężysta, zadziwiająco muskularna, a czysty, młodzieńczy zapach unosił się ze zroszonego potem czoła, podczas gdy na usta wypływał wdzięczny uśmiech.

— Z pewnością choć trochę cieszy cię bycie młodym — wyszeptalem.

Uśmiechnął się.

— Mam marzenia młodości — oznajmił. — Zawsze dotyczą one bycia starszym, bogatszym, mądrzejszym i silniejszym, nie sądzisz?

Zachichotałem.

— Będę tam w środową noc — rzekł z tą samą elokwentną szczerością. — Możesz mieć pewność. Przyjdź. Dokona się zamiana, obiecuję. — Pochylił się do przodu i wyszeptał: — Znajdziesz się wewnątrz tego ciała! — Ponownie posłał mi czarujący, przymilny uśmiech. — Zobaczysz.

— Chcę, byś zaraz opuścił Nowy Orlean.

— Ach, tak, natychmiast — zgodził się i bez kolejnego słowa wstał, cofając się przy tym oraz próbując opanować nagły strach. — Już mam bilet — poinformował. — Nie podoba mi się twój plugawy karaibski matecznik. — Roześmiał się lekceważąco. Potem kontynuował niczym nauczyciel besztający ucznia: — Porozmawiamy obszerniej, kiedy przyjedziesz do Georgetown. I do tego czasu nie próbuj mnie szpiegować. Dowiedziałbym się o tym. Jestem

zbyt dobry w wychwytywaniu obecności prześladowców. Nawet Talamascę zdumiewała moja siła. Powinni mnie byli zatrzymać w zagrodzie! Obserwować!

— I tak zamierzam cię śledzić — oznajmiłem, powtarzając niby echo jego powolny, stranny ton. — Nie obchodzi mnie, czy będziesz o tym wiedział, czy nie.

Znów się roześmiał niskim, stłumionym i nieco nurtującym śmiechem, kiwnął mi głową i ruszył w stronę drzwi. Raz jeszcze stał się niezgrabną, niezdarną istotą, pełną szalonego podniecenia. Wyglądało to tragicznie, bo z inną duszą w środku ciało z pewnością mogło poruszać się z gracją pantery.

Złapałem go na chodniku, zaskoczyłem, przeraziłem śmiertelnie. Staliśmy oko w oko.

— Co chcesz uczynić z moim ciałem? — zapytałem. — To znaczy poza uciekaniem od słońca każdego ranka, jakbyś był nocnym insektem lub gigantycznym ślimakiem?

— A jak myślisz? — mruknął, ponownie grając rolę czarującego angielskiego dżentelmena. — Pragnę poznać smak krwi. — Oczy mu się rozszerzyły i jeszcze bardziej się do mnie zbliżył. — Chcę pić krew i odbierać życie. O to przecież chodzi, czyż nie? Kradniesz im nie tylko krew, ale i życie. Nigdy nie ukradłem niczego tak cennego. — Posłał mi chytry uśmiech. — Ciało, owszem, ale nie krew i życie.

Pozwoliłem mu odejść, cofając się szybko. Serce waliło mi jak młotem. Czuję dreszcze, gdy tak patrzyłem na przystojną i niewinną twarz.

Wciąż się uśmiechał.

— Jesteś złodziejem *par excellence* — rzekł. — Skradłeś każdy oddech! Och tak, muszę mieć powłokę Lestata. Muszę tego doświadczyć. Dotarcie do akt wampirów w Talamascę oznaczało sukces, ale osiąść powłokę Lestata i kraść krew, przebywając w nim! Ach, to przewyższy moje najwspanialsze dokonania! Jesteś złodziejem ostatecznym.

— Odejdź — wyszeptałem.

— Och, daj spokój, nie grymas. Nie znosisz, gdy robią to inni. Jesteś uprzywilejowany, Lestacie de Lioncourt. Znalazłeś to, czego szukał Diogenes. Uczciwego człowieka! — Kolejny szeroki uśmiech, a potem niska salwa kpiącego śmiechu, jakby nie mógł powstrzymać go dłużej. — Zobaczymy się w środę. Musisz przyjść wcześniej. Chcę tyle z tej nocy, ile tylko mogę mieć.

Odwrócił się i pospieszył w dół ulicy, machając szaleńczo na taksówkę, rzucając się w ruch uliczny, by wsiąść do auta, które najwidoczniej zatrzymało się dla kogoś innego. Wyniknęła sprzeczka, ale wygrał natychmiast i trzasnął drzwiami tuż przed twarzą jakiegoś mężczyzny. Samochód ruszył. Widziałem, że mrugnął do mnie i pomachał przez brudną szybę. Potem taksówka zniknęła.

Mdliło mnie od chaosu. Stałem tam niezdolny wykonać ruchu. Zimna noc wrzała życiem, pełna głosów przechodzących turystów, sunących ulicami aut. Nie myśląc o niczym, próbowałem zobaczyć ją w blasku słońca, wyobrazić sobie niebo nad tym miejscem, szokujący błękit.

Potem powoli postawiłem kołnierz płaszcza.

Spacerowałem całe godziny. Wciąż dźwięczał mi w uszach kulturalny głos.

Kradniesz nie tylko krew, ale i życie. Nigdy nie ukradłem czegoś tak cennego. Ciało, tak, ale nie krew i życie.

Nie mogłem stanąć twarzą w twarz z Louisem. Nie zniósłbym też myśli o rozmowie z Davidem. A gdyby dowiedział się o tym Marius, byłbym skończony przed początkiem. Kto wie, co zrobiłby mi Marius na samą wzmiankę o pomysle? A jednak to właśnie on dzięki swemu doświadczeniu wiedziałby, czy to prawda czy ułuda! Czy nigdy nie pragnął tego dla siebie?

W końcu wróciłem do apartamentu, zgasilem światło i siedziałem rozciągnięty na krytej aksamitem sofie, przed ścianą z ciemnego szkła, wyglądając na miasto rozpościerające się poniżej.

/ proszę, pamiętaj, jeśli mnie skrzywdzisz, stracisz okazję na zawsze... Wykorzystaj mnie albo nigdy się nie dowiesz, jak to jest ponownie stać się człowiekiem... Nie dowiesz się, jak spaceruje się w słońcu, rozkoszuje prawdziwym pożywieniem, uprawia miłość z kobietą lub mężczyzną.

Rozmyślałem o mocy pozwalającej unieść się z materialnej powłoki. Nie lubiłem jej i nie przychodziła spontanicznie, tak zwana astralna projekcja, duch podróży. Doprawdy korzystałem z niej tak niewiele razy, że mógłbym zliczyć owe przypadki na palcach jednej ręki.

Nawet podczas cierpień na Gobi nie próbowałem opuścić materialnej powłoki, nie zostałem z niej wypchnięty ani nie brałem pod uwagę takiego rozwiązania.

Pomysł o rozłączeniu z ciałem — o unoszeniu się ponad nim bez możliwości znalezienia drzwi do nieba lub piekła — przerażał mnie całkowicie. A to, że podróżująca, uwolniona od powłoki cielesnej dusza nie mogła przedostać się przez wrota śmierci na własną wolę, było dla mnie jasne od pierwszego razu, gdy doświadczyłem owej sztuki. Jednak wejść w ciało śmiertelnika! Zakotwiczyć się tam, spacerować, czuć, widzieć jak człowiek, ach, nie mogłem ukryć podniecenia. Stawało się czystym bólem.

Po zamianie będziesz mieć środową noc oraz cały czwartek. Cały czwartek. Pełny dzień...

W końcu przed porankiem zadzwoniłem do mojego agenta w Nowym Jorku. Raglan James nie wiedział nic o podobnym współpracowniku w Paryżu. Znał mnie tylko pod dwoma pseudonimami. A nie używałem ich często. Było też bardzo mało prawdopodobne, by kojarzył ze sobą te postacie oraz ich rozmaite zasoby. Operacja wyglądała na prostą do przeprowadzenia.

- Mam dla ciebie bardzo skomplikowaną robotę. Należy ją wykonać natychmiast.
- Tak, proszę pana, zawsze do usług.
- Dobrze, oto nazwa i adres banku w Dystrykcie Kolumbia. Chcę, byś je zapisał...

ROZDZIAŁ 9

Następnego wieczoru skompletowałem wszystkie konieczne papiery do przeprowadzenia transferu dziesięciu milionów dolarów amerykańskich i poprzez posłańca wysłałem dokumenty do banku w Waszyngtonie, razem z kartą identyfikacyjną Raglana Jamesa i z podpisem Lestana Gregora, które to nazwisko z różnych przyczyn uznałem za najlepsze do użycia w tej konkretnej sprawie.

Mój nowojorski agent również znał inne pseudonimy. Uzgodniliśmy, że tamto nazwisko nie będzie w żaden sposób figurowało w transakcji. Zgodziliśmy się także, iż powinienem ustalić kilka hasłowych słów, które upoważniałyby go do przeprowadzenia transferu pieniędzy.

Dane Lestana Gregora miały zniknąć z akt tak szybko, jak tylko dziesięć milionów trafi w posiadanie Raglana Jamesa. Wszelkie pozostałe aktywa pana Gregora zostały przelane na inne konto. Zarejestrowałem je na nazwisko Stanford Wilde, co nie ma i tak żadnego znaczenia dla dalszych kolei opowieści.

Moi agenci są przyzwyczajeni do dziwacznych operacji, jak przenoszenie funduszy, zmiany tożsamości i dostarczanie gotówki do każdego dowolnego miejsca na świecie, w którym się w danym czasie znajduję. Każdy ruch zostawał wykonywany na podstawie jednej rozmowy telefonicznej. Zawęziłem ten system. Wymyśliłem dziwaczne i trudne do wymówienia słowo szyfrowe. Zrobiłem wszystko, co mogłem w tak krótkim czasie, by udoskonalić swój kamuflaż i ustalić nieprzekraczalny termin transferu dziesięciu milionów dolarów.

W środę w samo południe pieniądze znajdują się na anonimowym koncie w banku w Waszyngtonie, skąd będą mogły zostać odebrane wyłącznie przez Raglana Jamesa i tylko między dziesiątą a dwunastą w najbliższy piątek. Pan James potwierdzi swoją tożsamość przez samą fizyczną postać skonfrontowaną ze zdjęciem, przez odcisk palca i podpis, a dopiero wtedy pieniądze trafią na jego konto. Minutę po dwunastej cała transakcja zostanie odwołana i pieniądze odesłane z powrotem do Nowego Jorku. Pan James ma być zaznajomiony z tymi wszystkimi warunkami w środę po południu w ostatniej chwili, z zapewnieniem, że nic nie może powstrzymać transferu, jeżeli będzie wykonywał przedstawione mu instrukcje.

Uznałem, że to żelazny układ. Jednak wbrew temu, co twierdził James, nie byłem złodziejem. Wiedziałem natomiast, że on owszem. Wałkowałem raz po raz wszelkie aspekty

sprawy, raczej z przymusu, żeby uniknąć możliwości, w której James mógłby przejąć kontrolę nad interesem.

Dlaczego wciąż się oszukiwałem, powtarzając sobie, że ostatecznie nie pójdę na ten eksperyment? Z pewnością zamierzałem właśnie dokładnie to zrobić.

Tymczasem telefon w moim apartamencie dzwonił na okrągło, jako że David desperacko starał się ze mną skontaktować. Ja zaś siedziałem sobie w ciemności, pograżony w rozmyślaniach i nie podnosiłem słuchawki. Wreszcie zdenerwowany brzęczącym sygnałem odłączyłem kabel.

To, co zamierzałem zrobić, było godne pogardy. Ten hultaj bez wątpienia użyje mojego ciała do najohydniejszych i najokrutniej-szych przestępstw. A ja miałem na to pozwolić, żeby tylko na parę chwil stać się człowiekiem? Niemożliwa rzecz do wybaczenia przez jakąkolwiek z osób, które znam.

Za każdym razem, gdy dumałem o innych, którzy odkryją prawdę, wzdygałem się i wszystkie myśli uciekały z umysłu. Módlmy się, żeby byli zajęci swoimi sprawami gdzieś w szerokim, gościnnym świecie.

Wolałem skoncentrować się na propozycji. Czułem pulsujące podekscytowanie. James miał oczywiście rację w kwestii pieniędzy. Dziesięć milionów dolarów absolutnie nic dla mnie nie znaczyło.

Przez wieki zebrałem fortunę, powiększając ją różnymi sposobami aż do momentu kiedy stwierdziłem, że jest całkiem pokaźnych rozmiarów. W rzeczy samej nie znałem jej prawdziwych rozmiarów. Prawdę mówiąc, sam nie potrafiłbym dokładnie oszacować wartości zgromadzonego majątku.

Rozumiałem, jak bardzo inny jest świat dla śmiertelnej istoty, ale nie potrafiłem do końca pojąć, dlaczego pieniądze były aż tak ważne dla Jamesa. Mimo wszystko braliśmy pod uwagę czyn wielkiej wagi, wymagający manipulacji, dewastujący wartości duchowe i demoniczny, jeśli wręcz nie heroiczny. Natomiast ten mały drań najwyraźniej chciał jedynie pieniędzy, poza którymi nie widział nic.

Pomyślcie, jak mógłby być niebezpieczny, gdyby miał choć gram ambicji. Na szczęście takowej nie posiadał.

A ja pragnąłem ludzkiego ciała.

Reszta była racjonalizacją w najlepszym stylu. W ciągu minionych paru godzin wykonałem spory jej kawałek.

Na przykład rozważyłem kwestię: czy poddanie eksperymentowi mojego mocarnego ciała było naprawdę tak godne pogardy? Ta szelma nie umiała nawet używać ludzkiej

powłoki, w którą się wdarła. Zmienił się w perfekcyjnego dżentelmena na pół godziny w kawiarni, a potem zburzył piękną otoczkę kilkoma niezgrabnymi gestami, zaraz jak tylko wstał od stolika. Nigdy nie byłby zdolny wykorzystać swojej nowej fizycznej siły ani sterować moimi teleki-netycznymi mocami, nieważne za jak psychicznie silnego się uważał. Owszem, niewykluczone, że sprawnie poradziłyby sobie z telepatią, ale jeśli chodzi o pojawianie się i znikanie oraz rzucanie zaklęć, to podejrzewam, że w ogóle nie próbowałby używać tych darów. Wątpię, czy byłby zdolny poruszać się bardzo szybko. W rzeczywistości cechowała go niezręczność, powolność i słaba efektywność. Lot w przestworzach prawdopodobnie w ogóle nie będzie możliwy w jego przypadku. I mógłby nawet poważnie się okaleczyć.

Tak, pięknie, że jest młodszym, beznadziejnym, małym łotrzykiem. Współdziałanie z kimś takim to lepsze niż wyjście z Bogiem. A co do mnie, to co ja planuję zrobić?

Dom w Georgetown, samochód, te *rzeczy* nic nie znaczą! Powiedziałbym mu prawdę. Chciałem być żywy. Oczywiście potrzebowałbym trochę pieniędzy na jedzenie i picie. Jednak oglądanie dziennego światła nic nie kosztuje. W rzeczy samej eksperyment nie wymagał angażowania żadnego wielkiego materialnego komfortu czy luksusu. Chciałem duchowego i fizycznego doświadczenia bycia ponownie istotą śmiertelną. Widziałem się zupełnie inaczej niż ten obmierzły złodziej ciał!

Niestety miałem jeszcze jedną pozostającą wątpliwość. Co jeśli dziesięć milionów nie będzie wystarczająco dużą łapówką, by ściągnąć drania z powrotem z moim ciałem? Może powinienem podwoić sumę. Dla tak ograniczonej umysłowo osoby fortuna w postaci dwudziestu milionów byłaby prawdziwą zachętą. W przeszłości zawsze dawało efekty podwajanie stawek ludziom żądającym zapłaty za usługi. W ten sposób kupowałem ich dozgonną lojalność.

Zadzwoiłem ponownie do Nowego Jorku. Kazałem podwoić sumę. Mój agent, co było zupełnie naturalnym odruchem, pomyślał, że tracę zmysły. Użyliśmy naszego nowego szyfru, by zatwierdzić moc upoważnienia transakcji. Potem się rozłączyłem.

Teraz nadszedł czas, żeby porozmawiać z Davidem albo pojechać do Georgetown. Złożyłem przyjacielowi obietnicę. Usiadłem spokojnie i czekałem, aż odezwie się telefon. Kiedy zadzwonił, podniosłem słuchawkę.

— Dzięki Bogu, że tam jesteś.

— O co chodzi? — zapytałem.

— Rozszyfrowałem dane Raglana Jamesa natychmiast. Nie myliłeś się. Ten mężczyzna nie jest we własnym ciele! Osoba, z którą masz do czynienia, to

siedemdziesięcioletni człowiek. Urodził się w Indiach, dorastał w Londynie i był pięć razy w więzieniu. Jest złodziejem znanym każdej agencji prawnej w Europie i jak to mówią w Ameryce — oszustem i przestępcą. Posiada również niesamowicie potężną psychikę. Praktykant jednego z rodzajów czarnej magii — najbardziej przebiegłych, jakie znamy.

— Tak też mi powiedział. Wypracował sobie drogę do porządku Talamaski.

— Tak, istotnie. I to był jeden z najgorszych błędów, jakie kiedykolwiek popełniliśmy. Lestacie, ten mężczyzna umiałby uwieść Błogosławioną Dziewicę i ukraść kieszonkowy zegarek z marynarki samego Boga. Jednak w ciągu kilku miesięcy przysporzył sobie niemałych kłopotów. To sedno sprawy, które próbuję ci wyjaśnić. Teraz, proszę cię, posłuchaj. Ten typ czarnych wiedźm czy czaro-

dziejów zawsze ściąga na siebie zło! Ze swoimi zdolnościami mógł oszukiwać nas wiecznie; zamiast tego wykorzystał nadprzyrodzone dary do ograbiania innych członków i okradania podziemi!

— Powiedział mi o tym. A co z zamianą ciał? Czy mogą być tu jakieś wątpliwości?

— Opisz faceta, jak go widzisz.

Tak zrobiłem. Szczególną uwagę zwróciłem na wzrost i rubaszną naturę fizycznej oprawy. Grube błyszczące włosy, niezwykle gładka i satynowa skóra. Wyjątkowe piękno.

— Ach, patrzę właśnie na zdjęcie tego mężczyzny.

— I co?

— Przebywał krótki okres w londyńskim szpitalu dla nie zrównoważonych psychicznie kryminalistów. Matka — urodziła się ze związku Anglika z Indianką, co może wyjaśniać opisywaną przez ciebie wyjątkową urodę, którą ja również zauważam na pierwszy rzut oka. Ojciec — londyński taksówkarz, umarł w więzieniu. On sam pracował w warsztacie w Londynie i specjalizował się w naprawie najdroższych samochodów. Prowadził narkotykowe interesy, więc sam mógł sobie pozwolić na takie auto. Jednej nocy zamordował całą rodzinę — żonę, dwójkę dzieci, szwagra i matkę, a potem oddał się w ręce policji. W jego krwi stwierdzono ogromną zawartość alkoholu, a także obecność mieszanki halucynogennych środków. Były to te same prochy, które zazwyczaj sprzedawał okolicznej młodzieży.

— Rozstrój zmysłów, ale z mózgiem wszystko w porządku.

— Dokładnie, cała ta mordercza złość wywołana została działaniem narkotyków, tak stwierdziły władze. Po tym zdarzeniu facet nigdy nie odezwał się ani słowem. Pozostał nieczułym na zewnętrzne bodźce niemową aż do momentu, kiedy trzy tygodnie po zatrzymaniu w szpitalu zniknął w tajemniczych okolicznościach, pozostawiwszy w swojej sali

zabitego sanitariusza. Zgadnij, kim okazał się zamordowany?

— James.

— Tak właśnie. Identyfikację przeprowadzono, porównując odciski palców i potwierdzono przez Interpol i Scotland Yard. Pracował w tym szpitalu pod przybranym nazwiskiem przez miesiąc przed tym wydarzeniem. Bez wątplenia czekał, aż przybędzie takie ciało!

— A wtedy w piękny sposób zamordował swoje własne. Tak to zrobił ten mały skurwysyn.

— Cóż, było to bardzo chore ciało — dokładniej, umierające na raka. Autopsja wykazała, że nie przeżyłby następnych sześciu miesięcy. Lestacie, z tego co wiemy, James mógł złożyć dotację na rzecz komisji do spraw przestępstw, która oddała ciało młodego mężczyzny do jego dyspozycji. Jeśli nie ukradłby tego ciała, spróbowałby z innym znajdującym się w podobnym stanie. Wepchnął śmierć w swoją starą powłokę, która trafiła do grobu, zabierając ze sobą całą kryminalną kartotekę Jamesa, rozumiesz?

— Dlaczego podał mi swoje prawdziwe nazwisko, Davidzie? Dlaczego wyznał, że należał do Talamaski?

— Mógłbym zweryfikować jego historię, Lestacie. Wszystko, co robi, jest wykalkulowane. Nie rozumiesz, jaka to przebiegła kreatura. On chce, żebyś wiedział, iż może zrobić, co mówi! I że pierwotny właściciel tego młodego ciała jest zupełnie niezdolny do interwencji.

— Ale, Davidzie, dalej jest kilka niejasnych aspektów sprawy. Dusza tamtego innego człowieka. Czy umarła w starym ciele? Dlaczego się... nie wydostała?

— Lestacie, tamta biedna istota pewnie nigdy nawet nie myślała, że taka rzecz jest możliwa. Bez wątplenia James manipulował zamianą. Słuchaj, mam tu akta z zeznaniem różnych członków Talamaski, które mówią o tym, jak ten przebiegły drań wyciągnął ich z samych siebie i przejął posiadanie ich ciał na krótki czas. Wszystkie te uczucia, których doświadczyłeś — wibracje, wewnętrzne duszenie — również zostały opisane. Mówimy teraz o wykształconych członkach Talamaski. Ten mechanik samochodowy nie miał treningu w takich sprawach. Jego całe doświadczenie z paranaturalnymi wrażeniami wiązało się z braniem narkotyków. I Bóg jeden wie, jakie pomysły były z tym splecione. Dlatego też James zajął się mężczyzną, który znajdował się w poważnym stanie szoku.

— A jeśli to wszystko pewien rodzaj chytrego podstępu? — zapytałem. — Opisz mi Jamesa, mężczyznę, którego znałeś.

— Szczupły, prawie wycieńczony, bardzo rozbiegane oczy i grube siwe włosy.

Piękny głos, o ile dobrze pamiętam.

— To nasz facet.

— Lestacie, wiadomość, którą przefaksowałeś mi z Paryża, nie pozostawia wątpliwości. To pismo Jamesa oraz jego podpis. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że dowiedział się o tobie wszystkiego przez Talamascę, Lestacie?! Najbardziej niepokoi mnie to, że zlokalizował nasze akta.

— Chwalił się tym.

— Wstąpił do stowarzyszenia, żeby zdobyć dostęp do takich tajemnic. Uszkodził jednak system komputerowy. Lepiej nie mówić, co mógł odkryć. Zgubiło go to, że nie potrafił odeprzeć pokusy, by ukraść zegarek jednemu z członków i diamentowy naszyjnik z piwnic. Rozgrywał lekkomyślną gierkę z innymi. Okradał pokoje. Nie możesz utrzymywać kontaktów z tą osobą! Nie ma mowy.

— Rozkazujesz jak dyrektor generalny, Davidzie.

— Lestacie, mówimy tu o zamianie ciał! To oznacza oddanie wszystkich twoich darów w ręce złodzieja.

— Wiem.

— Nie możesz tego zrobić. Pozwól mi uczynić szokującą sugestię. Jeśli bawi cię, tak jak mi powiedziałeś, odbieranie życia, dlaczego nie zamordujesz tego ohydneho indywiduum tak szybko, jak to możliwe?

— Davidzie, przemawia przez ciebie urażona duma. I rzeczywiście czuję się zszokowany.

— Nie baw się ze mną. Nie ma teraz na to czasu. Zdajesz sobie sprawę, że ten oszust jest wystarczająco sprytny, by liczyć na twoją swawolną naturę w tej małej grze? Wybrał cię do zamiany tak samo, jak tego szalonego londyńskiego mechanika. Przestudiował dowody twojej impulsywności, ciekawości, generalnej nieustraszoneści. I bez najmniejszych obaw może założyć, że nie posłuchasz ani słowa ostrzeżenia z moich ust.

— Interesujące.

— Mów głośniej. Nie słyszę cię. — Co jeszcze możesz mi powiedzieć?

— A co jeszcze chcesz wiedzieć?

— Chcę to zrozumieć.

— Dlaczego?

— Davidzie, pojmuję wszystko, jeśli chodzi o biednego zamrozonego mechanika. Niemniej jednak nadal pozostaje dla mnie tajemnicą, dlaczego jego dusza nie opuściła umęczonego ciała, kiedy James wykonał szturm na głowę?

— Lestacie, sam to powiedziałaś. Cios padł na głowę. Dusza była już usidlona nowym mózgiem. Nie pojawił się już żaden przebłysk świadomości, w którym mogłaby odlecieć wolno. Nawet przy takim sprytnym mózgu jak Jamesa, jeżeli poważnie uszkodzisz tkanki mózgu, zanim dusza będzie miała szansę się uwolnić, to później proces jest niemożliwy. Nastąpi fizyczna śmierć, zabierając całą duszę z tego świata razem ze sobą. Jeśli zdecydujesz się skończyć z tym potworem, to na wszelkie sposoby weź go przez zaskoczenie i dopilnuj, byś zmiażdżył jego czaszkę, tak jak rozgniata się skorupkę jajka.

Roześmiałem się.

— Davidzie, nigdy nie słyszałem cię tak rozwścieczonego.

— To dlatego że cię znam i myślę, że zamierzasz zrobić tę zamianę, a tego ci nie wolno uczynić!

— Odpowiedz jeszcze na kilka pytań. Chcę to przemyśleć.

— Nie.

— Chodzi mi o doświadczenia na krawędzi śmierci, Davidzie. Wiesz, te biedne dusze, które przeżywają atak serca, wznoszą się w tunel, widzą światło, a potem wracają do życia. Co się z nimi dzieje?

— Nie znam odpowiedzi.

— Nie wierzę ci. — Streściłem wykład Jamesa na temat szczątkowych dusz i zatrzymania pracy mózgu, najlepiej jak potrafiłem. — Czy w tych na pół śmiertelnych przeżyciach jakaś mała część duszy pozostaje z tyłu?

— Możliwe, albo te indywidua naprawdę stają w obliczu śmierci —może w zasadzie ją przechodzą — a dusza cała i nietknięta jest odsyłana z powrotem. Nie wiem.

— Jednak niezależnie od przypadku nie możesz po prostu umrzeć poprzez wyjście ze swego ciała, czy tak? Jeśli na pustyni Gobi opuściłem ciało, to nie mógłbym znaleźć bramy wejściowej na powrót, prawda? Nie byłoby jej tam. Otwiera się tylko dla całej duszy.

— Tak, z tego, co wiem, to tak. — Przerwał. Potem dodał: — Dlaczego mnie o to pytasz? Czy dalej marzysz o śmierci? Nie wierzę. Jesteś zbyt desperacko dumny z bycia żywym.

— Byłem martwy przez dwa stulecia, Davidzie. A co z duchami? Przyziemnymi duchami?

— Nie udało im się znaleźć tej bramy, chociaż była otwarta. Albo raczej odmówiły przejścia przez nią. Słuchaj, możemy porozmawiać o tym wszystkim którejs nocy w przyszłości, debatując o Rio albo o czym tylko zechcesz. Teraz najważniejszą rzeczą jest, abys przyrzekł mi, że nie będziesz zadawał się więcej z tym podłym czarodziejem, jeśli

oczywiście nie posuniesz się tak daleko, by przyjąć moją sugestię i nie zabijesz łotra najszybciej jak to możliwe.

— Dlaczego się go boisz?

— Lestacie, musisz zrozumieć, jak destruktywne i zabójcze może być to indywiduum. Nie możesz oddać mu ciała! A właśnie to zamierzasz zrobić. Słuchaj, jeśli chcesz na jakiś czas przyoblec powłokę śmiertelnika, będę temu przeciwny, gdyż jest to wystarczająco diaboliczne i nienaturalne! Ale dawać twoje ciało temu szaleńcowi! Wszyscy święci, czy mógłbyś, proszę, przyjechać do Londynu? Pozwól mi wybić ci to z głowy. Czyż nie jesteś mi tego winien?

— Davidzie, badałeś go, zanim został członkiem Talamaski, prawda? Jakim jest gatunkiem człowieka... to znaczy, w jaki sposób stał się czarownikiem?

— Oszukał nas. Podrabiał akta na tak wielką skalę, że byś nie uwierzył. On kocha podstęp. I jest kimś w stylu komputerowego geniusza. Nasze prawdziwe dochodzenie odbyło się po tym, jak zniknął.

— No i? Gdzie to się wszystko zaczęło?

— Rodzina była bogata. Klasa kupiecka. Stracili swój majątek przed wojną. Matka należała do niewielkiego grona sławnych mediów, prawdopodobnie całkiem prawa i oddana osoba. Pobierała wynagrodzenie za swoje usługi. Znali ją wszyscy w Londynie. Pamiętam, że słyszałem o niej na długo przed tym, zanim zacząłem interesować się zjawiskami nadprzyrodzonymi. Członkowie Talamaski przy okazji niejednego seansu mogli przekonać się o jej zdolnościach, ale odmówiła studiów. Była delikatnym stworzeniem i bardzo kochała jedyne syna..

— Raglana? — wtrąciłem.

— Tak. Umarła na raka. Straszliwy ból. Jej jedyna córka została szwaczką, nadal pracuje w sklepie z artykułami ślubnymi w Londynie. Jest głęboko pogrążona w smutku z powodu śmierci brata, ale ulżyło jej, że odszedł. Rozmawiałem z nią dziś rano.

Powiedziała, że Raglan został zniszczony przez śmierć ich matki. Był wówczas bardzo młody.

— Rozumiem — rzekłem.

— Ojciec przepracował prawie całe swoje życie dla linii morskich Cunard. Ostatnie sześć lat żywota spędził jako steward w pierwszej klasie na pokładzie „Królowej Elżbiety II”. Był bardzo dumny ze swoich osiągnięć. Strasznie cierpiał z powodu skandalu i hańby, kiedy James, który również został zatrudniony na statku, okradł jednego z pasażerów na czterysta funtów gotówką. Ojciec go wydziedziczył i nigdy więcej z nim nie rozmawiał.

— Ach, tak, fotografie na statku — powiedziałem.

— Co?

— Kiedy go wyгнаłeś, chciał pożeglować na tym właśnie liniowcu z powrotem do Ameryki... pierwszą klasą, oczywiście.

— Tak ci powiedział? Możliwe. W zasadzie to nie prowadziłem tej sprawy osobiście.

— To nieistotne, kontynuuj. W jaki sposób zetknął się z okul-tyzmem?

— Zdobył rzetelne wykształcenie, spędził lata w Oxfordzie, chociaż w tym okresie musiał żyć jak biedak. I jeszcze przed śmiercią matki zaczął zgłębiać tajemnice świata nadprzyrodzonego i interesować się możliwościami kontaktowania się z nim. Przez długi czas mieszkał w Paryżu, gdzie zyskał wielu naśladowców. Do lat pięćdziesiątych działał na własną rękę. Potem jednak zaczął oszukiwać klientów na najbardziej brutalne i oczywiste sposoby, za co trafił do więzienia. To samo miało miejsce później w Oslo. Przez pewien okres wykonywał podrzędne prace, a następnie założył coś w rodzaju spirytualistycznego kościoła. Wyłudził od jakiejś wdowy oszczędności całego życia i został deportowany. Potem Wiedeń, gdzie był zatrudniony jako kelner w hotelu pierwszej kategorii, dopóki po kilku tygodniach nie został doradcą bogatych turystów zwierających mu się z osobistych problemów. Wkrótce musiał szybko wyjechać. Ledwie zdołał uciec przed aresztowaniem. W Mediolanie oszukał pewnego członka starej arystokracji na wiele tysięcy i musiał ewakuować się z miasta w środku nocy. Następnym przystankiem był Berlin, gdzie zatrzymano go, ale wykupił się z za kratki. Wrócił do Londynu i tu znowu poszedł do więzienia.

— Wzloty i upadki — stwierdziłem, wspominając jego słowa.

— Postępuje według określonego schematu. Wznosi się z najniższej klasy pracującej do ekstrawaganckiego luksusu, wydaje nierzeczne sumy na eleganckie ciuchy, samochody, wycieczki odrzutowcem tu i tam, a potem cały świat wali się mu na głowę przez drobne przestępstwa i zdradę. Nie może przerwać cyklu. Zawsze kończy w ten sam sposób.

— Chyba na to wygląda.

— Lestacie, jest w tej kreaturze jakaś dziwna głupota. Mówi ośmioma językami, potrafi rozpracować każdą sieć komputerową i kradnie ciała innym ludziom na wystarczająco długo, by opróżnić ich sejfy. Ma niemal erotyczną obsesję na punkcie ściennych kas. Mimo to wciąż bawi się głupimi sztuczkami z ludźmi i kończy w kajdankach. Przedmioty, które zabrał z naszych piwnic, były prawie niemożliwe do sprzedania. Opchnął je na czarnym rynku dosłownie za grosze. Jest naprawdę kimś w rodzaju arcygłupka.

Roześmiałem się pod nosem.

— Te kradzieże są symboliczne, Davidzie, przymus i obsesja, prywatna gra. Dlatego

nie zatrzymuje tego, co ukradnie. Bardziej niż wszystko inne liczy się dla niego sam proces.

— Ależ Lestacie, to całkowicie samodestrukcyjne działanie.

— Rozumiem, Davidzie. Dziękuję ci za te informacje. Zadzwoń wkrótce.

— Poczekaj chwilę, nie możesz się rozłączyć, nie pozwolę na to, czy nie zdajesz sobie sprawy...

— Oczywiście, że tak, przyjacielu.

— Lestacie, jest takie powiedzenie w świecie okultyzmu. Podobne przyciąga podobne. Pojmujesz sens?

— Cóż ja mogę wiedzieć o okultyzmie, Davidzie? To twoje terytorium, nie moje.

— Nie ma czasu na sarkazm.

— Przepraszam. Co to znaczy?

— Kiedy czarownik używa swoich mocy w małostkowy i egoistyczny sposób, magia zawsze mści się na nim.

— Teraz mówisz o przesądach.

— Mówię o zasadzie, która jest równie stara jak sama magia.

— On nie jest czarownikiem, mój drogi. To mierna kreatura dysponująca pewnymi siłami psychicznymi. Potrafi pojąć innych ludzi. W jednym przypadku, o którym wiemy, dokonał zamiany ciał.

— To dokładnie to samo! Użyj tej mocy i spróbuj skrzywdzić kogokolwiek, a krzywda wróci do ciebie.

— Davidzie, jestem istniejącym przykładem na to, że nie masz racji.

— James jest kwintesencją zła! Już raz pokonał śmierć kosztem innej ludzkiej istoty. Musi zostać powstrzymany.

— Dlaczego nie próbowałeś powstrzymać wampira Lestata? Miałeś przecież okazję. Byłem na twej łasce w Talbot Manor. Mogłeś znaleźć jakiś sposób.

— Nie zbywaj mnie swoimi oskarżeniami!

— Kocham cię, Davidzie. Skontaktuję się z tobą wkrótce. — Miałem właśnie odłożyć słuchawkę, kiedy pomyślałem o czymś. — Davidzie — powiedziałem — jest jeszcze coś, co chciałbym wiedzieć.

— Tak?

Poczułem ulgę, że się nie rozłączyłem.

— W sejfach przechowywacie różne relikty, stare dzieła, prawda?

— Tak.

Usłyszałem żal i zakłopotanie w jego głosie.

— Chodzi mi o naszyjnik — rzekłem — medalion z wizerunkiem Claudii. Widziałeś taką rzecz?

— Wydaje mi się, że tak — odparł. — Zrobiłem spis inwentarza po tym, jak pierwszy raz do mnie przyszedłeś. Chyba był tam medalion. W zasadzie to jestem prawie pewien. Powinienem ci o tym powiedzieć wcześniej.

— Nie. Nieważne. Czy to był medalion na łańcuszku, taki jakie noszą kobiety?

— Tak. Chcesz, żebym go poszukał? Jeśli znajdę podobny przedmiot, to oczywiście ci go przekażę.

— Nie zwracaj sobie teraz tym głowy. Może kiedyś w przyszłości. Do widzenia, Davidzie. Przybędę do ciebie wkrótce.

Rozłączyłem się i usunąłem ze ściany małą wtyczkę telefoniczną. Więc był tam medalion, kobiecy medalion. Ale dla kogo taka rzecz została zrobiona? I dlaczego widzę ją w moich snach? Claudia nie nosiłaby przy sobie własnego wizerunku. A z pewnością pamiętałbym, gdyby go miała. Kiedy próbowałem przywołać tę wizję, wypełniła mnie szczególna kombinacja smutku i lęku. Znajdowałeś się niedaleko mrocznego miejsca pełnego rzeczywistej śmierci. I jak często się zdarza w moich majakach, słyszałem śmiech. Tym razem jednak nie był to śmiech Claudii, ale mój. Miałem poczucie wiecznej młodości i nieskończonych możliwości. Innymi słowy, wspominałem młodego wampira, jakim byłem w osiemnastym stuleciu, jeszcze zanim czas wymierzył swój cios.

Cóż, ale dlaczego obchodzi mnie ten cholerny medalion? Może podchwyciłem jego obraz z mózgu Jamesa, kiedy mnie śledził? Posłużył się nim niby przynętą. I faktem jest, że nigdy nie widziałem podobnego precjozum. Postąpiłby mądrzej, wybierając jakąś inną błyskotkę należącą kiedyś do mnie.

Nie, to ostatnie wytłumaczenie wydawało się zbyt proste. Obraz medalionu był nadto wyraźny. I widziałem go na długo, zanim James wkroczył na ścieżkę mych przygód. Nagle zaczął narastać we mnie gniew. Miałem teraz inne tematy do rozważania, czyż nie? *Zabierz to ode mnie, Claudio. Weź proszę swój medalion, ma chérie, i odejdz.*

Bardzo długo siedziałem bez ruchu w ciemnościach, świadomy tykania zegara stojącego na gzymsie nad kominkiem i słuchałem hałasu z rzadka dobiegającego z ulicy.

Próbowałem rozważyć kwestie, które poruszył David. Bardzo się starałem. Jednak cały mój umysł zaprzętała tylko jedna myśl... więc James może to zrobić, naprawdę potrafi. Jest tym białowłosym mężczyzną z fotografii i dokonał zamiany z mechanikiem w szpitalu w Londynie. A więc to jest możliwe!

Od czasu do czasu oczami wyobraźni widziałem medalion, a w nim miniaturową

postać Claudii. Jednak nie nawiedzały mnie żadne uczucia, ani smutek, ani gniew, ani żal.

To do Jamesa biło teraz moje serce. On mógł dać mi ciało śmiertelnika! Nie kłamał. Mogę normalnie żyć i oddychać w tym ciele! I kiedy tego ranka wszędzie słońce, zobaczę je tamtymi oczami.

W godzinę po północy dotarłem do Georgetown. Przez cały wieczór padał ciężki śnieg i ulice fragmentarycznie były wypełnione jego gęstą, białą, czystą i piękną powłoką. Śniegowa kołderka układała się pod drzwiami domów, przykrywała żelazne balustrady, a także tu i ówdzie parapety okien.

Urzekł mnie niczym nie skalany urok miasta wypełnionego wdzięcznymi budynkami w stylu federalnym, zbudowanymi głównie z drewna, co datowało je na okres osiemnastego stulecia. Niektóre z nich były wzniesione nieco później, na początku dziewiętnastego wieku. Przez długi czas błąkałem się po opustoszałej M Street, mijając pomieszczenia handlowe, potem spacerowałem po terenie pobliskiego uniwersytetu, aż wreszcie wkroczyłem do cudownie oświetlonych alei usytuowanych przy zboczach wzgórz.

Dom Raglana Jamesa miał szczególnie ciekawą konstrukcję. Zbudowano go z czerwonej cegły na samym środku ulicy. Miał ładne, centralnie wstawione drzwi. Oświetlały go dwie urocze lampki gazowe. Staromodne okiennice zdobiły szyby, a nad drzwiami widniało półkoliste okienko.

Szyby były czyste mimo śniegu pokrywającego parapety, tak że mogłem zajrzeć do jasnych i uporządkowanych pokoi. Wnętrze zostało elegancko wyposażone. Zauważyłem białe skórzane meblowanie, bez dwóch zdań niezmiernie nowoczesne i oczywiście kosztowne. Liczne malowidła na ścianach — Picasso, de Kooning, Jasper Johns, Andy Warhol. Pośród tych wartych miliony dolarów dzieł wisiały fotografie statków najnowszej generacji, oprawione w duże, drogie ramki. W holu w szklanych kasetach stały kopie kilku ogromnych statków pasażerskich. Podłogi lśniły od plastikowej emalii. Niewielkie, ciemne, szmaciane orientalne dywaniki znajdowały się wszędzie, a duże ilości chińskiego szkła i porcelany zdobiły stoły i kredensy.

Modnie, kosztownie i oryginalnie — oto jak było urządzone to miejsce. Wydawało mi się, że jak wszystkie mieszkania śmiertelników przypomina serię klitek filmowych. Nie chciało się wierzyć, iż mógłbym jako człowiek dopasować się do takiego domu choćby na godzinę.

Rzeczywiście, w małych pokojach porządek aż błyszczał, tak że wydawało się niemożliwe, iż ktoś naprawdę je zamieszkuje. Kuchnię wypełniały lśniące miedziane wazony, przyrządy z ciemnego szkła, kredensy bez widocznych rączek do ich otwierania i jasne

ceramiczne talerze.

Mimo późnej godziny nie było widać Jamesa.

Wszedłem do domu.

Na drugim piętrze znajdowała się sypialnia z niskim nowoczesnym łóżkiem, będącym drewnianą ramą z materacami wewnątrz, pokrytymi szeregiem jaskrawych geometrycznych wzorów i licznymi białymi poduszkami, równie eleganckimi jak cała reszta. Kosztowne ubiory rozpychały szafę, jak również szuflady chińskiego biurka i jeszcze jedną małą szafkę przy łóżku.

Pozostałe pomieszczenia były puste. Nigdzie nie występowały jakiegokolwiek ślady zamieszkania. Nie widziałem tu również komputerów. Bez wątpienia trzymał je gdzie indziej.

W jednym z pokoi, w okapie nie używanego kominka ukryłem wielką sumę pieniędzy przeznaczoną do późniejszego użytku.

Schowałem również trochę gotówki w nie uczęszczanej łazience, za lustrem na ścianie.

Po prostu podjąłem zwykłe środki ostrożności. Naprawdę nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak to byłoby stać się znowu człowiekiem. Może poczuję się całkowicie bezradny? Nie wiem.

Po tym krótkim przeglądzie wszedłem na dach. Zobaczyłem Jamesa u podstawy wzgórza skręcającego z M Street i taszcącego w rękach kilka pakunków. Nie ma wątpliwości, że właśnie dokonał kradzieży. O tak późnej porze nie było tu nigdzie miejsca na robienie zakupów. Zniknął mi z oczu, gdy zaczął wspinać się na wzniesienie.

Tymczasem pojawił się kolejny gość. Poruszał się bez najmniejszego odgłosu, jaki mógłby usłyszeć śmiertelnik. Był to wielki pies, który pojawił się jakby znikąd i podążał drogą wzdłuż alei w kierunku tylnego podwórza.

Czułem jego zapach, gdy się zbliża, ale nie widziałem zwierzęcia, dopóki nie przeszedłem po dachu na jego tylną część. Spodziewałem się, że teraz już go usłyszę, gdyż z pewnością podchwycił moją woń, instynkt powiedział mu, że nie jestem człowiekiem i zaraz narobi alarmu, szczekając oraz ujadając.

Psy robiły mi to wystarczająco dużo razy poprzez minione stulecia, aczkolwiek nie zawsze. Czasami potrafię je podejść i wydać komendę. Jednak obawiam się instynktownej odmowy i to zawsze przeszywa mi serce bólem.

Ten pies nie czekał ani nie okazywał żadnych objawów, że zdaje sobie sprawę z mojej obecności. Intensywnie gapił się na tylne drzwi domu i maślanożółte światło padające z okna na biały śnieg.

Miałem dobrą okazję do obserwowania go w niczym nie zmaconej ciszy i stwierdzam, że był po prostu jednym z najpiękniejszych psów, jakie kiedykolwiek widziałem.

Ciało zwierzęcia pokrywała gęsta, pluszowa sierść ozdobiona cudownymi złocistoszarymi punkcikami. Miał kształty zbliżone do wilka, ale był o wiele większy. Nie zauważyłem w nim nic ukradkowego i przebiegłego. Przeciwnie, wyglądał w pełni majestatycznie, gdy tak siedział, wbijając ślepia w drzewa.

Zbliżywszy się, uznałem, że musi to być gigantyczny owczarek niemiecki z charakterystyczną czarną mordą.

Kiedy podszedłem do krawędzi dachu, a on w końcu na mnie spojrzął, przebiegł mnie dreszcz na widok ognistego, inteligentnego błysku w szarych oczach.

Nadal ani nie zaszczekał, ani nie zawył. Wydawało się, że jest w nim coś ludzkiego. Jednak jak to mogło wyjaśnić jego spokój? Nie, nic nie zrobiłem, by ujarzmić lub zamroczyć psi umysł, ponieważ nie wyczuwałem instynktownej awersji.

Opuściłem się na śnieg, lądując tuż przed nim, a on po prostu na mnie spoglądał tymi pełnymi wyrazu oczami.

W istocie, był tak ogromny, spokojny i pewny siebie, że zaśmiałem się z zadowoleniem, kiedy na niego patrzyłem. Nie mogłem oprzeć się chęci wyciągnięcia dłoni i dotknięcia miękkiego futra między uszami zwierzęcia.

Przekrzywił łeb na bok, a ja uznałem to za bardzo pieszczotliwy gest. Potem ku mojemu zdumieniu uniósł gigantyczną łapę i pacnął nią o brzeg płaszcza. Kości owczarka były tak masywne i ciężkie, że od razu nasunęła mi się myśl o moich dogach sprzed wielu lat. Poruszał się w identyczny, poważny, pełen wdzięku sposób. Wyciągnąłem rękę, by go uściskać, uwielbiając jego siłę i ciężkość. Wtedy pies cofnął się, oparł na tylnych łapach, przednie kończyny położył na moich ramionach i różowym jęzorem polizał mnie po twarzy.

Poczułem się cudownie szczęśliwy. Ze wzruszenia byłem bliski łez. Potem nastąpił atak krótkiego chichotu. Trzymałem psisko ściskając mocno. Upajałem się czystym, futrzanym zapachem. Całowałem bestię po całej mordzie i patrzyłem prosto w oczy.

Ach, to właśnie zobaczył Czerwony Kapturek, pomyślałem, kiedy spotkał wilka w chacie swojej babci. Doprawdy zabawne było to niezwykle i rozpalone uczucie wymalowane na jego pysku.

— Dlaczego nie znasz mnie takim, jaki jestem? — zapytałem. Gdy ponownie przyjął majestatyczną, siedzącą pozycję, uderzyło mnie, że ten pies to omen.

Nie! „Omen” nie jest właściwym słowem. Stworzenie bowiem nie było darem od kogokolwiek. Przypomniało mi, co zamierzam zrobić i dlaczego. Dzięki niemu po raz kolejny

uświadomiłem sobie, jak mało przejmuję się podejmowanym ryzykiem.

Stałem obok psa i głąskałem go, a czas mijał. Ogród był mały. Śnieg ponownie padał, tworząc coraz głębszą warstwę na gruncie wokół nas. Zimny ból pulsujący w mojej skórze narastał. Drzewa świeciły nagością i czernią. Oczywiście nie mogłem zobaczyć ani trawy, ani kwiatów, jeśli nawet jakieś tam rosły. Jednak kilka ogrodowych statui z szarego betonu i ostre, rozłożyste krzewy z grubymi gałęziami pokrytymi śniegiem wyznaczały jasny, prostokątny wzór całości.

Musiałem spędzić z psem jakieś trzy minuty, zanim zauważyłem srebrny krążek zwisający z obroży zwierzęcia. Uniosłem błyszczący przedmiot do światła.

Mojo. Ach, znałem to słowo. Mojo. To miało coś wspólnego z voodoo i rzucaniem uroków. Mojo to dobre, ochraniające zaklęcie. Zaakceptowałem imię psa. Było wspaniałe. Kiedy zawołałem na niego „Mojo”, stał się podniecony i znowu lekko uderzył mnie swą potężną łapą.

— Mojo, tak? — powiedziałem ponownie. — Bardzo piękne imię. — Pocałowałem go i poczułem wilgotny czubek czarnego nosa. Na krążku zostało napisane coś jeszcze. Adres tego domu.

Nagle pies zeszywniał i zwiększył czujność. Wolno i z wdziękiem zmienił siad na pozycję alarmową. Nadchodził James. Słyszałem odgłos klucza przekręcanego w zamku frontowych drzwi. Poczułem, że nagle uświadomił sobie moją obecność w pobliżu.

Pies wydał głęboki, ognisty skowyt i wolno zbliżył się do tylnych drzwi budynku. Mych uszu dobiegł dźwięk skrzypiących desek uginających się pod stopami Raglana.

Mojo tym razem zaszczekał gniewnie. James otworzył drzwi i wbił we mnie rozpalone, szaleńcze oczy, uśmiechnął się, a następnie rzucił w owczarka czymś ciężkim. Zwierzę jednak uchyliło się sprawnie i bez trudu, unikając ciosu.

— Cieszę się, że cię widzę, chociaż przyjechałeś za wcześnie — stwierdził.

Nie odpowiedziałem. Pies znów zaczął warczeć złowieszczo. James z wielkim zdenerwowaniem przeniósł uwagę na zwierze.

— Pozbądź się go! — krzyknął, pałając furją. — Zabij!

— Mówisz do mnie? — zapytałem chłodno.

Położyłem rękę na łbie owczarka i szeptem wydałem polecenie, żeby siedział spokojnie. Zrobił parę kroków do tyłu, ocierając ciężkie ciało o mój płaszcz i usiadł obok z pełną gracją.

James był spięty i trząśł się, gdy to wszystko obserwował. Nagle postawił kołnierz osłaniając się przed wiatrem i założył ramię na ramię. Śnieg padał na całą jego sylwetkę jak

biały proszek przylepiający się do brwi i włosów.

— On należy do tego miejsca, prawda? — zapytałem oziębłe. — Do domu, który ukradłeś?

Zmierzył mnie wzrokiem pełnym jawnej nienawiści, a potem na twarzy mężczyzny pojawił się jeden z tych paskudnych, diabelskich uśmiezków. Naprawdę wolałbym, żeby wrócił do zachowania angielskiego dżentelmena. Było mi dużo łatwiej, kiedy przybierał eleganckie maniery. Przyszło mi na myśl, że jest to absolutną podstawą do robienia z nim interesów. Zastanawiałem się, czy Saul uznał Wiedźmę Endoru za równie beznadziejną. Ale to ciało! Ach, ciało, jakież cudowne.

Nawet w swoim oburzeniu nie mógł całkowicie zeszpecić piękna zewnętrznej powłoki.

— Cóż, wychodzi na to, że psa też ukradłeś — skonstatowałem.

— Pozbędę się go — szepnął, zerknąwszy na zwierza z pełną wściekłości pogardą. — A ty, czy podjąłeś już ostateczną decyzję? Nie dam ci wieczności na zastanowienie się. Nie udzieliłeś konkretnej odpowiedzi. Chcę ją usłyszeć teraz.

— Idź do swojego banku jutro rano — rzekłem. — Zobaczymy się po zmroku. Ach, i jeszcze jeden warunek.

— O co chodzi? — zapytał przez zaciśnięte zęby.

— Nakarm Mojo. Daj mu trochę mięsa.

Powiedziawszy to, oddaliłem się tak zwiewnie, że nawet tego nie widział. Kiedy zerknąłem za siebie, widziałem pięknego owczarka spoglądającego na mnie przez śnieżną ciemność. Uśmiechnąłem się na myśl, że pies wychwycił mój szybki ruch. Ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszałem, były słowa przeklinającego Jamesa, gdy zatrząskiwiał za sobą drzwi.

Godzinę później leżałem w ciemności i czekałem, aż wszędzie słońce. Znów rozmyślałem o młodości we Francji, o psach czuwających obok mnie, o wyjeździe na to ostatnie polowanie z dwoma dogami u boku, brnącymi wolno przez głębokie śniegi.

I ten wampir zerkający na mnie z paryskiego mroku, nawołujący „Zabójca wilków” z taką czcią, z takim szalonym namaszczeniem! Po chwili już zatopił kły w moim karku. Mojo — omen.

Tak, dosięgamy szalejącego chaosu, wyszarpujemy jakąś błyszczącą rzecz, przywiązujemy się do niej i mówimy sobie, że ma znaczenie, a świat jest dobry, my nie jesteśmy źli i wszyscy w końcu wrócimy do domu.

Jutro w nocy, pomyślałem. Jeśli ten drań kłamie, to otworzę jego pierś i wyrwę bijące

serce, a potem nakarmię nim tę wielką, piękną bestię.

Cokolwiek się stanie, zatrzymam psa. I tak zrobiłem.

Jednak zanim ta historia posunie się dalej, pozwólcie powiedzieć mi coś jeszcze o tym owczarku, chociaż nie dokona on w mojej książce żadnego heroicznego czynu.

Nie uratuje tonącego dziecka ani nie wbiegnie do płonącego budynku, by zerwać na nogi mieszkańców z głębokiego snu. Nie został opętany przez żadnego złego ducha, nie jest psem-wampirem. Występuje w narracji po prostu dlatego, że znalazłem go w śniegu za domem w Georgetown i natychmiast pokochałem. On zaś od pierwszego momentu polubił mnie. To wszystko było zbyt piękne dla ślepych i bezlitosnych praw, w jakie wierzę — praw natury, jak mawiają ludzie; reguł panujących w Dzikim Ogrodzie, jak to sam ochrzciłem. Mojo kochał moją siłę, a ja jego piękno. I nic innego nie miało znaczenia.

ROZDZIAŁ 10

Chcę szczegółów — odnośnie do tego, jak wypchnąłeś go z ciała i zdołałeś wprowadzić w swoje — oznajmiłem. W końcu nadeszła środa. Nie minęło jeszcze pół godziny od zachodu słońca. Przestraszyłem Jamesa nagłym pojawieniem się na stopniach tylnego wejścia.

Ulokowaliśmy się w nieskalanej, białej kuchni, pomieszczeniu dziwnie pozbawionym tajemniczości jak na takie egzotyczne spotkanie. Pojedyncza żarówka w eleganckiej miedzianej oprawie zalewała stół między nami różową iluminacją światła, które przydawało scenerii wrażenie kłamliwej przytulności.

Śnieg nadal padał, a ogrzewający dom piec mruczał przez cały czas. Zawolałem do siebie psa, głównie po to, by zirytować Raglana. Bestia leżała cicho niczym egipski sfinks, z przednimi łapami rozciągniętymi na wywoskowanej podłodze i obserwowała nas czujnie. Od czasu do czasu James zerkał na Mojo niespokojnie i z obawą. Zwierzę wyglądało tak, jakby miało w sobie duszę diabła, który znał całą historię.

James był bardziej odprężony niż w Nowym Orleanie. Stał się prawdziwie angielskim dżentelmenem. Miał na sobie czarne spodnie oraz szary sweter napięty mocno na wielkiej klatce piersiowej.

Na palcach lśniły srebrne pierścienie. Nadgarstek oplatał tani zegarek. Nie pamiętałem tych elementów z wcześniejszego spotkania. Raglan obserwował mnie z błyskiem w oku, łatwiejszym do zniesienia niż te okropne uśmiechy. Nie byłem w stanie oderwać wzroku od ciała, które wkrótce mogło stać się moje.

Czułem węchem krew i to rozpalało we mnie pasję. Im dłużej na niego patrzyłem, tym bardziej zastanawiałem się, jak byłoby pić jego krew. Czy próbowałby uciec z ciała i zostawić w moich rękach zaledwie oddychającą skorupę?

Zajrzałem mu w oczy i nie znany dotąd rodzaj podniecenia całkowicie pokonał zwykły głód. Mimo wszystko do końca nie wierzyłem, że dokonamy zamiany. Sądziłem, iż wieczór może skończyć się smaczną ucztą, niczym więcej.

Sprecyzowałem pytanie zadane przy wejściu.

— Jak znalazłeś to ciało? Jak wtłoczyłeś duszę w swoje?

— Szukałem specjalnego okazu, człowieka po psychicznym szoku, pozbawionego woli oraz zdolności rozumowania, jednak z biologicznego punktu widzenia w pełni władz fizycznych i umysłowych. W takich sprawach bardzo pomaga telepatia, gdyż tylko ona może dotrzeć do pozostałości inteligencji. Musiałem go przekonać na najniższym poziomie

podświadomości, że przybywam z pomocą, jestem dobrym człowiekiem i gram po jego stronie. Gdy raz dotarłem do szcztąkowego rdzenia, bez trudu mogłem plądrować pamięć i manipulować nią w celu wymuszenia posłuszeństwa. — Wzruszył lekko ramionami. — Biedak. Jego odpowiedzi były całkowicie przesądne. Uznał mnie chyba w końcu za swego anioła stróża.

— A ty wywabiłeś go z ciała?

— Tak. Po serii dziwacznych i kwiecistych sugestii dokładnie to uczyniłem. Znowu telepatia stała się potężnym sprzymierzeńcem. Trzeba być medium, żeby manipulować innymi w taki sposób. Początkowo wznosił się na jakieś pół metra, lecz natychmiast z powrotem runął w opuszczone ciało. Bardziej odruch niż decyzja. Byłem jednak cierpliwy, wyjątkowo cierpliwy. A kiedy w końcu skutecznie uniosłem go w przestrzeń, kilkanaście sekund wystarczyło, by wskoczyć na jego miejsce i zintensyfikować energię na wskazanie mu mojej starej powłoki.

— Ładnie to ująłeś.

— Cóż, jesteśmy ciałem i duszą, jak wiesz — rzekł z łagodnym uśmiechem. — Po co teraz przez to przechodzić? Potrafisz unosić się z ciała. Dla ciebie nie będzie to trudne.

— Uważaj, mogę cię rozczarować. Co się z nim stało, gdy znalazł się w twoim ciele? Uświadomił sobie fakt zamiany?

— Wcale nie. Musisz zrozumieć, że był głęboko okaleczony psychicznie. Poza tym nie grzeszył inteligencją.

— A ty nie dałeś mu szansy, czyż nie? Zabiłeś go.

— Monsieur de Lioncourt, ja mu ofiarowałem wybawienie! Okrutne byłoby pozostawić go w stanie zawieszenia. Nie miał szans na wyzdrowienie, niezależnie od ciała, jakie zamieszkiwał. Zamordował całą swoją rodzinę. Nawet dziecko w kołysce.

— Pomagałeś mu w tym?

— Ależ masz o mnie opinie! Absolutnie nie. Szukałem takiego okazji w różnych szpitalach. Wiedziałem, że w końcu trafię na właściwą ofiarę. Skąd te pytania? Czy David Talbot nie poinformował cię, że w archiwach Talamaski są liczne udokumentowane przypadki zamiany?

Przyjaciel nie powiedział mi o tym. Jednak nie mogłem go obwiniać.

— Czy wszystkie wiązały się z morderstwem? — zapytałem.

— Nie. Czasami w grę wchodził układ podobny do naszego.

— Ciekawe. Jesteśmy dziwną parą, ty i ja.

— Owszem, ale musisz przyznać, że pasujemy do siebie. Mam tu dla ciebie piękne

ciało — dodał, kładąc otwartą dłoń na klatce piersiowej. — Oczywiście nie tak wspaniałe jak twoje. Jednak przynasz, że całkiem niezłe! Dokładnie takie, jakiego potrzebujesz. A co do twojego ciała, cóż mógłbym powiedzieć. Mam nadzieję, że nie słuchałeś opinii Talbota o mnie. Popęłnił tak wiele tragicznych omyłek.

— Co masz na myśli?

— Jest niewolnikiem parszywej organizacji — odpowiedział szczerze. — Członkowie Talamaski całkowicie go kontrolują. Gdybym tylko mógł z nim porozmawiać, ujrzałby znaczenie tego, co mogę zaoferować, czego mogę nauczyć. Opowiedział ci o eskapadach do starego Rio? Tak, wyjątkowy człowiek. Chciałbym go poznać. Ale powiem ci jedno, nie da się z nim polemizować.

— Co powstrzyma cię od zabicia mnie, gdy tylko dokonamy zamiany? To przecież uczyniłeś z mężczyzną, którego zwabiłeś do własnego ciała. Uśmierciłeś go jednym szybkim ciosem w głowę.

— Ach, więc rozmawiałeś z Talbotem — rzekł niewzruszony. — Albo po prostu dokonałeś własnych odkryć. Powstrzyma mnie dwadzieścia milionów dolarów. Potrzebuję tego ciała, by podjąć pieniądze z banku, zapomniałeś? Cudownie, że podwoiłeś sumę.

Chociaż i bez tego spełniłbym warunki porozumienia. Ach, wyzwoliłeś mnie, monsieur de Lioncourt. Od tego piątku, od godziny, o której Chrystus został przybity do krzyża, nigdy już nie będę musiał kraść.

Pociągnął łyk herbaty. Niezależnie od zachowywanych pozorów opanowania stawał się coraz bardziej niespokojny. We mnie narastało podobne uczucie. A jeśli eksperyment zadziała?

— Och, zadziała — zapewnił James poważnie i z głębi serca. — Są jeszcze inne ważne powody, ze względu na które nie wolno mi cię skrzywdzić. Omówmy je.

— Chętnie.

— Cóż, mógłbyś uciec ze śmiertelnego ciała, gdybym je zaatakował. Już wyjaśniłem, że musisz współpracować.

— A gdybyś okazał się szybszy?

— Akademickie rozważania. I tak nie próbowałbym wyrządzić ci krzywdy. Twoi przyjaciele dowiedzieliby się o tym. Jak długo żyjesz w zdrowym, ludzkim ciele, nie zechcą zniszczyć ponad-naturalnej powłoki, nawet jeżeli ktoś inny ją kontroluje. Nie zrobiliby ci tego, prawda? Lecz jeśli bym cię zabił? No wiesz... zmiażdżył twarz lub cokolwiek, zanim się wypłaczesz — a to możliwe, jestem tego świadom, zapewniani cię — twoi pobratymcy znaleźliby mnie wcześniej czy później i szybko usunęli z tego świata. Prawdopodobnie

odczuliby moment twojej śmierci. Nie sądzisz?

— Podejrzewam, że w końcu by się na pewno dowiedzieli.

— Oczywiście!

— Jest konieczne, byś przebywając w moim ciele, trzymał się od nich z daleka, nie zbliżał do Nowego Orleanu ani do nawet najsłabszych krwiopijców. Potrafisz się ukrywać, teraz to wykorzystaj. Zdajesz sobie sprawę, że...

— Tak, oczywiście. Rozważyłem całe przedsięwzięcie, bądź spokojny. Gdybym zamierzał spalić doszczętnie twojego pięknego Louisa de Pointę du Lać, pozostali wiedzieliby natychmiast, czyż nie? A ja stałbym się następnym kagankiem płonącym ogniem śmierci.

Nie odpowiedziałem. Czułem gniew pulsujący we mnie niczym lodowata ciecz, wypierający ekscytację oczekiwaniem i odwagę. A jednak pragnąłem zamiany! Pożądałem jej, a znajdowała się na wyciągnięcie dłoni!

— Nie zamartwiał się takimi nonsensami — błagał. Miał sposób bycia podobny tego, który cechował Talbota. Może celowo. Może wzorował się na moim przyjacielu. Pewnie chodziło jednak o ten sam rodzaj wychowania. Jednak w przeciwieństwie do Davida James posiadał dar instynktownej perswazji. — Nie jestem mordercą — powtarzał. — Pragnę wokół siebie piękna, komfortu, luksusu. Chcę mieć możliwość życia w dowolnie wybranym przez siebie miejscu.

— Potrzebne ci są instrukcje?

— Odnośnie do czego?

— Przebywania w moim ciele.

— Już mi ich udzieliłeś, kolego. Czytałem twoje książki. — Posłał mi szeroki uśmiech, lekko kiwając głową i patrząc na mnie tak, jakby chciał zwabić do łóżka. — Znam też wszystkie dokumenty z archiwów Talamaski.

— Jakie dokumenty?

— Och, szczegółowe opisy anatomii wampirów, wasze ograniczenia i tego typu rzeczy. Sam powinieneś przeczytać te zapiski. Uśmiełbyś się jak rzadko. Najwcześniejsze rozdziały powstały w Ciemnych Wiekach. Pełno w nich wyszukanych nonsensów, z których nawet Arystoteles uśmiełby się do łez. Jednakże późniejsze fragmenty prezentują dość naukowe i precyzyjne wywody.

Nie podobał mi się kierunek, w jakim zmierzała dyskusja. Ani to, co się działo. Kusilo mnie, by skończyć. A potem nagle wiedziałem już z całą pewnością, że dokonam tej zamiany. Po prostu wiedziałem.

Spłynął na mnie dziwny spokój. Tak, zrobimy to za parę minut. I zadziała. Czułem, że

krwem odpływa z mojej twarzy, zimno pełza po skórze, która nadal bolała po straszliwym doświadczeniu w pustynnym słońcu.

Wątpiłem, czy zauważył jakąkolwiek zachodzącą we mnie zmianę, bo kontynuował paplaninę.

— Najciekawsze są obserwacje spisane w latach siedemdziesiątych naszego wieku po publikacji *Wywiadu z wampirem*. A potem ostatnie rozdziały zainspirowane twoją przeładowaną fantazją, wyszukaną historią! Nie, wiem wszystko o życiu Lestata. Może nawet więcej niż ty sam. Masz pojęcie, czego Talamasca naprawdę pożąda? Próbki twojej tkanki, okazu wampirzych komórek! Dopil-

nij, żeby nigdy nie zawładnęli tak cenną zdobyczą. Za bardzo się odsłoniłeś przed Talbotem. Może zdjął twoje odciski palców albo odciął pukiel włosów, kiedy spałeś pod jego dachem.

Ach, czy nie ukryłem jasnego loku w medalionie? To były wampirze włosy! Należały do Claudii. Wzdrygnąłem się, zapadając głębiej w siebie i na wszelki wypadek uniemożliwiając Raglanowi czytanie moich myśli. Wieki temu nadeszła ta okropna noc, gdy Gabrielle, moja naturalna matka i nowo narodzona wampirzyca, obcięła Claudii włosy. Do świtu wszystkie odrosły. Nie chciałem pamiętać jej krzyków, gdy to odkryła — te wspaniałe warkocze raz jeszcze bujne i sięgające ramion. Nie miałem ochoty o niej myśleć, o tym co powiedziałyby odnośnie do planowanej przeze mnie zamiany. Minęły lata, odkąd ją po raz ostatni widziałem i prawdopodobnie upłyną całe stulecia, nim ujrzę ją ponownie. Znow zerknąłem na Jamesa, który promieniował oczekiwaniem, z całych sił próbując zachować spokój.

— Zapomnij o Talamasce — mruknąłem pod nosem. — Czemu masz trudności z panowaniem nad obecnym ciałem? Poruszasz się niezdarnie. Wygodnie ci tylko, gdy siedzisz na krześle, używając jedynie głosu i mimiki twarzy.

— Bardzo spostrzegawcze odkrycie — przyznał z niewzruszonym spokojem.

— Chyba dość oczywiste.

— Ciało jest po prostu za duże — wyjaśnił łagodnie. — Zbyt muskularne... powiedzmy, atletyczne. Dla ciebie idealne.

Zawiesił głos, w zadumie wlepił wzrok w filiżankę po herbacie, a potem przeniósł oczy na mnie. Wydawały się olbrzymie i nieskończenie niewinne.

— Lestacie, daj spokój — poprosił. — Po co tracimy czas na konwersację? Nie zamierzam tańczyć w balecie. Gdy już znajdę się w twojej powłóce, mam zamiar po prostu rozkoszować się doświadczeniem, eksperymentem, zobaczyć świat wampirzymi oczami. —

Zerknął na zegarek. — Zaoferowałbym ci drinka dla kurażu, ale mogłoby to wywołać niepożądane skutki. Och, przy okazji, załatwiłeś paszport? Pamiętasz, że o niego prosiłem. Chyba nie zapomniałeś? Ja też przygotowałem dokumenty dla ciebie, ale obawiam się, że nigdzie nie pojedziesz z powodu zamieci...

Położyłem paszport na stole przed nim. Sięgnął pod sweter, wyjął swój i włożył w moją dłoń.

Obejrzałem go. Był amerykański i oczywiście fałszywy, łącznie z datą wydania. Raglan James. Lat dwadzieścia sześć. Właściwe zdjęcie. Całkiem niezłe. Adres w Georgetown.

Raglan oglądał mój paszport; również fałszywy.

— Ach, opalona skóra! Przygotowałeś go spegalnie... Musiałeś to zrobić ubiegłej nocy.

Nie zwracałem sobie głowy odpowiadaniem.

— Sprytnie — przyznał. — I bardzo dobre zdjęcie. — Przyjrzał mu się uważnie. — Clarence Oddbody*. Skąd wytrzasnąłeś takie nazwisko?

— Prywatny żarcik. Co to ma za znaczenie? Dostałeś go tylko na dzisiejszą i jutrzejszą noc. — Wzruszyłem ramionami.

— Racja.

— Oczekuję, że wrócisz wcześniej w piątek rano, między godziną trzecią a czwartą.

— Doskonale. — Zaczął wkładać paszport do kieszeni, ale nagle dostał napadu śmiechu. Potem utkwiał wzrok we mnie i rozbawienie zniknęło. — Jesteś gotów?

— Niezupełnie. — Wyjąłem portfel, otworzyłem go, rozdzieliłem pieniądze na połowę i podałem mu jedną część.

— A tak, odrobina gotówki, jak miło, że pamiętałeś — zauważył. — Z podniecenia zapominam o ważnych szczegółach. Niewybaczalne u dżentelmena.

Wziął banknoty i zamierzał ukryć je w kieszeni, ale zaraz odłożył na stół i posłał mi uśmiech. Przykryłem portfel dłonią.

— Reszta jest dla mnie, kiedy się zamienimy. Wierzę, że wystarczy ci otrzymana suma? Mieszkający w tobie złodziejasek nie ulegnie pokusie zagarnięcia mojej części?

— Postaram się zachowywać jak najlepiej — zapewnił dobrodusznie. — Czy chcesz, bym zmienił ubranie? Ukradłem ten strój specjalnie dla ciebie.

— Odpowiada mi.

— Opróżnić pęcherz? A może sam masz ochotę dostąpić tego przywileju?

— Owszem.

* Oddbody (ang.) — dziwak.

Kiwnął głową.

— Jestem głodny. Pomyślałem, że ci się to spodoba. Tuż za rogiem mieści się świetna restauracja zwana „Paolo”. Serwują wyśmienite spaghetti. Dotrzesz tam pomimo śniegu.

— Doskonale. Ja jestem syty. Uznałem, że tak będzie ci łatwiej. Wspominałeś o samochodzie. Gdzie go trzymasz?

— A tak, auto. Na zewnątrz, po lewej stronie schodów. Czerwone sportowe porsche. Spodoba ci się. Tu są kluczyki. Tylko bądź ostrożny...

— Co masz na myśli?

— Cóż, przede wszystkim złe warunki jazdy. Może w ogóle nie będziesz w stanie ruszyć.

— Dzięki za troskę.

— Nie chcę, by coś złego ci się przytrafiło. Kosztowałoby mnie to dwadzieścia milionów. W każdym razie potrzebne dokumenty znajdziesz na biurku w salonie. Co się stało?

— Ubrania dla ciebie — mruknąłem. — Zapomniałem o nich. Mam tylko to co na sobie.

— Och, zatroszczyłem się o ciuchy już dawno, kiedy przeszukiwałem twój hotelowy pokój w Nowym Jorku. Mam swoją garderobę, nie potrzebujesz się martwić, a poza tym podoba mi się ten czarny aksamitny garnitur. Ubierasz się pięknie jak zawsze. Pochodzisz po prostu z czasów, gdy noszono eleganckie stroje. Wiek dwudziesty musi wydawać ci się strasznie ponury. A te antyczne guziki? Ach, będę miał czas, by je dokładnie obejrzeć.

— Dokąd się wybierzesz?

— Dokąd zechcę, oczywiście. Zaczynasz się denerwować?

— Nie.

— Umiesz prowadzić samochód?

— Mhmm. Jeśli nie, nauczę się tego.

— Tak myślisz? Wydaje ci się, że w tym ciele zachowasz ponadnaturalną inteligencję? Ciekawe. Nie jestem pewien. Może małe synapsy umysłu śmiertelnika nie potrafią tak szybko przewodzić bodźców.

— Nie znam się na synapsach — poinformowałem oziębło.

— Dobra. Zaczynajmy — oświadczył.

— Zgoda. — Moje serce stało się małym, ściśniętym węzełkiem,

ale sposób bycia Jamesa przybrał nagle tony autorytatywne i rozkazujące, co dodało mi pewności.

— Słuchaj uważnie — oznajmił. — Kiedy skończę mówić, chcę, byś podryfował w górę. Robiłeś to wcześniej. Gdy znajdziesz się pod sufitem, spojrzysz prosto w dół na nasze ciała leżące na stole i całą wolą uczynisz wysiłek znalezienia się w moim. Nie wolno ci myśleć o niczym innym. Strach nie ma prawa zakłócić koncentracji. Ani przez chwilę nie zastanawiaj się nad mechanizmem procesu. Pragniesz wejść w ciało Raglana Jamesa, pragniesz zespolić się całkowicie i natychmiastowo z każdym włóknem i komórką. Wyobrażaj to sobie! Myśl, że już jesteś w środku.

— Tak, rozumiem.

— Jak ci już mówiłem, zastaniesz tam coś niewidzialnego, co pozostało po pierwotnym właścicielu. Będzie żadne ponownego dopełnienia... z twoją duszą.

Kiwnąłem głową. James kontynuował:

— Możesz stać się ofiarą różnorodnych i nieprzyjemnych odczuć. Ciało wyda ci się bardzo gęste, wręcz duszące. Nie zawahaj się. Wyobraź sobie, że twoja dusza obejmuje w posiadanie każdy palec u rąk i nóg. Patrz oczami. To najważniejsze. Oczy są częścią umysłu. Kiedy przez nie spoglądasz, zakotwiczasz się w mózgu. Wtedy nic tobą nie zachwieje, możesz być tego pewien. Gdy już raz znajdziesz się w środku, opuszczenie powłoki będzie wymagać nieco wysiłku.

— Czy podczas zamiany zobaczę cię w postaci ducha?

— Nie. Mógłbyś, ale wymagałoby to olbrzymiej koncentracji. A ty masz widzieć jedynie to ciało, wślizgnąć się w nie, zacząć poruszać, oddychać, widzieć.

— Tak.

— Jediną rzeczą, jaka cię przerazi, będzie widok własnego ciała pozbawionego życia albo w końcu zajętego *przez* mnie. Nie poddawaj się temu uczuciu. Częścią zamiany musi być pewne zaufanie i pokora. Wierz mi, kiedy mówię, że obejmę posiadanie bez szkody dla twojego ciała. Opuszczę dom natychmiast, by uwolnić cię od ciągłego przypominania o tym, co zrobiliśmy. Nie zobaczysz mnie do piątkowego poranka, tak jak się umówiliśmy. Nie odezwę się do ciebie, ponieważ dźwięk mojego głosu wydobywającego się z twoich ust zasmuciłby cię i dezorientował. Rozumiesz?

— Jak będzie brzmiał twój głos? A mój?

Raz jeszcze spojrzął na zegarek, a dopiero później na mnie.

— Będą różnice — wyznał. — Mamy inne rozmiary krtani. Na przykład wcielenie się w londyńskiego zabójcę dodało mojemu głosowi głębi, jakiej wcześniej nie posiadałem.

Zachowasz swój rytm wypowiedzi, akcent, sposób wymowy. Zmieni się jedynie tembr. Tak, to właściwe słowo.

Zmierzyłem go długim, uważnym spojrzeniem.

— Czy to ważne, bym wierzył w powodzenie przedsięwzięcia?

— Nie — odparł z szerokim uśmiechem. — To nie seans. Nie trzeba napełniać medium swoją wiarą. Zorientujesz się w ułamku sekundy. Co jeszcze mam ci powiedzieć? — Napiął się, pochylając w przód.

Pies wydał nagle niski ryk. Uciszyłem go wyciągniętą dłonią.

— No, dalej! — ponaglił James głosem opadającym do szeptu. — Wychodź ze swego ciała!

Wygodnie rozparłem się na krześle. Gestem nadal uspokajałem psa. Potem siłą woli zmusiłem się do wzlotu i odczułem nagłą totalną wibrację w całej postaci. Potem nadeszła wspianiała świadomość, że naprawdę się wznoszę, nieważki i wolny, w postaci ducha. Wisiałem rozciągnięty pod białym sufitem, mogłem spojrzeć w dół i ujrzeć zadziwiający spektakl przedstawiający moje ciało wciąż spoczywające na krześle. Och, cóż za oszałamiające uczucie, dające przekonanie, że potrafię znaleźć się wszędzie w ułamku sekundy! Nie nagliła mnie potrzeba posiadania ciała, a moje z nim połączenie było błędem od chwili narodzin.

Fizyczne ciało Jamesa osunęło się nieco do przodu, a palce zaczęły drgać na białym obrusie. Przypomniałem sobie, że nie wolno mi tracić koncentracji. Właśnie dokonywał się akt zamiany.

— Na dół, do tego ciała! — powiedziałem na głos, ale nie rozległ się żaden dźwięk, a potem już bez słów zmusiłem się do opadnięcia i połączenia z nową fizyczną formą.

Głośne szmery wypełniły uszy, później przyszło wrażenie duszenia się, jakbym cały został wepchnięty w wąską, śliską tubę. Rozdzierający ból! Chciałem wolności. Czulem jednak, że wypełniam sobą puste ręce i nogi, obejmowało mnie ciężkie i swędzące ciało, a lepka maska pokrywała twarz.

Walczyłem, by otworzyć oczy, zanim uświadomiłem sobie, co robię. Nagle poczułem, iż mrugam powiekami śmiertelnika, patrzę przez ludzkie źrenice na mroczny pokój, widzę naprzeciwko stare ciało, a niebieskie oczy, jeszcze przed chwilą należące do mnie, wpatrują się w moją obecną twarz przez fioletowe okulary.

Myślałem, że zaraz się uduszę; musiałem jakoś uciec; ale naraz zrozumiałem znaczenie cudu — byłem w środku! Znalazłem się w ludzkim ciele! Zamiana się dokonała. Nie mogłem się oprzeć fali szczęścia. Z ochryptym świstem wzięłem głęboki oddech i

wprawiając w ruch tę monstrualną pokrywę ciała, uderzyłem dłonią o klatkę piersiową, wstrząśnięty jej grubością. Usłyszałem ciężkie wilgotne buzowanie krwi w sercu.

— Wielki Boże, jestem w środku! — zawołałem, z całych sił próbując rozjaśnić otaczający mnie welon ciemności, który uniemożliwiał wyraźne widzenie siedzącej nieopodal postaci, która teraz żywołowo budziła się do życia.

Moje stare ciało poderwało się w górę, ramiona poleciały na boki w geście przerażenia, jedna dłoń stłukła wiszącą lampę, żarówka eksplodowała, a krzesło przewróciło się na podłogę. Pies skoczył na równe nogi i wydał głośną, złowieszczą serię zdławionych szczęknięć.

— Nie, Mojo, leżeć! — Usłyszałem, że krzyczę z grubego i ściśniętego gardła śmiertelnika. Nadal wyteżałem się, by widzieć w ciemności. Nagle uświadomiłem sobie, że to moja ręka trzyma obrozę psa i odciąga go w tył, aby nie zdołał zaatakować obecnego wampira, który patrzył na zwierzę w całkowitym zdumieniu. Niebieskie oczy błyszczały dziko, były rozszerzone i puste.

— Ach, zabij go! — dobiegł mnie głos Jamesa, narastający do przerażającego tonu dobywającego się z ponadnaturalnych ust.

Uniosłem dłonie do uszu, by chronić je przed tym dźwiękiem. Pies ponownie rzucił się do przodu i raz jeszcze złapałem go za obrozę, boleśnie wbijając palce w ogniwa łańcucha, zaskoczony siłą bestii i tym, jak słabe są ramiona śmiertelnika!

— Mojo, stać! — błagałem, gdy ściągnął mnie z krzesła i powalił na kolana. — A ty wynoś się stąd! — wyłem. Ból w kolanach przechodził wszelkie pojęcie. Głos miałem cichy i niewyraźny. — Zwiewaj! — wrzasnąłem ponownie.

Istota, która była mną, ominęła nas, młócąc ramionami. Zderzyła się z frontowymi drzwiami, tłukąc szyby i wpuszczając do środka powiew zimnego wiatru. Pies szalał, a ja już niemal nie byłem w stanie panować nad nim.

— Wynoś się! — ryknąłem jeszcze raz i w konsternacji obserwowałem, jak istota wyleciała na zewnątrz, rozwalając drewno i pozostałe szyby, wydostała się na werandę, a potem zaczęła się oddalać w wypełnioną śniegiem noc.

Widziałem go przez ostatni ułamek sekundy, zawieszony w powietrzu nad stopniami, obrzydliwą postać otoczoną wirującym śniegiem, kończyny poruszające się, jakby rozpaczliwie starał się utrzymać na powierzchni niewidzialnego morza. Niebieskie oczy, nadal rozszerzone i pozbawione wyrazu, lśniły niczym dwie żarzące się gemmy. Jego usta — moje stare usta — były rozciągnięte w nic nie znaczącym grymasie.

Potem zniknął.

Wypuściłem powietrze. Pokój wypełniał lodowaty wiatr, który szalał po kątach, uderzając o miedziane garnki na zabawnej półeczce i trzaskając drzwiami jadalni. Nagle pies uspokoił się zupełnie.

Uświadomiłem sobie, że siedzę na podłodze obok niego, moje prawe ramię obejmuje kark, a lewe — owłosioną pierś. Każdy oddech wywoływał ból. Z ukosa obserwowałem śnieg, który leciał mi prosto do oczu. Byłem uwięziony w dziwnym ciele, obarczony ciężarem sztaby ołowiu, a zimne powietrze kłuło twarz i dłonie.

— Dobry Boże, Mojo — wyszeptałem w miękkie, różowe ucho. — Dobry Boże, to się stało. Zostałem śmiertelnikiem.

ROZDZIAŁ 11

W porządku — powiedziałem głupio, ponownie zdumiony słabym, zduszonym dźwiękiem, który stał się moim niskim głosem. — Zaczęło się, teraz mogę wyjść z siebie. — Ten pomysł rozbawił mnie do szaleństwa.

Najgorszy był zimny wiatr. Szczękałem zębami. Kłujący ból na skórze całkowicie różnił się od cierpień wampira. Musiałem naprawić drzwi, ale nie miałem bladego pojęcia, jak to zrobić.

Czy coś z nich w ogóle zostało? Trudno powiedzieć. Wyteżanie wzroku przypominało próbę zobaczenia czegoś przez chmurę gęstego dymu. Niespiesznie podniosłem się na nogi, od razu świadom swego wzrostu, przeciążony i niepewny.

Z pokoju uszła każda odrobina ciepła. Cały dom drżał w posadach od szalejącego po nim wiatru. Powoli i ostrożnie przeszedłem na ganek. Lód. Poślizgnąłem się i przyłgnałem plecami do framugi drzwi. Wpadłem w panikę, ale zdołałem chwycić wilgotne drewno trzęsącymi się, wielkimi palcami i zapobiec upadkowi ze schodów. Ponownie wyteżyłem wzrok, by dojrzeć cokolwiek w ciemnościach, ale nic z tego.

— Uspokój się — powiedziałem sobie, spostrzegając, że palce pocą się i drętwieją równocześnie, a stopy lodowacieją. — To po prostu naturalne światło, a ty patrzysz oczami śmiertelnika. Zrób z tym coś inteligentnego! — Bardzo uważnie stawiając kroki i nieomal znów się przewracając, wróciłem do środka.

Ujrzałem ciemny zarys sylwetki stojącego tam Mojo, który mnie obserwował, dysząc głośno. W ciemnych oczach psa błyszczały drobinki światła. Przemówiłem do niego łagodnie.

— To ja, Mojo, okay? To ja! — Pogłaskałem delikatnie miękkie włosy między jego uszami. Podeszedłem do stołu i bardzo niezgrabnie usiadłem na krześle, ponownie zdumiony gęstością nowego ciała. Zacisnąłem dłoń na ustach.

To naprawdę się wydarzyło, ty idioto, pomyślałem. Nie ma wątpliwości. Nastąpił cud. Jesteś rzeczywiście uwolniony od ponad-naturalnego ciała! Stałeś się ludzką istotą. Prawdziwym mężczyzną z krwi i kości. Teraz uporaj się z paniką. Myśl jak bohater dumny ze swego istnienia. Wokół same praktyczne sprawy. Śnieg na ciebie pada. To śmiertelne ciało marznie, na miłość boską. Zajmij się teraz tym, czym musisz!

Jednak wszystko co zrobiłem, to tylko otworzyłem szerzej oczy i gapiłem się na coś, co wydawało się stosami kryształków śniegu na białej powierzchni stołu. Oczekiwałem, że w każdej chwili ta wizja stanie się wyraźniejsza, lecz oczywiście nic podobnego nie nastąpiło.

To była rozlana herbata, nieprawdaż? I potłuczone szkło. Nie skalecz się, bo nie zatamujesz krwi! Mojo zbliżył się i spoczął przy moich trzęsących się nogach. Dlaczego ciepło futrzanego, psiego ciała było tak odległe, jakbym był zawinięty w warstwę flaneli? Dlaczego nie czułem cudownego, czystego, wełnianego zapachu? W porządku, zmysły są ograniczone. Powinieneś się tego spodziewać.

Teraz idź i popatrz w lustro, zobacz ten cud. No dalej, rusz się.

— Chodź, stary — powiedziałem do psa i przeszliśmy z kuchni do jadalni. Z każdym postawionym krokiem uświadamiałem sobie własną powolność i niezgrabność. Niezręcznymi palcami zatrzasnąłem za sobą drzwi. Wiatr o nie uderzał i omiatał krawędzie, ale pozostały zamknięte.

Odwróciłem się i na moment straciłem równowagę. Na litość boską, opanowanie umiejętności utrzymywania równowagi nie powinno być chyba wielką sztuką! Spojrzałem na swoje nogi i zaskoczył mnie fakt, że są takie masywne. Ręce również. Jednak wyglądały nieźle, nawet całkiem dobrze. Nie panikuj! Zegarek był niewygodny, ale go potrzebowałem. W porządku, niech zostanie. Ale pierścienie? Zdecydowanie nie chciałem ich mieć na palcach.

Postanowiłem je zdjąć. Niestety nie mogłem! Nie chciały zejść. Dobry Boże.

Nie, przestań. Zwariujesz tylko dlatego, że nie potrafisz ściągnąć pierścieni z palców? To głupie. Uspokój się. Istnieje taka rzecz jak mydło. Namydł dłonie, te wielkie zsiniałe od mrozu palce i sygnety łatwo się zsuną.

Skrzyżowałem ramiona, potem opuściłem je wzdłuż ciała, zaalarmowany uczuciem śliskiego, ludzkiego potu pod moją koszulą. Potem wolno nabrałem w płuca powietrza. Klatka piersiowa ruszała się ociężale. Doznawałem całego szeregu silnych wrażeń przy każdym akcie wdychania i wydychania powietrza.

To nie był czas, by krzyknąć z przerażenia. Tylko spójrz na ten pokój.

Był bardzo mroczny. Jedna stojąca lampka paliła się w rogu, a inna, maleńka jarzyła na obramowaniu kominka, ale ciemności nadal wypełniały wnętrze. Wydawało mi się, jakbym tkwił głęboko w ciemnej wodzie, może nawet zabarwionej atramentem.

To normalne. Śmiertelne. Oni to tak widzą. Jednak wszystko wyglądało groźnie, fragmentarycznie, przeraźliwie i ponuro. Ciemne, połyskujące krzesła, ledwie widzialny stół, mdłe, złociste światło pełzające po kątach, nieprzenikliwy cień i jakże przerażająca pusta czerń holu.

Cóż mogło się ukrywać w tych cieniach — szczur, jakaś inna ludzka istota, może złodziej. Sojrzałem na Mojo i zdziwiłem się, jak niewyraźnie teraz wyglądał, tajemniczo i w

całkiem odmienny sposób. Tak, w mroku rzeczy zagubiły kontury. Naprawdę niemożliwe było oszacowanie pełnej struktury i rozmiaru czegokolwiek.

Ach, ale przecież nad kominkiem wisiało lustro.

Podszedłem do niego, sfrustrowany ciężkością kończyn, nagłą obawą przed upadkiem i potrzebą częstego spoglądania na własne stopy. Przesunąłem małą lampkę pod zwierciadło i spojrzałem na nową twarz.

Ach, tak. To ja kryłem się teraz za nią. Jakże zadziwiająco inaczej wyglądała. Zniknęło napięcie i paskudny, nerwowy błysk w oczach. Spoglądał na mnie przestraszony młody człowiek.

Uniosłem dłoń i poczułem linię ust, brwi i czoło, które było trochę wyższe niż moje poprzednie. Potem dotknąłem miękkich włosów. Wygląd twarzy był bardzo zadowalający, dalece bardziej niż sądziłem. Żadnych ostrych linii, odpowiednie proporcje, dramatyczny wyraz oczu. Zupełnie nie podobał mi się tylko strach wzierający ze źrenic. Próbowałem ujrzeć inną ekspresję, przegonić stare cechy i mimiką wyrazić radość z doświadczonego cudu. Nie było to łatwe. I nie jestem pewien, czy w ogóle odnosiłem jakiegokolwiek wrażenie. Hmm... Nie potrafiłem dojrzeć w nowym obliczu niczego dochodzącego z wnętrza.

Powoli otworzyłem usta i przemówiłem. Powiedziałem po francusku, że jestem Lestat de Lioncourt, zająłem to ciało i wszystko układa się świetnie. Eksperyment się powiódł! Przeżywałem pierwszą godzinę nowego życia. Ten maniak, James, zniknął i wszystko działało jak trzeba! Teraz coś z mojej własnej dzikości pojawiło się w oczach. Kiedy się uśmiechnąłem, ujrzałem w końcu swą złośliwą naturę, lecz tylko na kilka sekund. Potem uśmiech zniknął, a ja wyglądałem na tępego i zdumionego młodzieńca.

Odwrociłem się i popatrzyłem na leżącego obok psa, który gapił się na mnie, jakby takie zachowanie weszło mu w krew.

— Skąd wiesz, że ja jestem w tym ciele? — zapytałem. — Zamiast Jamesa.

Poruszył głową, a jedno z jego uszu drgnęło nieznacznie.

— W porządku — rzekłem. — Wystarczy tej słabości i szaleństwa. Ruszajmy! — Postąpiłem w kierunku ciemnego korytarza i nagle moja prawa noga wyslizgnęła się spode mnie. Gwałtownie osunąłem się na podłogę, głową zaryłem w marmurowy kominek, a łokciem uderzyłem w okratowanie, co wywołało nagłą eksplozję bólu. Z trzaskiem posypały się na mnie stojące na gzymsie narzędzia, ale to było nic w porównaniu z przeszywającym całe ramię ognistym bólem wywołanym poruszeniem nerwu w łokciu. Obróciłem się na brzuch i przez moment leżałem bez ruchu, czekając aż skurcz ustąpi. Dopiero wtedy zorientowałem się, że moja głowa krwawi na skutek nagłego kontaktu z marmurem.

Sięgnąłem ręką i poczułem lepkość krwi we włosach. Krew!

Ach, pięknie. Louis byłby tym wszystkim zdumiony, pomyślałem. Podniosłem się z podłogi, przytrzymując się półki oraz gzymsu. Ból przemieszczał się w prawo, wzdłuż czaszki.

Jeden z wielu zabawnych, małych dywaników leżał na podłodze przede mną. Oto winowajca. Kopniakiem usunąłem matę z drogi i bardzo powoli, ostrożnie wszedłem do holu.

Dokąd wędrowałem? Co miałem zamiar zrobić? Odpowiedź nadeszła sama. Mój pęcherz był pełny i najzwyczajniej w świecie musiałem się wysikać.

Czyż nie było tu gdzieś na dole łazienki? Znalazłem przełącznik światła w holu i ogromny żyrandol rozjaśnił mroki. Długo gapiłem się na maleńkie żarówki — a musiało być ich chyba ze dwadzieścia — zdając sobie sprawę, że dawały całkiem sporo światła, ale nikt nie powiedział, że nie wolno mi zapalić każdej lampy w tym domu.

Zabrałem się do dzieła. Przeszedłem przez salon, małą bibliotekę i drugi hol. Światło wciąż rozczarowywało. Nie opuszczało mnie poczucie gęstej ciemności i niewyrazistości przedmiotów. Doprowadzało to mój umysł do stanu niepokoju i zmieszania.

W końcu ostrożnie przemierzyłem schody prowadzące na piętro, pełen obaw, by nie stracić równowagi i zdenerwowany bólem w nogach. Takie długie kończyny!

Kiedy obejrzałem się za siebie w dół, skamieniałem. Mógłbyś spaść i skrócić kark, pomyślałem.

Wszedłem do małej łazienki i natychmiast zapaliłem światło. Musiałem się odlać, po prostu musiałem, a nie robiłem tego od ponad dwustu lat.

Rozpiąłem nowoczesne spodnie i wysunąłem stosowny organ, który momentalnie zdumiał mnie swą miękkością i wielkością. Oczywiście rozmiar był w porządku. Kto nie chce, żeby te organy były duże? Ale miękkość budziła we mnie odrazę i nie chciałem dotykać owego narządu, jednak mimo wszystko musiałem, jako że akurat należał do mnie.

A co z włosami wokół i z tą charakterystyczną wonią? Ach, to też twoje, maleńki! Teraz spraw, żeby mechanizm zadziałał.

Zamknąłem oczy, nacisnąłem bardzo niedokładnie i może zbyt mocno, bo z organu wystrzelił wielki łuk moczu, który minąwszy muszlę, rozbił się na białej desce sedesu.

Cóż to, bunt? Zrobiłem krok do tyłu, wycelowałem i obserwowałem z chora satysfakcją, jak mocz wypełniał muszlę; na powierzchni tworzyły się bąbelki, a obrzydliwy zapach uryny narastał do tego stopnia, że nie mogłem dłużej go znieść. W końcu pęcherz był pusty. Schowałem tę odrażającą rzecz do moich spodni, zapiąłem je i zatrzasnąłem wieko muszli. Nacisnąłem spłuczkę.

Spróbowałem wziąć głęboki oddech, ale wstrętny fetor unosił się dookoła mnie. Podniosłem ręce i zorientowałem się, że dochodził również z moich palców. Natychmiast odkręciłem wodę w kranie, chwyciłem mydło i wziąłem się do pracy. Raz po raz płukałem ręce, ale nie potrafiłem uzyskać pewności, że są rzeczywiście czyste. Ta skóra była bardziej porowata od mojej ponadnaturalnej powłoki i wydawała się ciągle brudna. Zabrałem się do usuwania sygnetów z palców.

Nawet po tych wszystkich namydleniach pierścienie nie chciały zejść. Tak, ten drań musiał je mieć na sobie w Nowym Orleanie. Prawdopodobnie też nie mógł ściągnąć tych wątpliwych ozdób, a teraz ja się z tym męczę! Cóż, pozostało tylko znaleźć złotnika, który umiałby je usunąć fachowym instrumentem. Samo myślenie o podobnej operacji wprawiało mnie w zdenerwowanie, a wszystkie mięśnie napinały się, a potem wiotczały w spazmach bólu. Zmusiłem się do opanowania.

Przeplukałem dłonie jeszcze kilka razy, a potem chwyciłem ręcznik i wytarłem je. Dobry Boże, dlaczego ten głupek nie mył dokładnie rąk?

Potem przejrzałem się w szklanej ścianie łazienki i zobaczyłem odbicie w prawdziwie obrzydliwym świetle. Wielka ścieżka wilgoci biegła z przodu moich spodni. Najwidoczniej nie wysuszyłem należycie tego głupiego organu przed schowaniem go do spodni.

Cóż, w dawnych czasach nigdy bym się tym nie martwił, prawda? Wtedy byłem sprośnym, wiejskim panem.

Istnienie mokrej, wąskiej i długiej plamy na spodniach nie podlegało kwestii! Wyszedłem z łazienki. Minąłem cierpliwego Mojo, poklepałem go lekko po łbie i powędrowałem do sypialni. Otworzyłem szafę i znalazłem inną parę spodni. W zasadzie nawet lepszą, z szarej wełny. Szybko zdjąłem buty i przebrałem się.

Co powinienem teraz zrobić? Chyba pójść coś zjeść, pomyślałem. I wtedy zorientowałem się, że jestem głodny! Tak, w tym tkwiło sedno dyskomfortu, który odczuwałem. Jeśli nie liczyć pełnego pęcherza i ogólnego poczucia ciężkości od chwili, kiedy rozpoczęła się ta mała przygoda.

Jeść. Ale skąd wiesz, co się stanie, gdy napchasz żołądek? Będziesz musiał udać się ponownie do łazienki i uwolnić od zbędnych resztek przetrawionego pożywienia. Sama myśl przyprawiała mnie niemal o wymioty.

Wyobrażanie sobie ludzkich wydzielin wydobywających się z mojego ciała wywołało niesamowite mdłości. Przez chwilę myślałem, że naprawdę się porzygam. Usiadłem na skraju niskiego, nowoczesnego łóżka i próbowałem odzyskać kontrolę nad emocjami.

Powiedziałem sobie, że są to najprostsze aspekty bycia człowiekiem. Nie mogę

pozwoić, by przesłaniały ważniejsze kwestie. Tak więc zachowywałem się jak doskonały tchórz, a nie jak heros ciemności, za jakiego się uważałem. W zasadzie nie wierzę, żebym był bohaterem dla świata. Jednak dawno temu postanowiłem żyć w taki właśnie sposób, stawić czoło wszelkim trudnościom, które napotykam, gdyż są one moim nieuniknionymi kręgami ognia.

W porządku, to był tylko mały i obrzydliwy krążek. Muszę natychmiast powstrzymać tchórzostwo. Jeść, smakować, czuć i widzieć — oto istota procesu! Och, jak to wszystko prosto brzmi!

Wreszcie uniosłem się z łóżka. Znowu podszedłem do szafy i ku swemu zdziwieniu spostrzegłem, że wcale nie było tam wielu ubrań: kilka par wełnianych spodni, dwa jasne, grube swetry — nowe i może ze trzy koszule na półce.

Hmmm. Co się stało z całą resztą? Otworzyłem górną szufladę biurka. Pusta. Wszystkie pozostałe również. Także mała szafka przy łóżku została opróżniona.

Co to mogło oznaczać? Zabrał te ciuchy ze sobą albo przeniósł je w jakieś miejsce, w które się udał? Tylko dlaczego? Nie pasowałyby do nowego ciała i twierdził, że wszystko zorganizuje. Poczuję się poważnie zakłopotany. *Czy to może znaczyć, że on nie zamierza tu wrócić?*

To absurd. Nie zrezygnowałby z dwudziestu milionów. A ja nie mogłem tracić cennego, śmiertelnego czasu, martwiąc się przez godzinę taką bzdurą!

Udałem się schodami na parter. Mojo stąpał miękko za mną. Z pewnym wysiłkiem kontrolowałem już nowe ciało, choć było ciężkie i niewygodne. Otworzyłem szafę w holu. Stary płaszcz pozostał na wieszaku. Para kaloszy. Nic więcej.

Poszedłem do biurka w salonie. Powiedział mi, że tu znajdę prawo jazdy. Powoli otworzyłem górną szufladę. Pusta. Wszystko było puste. Ach, ale w jednej z szuflad leżały jakieś papiery. Wydawały się mieć coś wspólnego z tym draniem, ale nigdzie nie figurowało nazwisko Jamesa. Usiłowałem zrozumieć, o co chodzi w tych oficjalnych drukach! Nie odbierałem natychmiastowej impresji znaczenia, tak jak to zdarzało się, kiedy patrzyłem na rzeczy oczami wampira.

Przypomniałem sobie, co James mówił o synapsach. Tak, myślałem wolniej. Czytanie poszczególnych wyrazów sprawiało mi trudność.

Ech, czy to miało istotne znaczenie? Nie było tu prawa jazdy ani pieniędzy, których potrzebowałem przede wszystkim. Ach, tak, gotówka. Zostawiłem pieniądze na stole. Dobry Boże, przecież wiatr mógł zwiać je do ogrodu.

Natychmiast wróciłem do kuchni. W pomieszczeniu panował teraz mrozący ziąb, a

stół i piec pokrywała cienka warstwa białego szronu. Portfel z pieniędzmi nie leżał na stole. Kluczyków od samochodu również jakoś nie dostrzegałem. I światło, oczywiście, było strzaskane.

Klęknąłem w ciemności i zacząłem obmacywać podłogę. Znalazłem paszport, ale nic poza tym. No, nie licząc kawałków szkła z rozbitej żarówki, które przecięły mi skórę w dwóch miejscach. Drobniotkie strużki krwi na moich rękach. Żadnego zapachu. Żadnego prawdziwego smaku. Wyteżałem wzrok w nadziei, że coś jednak odnajdę. I nic. Wyszedłem ponownie na próg, tym razem ostrożnie, by się nie poślizgnąć. Głęboki śnieg pokrywał podwórze absolutnie gładką warstwą. Ani jednego śladu.

Ech, ale przecież to tylko strata czasu, prawda? Portfel i klucze były zbyt ciężkie, żeby odlecieć z wiatrem. Zabrał je ten drań! Możliwe, że nawet po nie wrócił! Mały wredny potwór! Gdy uświadomiłem sobie, że był w moim ciele, wspaniałym, pełnym mocy, ponadnaturalnym ciele, kiedy to zrobił, ogarnęła mnie dzika furia.

W porządku, czyż nie podejrzewałeś, że tak się może stać? Kradzież leży w jego naturze. A ty teraz marzniesz i trzęsiesz się z zimna. Wracaj do jadalni i zaniknij drzwi.

Właśnie tak zrobiłem, choć musiałem poczekać na Mojo, który potrzebował trochę czasu na załatwienie swych potrzeb. W jadalni panował istny ziąb. Zostawiłem przecież otwarte drzwi. Kiedy w pośpiechu wracałem na piętro, zorientowałem się, że przez tę małą wycieczkę obniżyła się temperatura w całym domu. Musiałem pamiętać, żeby zamykać drzwi.

Wszedłem do pierwszego z nie używanych pokoi, gdzie wcześniej ukryłem w kominie pieniądze. Sięgnąłem dłonią, ale nie wyczułem żadnej koperty, a jedynie pojedynczą kartkę papieru. Wyciągnąłem ją, pałając gniewem jeszcze zanim zapaliłem światło. Moim oczom ukazały się następujące słowa:

Jesteś naprawdę przeraźliwym głupcem, jeśli uważałeś, że człowiek z moimi zdolnościami nie znajdzie twojego zawiniątka. Nie trzeba być wampirem, żeby wysledzić fragmenty zdradzieckiej wilgoci napodiodze i ścianie. Milej zabawy. Zobaczymy się w piątek. Uważaj na siebie!

Raglan James Przez moment byłem zbyt rozwścieczony, by wykonać choćby najmniejszy ruch. Potem zacisnąłem dłonie w pięści.

— Ty milutki, mały niegodziwcze! — powiedziałem tragicznym, ciężkim, łamiącym się głosem.

Udałem się do łazienki. Oczywiście za lustrem zamiast drugiego pliku pieniędzy znalazłem jeszcze jedną kartkę:

Czym jest ludzkie życie bez trudności? Musisz zdać sobie sprawę, że nie mogę oprzeć się takim małym odkryciom. To jest jak pozostawienie w pobliżu alkoholika butelki z winem. Spotkamy się w piątek. Proszę, ostrożnie chodź po oblodzonych ulicach. Nie chciałbyś chyba złamać nogi.

Zanim zdołałem się powstrzymać, uderzyłem pięścią w lustro! Ach, cóż. Masz szczęście. Nie powstała wielka, rozległa dziura w ścianie, jaką zrobiłby Lestat le Yampire. Tylko mnóstwo potłuczonego szkła. I nieszczęście, nieszczęście przez siedem lat!

Odwrociłem się i zszedłem z powrotem do kuchni. Tym razem zamknąłem za sobą drzwi, a następnie otworzyłem lodówkę. Pusto! Zupełnie nic!

Ech, ten mały szatan, co miałem z nim zrobić? Jak mógł myśleć, że ujdzie mu to płazem? Czy uważał, że nie będę zdolny podarować mu dwadzieścia milionów, a potem skrócić kark? Co, do diabła, sobie myślał...

Hmmm...

Czy tak trudno było to odgadnąć? On nie wróci, prawda? Oczywiście, że nie wróci.

Poszedłem do jadalni. Z kredensu zniknęły srebra i wyroby z chińskiej porcelany. Zajrzałem do holu. Brakowało malowideł na ścianach. Sprawdziłem salon. Nie było Piccassa, Jaspiera Johnsa, de Kooninga ani Warhola, wszystko wyparowało. Nawet fotografie statków.

Ach, i jeszcze chińskie rzeźby, większość książek, dywaniki. Zostało tylko kilka z nich — w jadalni ten, który o mało nie spowodował mojej śmierci, i jeden przy schodach.

Dom został opróżniony z wszelkich prawdziwie wartościowych przedmiotów! Dlaczego brakowało ponad połowy mebli!? Ten mały drań nie zamierzał wrócić! To nigdy nie było częścią jego planu.

Usiadłem w fotelu blisko drzwi. Mojo, który wiernie podążał za swym nowym panem, wykorzystał szansę, by rozłożyć się u moich stóp. Zanurzyłem dłoń w jego futrze i pogłaskałem zwierzę. Ucieszyłem się, że chociaż pies tu został.

Oczywiście James był głupcem, skoro tak postąpił. Czy myślał, iż nie odważę się wezwać innych?

Hmm. Wezwać innych na pomoc — co za makabryczny pomysł. Nie potrzeba zbyt bujnej wyobraźni, żeby zgadnąć, co Marius by mi powiedział, gdyby zobaczył, co zrobiłem. Jeśli nawet wiedział, to najwyżej krzywił się z dezaprobatą. Ale starszyzna?! Na samą myśl przebiegł mnie dreszcz. Miałem nadzieję, że ta zamiana ciała przejdzie przez nikogo nie zauważona. Takie założenia poczyniłem na początku.

Istotną kwestią było to, że James nie wiedział, jak gniewni byliby inni na wieść o eksperymencie. Nie mógł wiedzieć. I nie znał również limitów mocy, jaką obecnie posiadał.

Ach, może wyciągam zbyt pochopne wnioski. Kradzież pieniędzy, ogołocenie domu — to był żart w stylu Jamesa, nic dodać, nic ująć. Nie mógł zostawić ubrań i pieniędzy. Nie pozwalała mu na to złodziejska, małosłowna natura. Musiał trochę oszukać. To wszystko. Oczywiście planował powrócić i podjąć dwadzieścia milionów. I liczył na to, że nie zrobię mu nic złego, bo zaprawdę przeprowadzić eksperyment ponownie, a jego cenilem jako osobę, która może tego dokonać.

Tak, to był as w rękawie. Doszedłem do wniosku, że faktycznie nie skrzywdziłbym jedynego śmiertelnego mężczyzny, który mógł przeprowadzić zamianę ciał ponownie, kiedy ja tego zechcę.

Zrobić to raz jeszcze! Musiałem się roześmiać. Wybuchnąłem śmiechem. Jaki dziwny i obcy był to dźwięk. Zaniknąłem oczy i siedziałem tak przez chwilę, nienawidząc potu zbierającego się w pachwinach, nienawidząc bólu brzucha i głowy, nienawidząc ociążałego czucia rąk i nóg. Kiedy podniosłem powieki, wszystko co ujrzałem to jedynie zamglony świat zlewających się barw.

Zrobić to ponownie? Ooch! Opanuj się, Lestacie! Zacisnąłeś zęby tak mocno, że się skaleczyłeś! Przygryzłeś język! Sprawiasz, że krwawią twoje własne usta! A ta krew smakuje jak roztwór solny, nic prócz wody i soli, woda i sól! Na miłość piekieł, uspokój się, przestań!

Po kilku momentach udałem się na systematyczne poszukiwanie telefonu.

W całym domu nie znalazłem żadnego.

Pięknie!

Jakże głupio postąpiłem, nie zaplanowawszy eksperymentu wystarczająco dokładnie. Byłem tak ujęty wyższymi ideami duchowymi, że nie zadbałem o żadne sensowne zabezpieczenie! Powinienem mieć apartament w Willard i pieniądze w hotelowym sejfie! Powinienem przygotować sobie auto.

Samochód. Co z samochodem?

Ruszyłem w kierunku szafy mieszczącej się w korytarzu. Wyciągnąłem z niej płaszcz. Zauważyłem przetarcie na szwie — prawdopodobnie dlatego go nie sprzedał. Otuliłem się szczelnie pro-chowcem i wyszedłem tylnym wyjściem, dokładnie zabezpieczywszy drzwi do jadalni. Zapytałem Mojo, czy chce iść ze mną, czy też zostać. Naturalnie wolał się przyłączyć.

Aleję pokrywała prawie półmetrowa warstwa śniegu. Kiedy dobrnąłem przez biały puch do ulicy, zorientowałem się, że tu również zalegał głęboki śnieg.

Oczywiście nie było żadnego czerwonego porsche. Ani po lewej stronie schodów, ani nigdzie w pobliżu. By się upewnić, poszedłem do rogu, a potem zawróciłem. Moje stopy, nogi i skóra na twarzy boleśnie kurczyły się od mrozu.

W porządku, muszę wyruszyć pieszo, przynajmniej dopóki nie znajdę publicznego telefonu. Śnieg nie padał na mnie, co chyba stanowiło jakiś błogosławiony cud. Tylko że nie wiedziałem, dokąd idę, czyż nie tak?

A co do Mojo, to najwidoczniej uwielbiał ten rodzaj pogody i dostojnym krokiem sunął naprzód. Pomyślałem, że powinienem zamienić ciała z psem. A potem myśl o Mojo wewnątrz wampirzej powłoki przyprawiła mnie o atak śmiechu. Śmiałem się i śmiałem, i śmiałem, aż wreszcie przestałem, bo naprawdę niemal zamarzłem na śmierć.

To wszystko było okropnie zabawne. Oto zostałem ludzką istotą. Nastąpiło bezcenne wydarzenie, o którym marzyłem od dnia mojej śmierci, a teraz nienawidziłem go do szpiku tych ludzkich kości! Poczułem meczący głód w hałaśliwie burczącym brzuchu.

„Paolo”, muszę *znaleźć* restaurację. Ale jak zdobyć żarcie? Potrzebuję pokarmu, czyż nie tak? Nie mogę po prostu iść bez jedzenia. Osłabnę, jeśli nic nie zjem.

Kiedy doszedłem do rogu Wisconsin Avenue, zobaczyłem światła i małe postacie w dole wzgórza. Ulica była oczyszczona ze śniegu i definitywnie otwarta dla ruchu. Widziałem ludzi przemierzających się pospiesznie tam i z powrotem pod ulicznymi latarniami, ale oczywiście wszystko było irytująco nieostre.

Zwiększyłem tempo. Przysporzyło to jeszcze większego bólu moim kończynom, co zrozumie każdy, kto kiedyś szybko poruszał się w głębokim śniegu. Wreszcie zobaczyłem oświetlone okno kawiarni. „Martini”. W porządku. Zapomnij o „Paolo”. „Martini” będzie musiało wystarczyć. Jakiś samochód zatrzymał się przed wejściem. Przystojna młoda para wygramoliła się z tylnego siedzenia i weszła do lokalu. Zbliżyłem się do drzwi i ujrzałem ładną młodą kobietę przy wysokim drewnianym blacie. Podała gościom menu i poprowadziła ich w głąb sali. Udało mi się dostrzec świece i koronkowe obrusy. I nagle zdałem sobie sprawę, że mdlący aromat, który zaczął wypełniać moje nozdrza, to woń przypiekanego sera.

Nie lubiłbym tego zapachu jako wampir, nie, wcale a wcale. Teraz wydawał się w jakiś sposób związany z uczuciem głodu. Naciskał na mięśnie gardła. Rozgościł się we wnętrznościach. Z uporem wznagał we mnie mdłości.

Ciekawe. Tak, trzeba zanotować te wszystkie spostrzeżenia. To jest bycie żywym.

Ładna, młoda kobieta wróciła. Widziałem jej blady profil, kiedy spoglądała na papiery rozłożone na drewnianym blacie i uniosła pióro, by postawić parafkę. Miała długie, kręcone ciemne włosy i bardzo jasną skórę. Żałuję, że nie widziałem jej wyraźniej. Starłem się podchwycić zapach perfum, ale nie potrafiłem. Łapałem jedynie woń spalonego sera.

Otworzyłem drzwi, ignorując ciężki fetor, który we mnie uderzył, i brnąłem przez ten odór, dopóki nie znalazłem się na wprost młodej kobiety. Otulało mnie błogosławione ciepło

przesycone swoistymi zapachami. Kobieta była boleśnie młoda, z raczej ostrymi rysami i wąskimi, czarnymi oczami. Usta miała wydatne, starannie wymalowane, a szyję długą i pięknie wyprofilowaną. To było ciało z dwudziestego stulecia.

— Mademoiselle — powiedziałem, celowo uwypuklając francuski akcent — jestem bardzo głodny, a na dworze strasznie zimno. Czy jest tu coś, co mógłbym zrobić, żeby zapracować na talerz stawy? Umyję podłogi, jeśli pani chce, pozmywam, cokolwiek.

Przez chwilę wpatrywała się we mnie obojętnym wzrokiem. Potem cofnęła się, zarzuciła swoimi długimi włosami, przewróciła oczami i spojrzała na mnie lodowato.

— Wynoś się — powiedziała. Jej głos brzmiał płytko. Oczywiście to było moje wierne, śmiertelne słyszenie. Rezonans wyczuwany przez wampira nie dotyczył mnie.

— Czy mogę dostać trochę chleba? — poprosiłem. — Jeden kawałek. — Zapach jedzenia, nawet niedobrego, torturował mnie. Nie pamiętałem nawet, jak żywność smakuje. Nie mogłem przypomnieć sobie struktury pokarmu, ale coś czysto ludzkiego brało górę. Desperacko pragnąłem jedzenia.

— Wezwę policję — rzekła — jeśli nie wyjdiesz. Próbowałem przejrzeć jej myśli. Nic. Rozejrzałem się wokół,

próbując tego z innymi ludźmi. Nic. Nie miałem mocy w tym ciele. Ach, ale to niemożliwe. Spojrzałem na nią ponownie. Nic. Nawet najmniejszego szmeru jej myśli. Nawet instynktownej wiedzy, jakim była typem człowieka.

— Ech, bardzo dobrze — powiedziałem, rzucając jej najdelikatniejszy uśmiech, bez pojęcia jak wypadł na tej twarzy i jakie wywoła efekty. — Mam nadzieję, że spłoniesz w piekle za swój brak dobroci. Bóg wie, iż nie zasługuję na nic więcej. — Odwróciłem się i miałem wyjść, kiedy dotknęła mojego rękawa.

— Słuchaj — przemówiła, trzęsąc się lekko z gniewu i zakłopotania — nie możesz przychodzić tutaj i oczekiwać, że ludzie dadzą ci jeść!

Krew pulsowała na białych policzkach. Nie mogłem jej poczuć. Dobiegł mnie jednak jakiś dziwny aromat unoszących się wokół kobiety, będący mieszanką zapachów ludzkiego ciała i piżmowych perfum. I nagle zobaczyłem dwa zgrabniutkie wzniesienia wybrzusające sukienkę na wysokości piersi. Jakże zdumiewające. Ponownie spróbowałem czytać w myślach, ale bez rezultatu.

— Powiedziałem, że zapracuję najedzenie — odparłem, starając nie patrzeć się na jej biust. — Zrobię, cokolwiek rozkażesz. Słuchaj, przepraszam. Nie chcę, żebyś spłonęła w piekle. Jak mogłem powiedzieć coś równie parszywego. Chodzi tylko o to, że mój fart teraz się skończył. Przydarzyły mi się okropne rzeczy. Popatrz, tu jest mój pies. Czym mam go

nakarmić?

— Ten pies! — Wyjrzała przez szybę na Mojo, który siedział majestatycznie w śniegu. — Chyba żartujesz — powiedziała. Miała strasznie piskliwy głos. Zupełnie bez charakteru. Jakże wiele dochodzących mnie dźwięków miało tę szczególną cechę. Były metaliczne i cienkie.

— Tak, to pies — rzekłem ze słabnącym naciskiem. — Bardzo go Kocham.

Roześmiała się.

— To biedne zwierzę je tu każdej nocy przy tylnych drzwiach kuchni!

— Ach, więc cudownie. Przynajmniej jeden z nas się pożywi. Jestem tak szczęśliwy, że to słyszę, mademoiselle. Może ja powinienem podejść pod tylne kuchenne drzwi. Prawdopodobnie czworonożny przyjaciel coś dla mnie zostawi.

Wybuchnęła krótkim, chłodnym i fałszywym śmiechem. Obserwowała mnie, spoglądając z zainteresowaniem na twarz i ubranie. Na co dla niej wyglądałem? Nie wiem. Czarny płaszcz nie był tanią szmatą, ale nie należał też do stylowych. Brązowe włosy przysypał śnieg.

Miała pewien rodzaj szczupłej, a nawet kanciastej, ale dobrze stonowanej urody. Bardzo wąski nos, niesamowicie kształtne oczy. Piękne kości.

— W porządku — powiedziała — siadaj tutaj, przy ladzie. Powiem, żeby ci coś przynieśli. Co chcesz?

— Cokolwiek, nieważne. Dziękuję za twoją życzliwość.

— Dobra, siadaj. — Otworzyła drzwi i krzyknęła do psa. — Idź do tyłu! — Wykonała szybki gest ręką.

Mojo nawet nie drgnął. Siedział dalej. Cierpliwa góra futra. Wyszedłem na mrozący wiatr i kazałem mu pobiec do kuchennych drzwi. Wskazałem dłonią kierunek. Przez długi moment patrzył na mnie, później uniósł się i powoli ruszył we właściwą stronę.

Wróciłem do środka, szczęśliwy, że umknąłem z zimna, chociaż buty i tak miałem pełne roztopionego śniegu. Ruszyłem w ciemność głębi restauracji. Potknąłem się o drewniany stołek, którego nie zauważyłem, i o mało nie wywinąłem orła. Potem usiadłem. Na drewnianej ladzie przygotowano już nakrycie z niebieską serwetą, masywnym nożem i widelcem. Zapach sera zintensyfikował się. Były także inne wonie — gotowana cebula, czosnek i palony tłuszcz.

Niewygodnie siedziało mi się na stołku. Krągłe, lecz twarde krawędzie wbijały się w moje nogi. Poza tym cały czas martwiłem się faktem, że nic nie widzę w ciemnościach. Restauracja wyglądała na bardzo obszerną, posiadała jeszcze kilka sal. Nie mogłem

podziwiać jej w całej okazałości. Słyszałem niepokojące hałasy, takie jak odgłosy wielkich garnków stawianych na metalu. Podobne dziwięki trochę raniły moje uszy, a trochę irytowały.

Młoda kobieta pojawiła się ponownie, uśmiechając mile i postawiła przy mnie dużą lampkę czerwonego wina. Zapach był kwaśny i mdlący.

Podziękowałem jej. Potem uniosłem szklankę i pociągnąłem łyk bordowego płynu. Natychmiast zacząłem kaszleć. Nie rozumiałem, co się stało — czy przełknąłem w jakiś zły sposób, czy podrażniłem gardło, czy co? Wiedziałem tylko, że furiacko kaszlałem. Chwyciłem materiałową serwetkę i wetknąłem sobie w usta. Część wina dostała się już do mojego nosa. Co do smaku było słabe i cierpkie. Narastała we mnie straszna frustracja.

Zamknąłem oczy i zacisnąłem lewą rękę wokół serwetki.

— Proszę, spróbuj jeszcze raz — powiedziała. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, jak napełnia kieliszek z dużej karafki.

— W porządku — odparłem. — Dziękuję.

Czułem potworną suchość w gardle. Smak wina jedynie pogłębił pragnienie. Tym razem uznałem, że nie będę przełykał tak łąpczywie.

Uniosłem kieliszek, napełniłem usta małą ilością alkoholu, próbowałem się delektować, chociaż nie było czym, a dopiero potem łyknąłem, ostrożnie i powoli. Cienkie, cieniutkie, tak totalnie różne od soczystej krwi. Potem wziąłem karafkę i znowu nalałem do pełna, a następnie wypilem również tę porcję.

Przez chwilę czułem wyłącznie frustrację. Później stopniowo zaczynałem doświadczać lekkich mdłości. Zaraz dostanę jedzenie, pomyślałem. Ach, jest... wygląda na stertę chleba.

Uniosłem jedną kromkę, powąchałem i spałaszowałem w bardzo szybkim tempie. Smakowała jak piasek. Dokładnie jak ten piach z pustyni Gobi, który dostał się do moich ust. Piasek.

— Jak śmiertelnicy to jedzą? — zapytałem.

— Wolniej — odpowiedziała ładna kobieta i zachichotała. — Ty nie jesteś śmiertelnikiem? Z jakiej planety pochodzisz?

— Wenus — odparłem z uśmiechem. — Z planety miłości. Obserwowała mnie z powściągliwą miną. Delikatny rumieniec zabarwił białe, kościste policzki.

— Może pokręcisz się tutaj, dopóki nie skończę? Mógłbyś odprowadzić mnie do domu.

— Zdecydowanie powinienem to zrobić — stwierdziłem. I wtedy uświadomiłem sobie, co to może oznaczać. Być może chciała pójść ze mną do łóżka. Ach, tak, istniała taka

możliwość. Moje oczy podryfowały w kierunku dwóch zgrabnych wzniesień przebijających lekko przez jedwabną czern sukni. Tak, chciałbym uprawiać z nią miłość, pomyślałem, jakże gładka jest skóra na jej szyi.

Organ pomiędzy nogami zeszywniał. No, coś przynajmniej działa. Dziwnie znajome było to uczucie, twardnienie i nabrzmiwanie oraz sposób, w jaki penis reagował na moje myśli. Żądza krwi nigdy nie obejmowała określonej części ciała. Gapiłem się obojętnie przed siebie. Nie patrzyłem w dół, kiedy postawiono na blacie przede mną talerz włoskiego spaghetti z mięsnym sosem. Gorący aromat napłynął do mych nozdrzy — topiony ser, pieczone mięso i tłuszcz.

Uspokój się, nakazałem penisowi. Jeszcze nie czas.

Wreszcie utkwilem wzrok w talerzu. Głód zakorzenił się we mnie, jakby ktoś chwycił obiema rękami kiszki i skręcał je systematycznie. Czy pamiętałem podobne uczucie? Bóg jeden wie, jak często doświadczałem tak wielkiego głodu w śmiertelnym życiu. Był on sam w sobie przejawem egzystencji. Jednak wspomnienia wydawały się tak odległe i nieważne. Powoli sięgnąłem po widelec, którego nigdy nie używałem w tamtych czasach, ponieważ nie mieliśmy żadnego; tylko łyżki i noże funkcjonowały w naszym okrutnym świecie; zanurzyłem go w spaghetti i uniosłem odrobinę jedzenia do ust.

Wiedziałem, że jest zbyt gorące, zanim dotknęło języka, ale nie powstrzymałem się wystarczająco szybko. Oparzony, upuściłem widelec. Czysta głupota, pomyślałem, a *zdarza*, się nie po raz pierwszy. Chyba muszę zbliżyć się do rzeczy z większą inteligentą, cierpliwością i spokojem.

Poprawiłem się na niewygodnym stołku i próbowałem myśleć.

Starałem się kontrolować ciało, które było pełne powszechnych słabości i uczuć — na przykład boleśnie zimne stopy. Robiłem po prostu zrozumiiałe, ale głupie błędy. Powinienem włożyć kalosze. Zanim tu przyszedłem, należało znaleźć telefon i zadzwonić do agenta w Paryżu. Cóż za brak rozsądku, uparcie postępować jak wampir, skoro się nim nie jest.

Temperatura parującej żywności nie poparzyłaby mnie, gdybym przebywał w wampirzej skórze. Ale przecież nie znajdowałem się w takowej. Właśnie dlatego powinienem wziąć kalosze. Myśl trochę!

Jakże to doświadczenie było dalekie od moich oczekiwań. O tak, bogowie. Oto pograżam się w przemyśleniach, podczas gdy sądziłem, że będę się świetnie bawił! Ach, myślałem, iż zanurzę się w uczuciach, wspomnieniach, odkryciach, a teraz wszystko co robię, to zastanawiam się, jak przetrwać najbliższe godziny!

Prawdę mówiąc, stawałem w obliczu przyjemności — jedzenia, picia, pójścia do łóżka

z kobietą, ale nic, czego dotąd doświadczyłem, nawet w najmniejszym stopniu nie przypominało rozkoszy.

Cóż, tylko samego siebie mogłem winić za zaistnienie tej wstydlivej sytuacji i jedynie ja byłem w stanie ją zmienić. Otarłem usta serwetką i jeszcze raz wychyliłem pełną szklankę wina. Przebiegła mnie fala mdłości, ścisnęło w gardle i zakręciło się w głowie. Dobry Boże, trzy szklanki i stawałem się pijany?

Ponownie uniosłem widelec. Lepki makaron już nieco ostygł, więc wepchnąłem porcję stawy do ust. Znowu, prawie się zadławiłem! Moje gardło kurczyło się konwulsyjnie, jakby chciało zapobiec zaduszeniu mnie przez breję makaronu. W końcu atak ustąpił. Oddychałem wolno przez nos, wmawiając sobie, że to nie trucizna, że nie jestem wampirem, a dopiero później przeżułem ostrożnie każdy kęs, uważając by nie przygryźć języka, jak to zrobiłem wcześniej. Teraz wąskie pęknięcie skóry dawało znać o sobie. Ból wypełnił moje usta i był dalece bardziej odczuwalny niż jedzenie. Niemniej jednak kontynuowałem przeżuwanie rozgotowanych nitek i zacząłem zwracać uwagę na brak smaku, cierpkość, słoność i generalnie beznadziejną konsystencję. Przełykając kolejną porcję, znów poczułem bolesne zduszenie. Twardy węzeł obniżał się rozpychając mi przełyk.

Gdyby Louis przechodził przez to, a ja byłbym starym sobą, wampirem siedzącym naprzeciwko i obserwującym, potępiałbym go za wszystkie działania oraz myśli. Wstrętem napęniałaby bojaźliwość, marnowanie doświadczenia, porażka na polu postrzegania i odczuwania.

Po raz kolejny podniosłem widelec. Przeżułem i połknąłem kolejny zwój makaronu. No, wreszcie wychwyciłem smak. Okay, następna dawka. Da się polubić. Poza tym może to po prostu nie jest najlepsze jedzenie. Jeszcze jedna porcja.

— Hej, zwolnij — powiedziała ładna kobieta.

Nachyliła się do mnie, ale przez płaszcz nie mogłem wyczuć soczystej miękkości jej ciała. Odwróciłem się, by spojrzeć ponownie na jej twarz, zachwycające długie rzęsy i słodko uśmiechnięte usta.

— Posilasz się za szybko.

— Wiem. Jestem bardzo głodny — odparłem. — Posłuchaj, zdaję sobie sprawę, że to zabrmi okropnie niewdzięcznie, ale czy nie masz czegoś, co nie byłoby wielką rozplywającą się masą? Wiesz, coś w stanie stałym... może jakieś mięso?

Zachichotała.

— Jesteś przedziwnym facetem — stwierdziła. — Skąd naprawdę pochodzisz?

— Z Francji, ze wsi — odpowiedziałem.

— W porządku, przyniosę ci coś innego.

Gdy tylko odeszła, wypilem następną lampkę wina. Zdecydowanie poczułem zawrót głowy, ale również ogarnęła mnie fala ciepła, co było w pewien sposób przyjemnym doznaniem. Nagle miałem ochotę śmiać się do rozpuku. Wiedziałem, że się nieco wstawiłem.

Postanowiłem przestudiować inne ludzkie postacie z sali. Czułem się nieswojo, nie mogąc podchwycić ich zapachów ani słyszeć myśli. Nie rozróżniałem nawet głosów, docierały do mnie tylko szmery i hałasy. Równie dziwne było równoczesne poczucie gorąca oraz zimna; głowa tonęła w przegrzanym powietrzu, a stopy marzły w przeciagu biegnącym nad podłogą.

Młoda kobieta ustawiła przede mną talerz z czymś, co nazywała cielęcina. Wziąłem do ręki mały płat. Dziewczynę najwyraźniej zdumiało moje postępowanie, powinienem użyć noża i widelca. Zatopiłem zęby w mięsie, które uznałem za równie pozbawione smaku co spaghetti, ale jednak lepsze. Wydawało się czystsze. Wchłaniałem cielęcinę z umiarkowaną łapczywością.

— Dziękuję, jesteś bardzo dobra — rzekłem. — Naprawdę cudowna. Żałuję wypowiedzianych wcześniej ostrych słów.

Wydawała się zafascynowana okazywanym przeze mnie taktem, a ja oczywiście odgrywałem pewną rolę. Udawałem delikatnego człowieka, którym w rzeczywistości nie byłem.

Odeszła na chwilę, by przyjąć zapłatę od wychodzącej pary, a ja zająłem się posiłkiem — kleistym kawałkiem pełnym soli. Uśmiechnąłem się do siebie. Więcej wina, pomyślałem. To jak picie niczego, ale daje efekty.

Kiedy skończyłem jeść, sprzątnęła talerz i podała mi następną karafkę. Siedziałem tam w mokrych butach i skarpetkach, zmarznięty na niewygodnym drewnianym stołku, wyteżając wzrok, by zobaczyć coś przez ciemność i spijając się coraz bardziej w miarę upływu czasu, aż wreszcie kobieta była gotowa wracać do domu.

W tym momencie czułem się równie niezręcznie jak w chwili, kiedy wszystko się zaczęło. Gdy tylko wstałem, zorientowałem się, że prawie nie potrafię chodzić. W nogach w ogóle nie miałem czucia. Musiałem spojrzeć w dół, żeby upewnić się, czy nadal tam są.

W przeciwieństwie do mnie ładna kobieta uważała to za zabawne. Pomagała mi w drodze przez zaśnieżoną ulicę, nawołując Mojo, którego nazywała po prostu „Pies”, i zapewniając mnie, że mieszka tylko „kilka kroków stąd”. Jedyнным pozytywnym aspektem sprawy był fakt, że chłód mniej przeszkadzał.

Miałem kłopoty z utrzymaniem równowagi. Moje kończyny zwiotczały. Głowa bolała

i nawet najwyraźniejsze obiekty były poza strefą zasięgu wzrokowego. Pomyślałem, że z pewnością upadnę. Strach przed tym przybrał formę paniki.

Dzięki Bogu, szczęśliwie dotarliśmy do drzwi jej domu. Następnie poprowadziła mnie wąskimi, krętymi schodami na piętro. Wycieńczająca wspinaczka przyprawiła mnie o bicie serca w zastraszającym tempie. Pot oblewał twarz. Prawie nic nie widziałem. To było szaleństwo! Słyszałem, jak ślicznotka wsuwa klucz do zamka.

Nowy, straszny zapach zaatakował moje nozdrza. Mały, ciasny apartament okazał się konstrukcją z tektury i dykty. Niezbyt dystygowane plakaty pokrywały ściany. Byłem ciekaw, co wydzielało ów wszechobecny fetor? Wtem zorientowałem się, że pochodził od kotów, które załatwiały swoje potrzeby w kartonie z ziemią. Gdy zobaczyłem pudełko pełne kocich odchodów, pomyślałem, że to już koniec i wkrótce umrę! Stałem tak, usiłując powstrzymać wymioty. W brzuchu ponownie odezwał się piekący ból. Tym razem nie miał on nic wspólnego z głodem.

Ból narastał. Zdałem sobie sprawę, że muszę wykonać czynność podobną do tych, wykonywanych przez koty. Musiałem to zrobić zaraz albo się zhańbię. Konieczna okazała się wizyta w toalecie. Serce podeszło mi do gardła.

— Co się stało? — zapytała kobieta. — Jesteś chory?

— Czy mogę skorzystać z łazienki? — zapytałem, wskazując na otwarte drzwi.

— Oczywiście — odparła. — Śmiało.

Minęło dziesięć minut, może więcej, zanim wyszedłem. Byłem tak potężnie zde gustowany prostym procesem eliminacji — jego zapachem, uczuciem wydalania i samym widokiem — że nie mogłem wykszusić słowa. Ale to było już skończone. Dokonane. Pozostała teraz wyłącznie kwestia zaćmienia alkoholowego. Podjąłem próbę osiągnięcia kontaktu. Absolutna kompromitacja. Usiłowałem włączyć światło, ale moja ogromna, ciemna dłoń minęła cel.

Znalazłem sypialnię, bardzo ciepłą i zatłoczoną nowoczesnymi meblami z taniego laminatu.

Młoda kobieta, teraz całkowicie naga, siedziała na krawędzi łóżka. Próbowałem dojrzeć sylwetkę wyraźnie mimo zniekształcającego światła padającego z nocnej lampki. Jednak twarz była chaotyczną kompozycją brzydkich cieni, a skóra wyglądała na wiklinową. Otaczał ją czerstwy zapach łóżka.

Wszystko co zdołałem wywnioskować patrząc na kontury jej ciała, to fakt, że była przesadnie chuda. Przez mleczną skórę przebijały wszystkie żebra, a piersi miała przerażająco maleńkie z drobnymi, delikatnymi sutkami. Siedziała roześmiana, jakby to było zupełnie

naturalne. Falujące długie włosy opadały na plecy. Mały cień wstydlivosti zakrywała wiotką dłoń.

Cóż, to oczywiste, które z cudownych ludzkich doświadczeń miało teraz nastąpić. Niestety nic do niej nie czułem. Nic. Uśmiechnąłem się i zacząłem zdejmować ubranie. Zrzuciłem płaszcz i natychmiast ogarnął mnie ziąb. Dlaczego nie drżała z zimna? Potem ściągnąłem sweter i zszokował mnie zapach własnego potu. *Panie Boże, czy miało być tak jak przedtem?* Przecież wyglądałem bardzo czysto.

Nie wydawało się, żeby dostrzegła mój niepokój. I bardzo dobrze. Ściągnąłem koszulę, potem buty, skarpetki i spodnie. Miałem nadal zimne stopy. Stałem tak zmarznięty i nagi, boleśnie nagi. Nie wiedziałem, czy w ogóle mi się to podoba, czy nie. Nagle zobaczyłem się w lustrze wiszącym nad toaletką i uświadomiłem sobie, że organ najwyraźniej spoczywa teraz w pijackim śnie.

Ponownie nie wydawała się zaskoczona.

— Chodź tu! — poleciła. — Usiądź!

Posłuchałem. Cały dygotałem. Potem zacząłem kaszleć. Pierwsze kaszlnięcie było zaskakującym spazmem. Potem nastąpiła cała seria nie kontrolowanych dźwięków, z których ostatni okazał się tak gwałtowny, że poczułem ostry ból w okolicach żeber.

— Przepraszam — powiedziałem.

— Kocham twój francuski akcent — wyszeptła. Pogłaskała moje włosy i leciutko podrapała mnie paznokciem po policzku.

Przyjemne uczucie. Pochyliłem głowę i pocałowałem ją w szyję. Tak, to również było miłe. Nie tak podniecające jak zbliżanie się do ofiary, ale przyjemne. Starąłem się przypomnieć sobie, jak wyglądało uprawianie miłości dwieście lat temu, kiedy byłem postrachem wiejskich dziewcząt. Pod bramami zamku zawsze jakiś farmer przeklinał i wymachiwał pięściami, krzycząc, że jeśli jego córka zajdzie ze mną w ciążę, to zmusi mnie, bym coś z tym zrobił!

To wszystko wydawało się wtedy doskonałą zabawą. I te panny, ach, te śliczne panny.

— O co chodzi? — zapytała.

— Nie, nic — odparłem. Pocałowałem ją ponownie w szyję. Czułem pot również na jej ciele. Nie lubiłem tego. Ale dlaczego? Te zapachy nie były tak ostre, jakimi odczuwałem je w moim wam-pirzym wcieleniu. Percepcja owych woni wiązała się ze śmiertelną, całkiem wobec nich bezbronną powłoką. Wydawało się, że są czymś, co może mnie osaczyć i zakazić. Na przykład pot z jej szyi splamił moje usta. Wiedziałem, że tak jest, mogłem go posmakować i chciałem znaleźć się jak najdalej od niej.

Pomyślałem jednak, iż to czyste szaleństwo. Ona jest ludzką istotą i ja jestem ludzką istotą. Dzięki Bogu, wszystko skończy się w piątek. Właściwie dopiero wówczas będę mógł z głębi serca dziękować Bogu!

Małe kobiece sutki przywarły do mojej piersi. Były bardzo gorące, a ciało delikatne. Objąłem ramieniem niewielkie plecy.

— Jesteś rozpalony, myślę, że masz gorączkę — szepnęła mi do ucha. Pocałowała mnie w szyję w sposób, w jaki ja pieściłem wargami jej kark.

— Nie, wszystko w porządku — odparłem. Nie miałem zielonego pojęcia, czy mówię prawdę, czy nie. To była ciężka praca!

Nagle jej dłoń dotknęła mojego organu, co wywołało natychmiastowe podniecenie. Czulem, jak penis się wydłużył i twardnieje. Uczucie wstrząsnęło mną dogłębnie. Kiedy teraz patrzyłem na jej piersi i mały owłosiony trójkącik między nogami, członek sztywniał jeszcze bardziej. Tak, wszystko dokładnie pamiętam, moje oczy są przykute do łona dziewczyny i nic więcej się nie liczy. Hmmm, w porządku. Teraz tylko rzucić ją na łóżko.

— Ojej! — szepnęła. — To dopiero sprzęt!

— Doprawdy? — Opuściłem wzrok. Ten potworny instrument podwoił swój rozmiar. Teraz wydawał się nieproporcjonalny względem całej reszty. — Tak, chyba tak. Powinienem pamiętać, że to wybór Jamesa.

— Jakiego Jamesa?

— Nieważne — wymamrotałem. Obróciłem jej twarz w swoją stronę i tym razem pocałowałem wilgotne, wąskie usta. Otworzyła je, by wpuścić do środka mój język. To było niezłe, nawet mimo że nie miała zbyt świeżego oddechu. Bez znaczenia. Nagle nieoczekiwanie mój umysł zapragnął krwi. Napić się jej krwi.

Gdzież podziała się tętniąca intensywność doznania, jakie pojawiało się w momencie tropienia ofiary, tuż przed zatopieniem zębów w ciało i chleptaniem krwi?

Nie, to nie będzie łatwe. Odbędzie się między nogami i wywoła specyficzny dreszcz.

Kiedy myślałem o krwi, namiętność spotęgowała się i zdecydowanie pchnąłem kobietę na łóżko. Chciałem to skończyć, nic już się nie liczyło poza finiszem.

— Poczekaj chwilę — powiedziała.

— Na co? — Pocałowałem ją znowu i wepchnąłem język głębiej w usta. Bez krwi. Ach, jakże blado. Żadnej krwi. Mój organ wślizgnął się między rozpalone uda i prawie wytrysnął. To nie wystarczyło.

— Powiedziałaś, poczekaj! — krzyknęła, czerwieniejąc na twarzy. — Nie możesz tego zrobić bez prezerwatywy.

— O czym ty, do diabła, mówisz? — wymamrotałem. Rozumiałem znaczenie słów, ale nie miały dla mnie sensu. Przesunąłem stanowczo rękę w dół, poczułem puszyste owłosienie, a potem soczyscie mokrą szczelinę, która cudownie pachniała.

Krzyknęła, żebym z niej zszedł i odepchnęła mnie rękoma. W tym ataku furii wyglądała promieniście i pięknie. Kiedy trąciła mnie kolaniem, runąłem na nią i ponownie wepchnąłem swój organ. Poczułem słodki, gorący ucisk ciała zakleszczającego się wokół mnie, przyprawiającego o brak tchu.

— Nie! Przestań! Powiedziałaś, przestań! — krzyczała.

Nie mogłem czekać. Przez moment zastanawiałem się mglisto, co, u diabła, sprawiło, że chciała dyskutować teraz o takiej *rzeczy*. Potem wszedłem w stan ślepego, spazmatycznego podniecenia. Z organu wystrzeliło nasienie!

W jednej chwili to było wieczne. W następnej — zakończone, jakby się nigdy nie zaczęło. Leżałem na niej, oczywiście ociekający potem i lekko zirytowany lepkością całego wydarzenia, a także jej panicznymi wrzaskami.

Wreszcie przetoczyłem się na plecy. Moja głowa pękała z bólu. Atakowały mnie wszystkie paskudne zapachy pokoju.

Wyskoczyła z łóżka. Zupełnie oszalała. Płakała i trzęsła się spazmatycznie. Chwyciła z krzesła koc, którym się okryła, a potem zaczęła krzyczeć, żebym się wynosił, wynosił, wynosił.

— Co się z tobą dzieje? — zapytałem.

W odpowiedzi wyrzuciła z siebie całą serię nowoczesnych obelg.

— Ty gnoju, ty beznadziejnie głupi gnoju! Ty idioto! Kretynie! Powiedziała, że mogłem zarazić ją jakąś chorobą. Wymieniła kilka nazw. Mogła przeze mnie zajść w ciążę. Byłem palantem, dupkiem i fiutem! Miałem się natychmiast wynosić! Jak śmiałem jej to zrobić?! Muszę zjeżdżać, zanim wezwie policję.

Nagle ogarnęła mnie senność. Próbowałem wyraźnie dojrzeć kobietę w ciemnościach. Potem dostałem nagłego ataku mdłości, silniejszego niż kiedykolwiek. Usiłowałem nad tym zapanować i jedynie dzięki uporczywemu aktowi woli nie zwymiotowałem.

Wreszcie usiadłem, po czym zdołałem stanąć na nogi. Popatrzyłem na nią. Płakała i krzyczała na mnie. Nagle zauważyłem, że naprawdę była nieszczęśliwa.

Rzeczywiście ją skrzywdziłem. Na twarzy miała paskudnego siniaka.

Bardzo powoli pojąłem, co się stało. Chciała, żebym użył pewnej profilaktycznej formy, a ja wziąłem ją siłą. Nie miała w tym żadnej przyjemności. Odczuwała wyłącznie strach. Ujrzałem ją ponownie w momencie mojego szczytowania i zrozumiałem, że dla niej

było niepojęte, iż mogłem cieszyć się walką, jej furią i protestami. A jednak w pewnym sensie tak było.

Cała sprawa okazała się przerażająco ponura. Wypełniła mnie rozpaczą. Przyjemność sama w sobie okazała się pustym doznaniem! Nie zniosę tego ani chwili dłużej, pomyślałem. Gdybym tylko mógł znaleźć Jamesa, zaproponowałbym mu kolejną fortunę za natychmiastową przemianę. Znaleźć Jamesa... Zupełnie zapomniałem o szukaniu telefonu.

— Posłuchaj mnie, *ma chérie*— powiedziałem. — Tak mi przykro. Po prostu sprawy poszły nie tak. Wiem. Przepraszam.

Zamachnęła się, ale bez trudu chwyciłem jej nadgarstek.

— Wynoś się — powtórzyła — idź precz albo wezwę polię.

— Rozumiem, co do mnie mówisz. Cały czas, od chwili kiedy to zrobiłem. Zachowałem się niedelikatnie, bardzo źle. Byłem zły.

— Jesteś gorszy niż sam diabeł! — stwierdziła głębokim, surowym głosem.

Tym razem mnie spoliczkowała. Nie byłem wystarczająco szybki. Zdumiała mnie siła uderzenia. Co za denerwujący mały ból. To bolała obraza.

— Idź! — krzyknęła.

Włożyłem ubranie, ale robiąc to, zmęczyłem się jak przy tachaniu stosów cegieł. Ogarnął mnie tępy wstyd. Uczucie ogromnego zażenowania towarzyszyło najmniejszym wykonywanym gestom i każdemu słowu, jakie wypowiadałem. Pragnąłem po prostu wsiąknąć w ziemię. W końcu pozapinałem ciuchy i ponownie miałem na stopach tragicznie mokre skarpety i lekkie półbuty. Stałem gotowy do wyjścia.

Siedziała na łóżku i płakała. Włosy spływały na koc, który przyciskała do piersi. Jakże delikatnie wyglądała, jak smutnie była niepiękna i odpychająca.

Próbowałem zobaczyć ją oczami Lestata, jednak nadaremnie. Okazała się rzeczą powszechną, bezwartościową i nieinteresującą. Byłem dogłębnie wstrząśnięty. Czy w mojej wiosce też wszystko działo się w ten sposób? Usiłowałem przypomnieć sobie tamte pannice, dziewczyny martwe i zaginione na wieki, ale nie potrafiłem dojrzeć twarzy. Pamiętałem jedynie szczęście i psoty, wspaniałą obfitość, która sprawiała, że zapomniałem o zdeprawowanych i beznadziejnych okresach życia.

O czym to świadczyło w tym momencie? Jak to całe doświadczenie mogło być do tego stopnia nieprzyjemne i bezcelowe? Gdybym był sobą, zafascynowałbym ją. Nawet te niepozorne pokoiki wydawały mi się dziwaczne. Ach, to uczucie, które zawsze żywiłem do wszystkich smutnych, małych mieszkań śmiertelników. Tylko dlaczego tak było?

A ona uosabiałaoby czyste piękno tylko dlatego, że jest żywa! Nie splamiłbym się

przed nią, gdybym żywił się krwią przez godzinę. Na chwilę obecną czułem się parszywie, że z nią byłem i że okazałem się okrutny. Rozumiałem jej strach przed chorobą! Ja sam czułem się zakażony! Ale gdzie leżała perspektywa prawdy?

— Tak mi przykro — powtórzyłem. — Musisz mi uwierzyć. Nie tego chciałem. Sam zresztą nie wiem, czego chciałem.

— Jesteś szalony — wyszeptała gorzko, nie podnosząc wzroku.

— Pewnej nocy przyjdę do ciebie i przyniosę ci prezent. Coś pięknego, o czym nawet nie śniłaś. Dam ci to i może mi przebaczysz.

Nie wydobyła z siebie ani słowa.

— Czego tak naprawdę byś chciała? Pieniądze nie grają roli. Czego pragniesz, a nie możesz mieć?

Podniosła głowę i otarła nos wierzchem dłoni.

— Wiesz, czego chciałam — powiedziała niskim, cierpkim głosem.

— Nie, nie wiem. Powiedz mi.

Jej twarz była tak zniekształcona, a głos tak dziwny, że aż się przestraszyłem. Wciąż kołowało mi się w głowie od wypitego wcześniej wina, ale mój umysł nie został zmacony alkoholem. Cudowna sytuacja. Ciało pijane, a ja nie.

— Kim jesteś? — zapytała. Wyglądała teraz na twardą i zgorzkniałą kobietę. — Kim jesteś? Czy ty... ty nie jesteś tylko... — Jej głos zamarł.

— Nie uwierzyłabyś, gdybym ci powiedział.

Przekrzywiła głowę na bok i obserwowała mnie, jakby wszystko nagle zaczęło do niej docierać. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, co się dzieje w kobiecym umyśle. Wiedziałem tylko, że jest mi przykro i że jej nie lubię. Nie podobał mi się ten brudny, zabałaganiony pokój z niskim sufitem, paskudne łóżko, dywan, mgliste światło i pudełko dla kotów.

— Zapamiętam cię — powiedziałem czule. — Wrócę i przyniosę dla ciebie coś cudownego, czego sama nigdy byś nie zdobyła. Dar prawie z innego świata. Jednak teraz muszę iść.

— Tak — przyznała. — Lepiej idź.

Odwrociłem się do drzwi. Pomyślałem o zimnie na zewnątrz,

o Mojo czekającym w korytarzu, o domu z tylnymi drzwiami wyrwanymi z zawiasów, o pieniądzach i o telefonie.

Ach, telefon.

Miała aparat. Wypatrzyłem go na toaletce.

Kiedy odwróciłem się i szedłem w jego stronę, wrzasnęła coś i rzuciła czymś. Chyba

butem. Trafiała mnie w ramię, ale nie poczułem bólu. Ująłem słuchawkę i dwukrotnie wykręciłem zero, aby uzyskać połączenie z Nowym Jorkiem. Telefonowałem do swojego agenta.

Ciągle długi przerywany sygnał. Nikt się nie zgłaszał. Nawet automatyczna sekretarka. Było to bardzo dziwne i cholernie denerwujące.

Widziałem w lustrze odbicie kobiety. Patrzyła na mnie w milczącym gniewie, otulona kocem niby lśniąca, nowoczesną sukienką. Jakże to wszystko było patetyczne co do najdrobniejszego szczegółu.

Wykręciłem numer agenta w Paryżu. Telefon znowu dzwonił wielokrotnie, ale w końcu odezwał się znajomy głos... Szybko wyjaśniłem po francusku, że przebywam w Georgetown i potrzebuję dwudziestu tysięcy dolarów, nie, lepiej trzydziestu i muszę je mieć natychmiast.

Agent wytłumaczył mi, że w Paryżu dopiero świta. Będzie musiał poczekać do otwarcia banków, ale prześle pieniądze najszybciej, jak tylko zdoła. Powinny dotrzeć do Georgetown koło południa. Zapamiętałem nazwę instytucji, w której miałem odebrać gotówkę, i błagałem go o natychmiastowe działanie. Znajdowałem się w skrajnej potrzebie. Zostałem bez grosza. Miałem długi. Zapewnił mnie, że zajmie się tym bezzwłocznie. Odłożyłem słuchawkę.

Kobieta nie odrywała ode mnie wzroku. Nie sędzę, by zrozumiała rozmowę telefoniczną. Nie mówiła po francusku.

— Zapamiętam cię — obiecałem.— Proszę, wybac mi. Teraz wyjdę. I tak narobiłem ci dość kłopotów.

Nie odpowiedziała. Popatrzyłem na nią, próbując po raz ostatni pojąć, dlaczego wyglądała tak prostacko i nieinteresująco. Dlaczego wcześniej każde życie wydawało mi się piękne, a wszystkie istoty wariacjami na ten sam temat? Nawet James miał w sobie przerażające, lśniąco piękno jak wielki żuk palmowy albo mucha.

— Do widzenia, *ma chérie* — powiedziałem. — Bardzo mi przykro... naprawdę.

Znalazłem Mojo siedzącego cierpliwie na zewnątrz mieszkania. Miąłem go pospiesznie i pstryknąłem palcem, by podążył za mną, co też uczynił. Opuściwszy budynek, weszliśmy w zimną noc.

Pomimo szalejącego po kuchni wiatru i lodowatych podmuchów wokół drzwi jadalni, pozostałe pomieszczenia były stosunkowo ciepłe. Strumień gorącego powietrza wydobywał się z małych, mosiężnych krat w podłodze. Jak miło ze strony Jamesa, że uruchomił ogrzewanie, pomyślałem. Zamierzał przecież wynieść się z tego miejsca natychmiast po

otrzymaniu dwudziestu milionów. Rachunek miał pozostać nie zapłacony.

Udałem się na górę i przeszedłem przez główną sypialnię do łazienki. Było to przyjemne pomieszczenie, całe w kafelkach i lustrach, z kabiną prysznicza za drzwiami ze lśniącego szkła. Sprawdziłem wodę. Gorąca. Zrzuciłem mokre i cuchnące ubranie. Ułożyłem skarpetki na grzejniku, starannie poskładałem sweter. Ostatecznie to jedyne rzeczy, jakie posiadałem. Następnie przez długi czas stałem pod ciepłym prysznicem.

Z głową opartą o kafelki nieomal usnąłem na stojąco. Potem jednak zacząłem szlochać, a później równie spontanicznie kaszleć. Czułem intensywne pieczenie w klatce piersiowej, a także swędzenie w nosie.

W końcu wyszedłem z kabiny, osuszyłem się ręcznikiem i obejrzałem w lustrze ciało. Nie zauważyłem żadnych blizn ani plam. Ramiona miałem silne, ale gładko umięśnione podobnie jak klatkę piersiową, nogi zgrabnie uformowane. Twarz była prawdziwie piękna, a śniada skóra prawie idealna, choć nie zostało w niej nic z chłopięcego uroku, jak w moim własnym obliczu. Oto twarz mężczyzny — prostokątna, nieco kanciata, ale piękna, niezwykle piękna, może z powodu olbrzymich oczu. Zaczynał pojawiać się zarost. Musiałem się ogolić. Cóż za niedogodność.

— Powinno być wspaniale — powiedziałem na głos. — Masz ciało dwudziestosześcioletniego człowieka w idealnym stanie. A żyjesz w koszmarze. Robisz jeden głupi błąd po drugim. Czemu nie potrafisz sprostać wyzwaniu? Gdzie twoja wola i siła?

Czułem dreszcze. Mojo ułożył się do drzemki na podłodze, w nogach łóżka. Też powinienem pójść w jego ślady, pomyślałem. Usnę jak śmiertelnik, a gdy się obudzę, światło słoneczne opromieni pokój. Nawet jeśli niebo się nie przejaśni i pozostanie szare, będzie cudownie. Zobaczę dzień. Ujrzę to, czego pragnąłem przez długie lata. Zapomnę o ciągłej walce, małych problemach i strachu.

Zaczynało mnie jednak ogarniać przerażające podejrzenie. Czyżby życie śmiertelnika nie było niczym więcej niż nieustającą walką, zbiorem problemów i strachem? Czyż nie tego doświadczała większość ludzi? Czyż nie takie przesłanie niosły dzieła współczesnych pisarzy i poetów... że tracimy życie koncentrując się na błahostkach? Czy nie taki był tragiczny stereotyp?

Czułem się gorzko wstrząśnięty. Próbowałem raz jeszcze przekonać sam siebie. Ale czy miało to sens?

Męczyłem się w tym niemrawym ludzkim ciele! Brakowało mi ponadnaturalnych mocy, a świat oglądany oczami śmiertelnika okazał się obscurny i nędzny, niebezpieczny i pełen wypadków. Jaki świat? Nie zdążyłem przecież zobaczyć zbyt wiele.

Ach, ale jutro! O Boże, kolejny nędzny stereotyp! Zacząłem się śmiać i ponownie złapał mnie atak kaszlu. Tym razem ból w gardle spotęgował się, a oczy łzawiły. Trzeba zasnąć, odpocząć, lepiej przygotować się do spędzenia jednego cennego dnia, postanowiłem.

Zgasiłem lampę i odchyliłem narzutę. Pościel była czysta, za co poczułem wdzięczność. Położyłem głowę na poduszce, przyciągnąłem kolana do piersi, a kołdrę pod brodę. Byłem gotowy do snu. W nieokreślony sposób uświadomiłem sobie, że gdyby w domu wybuchł pożar, zginąłbym. Podobnie, gdyby z instalacji grzewczej zaczęły wydobywać się opary gazu. Ktoś mógł się włamać i zamordować mnie. Mogłem brać pod uwagę wszelkie rodzaje nieszczęść. Miałem jednak Mojo, czyż nie? Czułem się potwornie zmęczony!

Obudziłem się wiele godzin później.

Kaszlałem gwałtownie i byłem straszliwie zmarznięty. Potrzebowałem chusteczki. Znalazłem pudełko jednorazówek i wydmuchałem nos ze sto razy. Potem gdy mogłem już oddychać, ogarnęło mnie dziwne, gorączkowe wyczerpanie i złudne uczucie, że unoszę się, choć leżałem na łóżku jak kłoda.

To tylko zwyczajne przeziębienie, pomyślałem. Rezultat nadmiernego wychłodzenia organizmu. Będę miał majaki, ale to również doświadczenie, które powinienem zgłębić.

Gdy ocknąłem się następnym razem, pies stał obok i lizał mnie po twarzy. Wyciągnąłem dłoń, dotknąłem ciepłego nosa i roześmiałem się, a potem znowu kaszlałem. Gardło płonęło. Uświadomiłem sobie, że kaszlę już od jakiegoś czasu.

Było zupełnie jasno. Cudownie jasno. Dzięki Bogu, nareszcie światłość w tym mrocznym świecie. Usiadłem. Przez chwilę za bardzo kręciło mi się w głowie, żeby racjonalnie odbierać to, co widziałem.

Niebo prześwitujące przez okna było idealnie niebieskie, wi-brująco błękitne, a słońce zalewało swym światłem wypolerowaną podłogę. Wspaniały, jasny świat — nagie gałęzie drzew z białymi pokrywami śniegu, ośnieżone dachy naprzeciwko, pokój pełen jaskrawych i lśniących kolorów, ze światłem odbijającym się w lustrze, kryształowym kieliszku na toalecie, mosiężnych gałkach w drzwiach łazienki.

— *Mon Dieu*, spójrz na to, Mojo — wyszeptałem i podbiegłem do okna, żeby je otworzyć. Uderzyło mnie zimne powietrze, ale czy mogło się to liczyć? Wystarczyło spojrzeć na głęboki kolor nieba, płynące po nim białe chmury, bogatą, bujną zielen wysokich sosen na sąsiednim dziedzińcu.

Nagle zacząłem szlochać w nie kontrolowany sposób i równocześnie boleśnie kaszleć.

— To cud — wyszeptałem. Mojo trącił mnie, wydając wysoki skowyt. Cierpienia śmiertelnika przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Dokonała się biblijna obietnica, nie

spełniona przez setki lat.

ROZDZIAŁ 12

W parę chwil po opuszczeniu miejskiego domu i wyjściu w promienne światło dnia wiedziałem, że doświadczenie warte będzie wszystkich prób i cierpień. A żadne ludzkie przeziębienie z osłabiającymi symptomami nie powstrzyma mnie przed swawoleniem w porannym blasku.

Mniejsza o irytujące dokuczliwości, których pojawiało się coraz więcej. Ogólna słabość fizyczna doprowadzała mnie do szaleństwa. Stapałem za M oj o ciężkim, nieomal kamiennym krokiem. Denerwowało mnie, że nie mogłem unosić się w powietrzu. Otwarcie drzwi do sklepu z mięsem wymagało kolosalnego wysiłku. Wszystkie objawy przeziębienia nasilały się z każdą chwilą.

Gdy Mojo pochłonał śniadanie w postaci wyproszonych u rzeź-nika okrawków, razem zanurzyliśmy się w świetle dnia. Czułem się pijany wizją słońca opromieniającego szyby okien i mokre chodniki, lśniące lakierem dachy pojazdów, szkliste kałuże roztopionego śniegu, witryny sklepowe i ludzi... tysiące i tysiące szczęśliwych osób pędzących do pracy, w miejsca załatwiania interesów.

Jak bardzo różnili się od ludzi nocą. Przede wszystkim czuli się bezpiecznie w świetle dnia, spacerowali i rozmawiali, nie mając się na baczności, prowadząc liczne transakcje, które rzadko załatwiają z równym wigorem po zapadnięciu zmroku.

Ach, znów mogłem zobaczyć matki holujące w wózkach radosne dzieci i układające owoce w koszach na zakupy. Obserwowałem hałaśliwe wozy dostawcze na pokrytych breją ulicach, gdzie mus-

kularni mężczyźni przez tylne drzwi wnosili wielkie kartony i skrzynie z towarami! Patrzyłem na ludzi odśnieżających ścieżki i parapety. Oglądałem kawiarnie wypełnione przyjemnie roztargnionymi istotami spożywającymi wielkie ilości kawy i wonne śniadania, słęczącymi nad poranną prasą, irytującymi się pogodą lub dyskutującymi o pracy. Zachwycało mnie przyglądanie się grupom dzieci w czystych szkolnych mundurkach, dzielnie stawiających czoło lodowatemu wiatrowi i organizujących zabawy na zalanym słońcem, asfaltowym dziedzińcu.

Wielka, optymistyczna energia łączyła wszystkie te istoty. Czułem ją emanującą od studentów spieszących dokądś między budynkami uniwersyteckiej dzielnicy lub zbierających się w ciepłych restauracjach.

Jak kwiaty, tak samo ci ludzie otwierali się na światło, przyspieszali kroku i szybciej

mówili. A kiedy poczułem żar słońca na twarzy i dłoniach, również się rozwarłem niby pęk. Czulem, że chemia śmiertelnego ciała wysyła odpowiedź, pomimo przeciążenia głowy i uciążliwego bólu w przemarzniętych dłoniach i stopach.

Ignorując pogarszający się z każdą godziną kaszel oraz nowe zamazanie wizji, które straszliwie mi dokuczało, zabrałem Mojo na hałaśliwą M Street. Włóczyliśmy się między marmurowymi płytami pamiątkowymi i pomnikami, olbrzymimi, imponującymi biurowcami i rezydencjami, wędrowaliśmy poprzez smutne piękno cmentarza Arlington z tysiącami maleńkich, identycznych nagrobków i odwiedziliśmy elegancki pałac wielkiego generała Konfederacji, Roberta E. Lee.

Zaczynałem majaczyć. Bardzo możliwe, że gorączka wzmagала poczucie szczęścia, wywołując senny, oszalały nastrój jak u osoby pijanej lub znajdującej się pod wpływem narkotyków. Nie wiem. Pamiętam tylko, że byłem szczęśliwy, bardzo szczęśliwy, a świat w dzień nie przypominał świata w nocy.

Wielu turystów nie zwracało uwagi na zimno, gdyż podobnie jak ja chcieli obejrzeć sławne miejsca. Delektowałem się w milczeniu ogólnym entuzjazmem przechodniów, uświadamiając sobie, że są tak samo pod wrażeniem rozległych perspektyw stolicy, jak ja pozostają pod urokiem ich zachowań... że radowało ich i podniecało błękitne niebo oraz wiele spektakularnych pomników upamiętniających osiągnięcia rodzaju ludzkiego.

— Jestem jednym z nich! — uświadomiłem sobie nagle... już nie Kainem wiecznie żądnym krwi brata. Rozejrzałem się w oszołomieniu. — Jestem jednym z was!

Przez długą chwilę wpatrywałem się w miasto z wysokości Arlington, drżąc z zimna, a nawet cichutko łkając z powodu zaskakującego spektaklu; tak zwyczajnego, reprezentatywnego dla zasad wielkiego Wieku Rozumu; i żałując, że nie ma ze mną Louisa albo Davida, czując w sercu ból na myśl o ich dezaprobach dla tego, co uczyniłem.

Och, ujrzałem prawdziwą planetę, żywą ziemię narodzoną dla słońca i ciepła, nawet pod błyszczącą powłoką zimowego śniegu.

W końcu udałem się w dół wzgórza. Mojo biegł parę kroków przede mną, a czasami zawracał, by dotrzymać mi towarzystwa. Wędrowałem wzdłuż brzegów zamrzniętego Potomacu, podziwiając refleksy słońca na lodzie i topiącym się śniegu. Już sama obserwacja była zabawna.

Popołudniową porą raz jeszcze znalazłem się w marmurowym Jefferson Memoriał, eleganckim i przestronnym, greckiej budowli, na której ścianach wyryto najbardziej uroczyste i wzruszające słowa. Moje serce rosło z dumy, gdy uświadomiłem sobie, że w ciągu tych cennych godzin nie byłem odcięty od wyrażanych tu sentymentów. W rzeczy samej, na jedną

krótką chwilę mieszałem się z tłumem i stałem się nie do odróżnienia wśród innych.

To jednak było kłamstwo, czyż nie? Nosilem w sobie winę. Została na zawsze zapisana w ciągłości pamięci, w nie dającej się zredukować, zindywidualizowanej duszy: Lestat — morderca, Lestat — nocny myśliwy. Pomyślałem o ostrzeżeniu Louisa: „Nie możesz zostać człowiekiem, po prostu zamieszkując w ludzkim ciele!” Widziałem na jego twarzy wyraz smutku i rozpacz.

Jednak, Wielki Boże, jeżeli Wampir Lestat nigdy nie istniał? Jeśli był tylko kreacją literacką, czystym wynalazkiem człowieka, w którego ciele teraz żyję i oddycham? Cóż za piękny pomysł!

Przez długi czas stałem na stopniach pomnika ze spuszczoną głową, a wiatr targał moje ubranie. Uprzejma kobieta powiedziała mi, iż wyglądam na chorego, więc powinienem pozapinać guziki płaszcza. Zajrzałem jej w oczy i uświadomiłem sobie, że ona widzi przed sobą jedynie młodego mężczyznę. Nie bała się ani nie miała zawrotów głowy. Ja natomiast nie odczuwałem potrzeby pozbawie-

nia jej życia, gdyż za bardzo rozkoszowałem się moim. Biedna istota z bladoniebieskimi oczami i rzadkimi włosami! Nagle chwyciłem ją za pomarszczoną rękę, na której złożyłem pocałunek. Powiedziałem po francusku, że ją kocham. Szczupłą, zwiędniętą twarz opromienił uśmiech. Wydała mi się równie urocza jak każdy człowiek, jakiego oglądałem oczami wampira.

Wstrętna niegodziwość ostatniej nocy została wymazana w świetle dnia. Sądzę, że największe marzenie o przygodzie w ludzkim ciele zostało zaspokojone.

Wokół mnie nadal szalała sroga zima. Nawet radośni pod błękitnym niebem ludzie rozmawiali o nadchodzącej, jeszcze gorszej śnieżycy. Zamykano wcześniej sklepy, ulice stawały się nieprzejezdne, odwołano wszelkie loty. Przechodzień poradził, bym kupił świece, bo istniało niebezpieczeństwo awarii elektryczności. Stary dżentelmen w grubej wełnianej czapce na głowie zganił mnie za noszenie tak lekkiego nakrycia głowy jakim jest kapelusz. Znowu jakaś kobieta oznajmiła, że wyglądam na chorego i powinienem jak najszybciej wracać do domu.

To tylko przeziębienie, odpowiadałem. Wystarczy syrop przeciw-kaszlowy. Raglan James będzie wiedział, co robić, gdy odzyska ciało. Nie za bardzo się ucieszy, ale ułagodzi go dwadzieścia milionów. Poza tym zostały jeszcze całe godziny na zażycie lekarstwa i odpoczynek.

Obecnie miałem zbyt fatalne samopoczucie, żeby martwić się takim drobiazgiem. Straciłem już dość czasu na mało ważne rozproszenia uwagi oraz rzekome rozrywki.

Remedium na drobne przykrości życia... prawdziwego życia... znajdowało się pod ręką.

Rzeczywiście całkiem straciłem rachubę czasu. Pieniądze powinny już na mnie czekać w agencji. Zerknąłem na zegar w oknie wystawowym. Czternasta trzydzieści. Tani bubel na moim nadgarstku wskazywał to samo. Cóż, zostało mi zaledwie trzynaście godzin.

Trzynaście godzin w tym okropnym cieple, z pulsującym bólem głowy i obolałymi kończynami! Moje zadowolenie ulotniło się w nagłym dreszczu zimnego strachu. Och, ale dzień był zbyt piękny, by rujnować go tchórzostwem! Po prostu szybko rozproszyłem ponure myśli.

Przypomniał mi się fragment jakiegoś wiersza... a potem nadeszły mgliste wspomnienia ostatniej zimy przeżytej jako śmiertelnik,

kulenia się przed kominkiem w wielkim holu domu ojca oraz desperackich prób rozgrzania rąk nad ogniem. Jednak obecnie tkwiłem w określonym miejscu i czasie, który był całkowicie obcy dla rozgorączkowanego, kalkulującego, złośliwego umysłu. Oczarowało mnie tętniące dookoła życie i przez całe godziny nie doświadczałem żadnych przykrości ani trosk.

Było to wyjątkowe, absolutnie wyjątkowe. A w stanie euforii miałem pewność, że na zawsze zabiorę ze sobą pamięć o tym prostym dniu.

Powrotny spacer do Georgetown chwilami zakrawał na wyczyn niewykonalny i zgoła bohaterski. Zaraz gdy opuściłem Jefferson Memoriał, niebo zaczęło się chmurzyć i szybko przybierać barwę stalowoszarą. Światło dosłownie wysychało, jakby było ciecżą.

Uwielbiałem jednak nawet tę melancholijną manifestację dnia ustępującego nocy. Zahipnotyzował mnie widok niespokojnych śmiertelników zamykających sklepy i spieszących pod wiatr z torbami pełnymi zakupów, a także świateł samochodów rozweselających ponury mrok.

Zrozumiałem, że nie będzie zmierzchu. Bardzo smutne. Jednak jako wampir często widywałem zachód słońca. Czemu więc miałbym narzekać? Niezależnie od tego przez sekundę żałowałem, że spędziłem bezcenny czas w szponach ostrej zimy. A przecież z powodów, które ledwie sam potrafiłem zdefiniować, tego właśnie pragnąłem. Zimy równie surowej jak te z mojego dzieciństwa, ostrej jak za czasów pobytu w Paryżu, kiedy Magnus zaniósł mnie do swojej nory. Otrzymałem, czego pragnąłem. Byłem usatysfakcjonowany. I zadowolony.

Zanim dotarłem do agencji, teraz nawet ja już zdawałem sobie sprawę, że gorączka oraz dreszcze nasilają się. Musiałem sobie poszukać schronienia i pożywienia. Ucieszyłem się na wieść, że pieniądze już nadeszły. Nowa karta kredytowa została wydana na mój paryski

pseudonim — Lionel Potter. Przygotowano też portfel z czekami podróznymi. Wsadziłem to wszystko do kieszeni, a potem ku przerażeniu oniemiałego kasjera, dołożyłem tam trzydzieści tysięcy dolarów w nowiułkach banknotach.

— Ktoś pana napadnie i ograbi! — wyszeptał, pochylając się nad ladą. Wspomniał coś o zdeponowaniu gotówki w banku przed zamknięciem, ale niezupiełnie go zrozumiałem. Następnie radził mi pójść na pogotowie, jeszcze przed nadejściem zamieci. Praktycznie co zimę wybucha epidemia grypy i obecnie wielu na nią cierpi.

Dla świętego spokoju przyznałem mu rację, ale nie miałem najmniejszego zamiaru spędzać pozostałych mi śmiertelnych godzin w objęciach lekarzy. Poza tym nie było to konieczne. Uważałem, że potrzebuję jedynie żywności i czegoś ciepłego do picia oraz spokoju w hotelowym fotelu. Potem zwrócę Jamesowi ciało w przyzwoitym stanie i wskoczę szybko w moje.

Na początek potrzebowałem nowych ubrań. Był dopiero kwadrans po piętnastej, czyli zostało dwanaście godzin, a ja nie miałem ochoty przebywać ani minuty dłużej w brudnych i parszywych szmatach!

Dotarłem do wielkiego centrum Georgetown Hali tuż przed zamknięciem, ale zdołałem podejść do działu odzieżowego, gdzie pospiesznie wybrałem potrzebne *rzeczy*, które zapakował mi zniecierpliwiony sprzedawca. Fala zawrotów głowy dopadła mnie, gdy podawałem mu plastikową kartę. Rozbawił fakt, że nagle pozbył się swojej nieuprzejmości i teraz na chybił trafił próbował sprzedać mi szale oraz krawaty. Miałem trudności ze zrozumieniem jego słów. Ach, tak, proszę zapakować. Dam to Jamesowi o trzeciej rano. On lubi dostawać *rzeczy* za darmo. Jasne, drugi sweter i szal również, czemu nie.

Kiedy wreszcie zdołałem umknąć z ciężkim brzemieniem pudeł i toreb, dopadła mnie druga fala osłabienia. Dookoła mnie narastała ciemność. O mało co nie upadłem na kolana, a potem na podłogę. Z pomocą pospieszyła mi urocza młoda kobieta. — Wygląda pan, jakby miał zaraz zemdleć! Pociłem się teraz obficie i nawet w ciepłym budynku drżałem z zimna.

Wyjaśniłem kobiecie, że potrzebuję taksówki, ale nie udało się żadnej znaleźć. Tłumy na M Street znacznie się przerzedziły, ponownie padał gęsty śnieg.

Parę przecnic dalej odkryłem elegancki, ceglany hotel o romantycznej nazwie „Cztery pory roku”. Ruszyłem w jego kierunku, pomachawszy na pożegnanie pięknej i życzliwej kobiecie. Pochylając głowę przed naporem wiatru, myślałem z radością, że hotel będzie bezpieczny i ciepły. Rozkoszowałem się wymawianiem na głos pełnej znaczenia, melodyjnej nazwy. Mogłem zjeść tam kolację, a do okropnego domu w mieście wrócić dopiero na czas zamiany.

Kiedy wreszcie dotarłem na miejsce, lokal okazał się więcej niż satysfakcjonujący. Złożyłem olbrzymi depozyt gwarantując, że Mojo będzie równie czysty i dżentelmeński jak ja sam. Apartament dostałem okazały, z wielkimi oknami wychodzącymi na Potomac, puszystymi pastelowymi dywanami, łazienką o rozmiarach mogących zadowolić rzymskiego imperatora, telewizorem i lodówką ukrytymi w eleganckich drewnianych szafkach oraz mnóstwem innych urządzeń.

Od razu zamówiłem ucztę dla siebie i Mojo. Potem otworzyłem mały barek wyładowany słodyczami i różnymi napitkami. Nalałem sobie szkockiej. Upiorny smak! Jak, do licha, David może pić coś takiego? Dużo lepiej smakowała czekolada. Cholernie fantastycznie! Pożarłem całą tabliczkę, a potem ponownie zadzwoniłem do restauracji i zamówiłem każdy czekoladowy deser, jaki mieli w karcie.

David, muszę zadzwonić do Davida, pomyślałem. Wydawało mi się jednak niemożliwością wstać z krzesła i podejść do telefonu stojącego na biurku. Poza tym wiele spraw musiałem jeszcze przemyśleć, zanim je przedyskutujemy. Do diabła z utrapieniami, doświadczenie było odjazdowe! Zacząłem już nawet przywykać do olbrzymich dłoni i porowatej, ciemnej skóry. Nie wolno mi zasnąć. Co za strata...

Obudził mnie dzwonek! A jednak zasnąłem. Minęło całe pół godziny śmiertelnego czasu. Podnosiłem się na nogi z takim trudem, jakbym miał na sobie tonę cegieł. Jakoś zdołałem otworzyć drzwi i wpuściłem pokojówkę, atrakcyjną kobietę w średnim wieku. Wtoczyła do salonu przykryty płótnem stół wyładowany jedzeniem.

Oddałem stek Mojo, kładąc mu jako serwetkę ręcznik z łazienki. Zaczął chciwie żuć. Oczywiście na leżąc jak wszystkie wielkie psy, przy czym wyglądał groźnie niczym lew leniwie ogryzający nieszczęsną ofiarę unieruchomioną w potężnych łapach.

Od razu wypiliśmy gorącą zupę, nie będąc w stanie poczuć smaku, co należało złożyć na karb paskudnego przeziębienia. Wino okazało się wyborne, dużo lepsze niż to, które piłem ubiegłej nocy, choć nadal wydawało mi się rzadkie w porównaniu z krwią. Wychyliłem dwie szklanki i miałem pożreć drugie danie, gdy zorientowałem się, że zdenerwowana pokojówka nadal stoi przy drzwiach.

— Jest pan chory — zauważyła. — Bardzo, bardzo chory.

— Nonsens, *ma chérie* — odparłem. — To przeziębienie, nic więcej. — Sięgnąłem do kieszeni koszuli po plik banknotów, wręczyłem jej kilka dwudziestek i kazałem odejść.

Zrobiła to bardzo niechętnie.

— Kaszel jest silny — wskazała jeszcze. — Myślę, że naprawdę potrzebuje pan pomocy lekarza. Dużo czasu spędził pan na zewnątrz, czyż nie?

Wlepiłem w nią wzrok, całkowicie wzruszony jej troską. Uświadomiłem sobie, że znajduję się w niebezpieczeństwie wybuchnięcia płaczem. Chciałem ją ostrzec, iż jestem potworem, a ciało zostało po prostu ukradzione. Była niezwykle czuła, niepoprawnie życzliwa.

— Wszyscy jesteśmy jednością — powiedziałem. — Cała ludzkość. Musimy troszczyć się o siebie nawzajem, prawda?

Sądziłem, że po tak wyświechtanych banałach, wyrażonych z pijackim przekonaniem, kobieta wyjdzie. Nie uczyniła tego.

— Owszem — przyznała. — Lepiej natychmiast zadzwonię po doktora, to może zdąży przed nadejściem zamieci.

— Nie, moja droga, idź już — poprosiłem.

Rzuciła mi ostatnie, pełne niepokoju spojrzenie i opuściła apartament.

Skonsumowałem talerz kluseczek w sosie serowym; kolejna, pozbawiona smaku porcja soli; a potem począłem dumać, czy pokojówka nie miała racji. Przeszedłem do łazienki i zapaliłem światło. Mężczyzna w lustrze wyglądał okropnie, oczy miał przekrwione, całe ciało rozedrgane, a naturalnie ciemną skórę bladą, wręcz trupią.

Próbowałem oszacować temperaturę, kładąc dłoń na czole, ale nic mi z tego nie przyszło. Z pewnością nie umrę od przeziębienia, pomyślałem. Po chwili jednak zachwiałem się w swoim przekonaniu. Przypomniała mi się troska na obliczu pokojówki, a także na twarzach ludzi, z którymi wcześniej rozmawiałem. Zaczął mną szarpać kolejny napad kaszlu.

Muszę działać, postanowiłem. Ale jak? Co, jeśli lekarz poda jakiś medykament, który tak mnie osłabi, że nie zdołam wrócić do domu Jamesa? Lub jeśli środek leczniczy zakłóci koncentrację, co uniemożliwi dokonanie zamiany? Wielki Boże, nawet nie próbowałem unieść się z ludzkiego ciała, a przecież przychodziło mi to bez trudu we własnej powłóce.

Jednakże teraz nie zamierzałem eksperymentować. Może nie potrafiłbym wrócić? Postanowiłem zaczekać na Jamesa i trzymać się z dala od doktorów oraz igieł.

Zabręczał dzwonek. Znów pojawiła się pokojówka o miękkim sercu, tym razem z torbą wypchaną lekarstwami — buteleczkami z czerwoną i zieloną cieczą, paczuszkami pigułek.

— Naprawdę powinien pan wezwać lekarza — upierała się, układając medykamenty w rzędzie na marmurowym stoliku. — Może jednak?

— Absolutnie nie — zaprotestowałem, wręczając jej napiwek i lekko popychając w stronę drzwi. Zdążyła jeszcze zapytać, czy może wyprowadzić psa, który zjadł już kolację.

Uznałem, że to świetny pomysł i wcisnąłem w dłoń dodatkowe banknoty. Kazałem

Mojo pójść za kobietą i robić, co każe. Pies ją najwidoczniej fascynował. Wymruczała coś na temat tego, że zwierzę ma łeb większy od ludzkiej głowy.

Wróciłem do łazienki i wbiłem wzrok w przyniesione specyfikiki. Nie miałem na nie specjalnej ochoty. Jednak zwrócenie chorego ciała byłoby niedzentelemeńskie. James mógłby go nie zechcieć. Chociaż wątpię w to. Weźmie dwadzieścia milionów wraz z kaszlem i przeziębieniem.

Pociągnąłem łyk ohydneho zielonego lekarstwa, z całych sił zwalczając mdłości, a potem zawlokłem się do salonu i opadłem na krzesło obok biurka.

Znalazłem tam firmową papeterię hotelu i pióro kulkowe. Zacząłem pisać, co okazało się wyjątkowo trudne biorąc pod uwagę te wielkie palce. Jednak nie ustawałem w wysiłkach i wytrwale, a zarazem pospiesznie i szczegółowo, notowałem wszystkie uczucia i spostrzeżenia.

Pisałem i pisałem, choć głowa ciążyła niczym ołów, a oddychanie wymagało coraz większego nakładu energii. W końcu zabrakło papieru, a ja nie byłem już w stanie odczytać własnych bazgrołów. Wepchnąłem zapiski do koperty, zakleiliśmy ją i zaadresowałem do swojego mieszkania w Nowym Orleanie. Następnie schowałem list do kieszeni koszuli, w bezpieczne miejsce pod swetrem, skąd nie mógł zginąć.

Wreszcie rozciągnąłem się na podłodze. Potrzebowałem snu. Odpoczynek zabierze mi wiele śmiertelnych godzin, ale nie miałem siły robić nic innego.

Jednak głęboki sen nie nadchodził. Zamiast tego wpadłem w gorączkową drzemkę pełną uczucia strachu. Pamiętałem, że pokojówka odprowadziła Mojo i ponownie mówiła mi, że jestem chory.

Pojawiła się też sprzątaczką z drugiej zmiany. Krzątała się po apartamencie około godziny. Mojo legł obok mnie, a ja się w niego wtuliłem, wdychając cudowny zapach sierści. Nawet jeśli nie był tak ostry jak u moich dogów, przez chwilę myślałem, że znalazłem się ponownie w czasach dzieciństwa we Francji.

Wspomnienia tamtych dni zatarły w pewnym sensie obecne doświadczenie. Od czasu do czasu otwierałem oczy, widziałem aureolę płonącej lampy i ciemne odbłaski szyb na meblach. Zastanawiałem się, czy słychać padający na zewnątrz śnieg.

W pewnym momencie podniosłem się na nogi i ruszyłem do łazienki. Niestety uderzyłem mocno głową o framugę i upadłem na kolana. *Mon Dieu*, te drobne cierpienia! Jak radzą sobie z nimi śmiertelnicy? Jak ja to niegdyś znosiłem? Co za ból! Pulsuje niczym ciecz rozlewająca się pod skórą.

Czekały mnie jeszcze gorsze próby. Rozpacзлиwa konieczność zmusiła mnie do

skorzystania z toalety. Potem musiałem się starannie umyć, bo aż drżałem z obrzydzenia. Raz po raz szorowałem ręce! Roześmiałem się, gdy odkryłem, iż twarz pokrywa ciemny zarost, niby skorupa oblepiająca górną wargę, podbródek, a nawet szyję. Jak wyglądałem? Jak szaleniec lub bezdomny włóczęga. Nie mogłem się ogolić. Nie miałem brzytwy, a gdybym miał, poderzwałbym sobie pewnie gardło.

Ależ brudna koszula. Zapomniałem przebrać się w zakupione ubrania. Czy nie było już na to za późno? W zamroczonym zdumieniu zobaczyłem, że zegarek wskazuje drugą. Wielki Boże, godzina transformacji była tuż, tuż.

— Chodź, Mojo — poleciłem. Wybraliśmy schody zamiast windy, lecz trudno tu mówić o bohaterskim wyczynie, gdyż znajdowaliśmy się na pierwszym piętrze. Wyślizgnęliśmy się przez cichy i wyludniony hol prosto w noc.

Wszędzie zalegały głębokie zasy. Ulice stały się nieprzejezdne. Czasami zapadałem się niemal po pachy w śniegu, a Mojo od czasu do czasu lizał moją twarz, prawdopodobnie pragnąc ją ogrzać. Jednak z uporem piąłem się w górę zbocza, niezależnie od stanu fizycznego i psychicznego. W końcu skręciłem za róg i ujrzałem światła znajomego domu.

Ciemną kuchnię wypełniał głęboki, puszysty śnieg. Już miałem przez niego brnąć, gdy zorientowałem się, że pod spodem leży śliska warstwa zamrożonej wody pozostałej po wczorajszej burzy. Pomimo to udało mi się bezpiecznie dotrzeć do salonu i ułożyć opanowane dreszczami ciało na podłodze. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że zapomniałem płaszcza, łącznie z wetkniętymi w kieszenie pieniędzmi. W koszuli pozostało zaledwie parę banknotów. Mniejsza z tym. Wkrótce pojawi się złodziej ciał. Odzyskam własną powłokę i swoją moc! Jakże będzie słodko dumać o minionych przeżyciach w bezpiecznej kryjówce w Nowym Orleanie, kiedy choroba i zimno odejdą w zapomnienie, ból przestanie istnieć, a ja zostanę znowu Wampirem Lestatem, unoszącym się ponad dachami, sięgającym wyciągniętą dłonią do odległych gwiazd.

Dom był zimny w porównaniu z hotelem. Zerknąłem na kominek i spróbowałem rozpalic ogień siłą woli. Potem zaśmiałem się, przypominając sobie, że nie jestem jeszcze Lestatem. James powinien jednak wkrótce się pojawić.

— Mojo, nie zniosę tego ciała ani chwili dłużej — wyszeptalem.

Pies siedział przed frontowym oknem, wyglądał w noc i sapał, a gorący oddech osiadał w postaci pary na przyciemnionej szybie.

Próbowałem czuwać, ale oczy mi się same zamykały. Im bardziej marzłem, tym stawałem się senniejszy. Nie opuszczała mnie zatrwazająca myśl. Co będzie, jeśli nie zdołam w wyznaczonym momencie unieść się z ciała? Skoro nie mogłem zapalić ognia, skoro nie

potrafiłem czytać w myślach, skoro...

Na wpiół pogrążony we śnie, spróbowałem małej, psychicznej sztuczki. Pozwoliłem umysłowi ulokować się na krawędzi snu i jawy. Poczułem rozkoszne, wibrujące ostrzeżenie, zawsze poprzedzające uniesienie duszy. Jednak do niczego nie doszło. Spróbowałem ponownie.

— Do góry! — rozkazałem.

Starałem się wyobrazić sobie swój eteryczny kształt uwolniony z pęt i swobodnie unoszący się pod sufitem. Bez powodzenia. Równie dobrze mógłbym pragnąć, by wyrosły mi skrzydła. Byłem strasznie zmęczony i obolały. Doprawdy, leżałem zakotwiczony w bezwładnych kończynach, zespolony z pulsującą bólem klatką piersiową. Z trudem łapałem oddech.

Na szczęście wkrótce przyjdzie James. Czarownik, który zna reguły. Tak, żądny dwudziestu milionów James sprawnie przeprowadzi cały proces.

Kiedy otworzyłem oczy, ujrzałem światło dnia.

Gwałtownie usiadłem i rozejrzałem się dookoła całkowicie zaskoczony. Nie myliłem się. Słońce stało wysoko na niebie, zalewało rozproszonym światłem frontowe okna i polakierowaną podłogę. Z zewnątrz dobiegały odgłosy ruchu ulicznego.

— Mój Boże! — wyszeptałem po angielsku. *Mon Dieu* po prostu brzmiało zbyt delikatnie. — Mój Boże, mój Boże, mój Boże!

Ponownie ległem na plecach. Byłem zbyt ogłuszony, by formułować spójne myśli i zdecydować, czy czuję wściekłość, czy ślepy strach. Potem powoli uniosłem nadgarstek i zerknąłem na zegarek. Była jedenasta czterdzieści siedem.

Za niecałe piętnaście minut fortuna w wysokości dwudziestu milionów dolarów, złożona w śródmiejskim banku, miała wrócić do Lestana Gregora, czyli alternatywnego mnie. Ja zaś zostałem tu porzucony w ciele Raglana Jamesa, bo ten najwidoczniej nie wrócił przed wschodem słońca w celu dokonania zamiany stanowiącej część transakcji. Tym samym utracił olbrzymi majątek i prawdopodobnie nie zamierzał już nigdy się tu pokazać.

— Och, Boże, pomóż mi! — wypowiedziałem na głos. Do gardła natychmiast podeszła flegma, a kaszel przeszywał ciosami sztyletu płuca. — Wiedziałem — szepnąłem. — Wiedziałem. Jakimże wyjątkowym byłem głupcem.

Ty nikczemny łotrze, myślałem, godny pogardy złodzieju ciał, nie ujdzie ci to płazem, do cholery. Jak śmiałeś mi to zrobić, jak śmiałeś! I to ciało! Powłoka, w której mnie zostawiłeś, w której muszę cię ścigać, jest naprawdę chora.

W chwili gdy chwiejnym krokiem wytoczyłem się na ulicę, dochodziła dwunasta. Cóż

z tego? Nie pamiętałem nazwy ani lokalizacji banku. Poza tym nie miałem powodu, by tam iść. Po co miałbym żądać dwudziestu milionów, które za czterdzieści pięć sekund i tak wracały do mnie? Właściwie dokąd powinienem zabrać opanowaną przez dreszcze kupę mięsa?

Do hotelu po zostawione tam pieniądze i ubrania?

Do szpitala po żywotnie potrzebne lekarstwo?

Czy do Nowego Orleanu i Louisa, który musi mi pomóc, bo tylko on mógłby to zrobić? Bez niego nigdy nie uda mi się zlokalizować parszywego oszusta, zmierzającego do samodestrukcji złodzieja ciał! Tylko jak Louis zareaguje, kiedy się do niego zbliżę? Jak osądzi moje postępowanie i to, co uczyniłem?

Nagle poleciałem głową w dół. Straciłem równowagę. Za późno sięgnąłem żelaznej poręczy. W moim kierunku biegli jacyś ludzie. Tył głowy uderzył o stopień i w czasie eksplozował ból. Zamknąłem oczy i zacisnąłem zęby, żeby nie krzyknąć. Potem uniosłem powieki i zobaczyłem nad sobą spokojny, czysty błękit.

— Wezwij karetkę — polecił jeden z mężczyzn drugiemu. Widziałem ich w postaci ciemnych, niewyraźnych kształtów na tle jasnego nieba.

— Nie! — starałem się krzyknąć, ale z ust wydobył się zaledwie ochryply szept. — Muszę jechać do Nowego Orleanu! — Pospiesznie próbowałem powiedzieć coś o hotelu, pieniądzech, ubraniach, prosiłem o pomoc, o wezwanie taksówki. Musiałem natychmiast opuścić Georgetown i wyruszyć do Nowego Orleanu.

Potem leżałem cicho na śniegu. Myślałem, jaka piękna jest kopuła nieba z tańczącymi po niej białymi chmurami, a nawet te mroczne cienie wokół mnie, ludzie, którzy szepczą coś między sobą cicho i ukradkowo, bym niczego nie usłyszał. Natomiast Mojo nie przestawał szczeleć. Choć próbowałem, nie byłem w stanie wydobyć głosu, by go zapewnić, że wszystko ułoży się doskonale.

Do grupy gapiów podeszła mała dziewczynka. Widziałem jej długie włosy, bufiaste rękawy i powiewającą na wietrze kokardę. Patrzyła na mnie jak pozostali, jej twarz ginęła w cieniach na tle błękitnego nieba, które lśniło groźnie i niebezpiecznie.

— Wielki Boże, Claudio, słońce, uciekaj! — zawołałem.

— Proszę leżeć spokojnie, już jadą.

— Wszystko będzie dobrze, kolego.

Gdzie się podziała? Dokąd poszła? Zamknąłem oczy, wsłuchując się w stukot obcasów na chodniku. Czy w oddali dźwięczał jej śmiech?

Ambulans. Maski tlenowa. Igła. I zrozumienie.

Miałem umrzeć w tym ciele, jakie to proste! Czekala mnie śmierć jak biliony innych śmiertelników. To dlatego złodziej ciał przyszedł do mnie, Anioła Śmierci, by dać mi środki, których poszukiwałem z dumą okłamując siebie i innych. Miałem umrzeć. Nie chciałem umierać!

— Boże, proszę, nie w ten sposób, nie w tym ciele. — Zamknąłem oczy i nadal szeptałem: — Jeszcze nie, nie teraz. Och, proszę, nie chcę! Nie chcę umierać. Nie pozwól mi umrzeć — płakałem. Byłem załamany i przerażony. Choć sytuację cechowała absurdalna doskonałość, prawda? Pan Bóg wymyślił ciekawszy plan od wszystkich dotychczasowych — oto ginie tchórzliwy potwór, który udał się na Gobi nie w poszukiwaniu ognia z nieba, ale z powodu dumy, dumy i jeszcze raz dumy.

Zacisnąłem powieki. Czułem, że po twarzy spływają łzy.

— Proszę, nie pozwól mi umrzeć, błagam, nie pozwól. Nie teraz, nie tak, nie w tym ciele! Pomóż mi!

Poczułem dotyk małej dłoni, która wsunęła się w moją i ścisnęła ją teraz z czułością. Ach, była tak delikatna. I maleńka. Wiedziałem, czyja to dłoń, ale bałem się otworzyć oczy.

Jeśli to ona, naprawdę umieram, pomyślałem. Nie byłem w stanie unieść powiek. Tak bardzo się bałem. Drżący i szlochający, mocno ścisnąłem ciepłą rączkę, wręcz ją miażdżyłem, ale wciąż miałem zamknięte oczy.

Louisie, ona tu jest. Przyszła po mnie. Pomóż, Louisie, proszę. Nie mogę na nią popatrzeć. Nie zrobię tego! Nie mogę uwolnić dłoni! Gdzie jesteś, przyjacielu? Śpisz w ziemi, głęboko pod dzikim i zaniedbanym ogrodem, ukrywając się przed promieniami zimowego słońca pieszczącego kwiaty. Nie obudzisz się przed nocą.

— Mariusie, pomóż mi! Pandoro, przybywaj! Khaymanie, pomocy! Armandzie, nasza nienawiść wygasła. Potrzebuję cię. Jesse, nie pozwól, by mnie to spotkało.

Niski i rozpaczliwy pomruk pacierza demonów splatał się z zawodzeniem syreny. Nie otwierałem oczu. Nie patrzyłem na nią. Gdybym to zrobił, nastąpiłby koniec.

Claudio, czy w ostatnich sekundach życia wołałaś o pomoc? Bałaś się? Czy widziałaś wypełniające powietrze światło piekielnego ognia, a może piękną poświatę opromieniającą cały kosmos miłością?

Staliśmy razem na cmentarzu w ciepły, aromatyczny wieczór, pełen odległych gwiazd i delikatnego, szkarłatnego światła. Otaczały nas wszystkie barwy ciemności. Spójrzcie na jej lśniąca skórę,

krwawą linię warg, głęboki kolor oczu. Trzyma bukiet żółtych i białych chryzantem. Nigdy nie zapomnę ich zapachu.

— Czy tu leży moja mama?

— Nie wiem, *petite cherie*. Nawet nie znałem jej nazwiska. — Kiedy znalazłem cuchnące zwłoki, ciało znajdowało się w stanie rozkładu, a mrówki wyżerały oczy i usta.

— Powinieneś się dowiedzieć! Powinieneś zrobić to dla mnie. Chciałabym wiedzieć, gdzie została pochowana.

— Minęło już pół wieku, *cherie*. Nienawidź mnie za ważniejsze rzeczy. Za to, że nie spoczywasz teraz u jej boku. Czy byłoby ci przy niej ciepło? To krew rozgrzewa, *cherie*. Chodź ze mną napić się krwi. Możemy pić ją razem do końca świata.

— Masz odpowiedź na wszystko. — Jakże zimny jest jej uśmiech. W cieniach nocy można ujrzeć w niej kobietę, buntującą się przeciw piętnu dziecięcej słodyczy, wypełnioną nieuchronną pokusą, by całować, tulić i kochać.

— Jesteśmy śmiercią, *ma cherie*. Śmierć to ostateczna odpowiedź. — Porwałem ją w ramiona i pocałowałem wampirzą skórę, i jeszcze raz, i jeszcze. — Nie zadawaj już żadnych pytań.

Dotknęła dłonią mojego czoła.

Karetka pędziła z olbrzymią szybkością, ciągnąc za sobą echo zawodzenia syreny. Dłoń przesunęła się po powiekach. *Nie popatrzę na ciebie!*

Och, proszę, pomóżcie mi... oto posepny pacierz Diabła do jego kohort, podczas gdy spada coraz głębiej i głębiej do piekła.

ROZDZIAŁ 13

Tak, wiem, gdzie jesteśmy. To ten szpitalik. Od początku starałaś się mnie tu ściągnąć.

Cóż za beznadziejnie smutne miejsce — nie otynkowane ściany, okna zasłonięte drewnianymi okiennicami, malutkie łóżka, byle jak zbite z ledwo oheblowanych desek. Ale przecież to ona leży na jednym z nich. Tak, poznaję pielęgniarkę i starego przygarbionego doktora. Widzę ciebie, leżysz w łóżeczku, mała dziewczynka z lokami rozrzuconymi na pościeli. I Louis też tam jest...

No dobrze, co ja tu robię? Wiem, że to sen. Nie, nie śmierć. Śmierć nie okazuje nikomu żadnych szczególnych względów.

— Jesteś tego pewien?

Usiadła na krześle z prostym oparciem. W złociste włosy wplotła błękitną wstążkę, na drobnych nóżkach miała pantofelki z błękitnego atłasu. To znaczy, że była tam, na łóżku, a jednocześnie siedziała na tym krześle, moja francuska laleczka, piękność o wysoko wysklepionych stopkach i kształtnych małych dłoniach.

— Och, ty także. Jesteś tutaj z nami, i zarazem w Waszyngtonie, na łóżku w izbie przyjęć. Umierasz tam, wiesz przecież.

— *Ostre wyziębienie organizmu, niewykluczone zapalenie płuc. Nie mamy pojęcia, co to za infekcja. Podajcie mu antybiotyki. Przydałby się tlen, ale skąd go wziąć? Jeśli odeślemy go do Szpitala Uniwersyteckiego, też wyląduje na korytarzu.*

— *Nie pozwólcie mi umrzeć! Proszę... Tak bardzo się boję.*

— *Zrobimy wszystko, żeby panu pomóc. Jak się pan nazywa? Czy mamy zawiadomić kogoś z rodziny?*— No dalej, powiedz im, kim naprawdę jesteś — zaśmiała się srebrzyście. Jakże piękny, delikatny głos. Słodkie małe usteczka, niemal czuję ich dotyk. Lubiłem dla żartu pociągać lekko palcami jej dolną wargę, kiedy całowałem oczy i gładkie czoło.

— Nie bądź taka mądra — wycodziłem przez zęby. — A poza tym, kim ja właściwie jestem, tam w dole?

— Na pewno nie istotą ludzką, jeśli to masz na myśli. Nic nie zdołałoby zrobić z ciebie człowieka.

— W porządku. Dam ci pięć minut. Dlaczego mnie tutaj przyprowadziłaś? Co mam powiedzieć? Że mi przykro? Że żałuję, iż wyciągnąłem cię z tego łóżka i uczyniłem wampirem? Chcesz usłyszeć prawdę? Wyznanie na łożu śmierci? Wcale nie wiem, czy żałuję.

Przykro mi, że cierpiałaś. Przykro mi, że ktokolwiek musi cierpieć. Ale nie mogę szczerze przyznać, że żałuję, iż uczyniłem tę małą sztuczkę.

— Nie boisz się tak upierać przy słuszności swego postępowania?

— Jeśli prawda mnie nie zbawi, nic tego nie dokona.

Och, jakże nienawidziłem zapachu choroby, smrodu trawionych gorączką ciał pocących się pod burymi wełnianymi kocami. Jakież obrzydzenie budził we mnie obscurny, beznadziejny szpitalik sprzed lat.

— Ojciec mój, który jesteś w piekle. Lestat, bądź imię twoje.

— A ty? Czy poszłaś do piekła po tym, jak spaliło cię słońce w studni powietrznej Teatru Wampirów?

Śmiech, czysty wysoki ton przywodzący na myśl brzęk monet wytrząśniętych z sakiewki.

— Nigdy ci nie powiem!

— Zresztą wiem, że to tylko sen. Od samego początku. Dlaczego ktokolwiek miałby powrócić z grobu jedynie po to, żeby wygłaszać takie bzdurne banały?

— To się zdarza bez przerwy, Lestacie. Nie podniecaj się tak. Chcę, abyś się teraz dobrze skupił. Spójrz na te małe łóżeczka, na cierpiące dzieci.

— Zabrałem cię stamtąd.

— Pewnie, w ten sam sposób w jaki Magnus wydarł cię z twojego życia, by dać ci w zamian coś potwornego i niegodziwego. Uczyniłeś mnie morderczynią mych braci i siostr. Moje grzechy biorą swój początek w owym momencie, w którym sięgnąłeś po mnie i uniosłeś z łóżeczka.

— Nie, nie możesz mnie winić za wszystko. Nigdy się z tym nie zgodzę. Czyż ojciec jest rodzicem zbrodni swego dziecka? A zresztą co z tego, jeżeli to nawet prawda? Któż to osadzi? Nie widzisz, że na tym właśnie polega cały problem? Nikogo takiego nie ma.

— Czy to nam daje prawo zabijać?

— Ofiarowałem ci życie, Claudio. Nie na wieczne czasy, ale jednak życie. A nawet nasze życie jest lepsze niż śmierć.

— Ależ kłamiesz, Lestacie. „Nawet nasze życie”, powiadasz. Naprawdę uważasz, że ta przeklęta egzystencja jest lepsza od ludzkiej. Przyznaj sam. Spójrz na siebie, tam w dole, w ludzkim ciele. Jakże tego nienawidzisz.

— Masz rację. Przyznaję. Ale teraz ty odpowiedz, z głębi twojego serca, moja śliczna mała czarodziejko. Czy naprawdę wybrałaś śmierć w tamtym małym łóżeczku od życia, które ci dałem? No proszę, słucham. Czy może jesteśmy w ziemskim sądzie, gdzie sędzia i

ława przysięgłych mogą kłamać, a tylko zeznający pod przysięgą świadkowie muszą mówić prawdę?

Przyglądała mi się w zamyśleniu. Pulchne paluszki bawiły się haftowanym rąbkiem sukni. Gdy opuściła głowę, rozkoszny refleks światła zatańczył na jej policzkach i drobnych ciemnych ustach. Ach, cóż za stworzenie! Wampir jak malowanie!

— Co mogłam wtedy wiedzieć o właściwych wyborach? — odpowiedziała, wpatrując się w przestrzeń ogromnymi przejrzystymi oczami pełnymi blasku. — Gdy dokonałeś swego plugawego dzieła, byłam zbyt młoda, by kierować się rozumem. A przy okazji, Ojczy: zawsze chciałam wiedzieć, czy odczuwałeś przyjemność, kiedy ssalam krew z żyły na twoim nadgarstku?

— To nieważne — wyszeptałem. Odwróciłem od niej wzrok i spojrzałem na strzęp człowieka umierający pod burym kocem. Widziałem pielęgniarzkę w pogniecionej sukience, z włosami spiętymi na karku, krążącą apatycznie pomiędzy łózkami. — Dzieci śmier-

telników są poczęte w rozkoszy. — Nie wiedziałem, czy nadal mnie słucha. Nie chciałem na nią teraz patrzeć. — Nie potrafię kłamać. To bez znaczenia, czy istnieje jakiś sędzia lub ława przysięgłych. Ja...

— *Nie próbuj mówić. Dostałeś zestaw lekarstw, który musi ci pomóc. Gorączka już opada. Staramy się osuszyć wysięk w twoich płucach.*

— *Nie pozwólcie mi umrzeć, błagam. Wszystko jest niedokończone i takie potworne. Pójdę do piekła, jeśli takowe w ogóle jest, w co nie wierzę. A jeśli istnieje, to musi przypominać szpital, taki sam jak ten, tylko że pełen chorych, umierających dzieci. Ale myślę, że nie ma nic oprócz śmierci.*

— *Szpital pełen dzieci?*

— Och, spójrz, jak się do ciebie uśmiecha, jak kładzie dłoń na twoim czole. Kobiety uwielbiają ciebie, Lestacie. Ona cię kocha, nawet w tym ciele, popatrz tylko. Co za miłość!

— Czemu nie miałaby się o mnie troszczyć? Przecież jest pielęgniarzką. A ja — umierającym człowiekiem.

— I jakże pięknym umierającym człowiekiem. Powinnam była wiedzieć, nigdy byś się nie zgodził na zamianę, gdyby nie zaoferowano ci doskonałego ciała. Cóż z ciebie za próżne, płytkie stworzenie! Spójrz na tę twarz. Wygląda lepiej niż twoja własna.

— Nie posuwałbym się tak daleko!

Posłała mi łobuzerski uśmiech. W mrocznym, ponurym pokoju jej oblicze lśniło wewnętrznym blaskiem.

— *Nie bój się. Jestem przy tobie. Zostanę tutaj, dopóki nie poczujesz się lepiej.*

— *Widziałem śmierć tylu ludzi. Śmierć z mojej ręki. To takie perfidnie proste —jedna chwila i życie opuszcza ciało, umyka z niego.*

— *Mówisz szalone rzeczy.*

— *Nie, mówię prawdę, wiesz o tym. Nie mogę obiecać, że się zmienię, jeżeli przeżyję. Nie sądzę, żeby to było możliwe. A jednak czuję nieopisany strach przed umieraniem. Nie wypuszczaj mojej dłoni.*

— *Lestacie, co my tutaj robimy? Louis?*

Podniosłem oczy. Stał w drzwiach owego obskurnego szpitalika, zakłopotany, z włosami w nieładzie. Tak samo wyglądał w tę noc, kiedy go stworzyłem — już nie gniewny, zaskoczony młody śmiertelnik, lecz mroczny dżentelmen ze spokojem w oczach i bezkresną cierpliwością świętego w duszy.

— *Pomóż mi — przemówiłem. — Muszę wziąć ją z tego postania. Wyciągnął rękę, lecz wciąż był zmieszany. Czy nie dzielił ze mną tego grzechu? Och nie, oczywiście, że nie, bowiem po wsze czasy upadał i cierpiał, pokutował za wszystko, co uczynił. To ja byłem Diabłem. Nikt oprócz mnie nie mógł zabrać jej z łóżeczka. Pora nakłamać lekarzowi.*

— *To moje dziecko.*

Och, jakże będzie uszczęśliwiony, o jeden kłopot mniej.

— *Proszę ją zabrać, monsieur. Dziękuję panu — z wdzięcznością popatrzył na złote monety rzucone przeze mnie na łóżko. A jakże! Jasne, że nie omieszkałem udzielić mu swego wsparcia. —Dziękuję. Niech Bóg pana błogosławi.*

Tak, z pewnością to zrobi. Nigdy nie odmawiał mi swej łaski. Ja też Go błogosławię.

— *Postaraj się teraz zasnąć. Kiedy tylko będzie wolne miejsce, przeniesiemy cię gdzieś, gdzie ci będzie wygodniej.*

— *Dlaczego jest tu tylu chorych? Proszę, nie odchodź.*

— *Nigdzie nie odejdę. Zostanę z tobą. Będę tutaj siedziała.*

Ósma. Leżałem na żelaznym łóżku, z igłą wbitą w ramię połączoną z plastikowym woreczkiem wypełnionym płynem, ślicznie odbijającym światło. Świetnie widziałem stąd zegar.

Powoli odwróciłem głowę.

Kobieta nadal siedziała obok. Nie wiadomo, kiedy włożyła żakiet, którego czerń kontrastowała ostro z białą pończoch i miękkich półbutów. Włosy zwinęła na karku w gruby węzeł. Czytała. Miała szeroką twarz o niezwykle mocnych kościach i czystej cerze, wielkie piwne oczy i ciemne brwi o doskonałym rysunku. Kiedy podniosła głowę i spojrzała na mnie, wydała mi się piękna. Bezszelstnie zamknęła książkę i uśmiechnęła się.

— Twój stan się poprawił — odezwała się głębokim, miękkim głosem. Dostrzegłem delikatne niebieskawe cienie pod jej oczami.

— Naprawdę? — Hałas ranił moje uszy. Tak wielu ludzi. Huk otwieranych i zamykanych gwałtownie drzwi.

Wstała z krzesła, przeszła przez korytarzyk pomiędzy łózkami i wzięła moją dłoń.

— O tak, bardzo.

— Więc będę żył?

— Owszem — odpowiedziała. Ale nie była tego pewna. Czy chciała, żebym wyczuł wahanie w jej tonie?

— Nie pozwól mi umrzeć w tym ciele — prosiłem, zwilżając językiem usta. Jakże suche! Mój Boże, tak bardzo nienawidziłem tej skorupy, z trudem unoszącej się piersi, a nawet dźwięku głosu wydobywającego się spomiędzy warg. Nie mogłem znieść bólu w środku czaszki, poza oczami.

— Znowu zaczynasz? — uśmiechnęła się.

— Posiedź przy mnie.

— Dobrze. Obiecałam przecież, że cię nie zostawię. Zostanę przy tobie.

— Pomóż mi, a pomożesz diabłu — wyszeptałem.

— Mówiłeś to już wcześniej.

— Chciałabyś usłyszeć całą historię?

— Tylko pod warunkiem, że opowiesz ją spokojnie i bez pośpiechu.

— Masz śliczną twarz. Jak się nazywasz?

— Gretchen.

— Jesteś zakonnica, prawda, Gretchen?

— Jak to odgadłeś?

— To widać. Twoje dłonie, to po pierwsze — nosisz małą srebrną obrączkę ślubną. A poza tym jest coś w twojej twarzy, jakaś jasność, właściwa tym, którzy mają wiarę. Zresztą zostałam przy mnie, chociaż mówili ci, żebyś dała spokój. Bezbłędnie rozpoznaję zakonnice. Jestem diabłem i kiedy widzę dobroć, potrafię ją ocenić.

Czy to łzy zalśniły w jej oczach?

— Chcesz mi dokuczyć — powiedziała miękko. — Przeczytałeś to na plakietce wpiętej w kieszeń mojego fartucha, prawda? „Siostra Marguerite”.

— Nie, nawet jej nie zauważyłem, Gretchen. Nie miałem zamiaru sprawić ci przykrości.

— Twój stan się poprawił. Bardzo. Myślę, że wszystko będzie dobrze.

— Jestem diabłem, Gretchen. Och, nie, nie samym Szatanem, Synem Poranka, Ben Szarar. Ale jestem bardzo zły. Demon pierwszej klasy, bez dwóch zdań.

— Majaczysz. To przez gorączkę.

— Czy to nie byłoby wspaniałe? Nie dalej jak wczoraj stałem w środku śnieżycy i próbowałem sobie coś takiego wyobrazić — że całe moje niegodziwe życie to tylko sen zwykłego śmiertelnika. Nie ma tak dobrze, Gretchen. Diabeł cię potrzebuje. Płacze. Chce, żebyś trzymała go za rękę. Nie boisz się diabła, prawda?

— Nie wtedy, kiedy łaknie miłosierdzia. Zaśnij teraz. Zaraz dostaniesz jeszcze jeden zastrzyk. Nie zostawię cię samego. Zobacz, ustawię krzesło przy samym łóżku, będziesz mógł trzymać mnie za rękę.

— *Co my robimy, Lestacie?*

Znowu znajdowaliśmy się w hotelowym apartamencie, o ileż przyjemniejszym miejscu od tego cuchnącego szpitalika — cóż, dobry hotel zawsze jest lepszy od śmierdzącego szpitala. Louis skończył pić jej krew. Biedny, bezradny Louis.

— *Posłuchaj mnie, Claudio. Podejź tutaj... Jesteś chora, słyszysz mnie? Jeśli chcesz wyzdrowieć, musisz zrobić to, co ci powiem. — Wbiłem zęby we własny nadgarstek i gdy trysnęła krew, przysunąłem go do jej ust. — O właśnie, kochanie. Jeszcze odrobinę...*

— Spróbuj wypić troszeczkę. — Jej dłoń wsunęła się pomiędzy poduszkę i mój kark. Ach, jaki ból sprawiło mi uniesienie głowy.

— Smakuje jak woda. To nie to samo co krew.

Powieki przykrywające jej spuszczone oczy były ciężkie i gładkie. Przypominała Greczynkę z obrazu Picassa — prosta, grubokoścista i silna. Czy ktokolwiek całował jej usta zakonnicy?

— Ludzie tutaj umierają. To dlatego korytarze są zatłoczone. Słyszałem płacz. Rozszalała się jakaś epidemia, prawda?

— Ciężkie czasy — odpowiedziała. Jej dziewicze wargi niemal się nie poruszyły. — Wszystko będzie dobrze, nie martw się. Jestem przy tobie.

Louis był wściekły.

— *Ale dlaczego, Lestacie?*

Dlatego że była piękna i umierająca, i dlatego że pragnąłem się przekonać, czy to się uda. Po prostu dlatego że leżała tam i nikt jej nie chciał, a ja podniosłem ją z łóżeczka i trzymałem w swoich ramionach. Ponieważ to było coś, czego mogłem dokonać — czuję się jak płomyk świeczki w kościele rozpalający inny płomyk, lecz wciąż zachowujący własne światło. Mój własny akt stworzenia. Czy nie możesz tego pojąć? W jednej chwili jest nas tylko

dwóch, a w następnej troje.

Stał tam w swoim długim czarnym płaszczu. Był zdruzgotany, a jednak nie potrafił oderwać od dziewczynki oczu, wpatrywał się uporczywie w policzki gładkie jak kość słoniowa, w waziutkie przeguby dłoni. Pomyśl tylko, dziecko-wampir! Jedno z nas.

— *Rozumiem.*

Kto to powiedział? Wzdrygnąłem się. To nie Louis, to David. David stojący tuż obok, z nieodłącznym egzemplarzem Biblii w ręku. Louis powoli podniósł wzrok. Nie wiedział, kim jest David.

— *Czy zbliżamy się do Boga stwarzając coś z niczego? Udając, że jesteśmy maleńkimi płomyczkami rozpalającymi inne płomyczki?*

David pokręcił głową.

— *Fatalna pomyłka.*

— *W takim razie cały świat jest fatalną pomyłką. To nasze dziecko...*

— *Nieprawda! Jestem córeczką mamusi.*

— *Nie, kochanie. Już nie. — Spojrzałem na Davida. — Proszę, odpowiedz na moje pytanie.*

— *Czy nie przypisujesz swojemu czynowi zbyt szlachetnych motywów? — zapytał, lecz jego głos zabrzmiał współczująco. Louis wciąż wpatrywał się z przerażeniem w maleńkie białe stopy Claudii. Co za ponętny widok.*

— *I wtedy się zdecydowałem, nie obchodziło mnie, co zrobi z moim ciałem, jeśli tylko uda mi się dać mi na dwadzieścia cztery godziny ludzką formę, żebym mógł zobaczyć blask słońca, poczuć to, co czują śmiertelnicy, poznać słabość i ból. — Mówiąc, ścisnąłem dłoń Gretchen.*

Potakująco skinęła głową. Po raz kolejny ocierała moje spocone czoło, silnymi ciepłymi palcami sprawdzała puls.

— *...więc po prostu postanowiłem zaryzykować. Och, wiem, że to był błąd; nie powinienem pozwolić mu odejść z całą moją potęgą. Ale sama teraz widzisz, nie mogę umrzeć w tym ciele. Inni nawet się nie dowiedzą, co się ze mną stało. Gdyby tylko znali moją obecną sytuację, przyszliby z pomocą...*

— *Masz na myśli pozostałe wampiry — wyszeptęła.*

— *Tak. — Opowiedziałem, jak kiedyś, dawno temu poszukiwałem innych, łudząc się, że jeśli tylko zdołam poznać nasze dzieje, uda mi się rozwikłać zagadkę... Mówiłem i mówiłem bez końca. Wyjaśniłem, kim jesteśmy i wszystko o mojej wędrownicy poprzez stulecia. Rozprawiałem o powabie muzyki rockowej, która wydawała się stworzonym dla*

mnie środkiem wyrazu, i o tym, co w związku z tym zamierzałem uczynić. Wspomniałem o Davidzie, Bogu i Szatanie w paryskiej kafejce. Opisałem, jak przyjaciel siedząc przy kominku z Biblią w ręku powiedział, że Stwórca nie jest doskonały. Czasami mówiłem z zamkniętymi oczami, czasami je otwierałem. Gretchen ani na chwilę nie wypuściła mojej dłoni.

Ludzie wchodzili i wychodzili. Słyszałem sprzeczki lekarzy, płacz jakiejś kobiety. Na zewnątrz znowu było jasno. Zobaczyłem światło dnia, gdy ktoś otworzył drzwi wpuszczając do środka gwałtowny podmuch lodowatego powietrza. „W jaki sposób zdołamy wykapać wszystkich pacjentów?” zapytał podenerwowany głos. „Ta kobieta powinna znaleźć się w izolatce. Zawołaj lekarza. Powiedz mu, że mamy tu na podłodze przypadek zapalenia opon mózgowych”.

— To już rano, prawda? Musisz być strasznie zmęczona, siedziałaś przy mnie całe popołudnie i noc. Boję się bardzo, ale wiem, że musisz już iść.

Ciągle przybywało chorych. Wszedł lekarz i powiedział, że trzeba będzie przestawiać łóżka, wezglówkami do ściany.

Mówił również, że Gretchen powinna odpocząć. Właśnie przyszły pielęgniarki z nowej zmiany. Musi trochę się wyspać.

Czy płakałem? Igła wbita w ramię sprawiała mi ból, w gardle i ustach czułem nieznośną suchość.

— Zgodnie z przepisami nie możemy nawet przyjąć tych wszystkich pacjentów.

— Czy słyszysz mnie, Gretchen? Czy rozumiesz, co mówię?

— Bez przerwy mnie o to pytasz — odpowiedziała. — I za każdym razem powtarzam, że cię słyszę i rozumiem. Opowiadaj dalej. Nie zostawię cię tutaj samego.

— Słodka siostrzyczka Gretchen.

— Pójdiesz ze mną.

— Co powiedziałaś?

— Wezmę cię do mojego domu. Twój stan się bardzo poprawił, gorączka opadła. Ale jeśli zdecydujesz inaczej... — Zakłopotanie na jej twarzy. Podniosła kubek do moich ust, wypilem parę łyków.

— Rozumiem. Proszę, błagam, zabierz mnie stąd. — Spróbowałem usiąść. — Boję się tu zostać.

— Nie tak szybko. — Czułym gestem oparła mnie o poduszkę. Oderwała plaster z mojego ramienia i wyciągnęła parszywą małą igłę. Mój Boże, musiałem natychmiast się wysikać! Czy kiedykolwiek przestanę odczuwać te obrzydliwe fizjologiczne potrzeby? Czymże, do diabła, jest moralność? Sranie, sikanie, jedzenie i w kółko Macieju! Czy

oglądanie blasku słońca było tego warte? Nie, to za mało, żeby za to umrzeć. Musiałem się odlać. Ale nie mogłem się zmusić, żeby znowu posłużyć się plastikową butelką, chociaż ledwo pamiętałem, kiedy korzystałem z niej poprzednim razem.

— Dlaczego się mnie nie boisz? — zapytałem. — Nie sądzisz, że masz do czynienia z szaleńcem?

— Jesteś niebezpieczny tylko będąc wampirem. — Co za prosta odpowiedź. — Kiedy znajdujesz się w swoim własnym ciele. Czyż nie tak?

— Owszem. To prawda. Jesteś podobna do Claudii. Nie obawiasz się niczego.

— *Robisz z niej idiotkę* — powiedziała Claudia. — *Ją także zamierzasz skrzywdzić.*

— *Bzdura. Ona w to nie wierzy.* — *Usiadłem na kanapie w salonie małego hoteliku. Mój wzrok wędrował po wyszukanych sprzętach wypełniających wnętrze. Stare złoczone meble o delikatnych kształtach sprawiały, że czułem się u siebie. Osiemnasty wiek, moje stulecie. Epoka rzeźmieszków i ludzi oświeconych. Niemal doskonałe czasy.*

Wzór w drobne kwiatuszki. Brokat. Miecze o złoczonych klingach i śmiech pijanych mężczyzn na ulicy.

David stał przy oknie i patrzył na dachy kolonialnego miasta. Czy był już kiedyś w tym stuleciu?

— *Nie, nigdy!* — *W jego głosie brzmiała groza.* — *Wszystkie powierzchnie wykończone ręcznie, każdy wymiar niedokładny. Jakże nietrwałe wydają się przedmioty stworzone przez człowieka wobec potęgi natury, jakby lada chwila miały na powrót rozpaść się w proch.*

— *Odejdź, Davidzie* — *odezwał się Louis.* — *To nie jest twoje miejsce. My musimy pozostać. Nic się nie da zrobić.*

— *Chwileczkę, nie bądźcie tacy melodramatyczni* — *powiedziała Claudia.* *Doprawdy! Miała na sobie brudną szpitalną koszulę. Zajmę się tym. Przetrzęsnę sklepy w poszukiwaniu koronek i wstążek. Kupię dla niej jedwabie, wąskie srebrne bransoletki i pierścionki wysadzane perłami.*

Objąłem dziewczynkę ramieniem.

— *Ach, jakże przyjemnie usłyszeć słowa prawdy. Cóż za wspaniałe włosy, Claudio. I takie pozostaną na wieki wieków.*

Znowu spróbowałem usiąść, ale okazało się to ponad moje siły. Dwie pielęgniarki pchały w pośpiechu wózek; nagły przypadek; ktoś potrącił metalową ramę łóżka i przez chore ciało przebiegła fala wibracji. Nagle zrobiło się cicho, tylko wskazówki wielkiego zegara na ścianie przesuwwały się nieznacznymi drgnięciami. Mężczyzna leżący obok mnie zajęczał i

odwrócił głowę. Jego oczy zasłaniał biały bandaż, usta poniżej opatrunku wydawały się nagie.

— Musimy umieścić tych ludzi w izolatce — jakiś zatroskany głos.

— Przygotuj się, zabieram cię do domu.

A Mojo, co się stało z Mojo? Może przyszli go zabrać? W tym wieku wsadzają psy za kratki tylko za to, że są psami. Musiałem jej to wytłumaczyć. Próbowła podnieść mnie do góry, wsunawszy rękę pod moje plecy. Mojo szalejący w domu, jak w pułapce.

Louis był smutny.

— *W mieście szaleje zaraza.*

— *Lecz tobie nic nie grozi, Davidzie — powiedziałem.*

— *Masz rację. Ale są jeszcze inne rzeczy... Claudia roześmiała się.*

— *Zakochała się w tobie.*

— *Dopadła cię zaraza. Umarłabyś...*

— *Może to jeszcze nie był mój czas.*

— *Wierzysz, że każdy z nas ma swój czas?*

— *Nie, właściwie nie — odrzekła. — Może po prostu łatwiej mi całą winę rzucić na ciebie. Widzisz, tak naprawdę nigdy nie potrafiłam odróżnić dobra od zła.*

— *Miałaś dość czasu, żeby się nauczyć.*

— *Ty też, i to dużo więcej niż ja.*

— Chwała Bogu, że mnie stąd zabierasz — wymamrotałem. Jakoś trzymałem się na własnych nogach. — Tak się boję. Po prostu zwyczajnie się boję.

— *O jeden kłopot mniej dla szpitala. — Claudia zaśmiała się perliście. Siedziała na krześle, machając drobnymi nóżkami. Znowu ubrana była w szykowną sukienkę ozdobioną koronką. Wyglądała zdecydowanie lepiej.*

— Piękna Gretchen. Rumienisz się, kiedy tak mówię. Uśmiechając się, położyła moją lewą dłoń na swoim ramieniu.

Prawą ręką ciasno obejmowała mnie w pasie.

— Zaopiekuję się tobą — szeptała mi do ucha. — To niedaleko. Stałem na lodowatym wietrze, obok jej małego samochodu,

trzymając w dłoni ten cuchnący organ i obserwowałem żółty łuk moczu i parę unoszącą się znad topniejącego śniegu.

— Mój Boże! — powiedziałem. — Uczucie opróżniania pęcherza jest prawie przyjemne! Kim są ludzie, jeśli cieszą ich takie okropne rzeczy!

Rozdział 14

Nosiłem się gdzieś pomiędzy snem i jawą, wiedziałem jednak, że znajdujemy się wewnątrz samochodu, jadącego drogą poprzez ośnieżone, pokryte lasem wzgórza; i że jest z nami Mojo, ciężko dyszący wprost w moje ucho. Otulony w koc walczyłem z nieznośnymi mdłościami, które wywoływał ruch pojazdu. Wstrząsały mną dreszcze. Jak przez mgłę pamiętałem nasz powrót do domu w mieście, gdzie odnaleźliśmy czekającego cierpliwie psa. Niewyraźnie zdawałem sobie sprawę, że mógłbym zginąć, jeśli ów napędzany benzyną wehikuł zderzyłby się z jakimś innym wozem. Niebezpieczeństwo wydawało się straszliwie rzeczywiste, równie realne jak ból w klatce piersiowej. Złodziej ciał wystrychnął mnie na dudka.

Oczy Gretchen wpatrywały się spokojnie w krętą drogę, rozwijającą się przed nami. Promienie słońca, przesiane przez gałęzie drzew, złociły jej jasne włosy, wymykające się z grubego warkocza i miękkimi falami wyrastające na skroniach, tworząc wokół uroczą aureolę. Piękna zakonnica, pomyślałem patrząc na kobietę. Oczy zamykały mi się same, i znowu otwierały, jakby kierując się własną, niezależną od mojej wolą.

Lecz czemu ta istota okazuje mi tyle serca? Dlatego że jest zakonnica?

Wszędzie wokół nas panował spokój. Pomiedzy drzewami, na stokach wzgórz i w malutkich dolinach, bardzo blisko jeden drugiego stały domy. Mogło to być bogate przedmieście, zamożni śmiertelnicy niekiedy przedkładają miniaturowe drewniane dworki nad okazałe pałace wznoszone w ubiegłym stuleciu.

W końcu wjechaliśmy w alejkę prowadzącą do jednej z rezydencji i minawszy pozbawiony liści zagajnik, zatrzymaliśmy się łagodnie na podjeździe przed krytą szarym gontem willą. Stała w pewnym oddaleniu od głównego domostwa i najwyraźniej mieściła pomieszczenia dla służby lub dla gości.

Wewnątrz panowało przytulne ciepło. Poczułem nieodpartą chęć, by rzucić się na pachnące pośłanie, lecz byłem zbyt brudny. Uparłem się, że muszę umyć to wstrętne ciało, chociaż Gretchen twardo protestowała. Mówiła, że jestem chory. Nie powinienem się teraz kąpać. Ale nie chciałem jej słuchać. Znalazłem łazienkę i żadna siła by mnie stamtąd nie wyciągnęła.

Oparty o kafelki znowu zapadłem w jakiś letarg, podczas gdy Gretchen napełniała wannę. Unosząca się znad wody para pieściła moją skórę. Widziałem stąd leżącego przy łóżku Mojo, sfinksa z głową wilka, obserwującego mnie poprzez otwarte drzwi. Czy

przypominał jej diabła?

Czułem się bardzo osłabiony, z trudem trzymałem się na nogach, lecz bez przerwy przemawiałem do Gretchen, starając się jej wytłumaczyć, w jaki sposób znalazłem się w tym kłopotliwym położeniu, i że muszę się dostać do Nowego Orleanu, gdzie Loius będzie mógł ofiarować mi swoją krew, a wraz z nią — moc.

Opowiedziałem jej wiele historii, cały czas mówiąc cichym głosem. Posługiwałem się językiem angielskim używając francuskiego tylko wtedy, jeśli nie mogłem odnaleźć właściwego słowa. Przeskakiwałem z tematu na temat snując bezładne gawędy o Francji w moich czasach i prymitywnym kolonialnym miasteczku, jakim był również Nowy Orlean, do którego przeprowadziłem się z Paryża, i cóż to była za cudowna epoka; i jak to przez krótką chwilę odgrywałem rolę gwiazdy rocka, ponieważ sądziłem, że zdołam zdziałać wiele dobrego stając się symbolem zła.

Pragnąłem, żeby mnie zrozumiała; czułem rozpaczliwy lęk, że mogę umrzeć w jej ramionach i nikt się nigdy nie dowie, kim byłem i co się ze mną stało. Czyż to nie typowo ludzkie uczucia?

Ach, ale inni przecież wiedzieli, lecz nie zjawili się, żeby mi pomóc.

O tym też jej wspomniałem. Opisałem pełnych dezaprobaty starców. Czy było coś, czego bym jej nie powiedział? Och, musisz to pojąć, moja piękna zakonnico, przywdziewając skórę muzyka rockowego chciałem czynić dobro.

— Tylko w ten jeden sposób diabeł może przynieść ludziom pożytek — tłumaczyłem. — Ukazując się im jako wcielenie zła. Chyba że uwierzymy, iż postępując niegodziwie postępuje szlachetnie, ale idąc tą drogą można by zrobić potwora z samego Boga. Diabeł jest tylko częścią boskiego planu.

Gretchen wsłuchiwała się w moje słowa z wyteżoną uwagą. Nie byłem jednak zaskoczony, kiedy odpowiedziała, że całkowicie się mylę. Słowa wypowiadała cichym, pokornym tonem, zdejmując ze mnie równocześnie brudne ubranie. Zdawało mi się, że wcale nie ma ochoty na rozmowę, tylko stara się mnie uspokoić. Szatan był najpotężniejszym z aniołów, mówiła, zbyt dumnym, by przyjąć Boga. Zło nie mogło stanowić części boskiego planu.

Zapytałem, czy zna wszystkie argumenty wysuwane przeciwko takiemu pogładowi i czy zdaje sobie sprawę, jak bardzo nielogiczna jest religia chrześcijańska. Odpowiedziała cicho, że to nie ma znaczenia. Liczy się tylko czynienie dobra. To wszystko. Nic więcej.

— Ach, więc rozumiesz.

— Doskonale.

Ale wiedziałem, że nie rozumiała.

— Jesteś dla mnie taka dobra. — Pocałowałem ją delikatnie w policzek, kiedy pomagała mi zanurzyć się w wodę.

Leżałem w wannie, obserwując ruchy myjącej mnie kobiety. Nie mogę zaprzeczyć, że było mi dobrze — jej dotyk, ciepło wody, miękkie muśnięcia gąbki sprawiały mi przyjemność, być może największą ze wszystkiego, czego doznałem do tej pory. Ale ludzkie ciało nadal robiło wrażenie zbyt wielkiego! Dziwne uczucie, mieć takie długie ramiona. Przypomniała mi się scena ze starego filmu — ciskający się po ekranie potwór stworzony przez doktora Frankensteina, wymachujący dłońmi, jakby nie były one częścią jego ramion. W zasadzie, jeżeli powiemy, że w ludzkiej powłoce wydawałem się sobie podobnym monstrum, trafimy w samo sedno.

Chyba wspomniałem coś na ten temat. Kazała mi być cicho. Powiedziała, że moje ciało jest wspaniałe i silne, i nie ma w nim nic nienormalnego. Wyglądała na bardzo zmartwioną. Żenowało mnie nieco, iż pozwalałam jej myć moje włosy i twarz, ale wyjaśniła mi, iż takie rzeczy należą do codziennych zajęć pielęgniarki.

Całe swoje życie, mówiła, spędziła pracując jako misjonarka, opiekując się chorymi w brudnych i pozbawionych podstawowego wyposażenia medycznego placówkach, w porównaniu z którymi nawet przepełniony waszyngtoński szpital wydawał się rajem.

Przyglądałem się, jak oczy Gretchen wędrują po mojej gładkiej skórze; na jej policzki wpęłził rumieniec, wyraz twarzy zdradzał zawstydzenie i zmieszanie. Fascynowała mnie niezwykła niewinność tej kobiety.

Uśmiechnąłem się sam do siebie, lecz zmartwiła mnie obawa, że reagowanie na zmysłowość męskiego ciała może przyczyniać jej cierpienia. Los zadrwił złośliwie z nas obojga, każąc jej uważać tę muskularną formę za ponętą. Lecz niewątpliwie tak właśnie sądziła i myśl o tym sprawiła, że mimo gorączki i wyczerpania moja ludzka krew zawrzała. Ach, to ciało zawsze czegoś pragnęło.

Z trudem tylko zdołałem ustać na nogach, kiedy mnie wycierała, musiałem wyteńczyć wszystkie siły, żeby nie upaść. Złożyłem pocałunek na czubku głowy Gretchen. Spojrzała na mnie zamyślonym, zagadkowym wzrokiem. Zapragnąłem ją pocałować znowu, lecz byłem zbyt słaby. Ostrożnie i z wielką delikatnością wycierała moje włosy i twarz. Od bardzo dawna nikt nie dotykał mnie w ten sposób. Wyznałem, że kocham ją za tę cudowną czułość.

— Nienawidzę fizyczności tego ciała, odczuwanie jej jest piekielną męką.

— Czy to aż tak źle być człowiekiem? — spytała.

— Nie staraj się mnie pocieszyć. Zdaję sobie sprawę, że nie uwierzyłaś w nic z tego,

co ci powiedziałem.

— Ach, fantazje mają swoje znaczenie, podobnie jak sny — na jej twarzy pojawiła się chmurna powaga.

Nagle ujrzałem nasze odbicie w lustrze apteczki — wysoki, smagły mężczyzna o gęstych brązowych włosach i mocno zbudowana kobieta o gładkiej skórze. Szok był tak wielki, że serce stanęło mi w piersi.

— Boże, pomóż mi — wyszeptałem. — Chcę wydostać się z tego cielesnego więzienia. — Miałem ochotę się rozplakać.

Ułożyła mnie w łóżku, oparła o poduszki. W pokoju panowało cudowne ciepło. Zaczęła teraz golić moją brodę. Dzięki Bogu! Nienawidziłem zarostu. Mówiłem jej, że kiedy umarłem, byłem zawsze, jak przystało na eleganckiego mężczyznę, gładko wygolony,

a z chwilą przemiany w wampira po prostu niezmienny. Nasza nadnaturalna skóra robi się z czasem coraz bielsza i gładsza, to prawda; nabieramy też więcej siły. Lecz włosy mają zawsze tę samą długość, podobnie paznokcie i broda pozostają identyczne jak w chwili śmierci.

— Czy taka transformata człowieka w wampira jest bolesna? — zapytała.

— Była bolesna, ponieważ się przed nią broniłem. Nie chciałem, żeby to się stało. Nie rozumiałem, co tak naprawdę się ze mną dzieje. Wydawało mi się, jakby jakiś potwór rodem ze średniowiecznych legend porwał mnie z cywilizowanego świata. Pamiętaj, że w tamtych dniach Paryż był cudownym, wysoko rozwiniętym miastem. Och, gdyby twoja dusza mogła się tam teraz przenieść, uznałaby, że to gniazdo barbarzyństwa, ale dla szlachcica z prowincji, który spędził młodość w cuchnącym zameczku, było to absolutnie olśniewające miejsce. Pomyśl tylko o teatrach, operze i balach wydawanych na dworze królewskim! Nie zdołasz sobie tego wyobrazić. I nagle takie nieszczęście, demon wynurzył się z mroku, by zawlec mnie do swojej wieży. Ale sam akt, sama Ciemna Sztuczka? To nie był ból, lecz ekstaza. Z oczu spada bielmo i dostrzegasz, że świat jest cudowny, o wiele piękniejszy, niż kiedykolwiek marzyłaś.

Włożyłem czystą roboczą koszulę i wpełzłem pod kołdrę, którą Gretchen otuliła mnie niemal po uszy. Czułem się, jakbym unosił się w powietrzu albo był oszołomiony alkoholem. To jedno z najprzyjemniejszych wrażeń, jakich doświadczyłem będąc człowiekiem. Zbadała mi puls, a potem położyła dłoń na moim czole. Dostrzegłem lęk w jej oczach, ale wolałem uznać, że to tylko przywidzenie.

Powiedziałem jej, że źródłem prawdziwego cierpienia jest dla mnie, uosobienia zła, świadomość istnienia dobra i szacunek, jaki budzi ono we mnie. Nigdy nie udało mi się

uwolnić od własnego sumienia. Lecz przez całe życie — nawet kiedy byłem jeszcze śmiertelnym młodzieńcem — czułem nieodparte pragnienie, by wbrew sumieniu dążyć do osiągnięcia doznań o wielkiej intensywności.

— Co masz na myśli? Wyjaśnij mi to.

Opowiadałem, jak mając zaledwie kilkanaście lat uciekłem z trupą aktorów, popełniając w ten sposób jawny grzech niepo-

słuszeństwa. Cudzołożyłem z jedną z artystek. Jednak mimo to tamte chwile, dni występów na przenośnej scenie rozstawianej w wioskach i uprawiania miłości wydawały mi się wtedy posiadać bezcenną wartość!

— Widzisz, to było jeszcze, kiedy żyłem. Banalne wykroczenia chłopięcego wieku! Lecz odkąd umarłem, każdy mój krok to jeden wielki grzech, a mimo to, gdzie się tylko obróczę, odnajduję piękno i zmysłową pełnię.

Jak to możliwe, pytałem ją. Stwarzając Claudię, dziecko-wam-pira, i piękną wampirycę Gabriellę, moją matkę, raz jeszcze osiągnąłem intensywność przeżywania! Nieodparcie porywającą. Pojęcie grzechu nie miało wówczas żadnego znaczenia.

Mówiłem teraz o Davidzie, o jego wizji Boga i Szatana. Mój przyjaciel sądził, iż Bóg nie jest doskonały, lecz wciąż się uczy, a Szatan zdobył już taką mądrość, że poczuł pogardę do swojej pracy i zapragnął, by go z niej zwolniono. Zdawałem sobie jednak sprawę, iż powiedziałem to wszystko wcześniej, w szpitalu, kiedy Gretchen trzymała moją rękę.

Czasami dawała spokój z poprawianiem poduszek, podawaniem lekarstw i szklanek wody i przez chwilę tylko patrzyła na mnie. Jej twarz wyrażała wielki spokój i zdecydowanie. Podziwiałem gęste czarne rzęsy otaczające jasne oczy i duże miękkie usta, pełne czułości.

— Wiem, że jesteś dobra — odezwałem się. — Kocham cię za to. A mimo to pragnę ofiarować ci Krew Ciemności, uczynić cię nieśmiertelną i zatrzymać przy sobie na wieczność. Tkwi w tobie jakaś tajemnica i siła.

Cisza otaczała mnie niby warstwa waty, w uszach słyszałem głuchy szum, oczy przesłaniała mgła. Obserwowałem apatycznie, jak podnosi w górę strzykawkę i wystrzeliwszy w powietrze cienką strużkę srebrzystego płynu, zapewne po to, by sprawdzić tłok, wbija igłę w moje ciało. Poczułem słabe ukłucie, bardzo odległe, bardzo nieważne.

Podawała mi szklankę soku z pomarańczy, piłem zachłannie. Hmmm. Cudowny napój, mocny jak krew, lecz pełen słodczy i w jakiś dziwny sposób przywodzący na myśl niszczące słoneczne światło.

— Zupełnie zapomniałem o istnieniu takich napojów — powiedziałem. — Pyszne, naprawdę, lepsze niż wino. Powiniennem był spróbować tego wcześniej. I pomyśleć, że

mogłem wrócić, nie poznawszy tego smaku.

Opadłem na poduszki, mój wzrok powędrował ku krokwiom niskiego, spadzistego stropu. Przyjemny, czyściutki pokoik. Biel i prostota. Cela mniszki. Za oknem miękko padał śnieg. Naliczyłem dwanaście małych szybek osadzonych w drewnianej ramie.

Zapadałem w sen i powracałem do jawy. Niewyraźnie pamiętam, jak próbowała nakarmić mnie zupą, której nie mogłem przełknąć. Wstrząsały mną dreszcze i dręczył lęk, że znów pojawią się znajome wizje. Nie chciałem widzieć Claudii. Światło raziło mnie w oczy. Wspomniałem Gretchen o małym szpitaliku i o tym, że Claudia prześladowuje mnie.

— Szpital pełen dzieci — powtórzyła. Czy nie zwróciła na to uwagi już wcześniej? Wyglądała na zaintrygowaną. Teraz ona opowiadała cichym głosem o swojej pracy w misji... o dzieciach. W puszczech Wenezueli i Peru.

— Już nic nie mów — poprosiła.

Zrozumiałem, że ją przerażam. Znowu unosiłem się w powietrzu, zapadałem się w ciemność, by zaraz się z niej wynurzyć, czując na czole chłód namoczonego ręcznika. Zabawne złudzenie, jakbym nic nie ważył. Opowiedziałem jej, że w moim własnym ciele mogłem naprawdę latać, i o tym, jak znalazłem się w zasięgu promieni pustynnego słońca.

Od czasu do czasu budziłem się gwałtownie, wstrząśnięty odkryciem, że jestem tutaj. W jej małym białym pokoiku.

W blasku światła dostrzegłem na ścianie krucyfiks z krwawiącym Jezusem. Nie opodal na biblioteczce ustawiona była figurka Marii Panny — stary, dobrze znany wizerunek Ucieczki Grzesznych, ze schyloną głową i wyciągniętymi ramionami. A czy to nie święta Rita, z czerwoną raną na czole? Ach, wszystkie te dawne wierzenia, pomyśleć tylko, że pozostają wciąż żywe w sercu tej kobiety.

Wyteżając wzrok odczytywałem co wyraźniejsze tytuły stojących na półkach książek: Aquinas, Maritain, Teilhard de Chardin. Wysilek, jaki musiałem wykonać, by uzmysłwić sobie, że te słowa oznaczają nazwiska katolickich filozofów, wyczerpał moje siły. Mimo to próbowałem rozszyfrować kolejne napisy, mój trawiony gorączką umysł nie chciał się uspokoić. Były tu prace poświęcone chorobom tropikalnym, chorobom wieku dziecięcego i psychologii dzieci. Udało mi się skupić wzrok na oprawionej w ramkę fotografii wiszącej obok krzyża, grupowym zdjęciu ubranych w habity i welony zakonnic, być może zrobionym w czasie jakiejś ceremonii. Nie potrafiłem rozróżnić, czy jest wśród nich Gretchen, moje ludzkie oczy były zbyt słabe, a posługiwanie się nimi aż nadto bolesne. Krótkie habity zakonnic miały kolor niebieski, a ich welony — białe. Trzymała mnie za rękę. Znowu mówiłem, że muszę dotrzeć do Nowego Orleanu, odnaleźć mojego przyjaciela Louisa, który

pomoże mi odzyskać utracone ciało. Opisałem jej egzystencję poza zasięgiem współczesnego świata, jaką wiódł w maleńkim, pozbawionym elektryczności domku na tyłach swojego zdziczałego ogrodu. Wyflumaczyłem, że jest słaby, lecz mimo to może dać mi swoją krew i w ten sposób na powrót stanę się wampirem. Udam się wówczas w pościg za złodziejem ciał i zmuszę go, by zwrócił mi dawną formę. Opowiedziałem Gretchen, że Louis miał w sobie zbyt wiele z człowieka, by przekazać mi wystarczająco dużo wampirycznej siły, muszę jednak otrzymać jakieś nadprzyrodzone moce, inaczej nigdy nie uda mi się schwycić tego drania, Raglana Jamesa.

— To ciało umrze więc, kiedy tylko Louis da mi swoją krew. Ratujesz je dla śmierci — łkałem.

Zorientowałem się nagle, że mówię po francusku, ale zdaje się, że Gretchen zrozumiała, bowiem odpowiedziała w tym samym języku, iż mającę i potrzebny mi jest odpoczynek.

— Nie opuszczę cię — starannie dobierała francuskie słowa. — Ochronię cię.

Znowu poczułem jej ciepłą, delikatną dłoń na swoim ręku. Z niewypowiedzianą czułością odgarnęła włosy z mego czoła.

Mały domek pograżył się w ciemności.

W kominku płonął ogień, a Gretchen leżała obok mnie. Włożyła długą flanelową koszulę nocną, białą i bardzo grubą, i rozpuściła włosy. Obejmowała moje wstrząsane dreszczami ciało, czułem na ramieniu dotyk jej włosów. Przytulałem się do niej ostrożnie, nie chcąc sprawić bólu. Ocierała moją twarz chłodnym ręcznikiem, zmuszała, bym pił sok z pomarańczy i zimną wodę. W miarę jak zapadała coraz głębsza noc, popadałem w coraz większą panikę.

— Nie pozwolę ci umrzeć — szeptała Gretchen. Lecz wyczułem lęk, którego nie zdołała ukryć. Osunąłem się w sen tak lekki, że pokój zachował w nim ten sam kształt i kolor. Jeszcze raz wzywałem swych braci, błagałem Mariusa o pomoc. Zaczęły nawiedzać mnie okropne myśli — że byli tutaj wszyscy; małe białe figurki stojące pośród Najświętszych Panierek i Błogosławionych Rit. Wpatrywali się we mnie chłodno, nie zamierzając udzielić żadnej pomocy.

Tuż przed świtem usłyszałem jakieś głosy. Przyjechał lekarz — zmęczony młody człowiek o ziemistej cerze i zaczerwienionych powiekach. Jeszcze raz wbito igłę strzykawki w moje ramię. Chciwie wypilem szklanek zimnej wody. Nie mogłem nic zrozumieć z cichych pomruków doktora, które zresztą nie były przeznaczone dla moich uszu. Lecz ton jego głosu brzmiał wyraźnie uspokajająco. Zdołałem uchwycić pojedyncze słowa: „stan epidemii”,

„śnieżyca" i „niemożliwe warunki".

Kiedy tylko za młodym doktorem zamknęły się drzwi, poprosiłem Gretchen, żeby wróciła do mnie.

— Chcę czuć bliskość twego bijącego serca — wyszeptałem w jej ucho, kiedy położyła się obok mnie. Jakże cudowny był ciężar obejmujących mnie dużych, miękkich ramion, bezkształtnych piersi przytulonych do mego torsu, gładkiej nogi opartej o moje udo. Czy byłem zbyt chory, żeby się bać?

— Zaśnij teraz — mówiła. — Postaraj się o nic nie martwić.

I nadszedł w końcu sen, głęboki jak zasy śniegu przed domem i jak sama ciemność.

— Czy nie sądzisz, że nadeszła pora, byś wyznał swoje grzechy? — spytała Claudia.
— Wiesz przecież, twoje życie wisi na włosku.

Siedziała mi na kolanach i oparłszy dłonie o moje ramiona, patrzyła prosto w oczy; jej twarz zaledwie parę centymetrów od mojej.

Serce zamarło mi w piersi, eksplodując bólem. Jednak nie sprawił tego żaden cios sztyletu, a tylko uścisk jej drobnych rączek i zapach rozgniecionych płatków róży, unoszący się z długich lśniących włosów.

— Nie, nie mogę uczynić wyznania — odrzekłem. Jakże drżał mój głos! — Na Boga, czego chcesz ode mnie?

— Niczego nie żałujesz! Nigdy nie żałowałaś! Przyznaj to.

Powiedz prawdę! Wiesz o tym, że zasłużyłaś sobie, abym targnęła się na twoje życie. Zawsze to wiedziałaś!

— O nie!

Kiedy spojrzałem w dół, na śliczną twarz Claudii otoczoną wspaniałymi włosami, coś we mnie pękło. Zdjąłem małą z kolan i wstawszy z krzesła, posadziłem na moim miejscu. Uklęknąłem u jej stóp.

— Wysłuchaj mnie, Claudio. To nie ja dałem temu początek. Nie ja stworzyłem świat! To zło istniało zawsze. Przyczajone w mroku, chwyciło mnie w szpony i wciągnęło w swoje królestwo. Robiłem tylko to, co musiałem! Nie śmieję się ze mnie, proszę, nie odwracaj głowy. Nie stworzyłem zła! Nie ja powołałem do życia Wampira Lestata!

Przez chwilę wpatrywała się we mnie z zakłopotaniem, a potem jej pełne usteczka rozchyliły się w prześlicznym uśmiechu.

— To nie było tylko cierpieniem — mówiłem, zaciskając palce na jej drobnych ramionach. — Nie było piekłem. Powiedz, że nie. Powiedz, że zaznałaś także szczęścia. Czy diabły mogą być szczęśliwe? Mój Boże, nie pojmuje tego.

— Nie rozumiesz, ale zawsze coś robisz, prawda?

— Tak, i nie żałuję. Nie jest mi przykro. Jeśli chcesz, mogę stanąć na szczycie dachu i wykrzyknąć to prosto w niebiosa. Postąpiłbym tak samo raz jeszcze, Claudio! — Z mojej piersi wyrwało się głębokie westchnienie. Powtórzyłem znowu, podnosząc głos: — Postąpiłbym tak samo raz jeszcze!

Cisza.

Na twarzy dziewczynki nie malowało się żadne uczucie. Czy była rozgniewana? Zaskoczona? Nie potrafiłem niczego wyczytać z jej pozbawionych wyrazu oczu.

— Och, jesteś podły, Ojczy — rzekła miękkiem tonem. — Jak możesz to znosić?

David odwrócił się od okna. Podeszedł do Claudii i spojrzał na mnie, klęczącego u jej stóp.

— Jestem wzorem dla naszego gatunku — mówiłem. — Wampirem doskonałym. Patrzycie na Lestata! Nikt nie potrafi zaćmić mojego blasku — nikt! — podniosłem się z kolan. — Nie jestem zabawką w rękach Czasu, bożkiem zahartowanym przez milenia, kuglarzem w czarnym płaszczu ani żalosnym włóczęgą. Posiadam sumienie. Umiem odróżnić dobro od zła. Wiem, co czynię i owszem, czynię to. Jestem Wampirem Lestatem! Oto moja odpowiedź. Zrób z nią, co zechcesz.

Świt. Coraz jaśniejsza szarość okrytego śniegiem świata. Gretchen śpi, trzymając mnie w objęciach.

Nie obudziła się, kiedy usiadłem w pościeli i wyciągnąłem rękę po szklanekę wody. Bez smaku, ale dobra.

Dopiero teraz otworzyła oczy i podniosła się gwałtownie, z twarzą zasłoniętą ciemnoblonde włosami, suchymi, czystymi i pełnymi refleksów światła.

Ucałowałem ciepły policzek kobiety, jej palce dotknęły mojej szyi i czoła.

— Przeprowadziłaś mnie na drugą stronę — powiedziałem drżącym, zachrypniętym głosem.

Opadłem na poduszki i znowu poczułem łzy spływające po twarzy. Zacisnąłem powieki i wyszeptałem: „Żegnaj, Claudio”. Miałem nadzieję, że Gretchen tego nie usłyszała.

Kiedy ponownie otworzyłem oczy, przyniosła mi sporą miseczkę bulionu, który wypilem niemal z apetytem. Na talerzu leżały lśniące ćwiartki jabłek i pomarańczy. Pożerałem je zachłannie, zdumiony orzeźwiającą soczystością owoców. Gdy skończyłem, dostałem gorący napój z mocnego alkoholu, miodu i cytryny, tak wspaniały, że natychmiast zażądałem następnej porcji.

Znowu rozmyślałem o jej podobieństwie do Greczynki z obrazu Picassa, jak ona dużej

i urodziwej. Ciemnobrązowe brwi i jasnozielone oczy nadawały twarzy Gretchen wyraz poświęcenia i niewinności. Nie była już młodą kobietą i to także sprawiało, że jej piękność wydawała mi się w dwójnasób pociągająca.

W jej spojrzeniu, sposobie, w jaki przytakiwała moim słowom i mówiła, że owszem, mój stan się poprawił, kryła się bezinteresowność i pewne roztargnienie.

Sprawiła wrażenie osoby bezustannie pogrążonej w zamyśleniu.

Przez długą chwilę przyglądała mi się w milczeniu, jakbym ją niezwykle intrygował; potem nachyliła się powoli i pocałowała w usta, budząc w moim ciele bolesny dreszcz fizycznego podniecenia.

I znowu zasnąłem.

Nie pojawiły się żadne sny.

Wydawało się, jakbym zawsze był człowiekiem i nigdy nie miał innego ciała. Jakże byłem wdzięczny za to miękkie, ciepłe posłanie.

Popołudnie. Drzewa na tle błękitnego nieba.

Niby pogrążony w transie, przyglądałem się, jak Gretchen rozpala ogień. Obserwowałem blask płomieni tańczący na jej gładkich bosych stopach. Moje jadł cicho i ze skupieniem, z miski ustawionej pomiędzy jego łapami, od czasu do czasu podnosił na mnie oczy. Na szarym futrze psa topniały płatki śniegu.

Moje ociężałe ludzkie ciało wciąż było rozpalone, jednak gorączka już nieco opadła, ból w piersiach osłabł, dreszcze minęły. Ach, dlaczego robiła dla mnie to wszystko? Dlaczego? Zastanawiałem się, co ja mógłbym dla niej uczynić. Nie bałem się już, że umrę. Ale kiedy pomyślałem o tym, co czeka mnie w najbliższej przyszłości — trzeba schwytać złodzieja ciał — poczułem ukłucie paniki. A do tego jeszcze przez następną noc będę zbyt chory, by opuścić to miejsce.

Znowu drzemaliśmy wtuleni w siebie. Na dworze zapadał zmierzch, nic oprócz pracowitego sapania. Moje nie mąciło ciszy. W kominku płonął niewielki ogień. Ciepło i spokój. Cały świat zdawał się wypełniony ciepłem i spokojem. Zaczął sypać śnieg; powoli opuszczała się na nas bezlitosna ciemność nocy.

Gdy patrzyłem na pogrążoną we śnie twarz Gretchen i myślałem o wyrazie roztargnienia w jej oczach, ogarnęła mnie fala opiekuńczości. Nawet jej głos przepętniała melancholia. Coś nieuchwytnego w jej sposobie bycia zdradzało głęboką rezygnację. Cokolwiek się zdarzy, nie odejdę, dopóki nie dowiem się, w jaki sposób mógłbym się odwdziżyć. Poza tym podobała mi się. Lubiłem ciemność, którą w sobie nosiła, jej skrytość, prostotę słów i gestów, szczere spojrzenie.

Kiedy obudziłem się następnym razem, obok łóżka stał lekarz — ten sam młody facet o niezdrowej cerze i zmęczonej twarzy. Teraz jednak wyglądał na nieco bardziej wypoczętego, miał na sobie świeżo wyprany i wyprasowany biały fartuch. Przyłożył do mojej piersi kawałek chłodnego metalu i najwyraźniej próbował wyczytać z pracy serca, płuc albo jakiegoś innego hałaśliwego organu potrzebne informacje. Dłonie ukrył w obrzydliwie gładkich gumowych rękawiczkach. Najwyraźniej ignorując moją obecność, półgłosem rozmawiał z Gretchen o nie kończących się kłopotach w szpitalu.

Gretchen włożyła prostą niebieską sukienkę przypominającą zakonny habit, tylko krótszą, i czarne pończochy. Jej włosy, w cudownym nieładzie, proste i czyste, przywiodły mi na myśl słomę, z której księżniczka z bajki *O złośliwym karle Rumpehtilts-kinie* uprędkła złote nici.

Znowu powróciło wspomnienie mojej matki, Gabrielle, z niesamowitego, koszmarne okresu po tym, jak uczyniłem z niej wampirzycę. Jej żółte włosy, które obcięła wtedy, odrosły do pełnej długości w ciągu jednego dnia spędzonego w krypcie grobowej, przespanego snem podobnym do śmierci. Nieomal oszalała, gdy to odkryła. Pamiętam, jak krzyczała i krzyczała bez końca, nie można jej było uspokoić. Nie mam pojęcia, dlaczego o tym pomyślałem. Uwielbiałem włosy Gretchen. W niczym nie przypominała Gabrielle. W niczym zupełnie.

Wreszcie doktor zakończył to swoje osłuchiwanie i opukiwanie i wyszli się naradzić do drugiego pokoju. Mimo to wiedziałem na pewno, że jestem prawie wyleczony. I kiedy lekarz wrócił, by mi powiedzieć, iż wszystko będzie w porządku i potrzeba mi teraz tylko kilku dni odpoczynku, odrzekłem cicho, że to zasługa opieki Gretchen.

Za całą jego odpowiedź musiało mi wystarczyć wymowne kiwnięcie głową i seria niezrozumiałych pomruków. Doktor wyszedł w śnieżną zawieję. Usłyszeliśmy słaby, zgrzytliwy warkot samochodu, ruszającego z podjazdu.

Czułem się tak zdrowy i rześki, że miałem ochotę się rozplakać ze szczęścia. Zamiast tego wypilem następną porcję wyśmienitego soku z pomarańczy i pograżyłem się w rozmyślaniu i wspomnieniach.

— Muszę cię zostawić na chwilę. — Gretchen przerwała milczenie. — Trzeba pojechać po coś do jedzenia.

— Dobrze, ale ja płacę — powiedziałem, obejmując dłonią jej nadgarstek. Mój głos wciąż jeszcze był słaby i chrapliwy.

Wyjaśniłem jej, w którym hotelu się zatrzymałem, i że pieniądze są w kieszeni płaszcza. Musi je wziąć, wystarczy, żeby zapłacić za opiekę i zakupy. Klucz do pokoju

powinien być gdzieś w moim ubraniu.

Znalazła go bez trudu w koszuli, którą wraz z resztą moich *rzeczy* powiesiła na wieszaku.

— Widzisz? — uśmiechnąłem się. — Wszystko co ci mówiłem to prawda.

Odpowiedziała mi uśmiechem, na jej twarzy malowała się czułość. Obiecała, że pojedzie do hotelu i wydostanie moje pieniądze, jeżeli polezę grzecznie w łóżku. To nie najlepszy pomysł, żeby zostawiać je na wierzchu, nawet w porządnym hotelu.

Byłem zbyt senny, by mówić dalej. Przyglądałem się przez małe okienko, jak idzie poprzez śnieg w stronę swojego samochodziku. Patrzyłem, jak do niego wsiada. Cóż za wspaniała kobieta, o silnych członkach, gładkiej skórze i miękkim ciele. Przyjemnie na nią patrzeć, a jeszcze przyjemniej trzymać ją w ramionach. A jednak byłem przerażony widząc, że odjeżdża.

Kiedy znowu otworzyłem oczy, stała przy łóżku z moim płaszczem przerzuconym przez ramię. Mnóstwo gotówki, powiedziała. Pierwszy raz widzi tyle pieniędzy, w plikach i zwitkach. Cóż za dziwny człowiek ze mnie. Jest tu jakieś dwadzieścia osiem tysięcy dolarów. Zapłaciła rachunek za hotel. Martwili się o mnie. Widzieli, jak wybiegłem na śnieg. Kazali jej podpisać pokwitowanie odbioru wszystkich *rzeczy*. Wręczyła mi ów kawałek papieru, jakby to było coś ważnego. Przywiozła resztę mojego bagażu, a także kupione przeze mnie ubrania, wciąż jeszcze zapakowane w torebki i pudełka.

Chciałem jej podziękować. Na cóż jednak komu słowa? Wyrażę jej wdzięczność, kiedy powrócę w moim własnym ciele.

Odłożywszy na bok cały ten majdan, Gretchen zabrała się za przygotowanie prostej kolacji, złożonej z bulionu, chleba z masłem i butelki wina. Wypiłem znacznie więcej, niż uważała za dopuszczalne. Muszę przyznać, że ów chleb z masłem i wino to bodaj najwyborniejsze ludzkie jedzenie, jakiego dotąd kosztowałem. Powiedziałem jej o tym. I chciałybym jeszcze trochę wina, jeśli można. Uczucie upojenia jest absolutnie fantastyczne.

— Dlaczego mnie tutaj zabrałaś? — zapytałem.

Siedziała na brzegu łóżka, wpatrzona w ogień i bawiła się włosami. Nie chciała na mnie spojrzeć. Zaczęła mówić od nowa, o przepełnieniu w szpitalu, o stanie epidemii.

— Ale dlaczego to zrobiłaś? Przecież było tam tylu innych chorych.

— Ponieważ różnisz się od wszystkich ludzi, których kiedykolwiek spotkałam — odpowiedziała. — Przypominasz mi przeczytane dawno temu opowiadanie... o aniele zmuszonym, by zszedł na ziemię w ciele człowieka.

Pomyślałem o tym, jak Raglan James powiedział mi, że wyglądam jak anioł.

Wspomnienie to wywołało nagły przyływ rozpacz. Moje własne potężne ciało wędruje gdzieś po świecie, zmuszone wykonywać rozkazy tego obmierzłego indywiduum.

Spojrzała na mnie z zakłopotaniem, z jej piersi wyrwało się westchnienie.

— Kiedy to się już skończy, wrócę do ciebie w swojej własnej postaci — powiedziałem. — Odślonię ci moją prawdziwą naturę. Może będzie to miało dla ciebie jakieś znaczenie, jeśli się dowiesz, że nie okłamywałem cię. Jesteś taka silna; sądzę, że prawda nie sprawi ci bólu.

— Prawda?

Wyjaśniłem jej, że ukazując śmiertelnikom naszą prawdziwą postać, często doprowadzamy ich do szaleństwa — bowiem, mimo że nie należymy do tego świata, nie posiadamy żadnej wiedzy o Bogu ani o Szatanie. Jednym słowem, jesteśmy jak wizja religijna bez objawienia. Przeżycie mistyczne, nie kryjące w sobie ziarna prawdy.

Moje słowa wyraźnie zafascynowały Gretchen. Jej oczy rozjaśniły się subtelnym blaskiem. Poprosiła mnie, bym jej opisał, jak wyglądam w tej innej postaci.

Wyjaśniłem, że stałem się wampirem w wieku dwudziestu lat. Byłem wysokiego wzrostu, jak na tamte czasy, miałem blond włosy i jasne oczy. Jeszcze raz opowiedziałem o tym, jak słońce nad pustynią Gobi spaliło moją skórę. Obawiałem się, że Raglan James miał zamiar zatrzymać moje ciało na dobre, że zapewne gdzieś w ukryciu, schowany przed resztą naszego plemienia, doskonalili się w korzystaniu ze swoich nowych niezwykłych zdolności.

Poprosiła, żebym opisał latanie.

— Bardziej przypomina to unoszenie się na wodzie. Po prostu wznosisz się w górę, za pomocą siły woli i dryfujesz w wybranym kierunku. Odbywa się to na przekór prawom grawitacji, w zupełnie inny sposób niż lot ziemskich stworzeń. To przerażająca umiejętność, najstraszniejsza ze wszystkich, jakie mamy; myślę, że nic innego nie sprawia nam więcej bólu, nie napełnia większą rozpaczą. To ostateczny dowód, że nie jesteśmy istotami ludzkimi. Zapewne odczuwamy strach, iż pewnej nocy uniesiemy się nad ziemię i nigdy już nie zdołamy opuścić z powrotem.

Wyobraziłem sobie złodzieja ciał wykorzystującego tę umiejętność. Widziałem przecież, jak to robi.

— Nie mieści mi się w głowie, jak mogłem być takim durniem i pozwolić mu, by odszedł z ciałem równie potężnym jak moje — powiedziałem. — Zaślepiało mnie pragnienie, by stać się człowiekiem.

Gretchen patrzyła na mnie bez słowa. Siedziała z ramionami założonymi na piersiach i wielkimi ciemnymi oczami przyglądała mi się ze spokojnym uporem.

— Czy wierzysz w Boga? — spytałem. Wyciągnąłem dłoń w stronę wiszącego na ścianie krucyfiksu. — Czy wierzysz w to, co piszą katolicki filozofowie, których dzieła trzymasz na półkach?

Zastanowiła się przez chwilę, zanim odpowiedziała.

— Nie w taki sposób, o jakim myślisz.

— Więc w jaki, w takim razie?

— Od kiedy tylko pamiętam, moje życie było poświęceniem. To jest właśnie to, w co wierzę. Wierzę, że muszę uczynić wszystko co w mojej mocy, by łagodzić cierpienia. Nie mogę zrobić nic ponadto, lecz przecież jest to ogromnie dużo. To niezwykła moc, jak twoja moc latania.

Poczułem się, jakbym stanął w obliczu wielkiej tajemnicy. Zdałem sobie sprawę, że nigdy nie myślałem, by praca pielęgniarki mogła mieć coś wspólnego z posiadaniem mocy. Ale dokładnie pojmowałem, o co jej chodzi.

— Usiłowanie zrozumienia Boga — mówiła dalej — można zinterpretować jako grzech pychy lub brak wyobraźni. Lecz wszyscy potrafimy rozpoznać cierpienie. Wiemy, jak wygląda choroba, głód, ucisk. Próbuję zmniejszyć wymiar tych nieszczęść. W tym tkwi właśnie siła mojej wiary. Lecz żeby dać pełną odpowiedź na twoje pytanie — tak, wierzę w Boga i Jezusa Chrystusa. Tak jak ty.

— Nie, ja nie wierzę.

— Wierzyłeś, kiedy trawiła cię gorączka. Nie słyszałam nigdy przedtem, żeby ktoś rozprawiał o Bogu i Diablu w podobny sposób.

— Mówiłem o nudnych argumentach teologicznych.

— Nie, mówiłeś o niestosowności teologicznych argumentów.

— Tak myślisz?

— Tak. Potrafisz rozpoznać dobro. Tak powiedziałaś. Ja też to potrafię. Poświęciłam całe swoje życie, by je czynić.

— Tak, rozumiem — westchnąłem. — Czy umarłbym, gdybyś zostawiła mnie w szpitalu?

— Być może — odpowiedziała. — Naprawdę nie mam pojęcia. Samo patrzeć na Gretchen sprawiało mi wielką przyjemność.

Jej duża twarz o prostych rysach nie miała w sobie nic z arystokratycznej subtelności, lecz mimo to wydawała mi się niezwykle piękna. Lata oszczędziły ją, troski nie zniszczyły szlachetności oblicza.

Wyczuwałem przyczajoną zmysłowość, której Gretchen nie ufała i której nie

pozwołała się rozwinąć.

— Wy tłumacz mi to raz jeszcze — poprosiła. — Mówiłeś, że zostałeś wokalistą rockowym, żeby zrobić dobro. Chciałeś być dobry, będąc symbolem zła? Porozmawiajmy o tym.

Opowiedziałem jej. Mówiłem, jak stworzyłem niewielki zespół pod nazwą „Noc Szatana” i uczyniłem z moich muzyków profesjonalistów. Wyznałem, że eksperyment nie udał mi się; wywołałem tylko wściekłość moich braci i w efekcie zostałem siłą zmuszony do wycofania się. Cała ta awantura nie miała żadnego wpływu na realną rzeczywistość, nie spowodowała wyłomu w materii śmiertelnego świata. Wcisnęło mnie z powrotem w nieadekwatną niewidzialność.

— Nie ma dla nas miejsca na ziemi — powiedziałem. — Może kiedyś było, nie wiem. Sam fakt naszej egzystencji nie daje wystarczającego usprawiedliwienia. Myśliwi doprowadzili do zagłady wilków. Sądziłem, że jeśli ujawnię nasze istnienie, łowcy doprowadzą w podobny sposób do zagłady naszego gatunku. Lecz nie miało się tak stać. Moja krótka kariera była jedynie pasmem złudzeń. Nikt w nas nie wierzy. I tak właśnie musi być. Niewykluczone, iż pisana jest nam śmierć z rozpacz, iż znikniemy z tego świata powoli i bez jęku.

Tylko że ja nie potrafię się z tym pogodzić. Nie mogę siedzieć cicho, być niczym, spokojnie cieszyć się życiem i patrzeć na wszystkie dzieła i osiągnięcia człowieka, nie mając w nich swojego udziału. Nie chcę być tylko samotnym Kainem. Prawdziwe życie to właśnie działania śmiertelnych ludzi. Tymczasem świat nie jest urządzony zgodnie z naturalnym porządkiem. Gdyby tak było, może nie czułbym się równie źle jako nieśmiertelny. Chodzi mi o to, co stworzyli ludzie. Mam na myśli Rembrandta, pomniki wielkich miast okryte śniegiem, wspaniałe katedry. Nam na całą wieczność została odebrana możliwość kreacji, i nie bez słuszności, a mimo to oglądamy efekty tworzenia naszymi wampirzymi oczami.

— Dlaczego zamieniłeś się na ciało ze śmiertelnym człowiekiem?

— Żeby znowu, przez jeden dzień, móc spacerować w słonecznym blasku. Żeby myśleć, czuć i oddychać jak człowiek. Może też po to, by sprawdzić słuszność przekonania.

— Jakiego przekonania?

— Że powrót do śmiertelności jest tym, czego naprawdę pragniemy i żałujemy, iż z niej zrezygnowaliśmy. Że nieśmiertelność nie jest warta utraty ludzkiej duszy. Ale teraz wiem, iż się myliłem.

Nagle pomyślałem o Claudii. Przypomniałem sobie sny, wywołane gorączką. Zwaliała się na mnie ołowiana cisza. Ponowne odezwanie się wymagało wielkiego wysiłku woli.

— O wiele bardziej wolę być wampirem — powiedziałem. — Czuję się okropnie jako człowiek. Nie podoba mi się bycie kruchym, słabym, chorym i cierpiącym. To absolutnie straszne. Chcę z powrotem moje własne ciało.

Gretchen wydawała się nieco wstrząśnięta usłyszczanymi przed chwilą słowami.

— Nawet mimo to, że w tamtym drugim ciele zabijasz i pijesz ludzką krew? Chociaż nienawidzisz, tego co robisz i siebie samego?

— To nieprawda, że nienawidzę. Nie czuję do siebie wstrętu. Czy nie rozumiesz, iż na tym właśnie polega sprzeczność? Nigdy nie pogardzałem sobą.

— Powiedziałeś mi, że jesteś zły i pomagając tobie, udzielam pomocy diabłu. Nie mówiłbyś tego, gdybyś nie był z siebie dumny.

Odezwałem się dopiero po chwili:

— Mój największy grzech stanowi fakt, że zawsze świetnie się czułem we własnej skórze. Poczucie winy i moralny wstręt nigdy mnie nie opuszczały, lecz mimo to bawiłem się wspaniale. Jestem silny. Posiadam niezłomną wolę i żądzę życia. Widzisz, tu właśnie leży jądro mojego dylematu — jak to możliwe, że czerpię tyle radości z bycia wampirem; jak to możliwe, jeżeli w tym tkwi zło? Ach, to stara historia. Ludzie rozwiązują ten problem, idąc na wojnę. Mówią sobie, że pozbawiają życia innych w słusznej sprawie. Lecz zabijając, czują ten sam dreszcz emocji co dzikie zwierzęta. O tak, zwierzęta dobrze wiedzą, o co chodzi. Wilki, na przykład. Pierwotna rozkosz rozszarpywania ofiary. Mnie też nie jest ona obca.

Przez dłuższą chwilę Gretchen wydawała się gubić we własnych myślach. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej dłoni.

— Chodź, połóż się i zaśnij — powiedziałem. — Przytul się do mnie, jak przedtem. Nie wyrządę ci żadnej krzywdy. Nie mógłbym, nie mam siły — roześmiałem się. — Jesteś taka piękna. Nie przyszłoby mi do głowy, żeby zrobić ci cokolwiek złego. Po prostu pragnę być blisko ciebie. Nadchodzi późna noc i chciałbym, żebyś się znowu położyła przy moim boku.

— Zawsze mówisz dokładnie to, co masz na myśli, prawda?

— Oczywiście.

— Zdajesz sobie sprawę, że jesteś jak dziecko? Masz w sobie cudowną prostotę. Prostotę świętego.

Wybuchnąłem śmiechem.

— Najdroższa Gretchen, rozumiałaś mnie zupełnie na opak. Chociaż z drugiej strony, może masz rację. Przypuszczam, że mógłbym stać się świętym, jeżeli wierzyłbym w Boga i zbawienie.

Rozmyślała przez chwilę, a potem powiedziała cicho, że dopiero przed miesiącem zwolniła się z misji w Gujanie Francuskiej. Przyjechała do Georgetown, żeby rozpocząć studia na uniwersytecie, a w szpitalu pracuje tylko jako ochotniczka.

— Czy wiesz, dlaczego naprawdę wzięłam urlop? — zapytała.

— Nie. Powiedz mi.

— Chciałam poznać mężczyznę. Ciepło męskiego ciała. Pragnęłam dowiedzieć się, jak to jest. Mam czterdzieści lat, a nigdy jeszcze nie byłam z mężczyzną. Mówiłeś o wstępie moralnym. To twoje słowa. Otóż nienawidzę swojego dziewictwa — doskonałej, nieskalanej czystości. Wydaje mi się, że bez względu na to, w co się wierzy, nieskazitelna czystość bierze się z tchórzostwa.

— Rozumiem. Z pewnością dziewictwo nie ma nic do *rzeczy* z czynieniem dobra przez prace w misji. W ostatecznym rozrachunku.

— Nie, wszystko jest tu powiązane. Ale tylko dlatego że nie można ciężko pracować, jeżeli myśli się o czymś jeszcze. O kimś jeszcze, poza Chrystusem.

Przyznałem, że wiem, co ma na myśli.

— Lecz jeżeli wyrzeczenie staje się przeszkodą w pracy — powiedziałem — wtedy lepiej poznać, czym jest miłość. Pojmujesz?

— Tak, doświadczyć tego, a potem wrócić do pracy w imię Boga.

— Dokładnie.

— Szukałam więc mężczyzny. — Wymówiła to powoli, rozmarzonym tonem.

— Zatem to jest odpowiedź na moje pytanie. Dlatego mnie tutaj przywiozłaś.

— Zapewne — przyznała. — Bóg jeden wie, jak bardzo mnie przerażali wszyscy inni. Ale ty nie budzisz we mnie lęku. — Spojrzała na mnie, jakby zaskoczona własnymi słowami.

— Chodź, połóż się obok mnie i zaśnij. Poczekajmy, aż ja wyzdrowieje, a ty nabierzesz pewności, czego naprawdę pragniesz. Nie chciałbym zmuszać cię do niczego, nie potrafiłbym cię skrzywdzić.

— Ale jak to możliwe, byś przemawiał do mnie z taką czułością, skoro jesteś diabłem?

— Mówiłem ci już, w tym właśnie tkwi tajemnica. Albo może tu właśnie kryje się odpowiedź. Jedno z dwojga. Chodź, połóż się koło mnie.

Zamknąłem oczy. Czułem, jak wślizguje się pod kołdrę — ciepło jej ciała przy moim boku, ramię przerzucone przez moją pierś.

— Wiesz — powiedziałem — ten aspekt bycia człowiekiem jest niemal przyjemny.

Już na wpół uśpiony, usłyszałem jej głos:

— Myślę, że to jest powód, dla którego ty wzięłeś swój urlop. Nawet jeśli nie zdajesz sobie z tego sprawy.

— No cóż, widzę, że mi nie wierzysz — wymruczałem leniwie. Jakże cudownie było znowu trzymać ją w objęciach, tulić jej głowę do swojej szyi. Całowałem splątane nieco włosy, zachwycony ich miękkim, sprężystym dotykiem.

— Istnieje ukryta przyczyna twojego zstąpienia na ziemię, przyjęcia ludzkiej postaci — mówiła. — Przyczyna, dla której Chrystus to sprawił.

— I cóż nią jest?

— Odkupienie — odrzekła.

— Ach tak, pragnął, abym został zbawiony. Czy to nie byłoby przemile?

Chciałem jej powiedzieć, że to absolutna niedorzeczność nawet myśleć o czymś takim, ale poczułem, że zapadam w sen. Tym razem miałem pewność, że nie napotkam w nim Claudii.

Może to zresztą w ogóle nie był sen, lecz wspomnienie. Razem z Davidem oglądałem wspaniałe płótno Rembrandta wystawione w Rijksmuseum.

Zostać zbawionym. Co za pomysł, cóż za urocza ekstrawagancja... Miałem szczęście, iż znalazłem tę jedyną na całym świecie kobietę, zdolną poważnie o czymś takim pomyśleć.

Claudia już się więcej nie śmiała. Claudia bowiem umarła.

Rozdział 15

Wczesny poranek, tuż przed wschodem słońca. W dawnych czasach lubiłem o tej porze, zmęczony i oczarowany zmieniającym się niebem, oddawać się medytacji. Wykąpałem się dokładnie, bez pośpiechu, w małej łazience wypełnionej bladym światłem i unoszącą się znad wody parą. W głowie miałem jasność i czułem się szczęśliwy, jak gdyby sam brak choroby był formą radości. Starannie ogoliłem twarz, aż stała się idealnie gładka. W niewielkiej szafce, ukrytej za lustrzanymi drzwiczkami, odnalazłem to, czego potrzebowałem — prezerwatywy, które zabezpieczą Gretchen przede mną. Uchronią ją przed poczęciem ze mną dziecka, a także przyjęciem tajemniczych, mrocznych zarodków, jakimi to ciało mogłoby ją skrzywdzić w jakiś inny, nie przewidziany przeze mnie sposób.

Cóż za zabawne przedmiociki — rękawiczki dla członka. Z wielką przyjemnością byłbym je wyrzucił, lecz twardo postanowiłem nie popełniać więcej dawnych błędów.

Cicho zamknąłem drzwiczki. Dopiero wtedy dostrzegłem przyklejony nad szafką telegram — poźółkły prostokąt z niewyraźnie wydrukowanymi słowami:

GRETCHEN, WRACAJ, POTRZEBUJEMY CIEBIE. NIE BĘDZIE ŻADNYCH PYTAŃ. CZEKAMY.

Wiadomość przysłała niedawno, nosiła datę zaledwie sprzed kilku dni. Nadano ją z Caracas w Wenezueli.

Starając się zachowywać cicho, podszedłem do łóżka i umieściwszy owe niewielkie środki zabezpieczające na stoliku nocnym, położyłem się obok Gretchen. Zacząłem całować jej słodkie, śpiące usta.

Nie spiesząc się, całowałem policzki i miękką skórę pod oczami. Pragnąłem poczuć na wargach dotyk rzęs. Przyłgnałem ustami do jej gardła. Nie po to, by zabić, lecz żeby pieścić. Nie miałem wziąć jej w posiadanie, lecz jedynie zjednoczyć się w krótkotrwałym połączeniu ciał, które nie odbierając niczego żadnemu z nas, przyniesie podobną do bólu rozkosz.

Powoli się budziła pod wpływem mojego dotyku.

— Zaufaj mi — wyszeptalem. — Nie skrzywdzę cię.

— Och, ale ja chcę, żebyś mnie skrzywdził — powiedziała prosto w moje ucho.

Delikatnie zdjąłem z niej koszulę nocną. Leżała na plecach, wpatrzona we mnie. Miała piękne piersi o drobnych, twardych sutkach otoczonych wąską różową aureolą, gładki brzuch i szerokie biodra. Brązowe włosy na łonie Gretchen lśniły we wpadającym przez okno świetle brzasku. Nachyliłem się, żeby je pocałować. Rozsunąłem kształtne uda, nie przestając

pokrywać ich pocałunkami i odstąpiłem pulsującą ciepłem szczelinę prowadzącą do wnętrza ciała. Mój członek stwardniał. Wpatrywałem się w ową tajemniczą ciemnoróżową głębię, skromnie osłoniętą fałdami osypanej puszką skóry. Ogarnęło mnie pierwotne podniecenie i członek stał się jeszcze bardziej sztywny. Fala pożądania była tak gwałtowna, iż mało nie wzięłem Gretchen siłą.

Nie, nie tym razem.

Przesunąłem się wyżej i przyciągnąwszy do siebie twarz Gretchen, poddałem się jej pełnym skrępowania, niezręcznym pocałunkom. Czułem ciężar jej nogi na swoim udzie, dotyk dłoni przesuających się po moim ciele, badających ciepłe zagłębienia pod pachami i gęstwiny wilgotnych, ciemnych włosów wokół genitalii. To było moje ciało, gotowe, by ją pojąć, czekające na tę chwilę. Do mnie należała klatka piersiowa, którą pieściła, wyraźnie podziwiając twarde mięśnie. To moje ramiona całowała, zachwycona ich siłą.

Rozpalająca mnie namiętność przycichła na chwilę, tylko po to, by natychmiast wzebrać na nowo; i znowu opaść, przyczać się w oczekiwaniu; i jeszcze raz rozgorzeć pełnym płomieniem.

Nawet nie pomyślałem o picu krwi, o życiu tętniącym wewnątrz jej ciała, które kiedy indziej mógłbym wyssać razem z ciemnym płynem. Powiedziałbym raczej, że żar jej krwi dodał owej chwili szczególnego blasku. Możliwość, że coś mogłoby ją zranić, zniszczyć prostą tajemnicę tej duszy, pełnej ufności, pożądania i głębokiego lęku, wydawała mi się bluźnierstwem.

Przesunąłem dłoń w dół, ku sekretnej bramie; jakże żałowałem, że nasze połączenie musi być tak krótkie, tak niepełne.

Wsunąłem palce w dziewiczy korytarz i wtedy poczułem, że w niej również rozpała się ogień. Otwierała się dla mnie, płatek po płatku, coraz mocniej przyciskając swoje usta do moich warg, coraz silniej napierając na mnie całym ciałem.

Lecz cóż z zachowaniem bezpieczeństwa — czyżby zupełnie się tym nie przejmowała? Pochłonięta tym nowym dla siebie doznaniem, zdawała się nie dbać o nic i całkowicie poddawać mojej władzy. Zmusiłem się do powstrzymania eksplozji zmysłów i otworzenia małej paczuski z prezerwatywą. Kiedy naciągałem kondom na członek, patrzyła na mnie pozbawionym wyrazu wzrokiem, jakby nie pozostał w niej już nawet ślad własnej woli.

To takiego całkowitego poddania się pragnęła, tego właśnie szukała. Znowu zacząłem ją całować. Była wilgotna, gotowa, żeby mnie przyjąć. Nie mogłem już przeciągnąć oczekiwania ani chwili dłużej, wszedłem w nią gwałtownie. Jej ciasne, spływające sokami,

rozpalone wnętrze doprowadzało mnie do szaleństwa. Kiedy przyspieszyłem rytm, zobaczyłem, jak krew nabiega do jej twarzy; nachyliłem się, by dotknąć językiem twardych sutków, by znowu całować jej usta. Jęk spełnienia, który wydobył się z ust Gretchen, przypominał jęk bólu. I znowu stanąłem w obliczu tajemnicy — jak to możliwe, by coś równie doskonałe i pełne trwało taką maleńką chwilę? Bezcenny, krótki moment.

Czy to było zjednoczenie? Czy w owej rozkrzyczanej ciszy naprawdę należeliśmy do siebie?

Nie sędzę. Wręcz przeciwnie, zdało mi się raczej brutalnym rozdzieleniem: dwie odrębne istoty, rzucone sobie w ramiona w niezdarnym uniesieniu, w zaufaniu i niepewności; niezdolne poznać i pojąć, co się dzieje w duszy partnera. Słodycz miłosnego aktu równie straszliwa jak jego nietrwałość; żar namiętności równie potężny co ból osamotnienia.

Nagle dostrzegłem, jak bardzo jest krucha — leżała z zamkniętymi oczami, z twarzą wtuloną w poduszkę, wydawało się, że jej piersi znieruchomiały, nie poruszane już więcej żadnym oddechem. Idealne wyobrażenie ofiary gwałtu, wzbudzające w sercu mężczyzny najdziksze okrucieństwo.

Dlaczego tak się działo?

Nie chciałem, żeby dotykał jej żaden inny śmiertelnik!

Nie chciałem, by stała się ofiarą swojego własnego poczucia winy. Nie chciałem, żeby cierpiała z powodu żalu czy jakiegokolwiek innego absurdalnego wytworu ludzkiego umysłu.

Dopiero teraz pomyślałem znowu o Ciemnym Darze, o wspaniałym słodkim dreszczu stworzenia nie Claudii, lecz Gabrielle, która nigdy, od tamtej dawno minionej chwili, nie zwracała się w stronę przeszłości. Rozpoczęła swoją wędrówkę uzbrojona w siłę i pewność siebie. Stawiając czoło nie kończącym się zawiłościom, w jakie wciągał ją ten wspaniały świat, ani przez moment nie zawracała sobie głowy moralnymi niepokojami.

Zresztą gdzie było powiedziane, że Ciemny Dar mógł wyposażać kogokolwiek w ludzką duszę? Lecz tutaj mamy zakonnicę pełną cnót, oddaną medytacji kobietę, w której zatapiałem się o brzasku, zmęczony przeżyciami nocy.

Jednak to wszystko nie ma żadnego znaczenia, dopóki Gretchen nie przekona się, że mówiłem prawdę. A co będzie, jeśli nigdy nie zdołam jej tego udowodnić? Jeśli już nigdy więcej nie popłynię w moich żyłach Ciemna Krew, którą mógłbym komukolwiek ofiarować, i pozostanę na zawsze uwięziony w tym śmiertelnym ciele? Leżałem w milczeniu, przyglądając się, jak słoneczny blask powoli wypełnia pokój; kontemplowałem widok ognistego promienia przeszywającego bok maleńkiego Chrystusa rozpiętego na krzyżu nad biblioteczką, powódź światła zalewającą figurkę Dziewicy.

Spaliśmy przytuleni do siebie.

ROZDZIAŁ 16

Południe. Miałem na sobie czyste nowe rzeczy, kupione owego ostatniego, rozstrzygającego dnia mojej tułaczki — miękki biały pulower z długimi rękawami i modnie wyblakłe dżinsowe spodnie.

Urządziliśmy sobie coś w rodzaju pikniku przed trzaskającym w kominku ogniem — jedliśmy późne śniadanie siedząc na białym kocu rozłożonym na dywanie. Mojo pożerał swoją porcję mięsa na podłodze w kuchni, swoim zwyczajem łapczywie i niechlujnie. Nasz posiłek składał się z francuskiego pieczywa z masłem, soku z pomarańczy, jajek na twardo i grubych plasterków owoców. Pochłaniałem to wszystko z ogromnym apetytem, puszczając mimo uszu ostrzeżenia Gretchen, iż nie jestem jeszcze zupełnie zdrowy. Czułem się świetnie. Potwierdzał to nawet jej miniaturowy termometr.

Powinienem być już w drodze do Nowego Orleanu. Jeżeli nie zamknięto lotniska, może zdołałbym się dostać do miasta przed zmrokiem. Ale nie miałem ochoty opuszczać Gretchen tak szybko. Poprosiłem o jeszcze trochę wina. Chciałem rozmawiać, za wszelką cenę pragnąłem zrozumieć tę kobietę. Poza tym bałem się rozstania, bałem się zostać sam, bez niej. Perspektywa podróży samolotem napawała mnie tchórzliwym lękiem. A zresztą było mi dobrze z Gretchen.

Opowiadała swobodnie o swoim życiu misjonarki, które pokochała od samego początku. Pierwsze lata spędziła w Peru, potem przeniesiono ją na Jukatan. Jej ostatnia placówka znajdowała się w dżungli Gujany Francuskiej, zamieszkaney przez prymitywne plemiona indiańskie. Misja Świętej Małgorzaty znajdowała się o sześć godzin drogi motorówką w górę rzeki Maroni od miasteczka St. Laurent. Wraz z innymi siostrami Gretchen odnowiła betonową kaplicę, szpitalik i pobielany wapnem budynek, w którym mieściła się szkoła. Lecz często zakonnice musiały opuszczać teren misji i wędrować wprost do indiańskich wiosek. Uwielbiała tę pracę.

Rozłożyła przede mną wachlarz fotografii — prostokątnych kolorowych obrazków przedstawiających prymitywne domki, ją samą, siostry i księdza przychodzącego, by odprawić mszę. Nie nosiły tam habitów ani welonów, lecz płócienne ubrania w kolorze białym lub khaki; nie zasłaniały też włosów — pracujące siostry z prawdziwego zdarzenia, wyjaśniła mi Gretchen. A oto ona — promiennie szczęśliwa, pozbawiona tej melancholii, tak rzucającej się w oczy teraz. Na innym zdjęciu stoi w otoczeniu ciemnoskórych Indian na tle niewielkich osobliwych budowli o ścianach ozdobionych płaskorzeźbami. Gdzie indziej wbija

igłę w ramię podobnego do widma starca, siedzącego na jaskrawo pomalowanym krześle z wysokim oparciem.

Życie w tych zagubionych w dżungli wioskach nie zmieniło się od stuleci, mówiła. Wyglądało tak samo, zanim jeszcze Francuzi i Hiszpanie postawili stopę na południowoamerykańskim lądzie. Nie było łatwo skłonić tubylców, by zaufali siostrze, lekarzom i księżdom. Osobiście jej nie obchodzi, czy nauczą się recytować pacierz. Interesowały ją jedynie szczepionki, skuteczne oczyszczanie zakażonych ran i składanie złamanych kości, tak by jej pacjenci nie zostali kalekami do końca życia.

Oczywiście chcieli, żeby do nich wróciła. Okazali wiele cierpliwości, kiedy postanowiła wziąć urlop. Ale potrzebują jej. Czeka tam na nią mnóstwo pracy. Pokazała mi telegram, który już wcześniej znalazłem przyklejony do ściany nad szafką w łazience.

— Widzę, że tęsknisz — odezwałem się.

Przyglądałem się Gretchen, z lękiem szukając objawów wyrzutów sumienia z powodu tego, co zrobiliśmy. Ale nic podobnego nie dostrzegłem. Nie wyglądało też na to, żeby zamartwiała się w związku z telegramem.

— Oczywiście wracam tam — powiedziała po prostu. — Może to zabrzmieć bezsensownie, ale wiele mnie kosztowało, żeby w ogóle stamtąd wyjechać. Lecz cały ten problem dziewictwa stał się niszczącą obsesją.

Oczywiście, rozumiałem ją. Patrzyła na mnie swoimi wielkimi, spokojnymi oczami.

— A teraz już wiesz, że kwestia czy sypiasz z mężczyzną, czy nie, naprawdę nie jest taka ważna. Czy nie to właśnie odkryłaś?

— Możliwe — uśmiechnęła się nieśmiało. Siedziała na kocu z nogami skromnie podwiniętymi na bok, opadające na ramiona włosy przypominały zakonne welony. Wydawała mi się niezwykle silną osobą.

— Jak to się wszystko zaczęło? — zapytałem.

— Myślisz, że to ma jakieś znaczenie? Sądzę, że nie spodobałaby ci się moja historia.

— Chcę wiedzieć.

Córka księgowej i belfra z katolickiej szkoły, dorastała w Chicago, w dzielnicy Bridgeport. W bardzo wczesnym wieku ujawniła niezwykły talent do gry na fortepianie. Rodzina była zdecydowana na wszelkie wyrzeczenia, byle opłacić jej lekcje u słynnego nauczyciela.

— Widzisz, poświęcenie — znowu uśmiechnęła się nieśmiało. — Od samego początku. Tylko że wtedy jeszcze dla muzyki, a nie dla medycyny.

Ale już wówczas zaliczała się do osób głęboko religijnych; czytywała żywoty

świętych i marzyła, żeby pracując jako misjonarka, zostać jedną z nich. Szczególnie fascynowali ją: mistyczka, święta Róża z Limy i bardziej oddany ziemskim zadaniom, święty Marcin z Porres. A także święta Rita. Pragnęła, gdy dorośnie, pracować w schronisku dla trędowatych, odnaleźć przesłaniający wszystko, bohaterski cel. Jeszcze w dzieciństwie urządziła malutką kapliczkę na tyłach domu, gdzie godzinami klęczała wpatrując się w krucyfiks, w nadziei, że na jej stopach i dłoniach wystąpią rany Chrystusa — stygmaty.

— Brałam to wszystko bardzo poważnie — mówiła. — Święci są dla mnie prawdziwi. Heroizm jest realną możliwością.

— Heroizm — powtórzyłem. Moje słowo. Ale jakże różniły się nasze definicje tego pojęcia. Nie chciałem jednak jej przerywać.

— Wydawało mi się, że gra na fortepianie stoi w konflikcie z najbardziej duchową częstką mojej duszy. Pragnęłam poświęcić wszystko dla innych, a to oznaczało również — a raczej przede wszystkim — rezygnację z fortepianu.

To mnie zasmuciło. Odnosiłem wrażenie, iż nie opowiadała tej historii zbyt często. Mówiła cichym, jakby stłumionym głosem.

— A co ze szczęściem, które dawałaś ludziom dzięki swojej grze? — zapytałem. — Czy to nie miało żadnej istotnej wartości?

— Teraz widzę, że miało — powiedziała jeszcze ciszej, z trudem dobierając słowa. — Lecz wówczas? Nie byłam tego pewna. Nie nadawałam się zbyt na wirtuoza. Nie przeszkadzało mi, kiedy mnie słuchano, ale nie znosiłam, żeby na mnie patrzono. — Podniosła na mnie oczy, na jej policzki wpełzł delikatny rumieniec. — Może byłoby inaczej, gdyby pozwolono mi grać na chórze w kościele albo za parawanem.

— Rozumiem. Wielu ludzi myśli podobnie.

— Ale nie ty, prawda? Potrząsnąłem głową.

Opowiedziała mi, że cierpiała katusze, gdy ubierano ją w koronkowe bluzki i zmuszano do publicznych występów. Robiła to tylko dlatego, by sprawić przyjemność rodzicom i nauczycielom. Udział w przeróżnych konkursach był śmiertelną udręką. Ale mimo to prawie zawsze w nich zwyciężała. Zanim skończyła szesnaście lat, rozwój jej kariery stał się rodzinnym przedsięwzięciem.

— Lecz czym była dla ciebie sama muzyka? Czy nie dawała ci przyjemności?

Przez chwilę milczała, zamyślona. Potem odrzekła:

— Wprawiała mnie w absolutną ekstazę. Kiedy nikt na mnie nie patrzył... kiedy grałam w samotności, ztracałam się w muzyce bez reszty. Działała na mnie prawie jak narkotyk. To było niemal... erotyczne. Czasami melodie prześladowały mnie, bezustannie

wirowały w moje głowie. Grając, nie zdawałam sobie sprawy z upływu czasu. Jeszcze teraz nie potrafię spokojnie słuchać muzyki, bo odbiera mi poczucie rzeczywistości. Widzisz, nigdzie tu nie ma radia ani magnetofonu. Ciągłe nie mogę posiadać tego rodzaju urządzeń.

— Ale dlaczego sobie tego odmawiasz? — Rozejrzałem się dookoła. Nie było tu również fortepianu.

Pokręciła głową.

— To jest aż nadto porywające, nie rozumiesz? Mogłabym zbyt łatwo zapomnieć o wszystkim innym. A kiedy tak się dzieje, nie ma mowy o tym, żeby coś zdziałać. Życie zatrzymuje się w miejscu.

— Ale Gretchen, czy to możliwe? Dla wielu z nas życie polega właśnie na odczuwaniu podobnych doznań! Szukamy ekstazy! W takich chwilach przestaje istnieć cierpienie, zły nastrój, wszelkie konflikty. Przynajmniej ja tak czułem, kiedy jeszcze żyłem. Teraz zresztą jest podobnie.

Zastanawiała się nad tym, co powiedziałem. Na jej gładkiej twarzy malowało się pełne odprężenie.

— To mi nie wystarcza — odezwała się wreszcie. W głosie Gretchen było niezmacone przekonanie. — Potrzebuję czegoś bardziej twórczego. Ujmując to inaczej, nie potrafię cieszyć się takimi przyjemnościami, podczas gdy inni cierpią z powodu głodu lub choroby.

— Nieszczęścia nigdy nie znikną z tego świata. A ludzie potrzebują muzyki nie mniej niż lekarstw i żywności.

— Nie wiem, czy się z tobą zgadzam. Właściwie jestem absolutnie przekonana, że nie. Całe swoje życie staram się nieść ulgę cierpiącym. Wierz mi, znam te wszystkie argumenty na pamięć.

— Och, po prostu nie mieści mi się w głowie, że można wybrać pielęgniarstwo zamiast muzyki — powiedziałem. — Oczywiście, nie ma nic złego w opiekowaniu się chorymi. — Czułem się zbyt zmieszany i zasmucony, by mówić dalej. — Jak właściwie do tego doszło, że podjęłaś tę właśnie decyzję? — spytałem. — Czy twoja rodzina nie próbowała cię powstrzymać?

Zaczęła wyjaśniać, co się wydarzyło. Kiedy miała szesnaście lat, jej matka ciężko zachorowała. Przez wiele miesięcy żaden lekarz nie potrafił ustalić przyczyny choroby. Kobieta była skrajnie wyczerpana, nieustannie dręczyła ją gorączka i w końcu nikt już nie miał wątpliwości, że powoli ucieka z niej życie. Robiono coraz to nowe badania, które nic nie wyjaśniły. Wszyscy nabrali przekonania, iż wkrótce umrze. Atmosferę rodzinnego domu

zatrwała troska i żal.

— Błagałam Boga o cud — opowiadała Gretchen. — Przysięgam, iż jeśli uratuje moją matkę, do końca życia nie dotknę klawiszy fortepianu. Ślubowałam, że wstąpię do zakonu, kiedy tylko osiągnę odpowiedni wiek, że poświęcę swoje życie opiece nad chorymi i umierającymi.

— I twoja matka została uleczona.

— Tak. Powróciła całkowicie do zdrowia w ciągu kilku miesięcy. Żyje do dzisiaj. Nie pracuje już zawodowo, ale nadal prowadzi świetlicę dla dzieci w czarnej dzielnicy Chicago. Nigdy potem nie skarżyła się na jakiegokolwiek dolegliwości.

— A ty dotrzymałaś obietnicy? Kiwnęła głową.

— W wieku siedemnastu lat wstąpiłam do Sióstr Misjonarek. Posłały mnie do college'u.

— I już nigdy więcej nie usiadłaś do fortepianu? Przytaknęła. Nie było w niej śladu żalu, nie dostrzegłem też, by pragnęła czy potrzebowała mojego zrozumienia i aprobaty. W istocie wiedziałem, iż Gretchen zdaje sobie sprawę z mojego zasmucenia i raczej martwi się o mnie niż o siebie.

— Czy w klasztorze byłaś szczęśliwa?

— O tak — odpowiedziała, lekko wzruszając ramionami. — Czy nie widzisz, że normalne życie nie wchodzi w grę dla kogoś takiego jak ja? Muszę robić coś trudnego, podejmować ryzyko. Wstąpiłam do tego właśnie zakonu, ponieważ prowadzi misje w najbardziej odległych i zdradliwych zakątkach Ameryki Południowej. Nie potrafię ci opisać, jak bardzo kocham dżunglę! — Jej głos stał się niemal natarczywy. — Nie przeszkadzają mi upały ani brak bezpieczeństwa. Czasami padamy z przepracowania, a szpital jest przepełniony do tego stopnia, że musimy kłaść chore dzieci na rozłożonych na dworze matach i w hamakach. Wtedy czuję, że żyję! Nie potrafię tego wyrazić. Starcza mi czasu najwyżej na otarcie potu z twarzy, umycie rąk czy może wypicie szklanki wody. Ale bez przerwy myślę: żyję, jestem tutaj, robię coś ważnego.

Uśmiechnęła się.

— To inny sposób doświadczania intensywności wrażeń — powiedziałem. — Zupełnie niepodobny do grania. Dostrzegam rozstrzygającą różnicę.

Przypomniałem sobie opowiadanie Davida o latach jego młodości, kiedy szukał skrajnych emocji w ciągle to nowych ryzykownych sytuacjach. Gretchen pragnęła odnaleźć ten dreszcz podniecenia w bezgranicznym poświęceniu się. Dla Davida wyzwaniem były niebezpieczeństwa tajemnych obrzędów Brazylii, dla niej — trudne zadanie niesienia pomocy

tysiącom bezimiennych chorych, nieskoń-

czonej rzeszy nędzarzy potrzebujących wsparcia. Porównanie to głęboko mnie zaniepokoiło.

— Oczywiście, jest w tym trochę pychy — odezwała się Gretchen. — Pycha jest naszym odwiecznym wrogiem. To właśnie martwiło mnie najbardziej w moim... w moim dzieciństwie, duma, jaką czułam z jego powodu. Ale widzisz, nawet powrót do Stanów oznaczał ryzyko. Byłam przerażona, kiedy wysiadłam z samolotu i dotarło do mnie, że jestem tutaj, w Georgetown i nic nie zdoła mnie powstrzymać od pójścia z mężczyzną do łóżka, jeżeli tego zechcę. Myślę, że zgłosiłam się do pracy w szpitalu ze strachu. Bóg jeden wie, że wolność nie jest łatwa.

— Tę część twojej historii potrafię zrozumieć. Ale jak zareagowali rodzice, kiedy dowiedzieli się o twoim ślubowaniu, o decyzji porzucenia muzyki?

— Wtedy jeszcze nic nie wiedzieli, nie powiedziałam im o tym. Oznajmiłam tylko, że dostąpiłam łaski powołania. Uparłam się przy swoim. Oczywiście, było mnóstwo wzajemnych pretensji. W końcu moi bracia i siostry musieli nosić używane ubrania, żebym ja mogła brać lekcje muzyki. Ale tak często bywa, nawet w dobrej katolickiej rodzinie wiadomość, że córka wybiera się do klasztoru, nie zawsze jest przyjmowana z okrzykami radości i zachęty.

— Boleli nad twoim zaprzepaszczonym talentem.

— Owszem — przyznała, lekko unosząc brwi. Wydawała się niezwykle spokojna i szczerą, nie dostrzegłem w niej śladu chłodu czy nieczułości. — Ale ja miałam wizję czegoś bez porównania ważniejszego niż młoda kobieta na estradzie koncertowej, wstająca od fortepianu, by przyjmować bukiety róż. Dopiero o wiele później powiedziałam im o ślubowaniu.

— Po latach? Przytaknęła.

— Zrozumieli to. Widzieli przecież cud, nie mogli go nie zauważyć. Wyjaśniłam im, że miałam więcej szczęścia niż inni wstępujący do zakonu. Otrzymałam wyraźny znak od Pana. To On rozwiązał wszystkie nasze problemy.

— Naprawdę tak sądzisz?

— Ja wierzę. Ale w jakimś sensie nie ma znaczenia, czy to prawda, czy nie. Ty w każdym razie powinieneś to rozumieć.

— Dlaczego właśnie ja?

— Ponieważ mówisz o religijnych prawdach i ideach i wiesz, że są istotne, choćby były tylko przenośnią. To przynajmniej usłyszałam od ciebie, kiedy bredziłeś w gorączce.

Westchnąłem.

— Czy nigdy nie masz ochoty znowu zagrać na fortepianie? Czy nie pragniesz znaleźć pustej sali z instrumentem stojącym na estradzie, zasiąść do niego i po prostu...

— Oczywiście, że tak. Ale nie mogę i nigdy tego nie zrobię. Jakże piękny był jej uśmiech!

— Gretchen, to okropna historia — powiedziałem. — Dlaczego, będąc dobrą katoliczką, nie potrafiłaś spojrzeć na swój talent jako na dar od Boga, który nie powinien zostać zmarnowany?

— Wiedziałam, że to dar od Boga. Ale czy nie potrafisz zrozumieć? To kwestia wyboru; poświęcając grę na fortepianie otrzymywałam od Pana szansę służenia Mu w szczególny sposób. Lestacie, jakie znaczenie ma muzyka w porównaniu z niesieniem pomocy ludziom, setkom ludzi?

Potrząsnąłem głową.

— Uważam, że muzyka może być postrzegana jako coś równie ważnego.

— Nie mogłam tego dalej ciągnąć — odpowiedziała po namyśle. — Być może, przesilenie choroby matki posłużyło mi tylko za pretekst, nie wiem. Musiałam zostać pielęgniarką. Nie widziałam przed sobą żadnej innej drogi. Prawda jest prosta — nie umiem cieszyć się życiem w obliczu nieszczęść tego świata. Nie potrafię usprawiedliwić własnej wygody i przyjemności, podczas gdy tyle ludzi cierpi. Nie pojmuję, jak ktokolwiek to potrafi.

— Gretchen, chyba nie sądzisz, że zdołasz zmienić okrutne prawa rządzące światem?

— Nie, ale mogę poświęcić dane mi lata zmienianiu życia wielu pojedynczych ludzi. Tylko to się liczy.

Byłem tak wstrząśnięty jej opowiadaniem, że nie mogłem dłużej wytrzymać nieruchomej pozycji przed kominkiem i musiałem wstać. Rozprostowawszy zeszywniałe nogi, podszedłem do okna i zapatrzyłem się na pokryty śniegiem pejzaż.

Bez trudu przeszedłbym nad tym wszystkim do porządku dziennego, gdyby Gretchen była upośledzoną umysłowo kobietą, żalostną pesymistką czy osobą o chwiejnym charakterze, targaną ostrymi konfliktami wewnętrznymi. Nic jednak na to nie wskazywało. Nie potrafiłem zgłębić jej duszy.

Wydawała mi się równie odmienna ode mnie co mój śmiertelny przyjaciel sprzed lat, Nicolas; chociaż nie mieli ze sobą wiele wspólnego. W jego cynicznych szyderstwach i wiecznym buncie kryło się jakieś samozaparcie, którego nie potrafiłem zrozumieć. Mój Nicki — na pozór ekscentryczny dziwak ze skłonnością do przesady, a jednak czerpiący przyjemność ze swojego postępowania tylko dlatego, że drażniło ono innych.

Zaparcie się siebie samego — to właśnie leżało u podstaw.

Odwrociłem się. Gretchen przyglądała mi się ze spokojem. Znowu ogarnęło mnie wyraźne uczucie, że nie przykładła większej wagi do tego, co mówię. Nie potrzebowała mojego zrozumienia. Na swój sposób była jedną z najsilniejszych osób, jakie spotkałem w swoim długim życiu.

Nic dziwnego, że to ona zabrała mnie ze szpitala; żadna inna pielęgniarka najpewniej w ogóle nie wzięłaby na swoje barki takiego ciężaru.

— Gretchen — zapytałem — czy nigdy się nie boisz, że zmarnujesz swoje życie, że choroby i cierpienia będą nadal zbierać żniwo, gdy ciebie już dawno nie będzie na tym świecie, a twoje wysiłki okażą się w szerszym wymiarze bez znaczenia?

— Lestacie — odpowiedziała — to szerszy wymiar jest bez znaczenia. — Patrzyła na mnie szeroko otwartymi jasnymi oczami. — Liczą się tylko drobne uczynki. Oczywiście, choroby i cierpienie nie znikną, kiedy ja odejdę. Ale najważniejszy jest fakt, że robię wszystko co w mojej mocy. W tym jest moje zwycięstwo i moja próżność, moje powołanie i grzech pychy. To właśnie mój indywidualnie pojmowany heroizm.

— Ale, *cherie*, to miałyby sens tylko wówczas, gdyby istniał ktoś, kto zapisuje nasze czyny. Jeżeli Najwyższa Istota zatwierdziłaby twoją decyzję i wynagrodziła poświęcenie albo przynajmniej poparła twoje działanie.

— Nie. — Starannie dobierała słowa: — Nic nie jest dalsze od prawdy. Zastanów się nad tym, co powiedziałam. Widocznie mówię o rzeczach zupełnie dla ciebie nowych. Może to właśnie tajemnica wiary.

— Co masz na myśli?

— Często kiedy leżę w nocy nie śpiąc, widzę jasno, że być może w ogóle nie ma żadnego Boga osobowego i że cierpienie dzieci, na które patrzę codziennie w naszych szpitalach, nigdy nie zostanie zrównoważone ani wynagrodzone. Myślę o tych starych dyskusjach — wiesz, w jaki sposób Bóg może uzasadnić ból dziecka. Dostojewski postawił takie pytanie. A także ten francuski pisarz, Albert Camus. My same stale je zadajemy. Ale w ostatecznym rachunku to nie ma żadnego znaczenia.

Bóg może istnieć albo i nie, ale cierpienie istnieje z całą pewnością. Jest absolutnie rzeczywiste i niezaprzeczone. I z tej realności wynika właśnie moje zaangażowanie, jądro mojej wiary. Ponieważ muszę coś zrobić!

— Lecz w godzinie twojej śmierci, jeżeli Boga nie ma...

— I co z tego? Wystarczy mi pewność, że uczyniłam wszystko, co mogłam. Godzina mojej śmierci mogłaby nastąpić teraz — lekko wzruszyła ramionami. — Czułabym się

dokładnie tak samo.

— I dlatego nie masz wyrzutów sumienia z powodu tego, co między nami zaszło?

Zastanowiła się, zanim odpowiedziała na moje pytanie.

— Wyrzutów sumienia? Kiedy o tym myślę, czuję się szczęśliwa. Czy nie zdajesz sobie sprawy, co dla mnie zrobiłeś? — Czekala na moją odpowiedź, do jej oczu powoli napływały łzy. — Przyjechałam tutaj, żeby cię spotkać, żeby być razem z tobą — powiedziała w końcu zachrypniętym głosem. — I teraz mogę powrócić do misji.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, ze schyloną głową, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Kiedy znowu spojrzała na mnie, jej oczy były suche.

— Opowiadając o stworzeniu tego dziecka, Claudii... o wprowadzeniu w wampirzy świat Gabrielle, twojej matki... mówię?0 sięganiu po coś. Czy nazwałbyś to transcendencją, przekraczaniem danych nam granic? Kiedy pracuję aż do utraty sił w szpitalu w misji, przekraczam granice. Wznoszę się ponad zwątpienie i ponad... jakiś rozpaczliwy mrok w mojej duszy. Sama nie wiem.

— Rozpaczliwy mrok? Czy to nie jest przypadkiem klucz do wszystkiego? Muzyka nie zdołała go rozegnać.

— Mylisz się. Ale to była fałszywa droga.

— Dlaczego? Dlaczego nazywasz tamto dobro — grę na fortepianie — fałszem?

— Ponieważ zbyt mało przynosiło innym.

— Och, wręcz przeciwnie. Dawało ludziom przyjemność, nie mogło być inaczej.

— Przyjemność?

— Wybacz, poszedłem w złym kierunku. Chodzi o to, że zatraciłaś się w swoim powołaniu. Grając na fortepianie, nadal byłaś sobą, czy nie widzisz tego? Stanowiłaś jedyną w swoim rodzaju, unikatową Gretchen! Takie jest dokładnie znaczenie słowa „wirtuoz”. Lecz ty pragnęłaś samozatracenia.

— Myślę, że masz rację. Muzyka po prostu nie dawała mi możliwości osiągnięcia właściwego celu.

— Och, Gretchen, przerażasz mnie.

— Niepotrzebnie. Nie twierdzę, że to zły sposób. Jeśli potrafiłaś działać swoją muzyką coś dobrego — mam na myśli twoją krótką karierę wokalisty rockowego, o której mi opowiadałaś — to znaczy, że była to dla ciebie słuszna droga. Ja czynię dobro w mój własny sposób.

— Nie, u podstaw twojego wyboru tkwi jakaś okrutna abnegacja. Jesteś spragniona miłości, podobnie jak ja co noc pragnę świeżej krwi. Narzuciłaś sobie pielęgnowanie chorych

jako karę za zmysłowe pożądanie, miłość do muzyki i wszystkich *rzeczy* tego świata, które są jak muzyka. Jesteś wirtuozem, wirtuozem swojego własnego cierpienia.

— Mylisz się, Lestacie — z uśmiechem pokręciła głową. — Dobrze wiesz, że tak nie jest, to tylko wyobrażenie, jakie chciałbyś żywić o takiej osobie jak ja. Posłuchaj mnie. Jeżeli to, co powiedziałeś mi?0 sobie, jest prawdą, to czy w świetle takiej prawdy nie wydaje ci się oczywiste, że było ci przeznaczone mnie spotkać?

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Chodź tutaj, usiądź obok mnie i porozmawiajmy.

Nie wiem dlaczego, zawahałem się; obawiałem się czegoś. W końcu usiadłem na kocu naprzeciw niej. Skrzyżowałem nogę i oparłem się plecami o biblioteczkę.

— Czy tego nie dostrzegasz? Reprezentuję przeciwną drogę działania, której ty nigdy nawet nie brałeś pod uwagę, a która mogłaby ci przynieść upragnione pocieszenie.

— Gretchen, przecież ani na chwilę nie uwierzyłaś w to, co ci powiedziałem! To niemożliwe. Nie oczekuję tego od ciebie.

— Ale ja ci wierzę! Wierzę w każde wypowiedziane przez ciebie zdanie. Dosłowna prawda nie ma znaczenia. Szukasz tego samego,

czego poszukiwali święci, odrzucając nagle całe swoje życie i wstępując w służbę Chrystusa. Nie przejmuj się tym, że w Niego nie wierzysz. To nieważne. Istotne jest tylko to, że czułeś się nieszczęśliwy wiodąc swoją dotychczasową egzystencję, nieszczęśliwy niemal do szaleństwa i że moja droga ofiarowuje ci alternatywę.

— Czy na pewno masz mnie na myśli?

— Oczywiście, że tak. Czy nie widzisz, jak to się wszystko układa? Wszedłeś w to ciało i wpadłeś w moje ręce, żeby dać mi chwilę miłości, której potrzebowałam. Ale co mogę zaproponować ci w zamian? Co oznacza dla ciebie spotkanie ze mną?

Podniosła dłoń w ucziszającym geście.

— Nie, tylko nie mów znowu o szerszym wymiarze. Nie pytaj, czy istnieje Bóg osobowy. Zastanów się nad wszystkim, co ci powiedziałam. Mówiłam o sobie, ale to także dotyczy ciebie. Ilu ludzi odebrałeś życie wiodąc swoją ponadziemską egzystencję? A ilu ja uratowałam — w sensie dosłownym — pracując w misji?

Byłem gotów odrzucić cały jej wywód, lecz nagle przyszło mi do głowy, że powinienem raczej poczekać i zwyczajnie nad tym się zastanowić.

Znowu zmroziła mnie myśl, że mógłbym nigdy nie odzyskać swego nadprzyrodzonego ciała i spędzić resztę życia uwięziony w tym, które mam teraz. Jeśli nie zdołam schwytać złodzieja ciała, jeśli nie uda mi się nakłonić innych do udzielenia mi pomocy,

rzeczywiście w swoim czasie spotka mnie śmierć, o którą prosiłem. Znalazłem się z powrotem we władzy czasu.

A co wtedy, jeśli rzeczywiście był w tym wszystkim jakiś plan? Jeżeli jest mi pisane spędzić to śmiertelne życie pracując tak jak Gretchen, oddając wszystkie fizyczne i duchowe siły dziełu niesienia pomocy innym? Co by się stało, gdybym po prostu pojechał razem z nią do misji ukrytej gdzieś w dżungli? Och nie, nie jako jej kochanek. Takie związki najwyraźniej nie były jej przeznaczone. Ale gdybym został pomocnikiem? Gdybym wtłoczył swoje śmiertelne życie w ramki poświęcenia?

Zmusiłem się do rozważenia tego w milczeniu.

Oczywiście, Gretchen nie miała pojęcia o jeszcze jednej dodatkowej okoliczności — o bogactwie, jakim mógłbym obdarzyć jej placówkę i wszystkie inne misje. Większość ludzi nie potrafiłaby nawet ocenić rozmiarów mojego kolosalnego majątku. Ja jednak ujrzałem teraz wyraźnie, w osłepiającej wizji, jego ogrom i korzyści,

które mógłby przynieść. Wszyscy mieszkańcy indiańskich wiosek nakarmieni i ubrani, szpitale zaopatrzone w lekarstwa, szkoły wyposażone w książki, tablice, odbiorniki radiowe i fortepiany. Tak, fortepiany. Och, to bardzo stara historia. Odwieczne marzenie.

Zastanawiałem się nad tym w ciszy. Przed oczami mojej duszy przesuwały się obrazy dni owego śmiertelnego życia — ewentualnego śmiertelnego życia — poświęconych, wraz z całą moją fortuną, urzeczywistnianiu marzenia. Patrzyłem na nie jak na piasek przesypany się przez ciasne gardło klepsydry.

Przecież w tej samej minucie, kiedy siedzieliśmy w czystym przytulnym pokoiku, w wielkich slumsach Azji miliony cierpiały niedożywienie. W Afryce ludzie umierali z głodu. Na całym świecie zabijały ich choroby i katastrofy. Powodzie pozbawiały dachu nad głową, susze spalały plony i nadzieje. Nieszczęścia pojedynczego kraju, przedstawione choćby z powierzchownymi szczegółami, to więcej niż może znieść wyobraźnia.

Lecz jeśli nawet przeznaczyłbym na ten cel wszystko, co posiadam, cóż bym osiągnął w ostatecznym rozrachunku?

Skąd wziąć pewność, że nowoczesna medycyna przyniesie mieszkańcom dżungli więcej pożytku niż ich starożytne metody leczenia? Czy edukacja indiańskich dzieci da im szczęście? Czy cokolwiek z tego warte jest, bym wyrzekł się swojej duszy? I w jaki sposób mógłbym sprawić, żeby to miało dla mnie jakiegokolwiek znaczenie? To właśnie było najgorsze!

Nic mnie to wszystko nie obchodziło. Potrafiłem płakać nad cierpieniami konkretnej osoby, ale nie umiałbym poświęcić życia dla bezimiennych milionów! W istocie cała ta idea

napawała mnie strachem, straszliwym mrocznym lękiem. Przynosiła niewysłowiony smutek, negowała samo życie. Wydała mi się dokładnym przeciwieństwem transcendencji.

Pokręciłem przecząco głową. Cichym, przerywanym głosem, wyjaśniłem Gretchen, dlaczego owa wizja tak bardzo mnie przeraża.

— Kiedy przed wiekami stałem po raz pierwszy na ulicznej estradzie w Paryżu, kiedy patrzyłem na uszczęśliwione twarze i słuchałem oklasków, wiedziałem, że moje ciało i dusza znalazły swoje przeznaczenie. Czułem, że wszystkie dobre wróżby i nadzieje dzieciństwa zaczynają się w końcu spełniać. Och, oczywiście istnieli inni aktorzy, mniej lub bardziej utalentowani; śpiewacy, kłowni;

tysiące występowało przede mną i tysiące przyszło po mnie. Lecz każdy z nas lśni swoim własnym, niezrównanym blaskiem, każdy z nas ma swoją własną oślepiającą chwilę wielkości, szansę, by wymazać z pamięci widza wszystkich innych artystów. Tylko takie spełnienie potrafię zrozumieć: spełnienie, w którym jaźń — moja jaźń — osiąga całkowitą i tryumfującą pełnię.

Tak, masz rację, mógłbym zostać świętym. Ale tylko jako założyciel zakonu albo wódz prowadzący armię do walki. Czyniłbym cuda na taką skalę, że cały świat runąłby na kolana. Muszę ważyć się na śmiałe czyny, nawet jeżeli nie mam słuszności. Gretchen, Bóg dał mi własną duszę i nie mogę jej pogrzebać.

Ze zdumieniem zdałem sobie sprawę, że Gretchen wciąż się do mnie ciepło uśmiecha. Jej twarz wyrażała niedowierzanie, lecz równocześnie zrozumienie.

— Wolisz być władcą w piekle — powiedziała ostrożnie — niż sługą w niebie?

— Och, nie. Gdybym tylko mógł, uczyniłbym raj na ziemi. Ale mój głos musi się wznosić wysoko; muszę błyszczeć; muszę sięgać po tę samą ekstazę, którą ty odrzuciłaś, tę samą intensywność doznań, przed którą uciekasz! Jakkolwiek głupie z mojej strony było stworzenie Claudii, to jednak był to akt transcendencji. Chociaż przemiana Gabrielle w wampira wydaje się niegodziwością, to także przyniosło osiągnięcie transcendencji. Dokonałem odrębnego, potężnego i przeraźliwego czynu, wymagający całej mojej wyjątkowej potęgi i odwagi. Będziecie żyły, powiedziałem; być może dokładnie to samo mówisz do indiańskich dzieci.

Ale ja wypowiedziałem te słowa, aby wprowadzić te kobiety we własny ponadmysłowy świat. Mój cel nie ograniczał się tylko do uratowania życia, postanowiłem uczynić z nich istoty takie jak ja — szczególne i straszliwe. Obdarzyć je swoją własną, wypieszczoną naturą. Będziemy żyli, choćby w tym stanie śmierci za życia; będziemy kochać i czuć na przekór tym wszystkim, którzy chcą nas osądzić i zniszczyć. To właśnie *oznacza* dla

mnie transcendencja. Nie ma tu miejsca na odkupienie i wyrzeczenie się siebie.

Och, jakąż goryczą napawała mnie niemożność przekazania Gretchen mojej filozofii, sprawienia, by uwierzyła, iż mam słuszość.

— Czy nie rozumiesz, że przetrwałem wszystko, co mi się przydarzyło, tylko dlatego, że jestem tym, kim jestem? Siła, wola,

nieugiętość — to jedyne elementy mojej duszy, z którymi się w pełni utożsamiam. Owo ego, jeśli zechcesz to tak nazwać, stanowi moją potęgę. Ja jestem Wampir Lestat i nic... nawet to śmiertelne ciało... nie zdoła mnie pokonać.

Ku mojemu zdumieniu Gretchen potakująco skinęła głową. Jej spojrzenie wyrażało całkowitą akceptację.

— Lecz jeśli pojedziesz ze mną — odezwała się łagodnym głosem — Wampir Lestat zginie poprzez swoje własne odkupienie. Czy nie tak?

— Owszem. Umrze okropną, powolną śmiercią pośród małych, niewdzięcznych zadań, pielęgnując nieprzeliczone hordy bezimiennych biedaków.

Nieoczekiwanie ogarnął mnie tak wielki smutek, że nie mogłem dalej mówić. Czułem się zmęczony w paskudny, ludzki sposób — znużeniem wywołanym zniechęceniem umysłu. Znowu przypomniałem sobie sen i słowa, które wypowiedziałem w nim do Claudii. Kiedy teraz po raz kolejny powtarzałem je Gretchen, uświadomiłem sobie, iż rozumiem siebie samego jak nigdy dotąd.

Objąłem rękoma podciągnięte do góry kolana i oparłem na nich głowę.

— Nie potrafię pogrzebać się za życia, tak jak ty to uczyniłaś — wyszeptałem. — I wcale tego nie chcę, to jest właśnie najgorsze! Nie wierzę, że zbawiłbym w ten sposób swoją duszę. Nie wydaje mi się, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Poczułem na ramieniu jej dłoń. Gładziła moje włosy, czule odgarniając je z czoła.

— Rozumiem ciebie — powiedziała — nawet jeśli się mylisz. Roześmiałem się cicho i podniosłem wzrok na moją przyjaciółkę.

Wytarłem oczy i wysmarkałem nos w jedną z serwetek służących nam w czasie „pikniku”.

— Ale nie zdołałem zachwiać twojej wiary, prawda?

— Nie — tym razem jej uśmiech był inny niż przedtem, cieplejszy i promienniejszy. — Umocniłaś ją — powiedziała szeptem. — Jesteś taki dziwny, twoja obecność wydaje mi się cudem. Niemal wierzę, że twoja droga jest dla ciebie najwłaściwsza. Któż inny mógłby być tobą? Nikt.

Usiadłem wygodniej i pociągnąłem łyżeczek wina. Ogrzało się, stojąc przy kominku, ale

nie straciło smaku. Przez moje ospałe członki przebiegła fala rozkoszy. Wypiwszy jeszcze trochę, odstawiłem kieliszek i spojrzałem na Gretchen.

— Chcę cię o coś zapytać. Odpowiedz mi z głębi serca. Jeśli zwyciężę — jeśli odzyskam swoje ciało — czy będziesz chciała, żebym do ciebie przyszedł? Czy chcesz się przekonać, iż powiedziałem ci prawdę? Zastanów się dobrze, zanim odpowiesz. Naprawdę chciałbym to zrobić, ale nie jestem pewien, czy to byłoby najlepszym rozwiązaniem dla ciebie. Twoje życie jest niemal doskonałe, nasza mała erotyczna przygoda nie zdołałaby zapewne niczego zmienić. Miałem słuszość, prawda? Przekonałaś się teraz, że rozkosz zmysłowa naprawdę nie jest dla ciebie ważna i wkrótce, o ile nie natychmiast, wrócisz do swojej pracy w dżungli.

— Owszem — zgodziła się. — Ale jest jeszcze coś, o czym również powinienes wiedzieć. Dzisiaj rano przez chwilę myślałam, że mogłabym wszystko rzucić tylko po to, żeby zostać z tobą.

— O nie, nie ty, Gretchen.

— Ależ tak, właśnie ja. Czułam, jak ogarnia mnie ta chęć, w taki sam sposób co muzyka. Jeślibyś powiedział „Chodź ze mną”, nawet jeszcze teraz, mogłabym to zrobić. Gdyby twój świat istniał naprawdę... — przerwała, wzruszając lekko ramionami. Odrzuciwszy do tyłu włosy, wygładziła je dłońmi. — Dziewictwo ma chronić przed zakochaniem — spojrzała mi prosto w oczy. — Mogłabym się w tobie zakochać, jestem tego pewna.

Po chwili milczenia dodała cicho:

— Ty wówczas stałbyś się moim bogiem.

Jej słowa przeraziły mnie, lecz jednocześnie sprawiły, iż poczułem bezwstydną radość i satysfakcję, smutną dumę. Musiałem dokonać wysiłku, żeby nie ulec ogarniającemu mnie powoli fizycznemu podnieceniu. Zresztą nie wiedziała przecież, co mówi. Nie mogła wiedzieć. Jednak w jej głosie i całym zachowaniu była jakaś potężna przekonująca siła.

— Wracam do misji — powiedziała tym samym tonem, pełnym pewności i pokory. — Najpewniej wyjadę w ciągu kilku dni. Lecz owszem, jeśli wygrasz walkę i odzyskasz dawną postać — na miłość boską, przyjdź do mnie. Chcę... chcę mieć pewność!

Byłem zbyt zmieszany, żeby odpowiedzieć od razu.

— Może się zdarzyć, iż kiedy ukażę ci swój prawdziwy kształt, poczujesz się straszliwie rozczarowana — odezwałem się po chwili.

— Jak to możliwe?

— Sądzisz, że jestem istotą idealną, ponieważ prowadziłem z tobą uduchowione

rozmowy. Wydaję ci się czymś w rodzaju błogosławionego lunatyka, trwoniącego wokół prawdy, chociaż nie pozbawione błędów, tak jak mógłby to robić jakiś mistyk. Ale ja nie jestem człowiekiem. Możesz zniechęcić to, co zobaczysz.

— Nie, nie potrafiłabym cię nienawidzić. Lecz dowiedzieć się, że wszystko, co powiedziałeś jest prawdą? To będzie... cud.

— Niewykluczone, Gretchen. Niewykluczone. Ale przypomnij sobie moje słowa. Jesteśmy jak wizja bez objawienia, jak nic nie oznaczający cud. Czy jesteś pewna, że chcesz ponieść jeszcze ten krzyż?

Milczała. Rozważała moją wypowiedź. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jaki sens może mieć dla niej to, co usłyszała. Gdy wziąłem jej dłoń, delikatnie ścisnęła moje palce. Wciąż patrzyła mi prosto w oczy.

— Bóg nie istnieje, prawda, Gretchen?

— Nie, nie istnieje — wyszeptała.

Chciało mi się równocześnie śmiać i płakać. Oparłem się o półki z książkami i śmiałem się bezgłośnie, podziwiając pełną spokoju posagową postać Gretchen i odbłask płonącego w kominku ognia tańczący w jej piwnych oczach.

— Nie masz pojęcia, co dla mnie zrobiłeś — powiedziała. — Nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Jestem teraz gotowa, mogę wrócić do misji.

Skinąłem głową.

— W takim wypadku nic się nie stanie jeśli, najdroższa, znowu pójdziemy do łóżka. Bowiem z pewnością powinniśmy to uczynić.

— Owszem, też tak sądzę — zgodziła się.

Było już prawie ciemno, kiedy zostawiłem Gretchen i przeniosłszy się z zaopatrzoną w długi sznur telefonem do małej łazienki, zadzwoniłem do swojego nowojorskiego agenta. Wykręcałem numer raz za razem, lecz po drugiej stronie nikt nie odpowiadał. Kiedy już miałem się poddać i zamiast tego spróbować złapać paryskiego pracownika, ktoś podniósł słuchawkę i zakłopotany głos, dobierając z wahaniem słowa, poinformował mnie, że mojego przedstawiciela w Nowym Jorku właściwie nie ma już wśród żywych. Umarł gwałtowną śmiercią jednej z ubiegłych nocy w biurze w wieżowcu przy Madison Avenue. Stwierdzono, że napad miał charakter rabunkowy; komputer i wszystkie papiery zostały skradzione.

Byłem zbyt oszołomiony, by wydusić z siebie choć jedno słowo. W końcu jednak udało mi się pozbierać i zadać kilka pytań.

Zbrodnia miała miejsce w środę wieczorem, około godziny ósmej. Nie, nikt nie potrafi ocenić strat, spowodowanych kradzieżą dokumentów. Tak, niestety biedak cierpiał.

— Okropna, koszmarna historia — mówił głos. — Na pewno by pan o niej słyszał, gdyby był pan w Nowym Jorku. Pisali o tym we wszystkich gazetach. Dawali nagłówki: „Ofiara wampira”. W ciele nieszczęśnika nie pozostała ani kropla krwi.

Odłożywszy słuchawkę, przed długą chwilę siedziałem w surowej ciszy. Następnie wykręciłem numer do Paryża. Mój tamtejszy człowiek odezwał się niemal natychmiast.

Chwała Bogu, że pan dzwoni, powiedział. Musiałem najpierw potwierdzić swoją tożsamość. Nie, zaszyfrowane hasło nie wystarczy. A może rozmowa, którą kiedyś przeprowadziliśmy? O tak, tak, o to właśnie chodzi. Niech pan mówi, poprosił. Bez namysłu zacząłem wyrzucać z siebie litanie sekretów, o których wiedzieliśmy tylko my dwaj. Kiedy wreszcie przekonał się, w jego głosie słychać było ogromną ulgę.

Działy się przedziwne rzeczy, powiedział mi. Dwukrotnie skontaktowała się z nim osoba podająca się za mnie, jednak najwyraźniej będąca kimś innym. Ów człowiek wymienił nawet dwa zaszyfrowane hasła, których używaliśmy w przeszłości, i uraczył go zawiłym wyjaśnieniem, dlaczego nie zna aktualnych. W tym czasie faksem przyszło kilka poleceń przelewu znacznych sum pieniędzy, jednak słowa kluczowe nie zgadzały się. Ale nie wszystkie. W istocie wiele wskazywało na to, że owa osoba znajduje się na najlepszej drodze do złamania naszego systemu.

— Ale, monsieur, niech pan posłucha, co przede wszystkim zwróciło moją uwagę. Ten człowiek używa innego francuskiego niż pan! Nie chciałbym pana urazić, monsieur, ale pan mówi po francusku w sposób raczej... jak by to powiedzieć, szczególnie? Stosuje pan staroświeckie słownictwo i buduje nietypowe zdania. Zawsze potrafię pana rozpoznać.

— Rozumiem doskonale — powiedziałem. — Teraz proszę, niech mi pan uwierzy. Nie wolno panu więcej rozmawiać z tym osobnikiem. On jest zdolny odczytywać myśli. Stara się telepatycznie wyciągnąć z pana zaszyfrowane hasło. Ustalimy nowy kod. Dopilnuje pan jednego przelewu... na moje konto w Nowym Orleanie. Ale zaraz potem trzeba zlikwidować wszystkie dojścia. Kiedy się znowu z panem skontaktuję, użyję trzech staroświeckich wyrazów. Nie będziemy się umawiać, jakich konkretnie... ale to będą słowa, które już wcześniej słyszał pan ode mnie. Natychmiast zorientuje się pan, że to ja.

Oczywiście, kryło się za tym pewne ryzyko. Ale chodzi o to, że ten człowiek mnie zna. Wy tłumaczyłem mu, że ów złodziej jest wyjątkowo niebezpieczny, że napadł na mojego nowojorskiego agenta i że muszą zostać podjęte wszelkie możliwe środki bezpieczeństwa. Zapłacę za wszystko — za wynajęcie ochrony, dowolnej liczby strażników, czuwających dwadzieścia cztery godziny na dobę. Niech raczej zgrzeszy przesadą, niż czegoś zaniedba.

— Wkrótce znowu się do pana odezwę. Proszę pamiętać, staroświeckie słowa. Rozpozna mnie pan bez trudu.

Odłożyłem słuchawkę. Trząsnę się z wściekłości! Ach, co za parszywy potwór! Nie wystarczy mi, że ukradł ciało boga, musi jeszcze splądrować boskie spichlerze! Obrzydliwy łotr, ohydny diablik. Cóż za głupiec ze mnie, że tego nie przewidziałem!

„Och, jesteś człowiekiem z krwi i kości, nie ma co”, mówiłem sam do siebie. „Jesteś człowiekiem i durniem!” Pomyśleć tylko o tych wszystkich słowach potępienia, które Louis zwali na moją głowę, zanim zdecyduje się mi pomóc!

A co będzie, jeśli dowie się Marius?! Och, to zbyt okropne, żeby nawet się nad tym zastanawiać. Przede wszystkim powinienem jak najszybciej odnaleźć Louisa.

Muszę wytrzasnąć jakąś walizkę i dostać się na lotnisko. Trzeba też pomyśleć o klatce, w której Mojo, bez wątpienia, będzie musiał podróżować. Nic nie wyjdzie z długiego, czułego pożegnania z Gre-tchen, jakie sobie zaplanowałem. Ale z pewnością ona to zrozumie.

Wiele się wydarzyło w skomplikowanym iluzorycznym świecie jej tajemniczego kochanka. Pora się rozstać.